

Otto Carius

# TYGRYSY W BŁOCIE

*Wspomnienia niemieckiego czołgisty  
z frontu wschodniego*



WROBEL  
MM X.  
1944

Otto Carius

# TYGRYSY W BŁOCIE

*Wspomnienia niemieckiego czołgisty z frontu  
wschodniego*

GKW



Gdańsk 2010

Tytuł oryginału  
TIGERS IN THE MUD  
Copyright © by Otto Carius, 1960

Copyright © for Polish language edition  
by Firma Księga, Warszawa 2010

Tłumaczenie  
Tomasz Kazimierczak

Redakcja i korekta  
Izabela Jankowska

Ilustracja na okładce  
Jarosław Wróbel

Projekt graficzny  
Katarzyna Schwagulińska

Wydanie I. Gdańsk 2010  
ISBN 978-83-62129-40-9

Wydawnictwo Maszoperia Literacka Sp z o.o.  
ul. Kopernika 2/1  
80-208 Gdańsk  
[www.maszoperia.org](http://www.maszoperia.org)

Dystrybucja  
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza  
80-298 Gdańsk, ul. Budowlanych 64 F  
tel. (058) 520 35 58, fax (058) 344 13 38  
e-mail: [wydawnictwo@ll.com.pl](mailto:wydawnictwo@ll.com.pl)  
[www.ll.com.pl](http://www.ll.com.pl)

Druk i oprawa  
ARSPOL Sp. z o.o.  
ul. Chopina 14  
Bydgoszcz

# Spis treści

Dedykacja .....	6
Od wydawcy polskiego .....	7
Przedmowa do wydania niemieckiego .....	9
1 OJCZYŻNA WZYWA .....	10
2 PRZEBUDZIŁ SIĘ NAPOLEON .....	14
3 PIERWSZE T-34 .....	19
4 Z POWROTEM W STAREJ BANDZIE .....	21
5 KATASTROFA .....	23
6 W BRETANII .....	28
7 PORTRET TYGRYSA .....	30
8 POCIĄGIEM EKSPRESOWYM NA FRONT LENINGRADZKI .....	34
9 BITWA OBRONNA W NEWELU .....	41
10 ODWRÓT DO NARWY .....	52
11 „STARY FRYC” .....	61
12 UTRZYMANIE FRONTU NAD NARWĄ .....	69
13 CISZA PRZED BURZĄ .....	79
14 IWAN ATAKUJE .....	89
15 BUNT W SCHRONIE .....	101
16 OPERACJA STRACHWITZ .....	104
17 TA NOC BYŁA PIEKŁEM .....	113
18 FARTY CZY FIKCJA? .....	116
19 KU CHWALE TYGRYSA .....	120
20 PORAŻKA I POŻEGNANIE .....	123
21 KRZYŻ RYCERSKI W SZPITALU .....	140

22 NIEMIECKIE MYŚLIWCE NIE POJAWIŁY SIĘ .....	149
23 NATYCHMIAST ZAMELDOWAĆ SIĘ W JEDNOSTCE.....	154
24 ODMOWA WYKONANIA ROZKAZU.....	156
25 WALKI OBRONNE W DYNEBURGU .....	166
26 ZASADZKA.....	170
27 PAMIĘTNA RÓŻNICA ZDAŃ .....	178
28 PUKAJĄC DO WRÓT ŚMIERCI! .....	184
29 SZYBKI POWRÓT DO ZDROWIA W SZPITALU!.....	193
30 ODWIEDZINY U HEINRICHA HIMMLERA.....	198
31 ZAPOWIEDŹ KATASTROFY .....	207
32 ZAGŁĘBIE RUHRY W OKRĄŻENIU .....	210
33 CHAOS SIĘ POWIĘKSZA.....	216
34 DZIWNY KOMENDANT MIASTA .....	220
35 ZBLIŻAJĄC SIĘ DO KOŃCA .....	227
36 POGANIE SA CZĘSTO LEPSZYMI CHRZEŚCIJANAMI.....	231
37 NA ZAKOŃCZENIE.....	233
Posłowie do wydania angielskiego.....	234
Komentarze do dokumentów .....	237
Dokument 1 .....	238
Dokument 2 .....	247
Dokument 3 .....	255
Dokument 4 .....	260
Dokument 5 .....	263
Dokument 6 .....	276

## DEDYKACJA

Wszystkim towarzyszom broni z 2. kompanii 502. batalionu ciężkich czołgów, wyrażając szacunek dla tych, którzy zginęli na polu chwały, a tym, którzy przeżyli, na pamiątkę naszego wiecznego i niezapomnianego braterstwa

## OD WYDAWCY POLSKIEGO

"... nasze wojska rozbiły już polską armię, a kilka dni temu Francja poczuła ich paralizujące uderzenie". Osiemnastoletni Otto Carius właśnie został żołnierzem Wehrmachtu. Zgłosił się na ochotnika. Karierę czołgisty rozpoczął jako szeregowiec-ładowniczy w 21. Pułku Pancernym, a zakończył w stopniu porucznika na stanowisku dowódcy kompanii ciężkich czołgów Panzer VI, popularnie nazywanych Tygrysami.

W końcu lipca 1943 roku znalazł się w piekle walk na Froncie Leningradzkim, w trzeciej bitwie o jezioro Ładoga. Tu zaczęły się jego prawdziwe doświadczenia wojenne. Potem pancerne boje na terenie radzieckich republik nadbałtyckich (Estonia, Łotwa), błyskotliwe akcje, zwycięskie starcia. I odwrót w lipcu 1944 roku. Ciężko ranny Otto Carius zostaje ewakuowany do Niemiec. Zakończył wojnę na froncie zachodnim. Tam też dostał się do amerykańskiej niewoli, trochę zdumiony, że nie ruszają razem z Amerykanami na Wschód. I z satysfakcją przytacza słowa amerykańskiego oficera, że trzeba oszczędzać niemieckich żołnierzy, bo już wkrótce będą potrzebni „do wykonania wspólnych zadań”.

Wojenne losy Otto Cariusza to zaledwie maleńki fragment wojny, jednostkowe doświadczenia opisane bardzo osobiście. Ale jego wspomnienia warte są lektury z kilku powodów.

Po pierwsze, jest to relacja bezpośredniego świadka wydarzeń, szczegółowy opis działań charakterystycznych dla walk na Wschodzie. Autor miał możliwość dokonania porównań siły bojowej obu walczących stron. Czyni to wnikliwie i dość obiektywnie. Widział bowiem wojnę nie z dala od pierwszej linii, gdzieś z zaplecza frontu. Bezustannie uczestniczył w bezpośrednim starciu z wrogiem. Widział twarze rosyjskich żołnierzy, ich upór, determinację, bohaterstwo. Był pełen profesjonalnego uznania dla czołgów T-34 i T-43, dzięki którym - jak pisze - to Rosjanie rozdawali karty, dopóki na froncie nie pojawiły się Tygrysy.

Wiele miejsca poświęca też naturalnym sprzymierzeńcom Rosjan, utrudniającym działania niemieckich czołgów. To wielkie odległości, fatalne drogi (gdyby takie były w ojczyźnie, jak to utrudniałoby działania Amerykanom! - stwierdza), bagna, wiosną i jesienią lepkie błoto, w którym grzęzną czołgi, zimą - potworne mrozy i lodowate zamiecie.

Po drugie, jest to książka napisana „Ku chwale Tygrysa”, ciężkiego czołgu, który wszedł na uzbrojenie armii niemieckiej w sierpniu 1942 roku, po pierwszych walkach z T-34. Carius pisze o nim z ogromnym

uznaniem. Czytelnik zainteresowany bronią pancerną znajdzie tu sporo interesujących szczegółów technicznych, opisy kolejnych modyfikacji, słabych i mocnych punktów i charakterystykę właściwości bojowych. Tygrys był praktycznie niezniszczalny.

Niemniej ważnym aspektem tych wspomnień jest spojrzenie dowódcy prowadzącego bezpośrednio podwładnych do walki, ocena relacji między przełożonym i podwładnym. Carius uważa, że dowódca niższego szczebla nie powinien być wyłącznie ślepym wykonawcą rozkazów. Sam niejednokrotnie prezentował własne stanowisko w wielu kwestiach i odważnie przedstawiał je przełożonym. Krytycznie ocenia wielu dowódców. Ale o wielu z nich i o swoich żołnierzach pisze z najwyższym uznaniem.

Wojna jest okrutna, ale Cariusowi i jego kolegom nie pozostaje nic innego, jak podporządkować się jej prawom.



## PRZEDMOWA DO WYDANIA NIEMIECKIEGO

Gdy po raz pierwszy zacząłem spisywać swoje wspomnienia, miałem zamiar przeznaczyć je wyłącznie dla członków 502. batalionu Tygrysów.

Lecz kiedy przybrały one objętość książki, stały się próbą przywrócenia czci wszystkim żołnierzom frontowym. Od 1945 roku w Niemczech i w innych krajach zniesławiano niemieckich żołnierzy. Otwarcie i systematycznie, w zamierzony albo mimowolny sposób. Opinia publiczna ma jednak prawo wiedzieć, jaka była tamta wojna i poznać zwykłych niemieckich żołnierzy.

Książka ta została napisana przede wszystkim dla moich byłych kolegów czołgistów. Dla nich - jako pamiątka tamtych trudnych czasów. Robiliśmy identycznie to samo, co nasi towarzysze - żołnierze we wszystkich innych rodzajach wojsk - wykonywaliśmy rozkazy!

Ponieważ udało mi się ocalić z wojny zarówno raporty dywizji, jak i korpusów, dotyczące okresu między 24 lutego a 22 marca 1944 mogłem dokładnie odtworzyć przebieg operacji, co stanowi główny punkt narracji. Dokumenty te po latach wróciły do mnie, więc mogę je wykorzystać. Oprócz własnej pamięci, do dyspozycji mam oficjalną dokumentację dotyczącą opisywanych przeze mnie zdarzeń.

*Otto Carius*

# 1 OJCZYZNA WZYWA

- Też chciałbym wiedzieć, czego oni chcą od tego cherlaka... - wskazując na mnie, powiedział jeden z grających w karty.

Siedzieli pochyleni nad walizką, którą trzymali na kolanach, usiłując jakoś zabić czas, jaki pozostał do odjazdu.

- Czego oni chcą od tego cherlaka? - ponownie skierował pytanie w moją stronę. Stałem przy oknie przedziału i spoglądałem na pozostające za mną Góry Harzu, podczas gdy pociąg mknął na wschód, pokonując nadreńskie równiny. Wydawał się być statkiem, opuszczającym bezpieczny port i wyruszającym w podróż w nieznane. Od czasu do czasu sprawdzałem, czy mam w kieszeni skierowanie do jednostki: Poznań, 104. batalion zapasowy. Piechota, królowa bitew!

Nie pasowałem do tej grupy, lecz tak naprawdę nie mogłem nikogo winić za to, że nie traktowano mnie poważnie. Dwa razy odrzucili mnie przy poborze i za każdym razem słyszałem: „Nie nadaje się do służby z powodu niedowagi”. Dwa razy musiałem ukradkiem dzielnie przełykać łyżę wstydu. Mój Boże, tam na froncie nikogo nie pytają, ile waży!

W trakcie niespotykanej, jak dotąd, szybkiej kampanii, nasze wojska rozbiły już polską armię, a kilka dni temu Francja poczuła ich paraliżujące uderzenie. We Francji był mój ojciec. Założył mundur na samym początku wojny. Gdy mojej matce pozwolono wrócić do naszego domu przy granicy, nie miała więc zbyt wielu domowych obowiązków. Miałem po raz pierwszy w życiu samotnie spędzić urodziny. W Poznaniu, osiemnaste. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że moją szczęśliwą młodość zawdzięczam przede wszystkim rodzicom! Kiedyś wrócę do domu, by usiąść przy pianinie, zagrać na wiolonczeli lub na skrzypcach. Chciałem studiować muzykologię. Kilka miesięcy temu zmieniłem zdanie, zainteresowałem się mechaniką. Dlatego jako ochotnik zgłosiłem się do oddziału niszczycieli czołgów. Ale wiosną 1940 roku wcale nie potrzebowano tam ochotników. Zostałem skierowany do piechoty. W porządku. Najważniejsze, że dostałem się do armii!

Po chwili w przedziale zapanowała cisza. Wszyscy pogrążyliśmy się we własnych myślach. Sprzyjała temu długa podróż. Ale gdy na sztywnych nogach i z obolałymi plecami dotarliśmy do Poznania, byliśmy szczęśliwi, że wreszcie minął czas nostalgicznych refleksji.

Czekała na nas grupa żołnierzy ze 104. batalionu rezerwowego. Kazali

ruszać się zwawo, iść równym krokiem i nie zadawać zbędnych pytań. Tak zaprowadzili nas na miejsce przeznaczenia. Wojskowe baraki przedstawiały niezbyt piękny widok. Sala była urządzona po spartańsku. Znalazłem się w niej razem z czterdziestoma innymi ochotnikami. Ale nie było nam dane tracić zbyt dużo czasu na kontemplację statusu obrońcy ojczyzny - zaczęła się bitwa o przetrwanie, my przeciwko staremu wojsku. Nazywali nas zjadliwie „cudzoziemcami”. Ja, na dodatek, miałem czuprynę koloru brzoskwini i mizerny zarost. A przecież zarost, według opinii niektórych moich kumpli, był oznaką męskości. Zazdrość innych wywoływał fakt, że wystarczało, iż goliłem się raz w tygodniu. To było jeszcze gorsze. Moja sytuacja wydawała się beznadziejna.

Szkolenie było dobrym sposobem na ukojenie nerwów. Często wspominałem liceum, Maximilianeum. Panowała tam żelazna dyscyplina, świętowano państwowe uroczystości, a przede wszystkim kładziono wielki nacisk na ćwiczenia fizyczne. Pamiętam, jak biegaliśmy wokół boiska treningowego lub wykonywaliśmy ćwiczenia w terenie. Teraz zacząłem doceniać wartość intensywnego szkolenia. Szkolne umiejętności przydały mi się kilkakrotnie w niebezpiecznych sytuacjach w Poznaniu.

Po kilku godzinach ćwiczeń smutki szły w zapomnienie. Byliśmy szczerze przekonani, że to co robimy, ma jakiś głębszy sens.

Każdy naród może być dumny, kiedy młode pokolenia oddają wszystko dla swego kraju, tak jak Niemcy w czasie obydwóch wojen. Walczyliśmy dla kraju! Nikt nie ma prawa nam wyrzucać, że nasze ideały okazały się fałszywe i bezużyteczne, tak jak to robiono po wojnie. Miejmy nadzieję, że obecne młode pokolenia unikną rozczarowań, jakie stały się naszym udziałem. Ideałem byłby oczywiście światowy pokój, wówczas żaden kraj nie potrzebowałby już wojska.

Moje marzenia rozwiały się jak dym w trakcie podstawowego szkolenia piechoty w Poznaniu. Wyczerpujące marsze zaczęły się od piętnastu kilometrów dziennie, co tydzień były dłuższe o pięć kilometrów i zakończyły się na pięćdziesięciu kilometrach. Było niepisana zasada, że absolwenci prywatnych szkół nosili karabiny maszynowe. Oczywiście padło na mnie, najmniejszego z grupy. Chciano sprawdzić moją wytrzymałość. Nic też dziwnego, że pewnego dnia wróciłem do jednostki z zapaleniem ścięgien i zaognionymi pęcherzami wielkości małego jajka. Nie byłem w stanie już dłużej wykazywać swojej przydatności dla piechoty.

Zostaliśmy przeniesieni do Darmstadt. Bliskość domu sprawiała, że

życie w koszarach stało się łatwiejsze, a perspektywa cotygodniowych przepustek stanowiła dodatkową motywację.

Przeżyłem się jak młody kogut, gdy dowódca kompanii ogłosił, że poszukują dwunastu ochotników do korpusu wojsk pancernych. Wyglądało na to, że szansę mają tylko mechanicy samochodowi, ale uśmiechałem się miło i dzięki temu dołączyłem do reszty wybrańców. Nasz stary był najprawdopodobniej zadowolony z pozbycia się takiego balastu jak ja. Oczywiście, nie zdawałem sobie sprawy ze skutków tej decyzji. Mój ojciec wyraził zgodę, abym zaciągnął się do każdego rodzaju wojsk, nawet lotnictwa, byleby tylko nie do wojsk pancernych. Prawdopodobnie oczyma wyobraźni widział, jak umieram w strasznych męczarniach. Mimo wszystko wylądowałem w czarnym mundurze pancerniaka! Nigdy nie żałowałem tego kroku i gdybym jeszcze raz miał zostać żołnierzem, to nie ma wątpliwości, że wybrałbym czołgi.

W Vaihingen, w 7. batalionie rezerwowym czołgów, ponownie stałem się rekrutem. Dowódcą mojego czołgu był plutonowy August Dehler, wspaniały człowiek i znakomity żołnierz. Zostałem ładowniczym i dosłownie pękałem z dumy, gdy dostaliśmy trzydziestoosiemiotonowy czechosłowacki czołg. Z armatą kalibru 37 mm i dwoma karabinami maszynowymi czuliśmy się niepokonani. Nasz zachwyty wzbudził pancerny ochronny, lecz nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w zasadzie służył on do ochrony naszego morale, bo był odporny tylko na broń małokalibrową. Ale o tym przekonaliśmy się później.

W Putlos w Holsztynie uczyliśmy się podstaw walk pancernych, tam też po raz pierwszy ćwiczyliśmy ostre strzelanie. W październiku 1940 roku w Vaihingen sformowano 21. Pułk Pancerny. Na krótko przez kampanię w Rosji wszedł on w skład 20. Dywizji Pancерnej, która stacjonowała na poligonie w Ohrdurf. Teraz prowadziliśmy intensywne ćwiczenia we współdziałaniu z piechotą.

W czerwcu 1941 roku otrzymaliśmy podstawowe żelazne racje. Od razu wiedzieliśmy, że coś będzie się działo. Dopóki nie znaleźliśmy się w Prusach Wschodnich, wielu z nas starało się odgadnąć, dokąd nas poślą. Wierzyliśmy, że jesteśmy tu, aby zabezpieczyć granicę, chociaż miejscowi rolnicy szeptali nam to i owo. W czasie szkolenia w Putlos używaliśmy czołgów jeżdżących po dnie rzeki. Taki pojazd potrafił jeździć pod wodą i nagle wyłonić się na brzegu. Byliśmy więc przekonani, że naszym przeciwnikiem będzie Anglia. Ale teraz znajdowaliśmy się w Prusach Wschodnich i niepewność już nas dłużej nie dręczyła.

21 czerwca ruszyliśmy w stronę granicy. Z raportu dowiedzieliśmy się

wreszcie, jaka będzie nasz rola w nadchodzącej kampanii. Staraliśmy się okazać lodowatą obojętność, zachować spokój, chociaż w środku wszystko się gotowało. Nocą napięcie stawało się nie do zniesienia. Serca niemal wyskakiwały nam z piersi, gdy słyszeliśmy, jak eskadry sztukasów z dudnieniem przelatowały nad pozycjami naszej dywizji. Zajmowaliśmy pozycje na skraju lasu, na południe od Kalwarii. Nasz dowódca zamontował w czołgu cywilne radio. Z niego, na pięć minut przed rozpoczęciem ataku, dowiedzieliśmy o rozpoczęciu wojny z Rosją.

Poza kilkoma podoficerami, nikt z nas wcześniej nie uczestniczył w walce. Ale mieliśmy zaufanie do naszych dowódców. Mieli Żelazne Krzyże, Odznaki Szturmowe i okazywali niewzruszony spokój. Wszystkim pozostałym żołądki i pęcherze nie dawały o sobie zapomnieć. Byliśmy przekonani, że Rosjanie lada minuta otworzą ogień. Ale wokół panowała cisza. Wreszcie, ku naszej uldze, otrzymaliśmy rozkaz natarcia.

## 2 PRZEBUDZIŁ SIĘ NAPOLEON

Przełamaliśmy pozycje graniczne na południe od Kalwarii. Gdy po długim, 120-kilometrowym marszu dotarliśmy do Olity, czuliśmy się jak starzy weterani. W trakcie przejazdu mieliśmy zmysły wyostrzone do granic możliwości, jednak byliśmy zadowoleni. Broń trzymaliśmy cały czas w pogotowiu i każdy z nas pilnował swego stanowiska.

Jako ładowniczy miałem najgorszą pozycję. Nie tylko niczego nie widziałem, ale jeszcze na dodatek mój nos nigdy nie mógł powąchać świeżego powietrza. W naszym pudle panował nieznosny upał. Napięcie wzmagając widok każdej stodoły, do której się zbliżyliśmy, na szczęście żadna z nich nie była zajęta przez wroga. Dowódca opisywał nam sytuację, a my słuchaliśmy z wielkim zainteresowaniem. Czekaliśmy niecierpliwie na pierwsze starcie z Rosjanami. Ale nic z tego. Nie byliśmy już szpicą batalionu i na konfrontację z wrogiem mogliśmy liczyć tylko w przypadku, gdyby kontynuowano natarcie i napotkało ono na opór.

Bez kłopotów dotarliśmy do pierwszego celu - lotniska w Olicie. Radośnie ściągaliśmy zakurzone mundury i byliśmy bardzo szczęśliwi, że znaleźliśmy wodę do mycia.

- Nigdy nie przypuszczałem, że wojna przebiega jak w rozkładzie jazdy - powiedział nasz działonowy, który beztrąsko korzystał z możliwości kąpieli.

- To całkiem ładna wojna - zachichotał dowódca czołgu, plutonowy Dehler, wyciągając głowę z wiadra z wodą (czynność tę powtarzał chyba nieskończoną ilość razy). Przed rokiem był we Francji. Budziło to mój szacunek. Ufałem mu, gdy pierwszy raz przystępowaliśmy do działania, mimo że oczywiście odczuwałem, coś w rodzaju strachu.

Broń musieliśmy dosłownie wykopywać z błota. W razie zagrożenia była niezbędna, więc musieliśmy ją bez przerwy czyścić. Gdy już cała broń została wypucowana, zaczęliśmy się rozglądać za czymś na kolację.

Nasz radiooperator popatrzył w górę, potem wskazał na sowieckie lotnisko, na którym w czasie pierwszego nalotu Luftwaffe zniszczono na ziemi wszystkie wrogie samoloty. - Tamci lotnicy rzeczywiście mają już fajrant - powiedział, czyszcząc broń.

Zdjęliśmy mundury i poczuliśmy się swobodni jak ptaki. Nieoczekiwanie przypomniałem sobie napis z albumu, w którym przed laty zbierałem obrazki z paczek po papierosach: „Biwak na terytorium

wroga”.

Nagle usłyszeliśmy świst kul. Gwizdały tuż obok nas.

- Niech to diabli! - wykrzyknął nasz dowódca. Leżał obok mnie w błocie, ale nie przeklinał ostrzału wroga, tylko moją niezdarność. Leżałem na kawałku wojskowego chleba. Nie był to bardzo romantyczny chrzest ogniowy.

Rosjanie kryli się wśród drzew wokół lotniska. Otrząsnęli się z szoku po pierwszym ataku i rozpoczęli ostrzał. Bez namysłu wskoczyliśmy do czołgów. Do pierwszej nocnej akcji ruszyliśmy tak, jakbyśmy nic innego nie robili przez ostatnie lata. Byłem zaskoczony ciszą, która nagle zapadła; wiedzieliśmy, że sytuacja jest śmiertelnie poważna.

Następnego dnia, w czasie bitwy pancерnej w Olicie, czuliśmy się niemal jak starzy wyjadacze. Wspieraliśmy nasze oddziały przekraczające Niemen. Cieszyliśmy się, że nasze czołgi dorównują rosyjskim, ale cele zostały namierzone niedokładnie i trafiliśmy kilku własnych żołnierzy.

Ofensywa przebiegała gładko. Zdobyliśmy trakt Piłsudskiego, który prowadził do samego Wilna. 24 czerwca zdobyliśmy miasto. Byliśmy dumni i jak mi się zdaje odrobinę aroganccy. Wierzyliśmy, że jesteśmy częścią wielkiej sprawy. Nie przejmowaliśmy się potwornym zmęczeniem. Na postojach po prostu padaliśmy na ziemię i spaliliśmy jak zabici.

Mieliśmy mgliste pojęcie o sytuacji. Kto mógł zatrzymać taki atak? Tylko kilku z nas zdawało sobie sprawę z tego, że maszerujemy tym samym szlakiem, którym kiedyś szła armia Bonapartego. Tego samego dnia, o tej samej godzinie, ale 129 lat wcześniej Napoleon wydał rozkaz natarcia żołnierzom przyzwyczajonym do zwycięstw. Czy takie skojarzenie miało sens? A może Hitler chciał udowodnić, że nie popełni tych samych błędów, co mały Korsykanin? W każdym razie, my żołnierze, wierzyliśmy w nasze zdolności i szczęście. Tę dobrze, że nie znaleźliśmy przyszłości. Pragnęliśmy tylko przeć naprzód i szybko zakończyć tę wojnę.

Ludność litewska witała nas entuzjastycznie, jak wyzwolicieli. Byliśmy zszokowani, że jeszcze przed naszym wkroczeniem rabowano i niszczone majątek żydowski. Myśleliśmy, że to mogło zdarzyć się tylko w Niemczech podczas „nocy kryształowej”. Irytowało to nas, byliśmy wojskiem i nie akceptowaliśmy takich poczynań. Ale nie mieliśmy czasu na rozmyślanie. Natarcie trwało bez przerwy.

Na początku lipca byliśmy zajęci umacnianiem zdobytych pozycji i pościgiem wzdłuż Dźwiny za oddziałami wroga. Rozkazy brzmiały:

naprzód, w dzień czy w nocy, atak bez przerwy. Od kierowców żądano rzeczy niemożliwych. Wkrótce nawet ja zasiadłem na fotelu kierowcy, by choć na kilka godzin zastąpić wyczerpanego kolegę.

Nad drogami bez przerwy wisiały tumany kurzu. Żeby móc oddychać, usta i nosy owijaliśmy ubraniami. Odrzuciliśmy blokady z wizjerów, dzięki temu można było cokolwiek zobaczyć. Przesiąknięte potem mundury kleiły się do ciał, a od stóp do głów spowijał nas gęsty pancierz kurzu.

Cała zabawa byłaby do zniesienia przy wystarczającej ilości picia, ale niestety, tego właśnie brakowało. Studnie mogły być zatrute i czerpanie z nich wody było zabronione rozkazem. Mogliśmy tylko wyskakiwać z naszych pudeł i czerpać wodę z kałuż. Odgarnialiśmy pokrywające je glony i zwilżaliśmy spragnione usta. To pozwalało nam powoli zdążać naprzód.

Nacieraliśmy w kierunku Mińska. Braliśmy udział w walkach na północ od miasta. Pierwsze wielkie okrążenie miało miejsce przy przekraczaniu Berezyny, stamtąd ruszyliśmy dalej na Witebsk. Tempo natarcia nie spadało ani na chwilę. Nawet zaopatrzenie nie mogło nas dogonić. Mimo wysiłków nie nadążała także piechota. Nikt zupełnie nie troszczył się o tereny na skrzydłach natarcia.

Na szczęście partyzanci, których spotkaliśmy później, na razie się ukrywali. Rozpaczliwie daleko za nami pozostały piekarnie polowe. Wojskowy chleb stał się rarytasem. Było tylko mięso z drobiu, które piekliśmy na saperkach, ale monotonia jadłospisu zaczęła dawać się we znaki. Ślina napływała do ust na wspomnienie chleba i ziemniaków. Dopingowały nas do boju płynące z radia dźwięki trąbek, wzywające do czynu. Fanfary chwały. To było najważniejsze. Żołnierze w natarciu nie przejmują się drobiazgami.

Ósmego lipca po raz pierwszy oberwaliśmy i musiałem ewakuować się z czołgu.

Byliśmy teraz na czele natarcia. Dopadli nas na postoju przy skraju lasu, po drugiej stronie rzeki. To zdarzyło się pod Ullą, całkowicie spaloną wioską.

Tuż obok wysadzonego mostu na Dźwinie nasi saperzy zbudowali most pontonowy. Przebijaliśmy się przez pozycje wroga wzdłuż rzeki. Uderzenie, zgrzyt metalu, krzyk towarzyszy i to wszystko! Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Spory kawałek płyty pancерnej wbił się w siedzenie radiooperatora. Nikt nie musiał nam mówić, że mamy uciekać. Biegłem, rękami osłaniając twarz. Dopiero gdy już czołgałem się w



przydrożnym rowie, zdałem sobie sprawę, że też oberwałem. Nasz radiooperator stracił lewe ramię. Przeklinaliśmy kruchą i mało elastyczną czeską stal, która tak łatwo poddała się radzieckiej armacie przeciwpancernej kalibru 47 mm. Odłamki naszego pancerza i śruby mocujące, fruujące w powietrzu jak szrapnele, były dużo groźniejsze niż samo uderzenie sowieckiego pocisku.

Wkrótce potem moje powybijane zęby wylądowały w śmieciach w najbliższym punkcie pierwszej pomocy. Miałem powbijane w twarz odłamki, które tkwiły w niej aż do świtu. Dopiero wtedy udzielono mi pomocy - co zresztą było do przewidzenia.

Przygodnym transportem wróciłem na linię frontu. Płonące wsie wskazywały kierunek podróży. Tuż pod Witebskiem natknąłem się na swoją kompanię. Łuna ognia rozciągała się nad miastem. Następnego dnia zdobyliśmy je i wtedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że to dopiero początek wojny.

Natarcie, obrona, pokonanie oporu, pościg, bez przerwy jedno zmieniało się w drugie. Wydarzenia tych pierwszych trzech tygodni opisałem w pamiętniku tylko w kilku liniijkach:

Od 11 do 16 lipca. Natarcie przez Demidowo i Duchowszczyne w kierunku Jarzewa (szosa Smoleńsk - Moskwa), aby okrążyć siły wroga w rejonie Witebsk - Smoleńsk. Walki przy przekraczaniu Dniepru w Racynie.

Od 17 do 24 lipca. Walki obronne w Jarzewie i nad rzeką Wop. Walki obronne na pozycji Wop - Wotrja. Walki w celu wyeliminowania okrążonego przeciwnika w kotle smoleńskim.

25 i 26 lipca. Pościg wzdłuż górnej Dźwiny.

Od 27 lipca do 4 sierpnia. Bitwa obronna w Jelnej i Smoleńsku. Walki obronne nad Wopem i nad Biełoj.

Za tymi skąpymi informacjami kryją się: wysiłek, determinacja, bezwzględność i okrucieństwo, które mogą pojąć tylko ci, którzy tam byli. Wszystkim innym, wszelkie opisy mogą wydać się wytworem chorej wyobraźni. Nie zagłębiałem się w szczegóły operacji, bo z pozycji ładowniczego niewiele było widać. Wiem tylko, że każdy z nas starał się nie upadać na duchu i dzielnie znosić wszelkie przeciwności. Byliśmy

przekonani, że tylko dając z siebie wszystko, możemy odnieść sukces.

Czasami sprowadzano nas na ziemię, szczególnie gdy niektórzy postępowali nieodpowiedzialnie. Po jednym z dni bardzo gorących walk, kiedy dosłownie konaliśmy z pragnienia, dowiedzieliśmy się, że dowódca batalionu zużył do kąpieli wodę przeznaczoną na kawę. Byliśmy wściekli. To trudne do uwierzenia zachowanie naszego zwierzchnika nie dawało się z niczym porównać. Ale obraz naszego dowódcy w kąpieli stał się okazją do żartów i szorstkiego żołnierskiego humoru. Wspominaliśmy to zdarzenie tylko pod tym kątem.

### 3 PIERWSZE T-34

Następne wydarzenia spadły na nas jak grom z jasnego nieba. Rosjanie po raz pierwszy pokazali swój T-34. Zaskoczenie było całkowite. Jak to możliwe, że nikt u „góry” nie wiedział o istnieniu tak nadzwyczajnego czołgu?

T-34 miał dobry pancerz, idealne kształty i wspinałą armatę z długą lufą kalibru 76,2 mm, która aż do końca wojny była groźna dla każdego niemieckiego czołgu. Czym mogliśmy walczyć z tyłoma gigantami, które przeciw nam skierowano? Mogliśmy tylko straszyć naszymi armatkami. To Rosjanie rozdawali karty. W tym czasie naszą najlepszą armatą przeciwpancerną była PAK kalibru 37 mm. Nie przebijała pancerza T-34, ale jeśli miało się szczęście, to można było trafić w pierścień wieży, skutecznie ją klinując. Przy większej dozie szczęścia taki czołg musiał wycofać się z walki. Szanse na to były minimalne, a nasza sytuacja nie do pozazdroszczenia!

Jedynym rozwiązaniem była armata przeciwlotnicza kalibru 88 mm. Była groźna nawet dla nowego rosyjskiego czołgu. Jak dotąd, traktowaliśmy protekcyjnie oddziały obrony przeciwlotniczej, lecz teraz zaczęliśmy odnosić się do nich z najwyższym szacunkiem.

Gdy tylko Iwan dostrzegł nasze kłopotliwe położenie, po raz pierwszy zaczął atakować z tym ich „Urra, Urra!”. Myśleliśmy, że to nasza piechota dodaje sobie otuchy, wołając „Hurra!”. Wkrótce przekonaliśmy się, że jest inaczej. Mimo to byliśmy święcie przekonani, że Moskwa jest już prawie w naszych rękach i mieliśmy nadzieję na szybki koniec kampanii.

Dlatego z mieszanymi uczuciami odebrałem 4 sierpnia 1941 rozkaz wymarszu do Erlangen, gdzie stacjonował 25. batalion zapasowy czołgów. Trzy dni wcześniej dostałem podoficerskie dystynkcje.

W Erlangen testowaliśmy kandydatów na kierowców ciężarówek i czołgów. Wkrótce zostałem skierowany do Wünsdorf, niedaleko Berlina, na kurs numer 8 dla kandydatów na oficerów.

Drugiego lutego 1942 poinformowano mnie, że nie podołałem wymogom kursu. Podobnie jak Gert Meyer i Klaus Waldenmeier z mojego plutonu. Niezbyt się tym jakoś przejąłem i zadałem jedno pytanie, które z całą pewnością nie powinno paść. Na tablicy napisałem: „Czy oficerowie rezerwy to też ludzie?”. Mój zwierzchnik nie potrafił udzielić odpowiedzi na pytanie i było to całkiem zabawne. Po zakończeniu kursu wciąż

byliśmy podoficerami lub kandydatami na oficerów. Prawdę mówiąc, zbyt mało się tym nie martwiliśmy.

Świeżo upieczony porucznik musiał odbyć staż w oddziale rezerwowym, a my mogliśmy bezzwłocznie powrócić do naszego macierzystego pułku. Żegnano nas ze słowami otuchy. Nasz oficer taktyczny, człowiek bardzo odpowiedzialny i traktujący serio swoją funkcję, dla którego byliśmy kompletnymi wariatami, wyraził na odchodne przekonanie, że na froncie szybko zrealizujemy swój cel. Tam znacznie łatwiej można zasłużyć na szlify oficerskie. Chcieliśmy mu to udowodnić.

Wspominam go do dziś. Gratulowałem po cichu Bundeswehrze, gdy dowiedziałem się, że podpułkownik Philipp został dowódcą pułku szkoleniowego w Andernach.

## 4 Z POWROTEM W STAREJ BANDZIE

21. Pułk odnaleźliśmy na pozycjach zimowych w Gżatsku. Był potwornie zdziesiątkowany. Czołgi znajdowały się na wyposażeniu tylko jednej kompanii. Wszystkie inne pojazdy zostały zniszczone w walkach podczas odwrotu haniebną zimą z 1941 na 1942.

- Czekaliśmy na was - usłyszeliśmy od starych towarzyszy. - Pokażcie, czego was nauczyli! - Uśmiechali się do nas złośliwie, a my czuliśmy, że coś jest na rzeczy. Nasz pododdział przeznaczono do odśnieżania.

Naszym zadaniem było oczyszczanie drogi dla czołgów, aby w trakcie walk nie utknęły w zaspach. Na białym śniegu, w czarnych mundurach, przed czołgami - znakomity cel dla wroga! Jakby na przekór, zupełnie nic się nie stało. I tak byliśmy w lepszej sytuacji niż nasi koledzy, którzy w pancerniackich mundurach służyli w piechocie.

Z zazdrością obserwowaliśmy Rosjan. W przeciwieństwie do nas byli doskonale wyposażeni. Gdy wreszcie z zaplecza frontu dotarło do nas kilka zapasowych czołgów, byliśmy naprawdę szczęśliwi. Cała 10. kompania została zaopatrzona w pojazdy, a ja mogłem wreszcie objąć dowództwo plutonu.

Od marca 1942 roku aż do końca czerwca broniliśmy naszych pozycji wokół Gżatska, na wschód od Wiaźmy. Potem przerzucono nas w rejon Syczewki, gdzie dołączyliśmy do ofensywy wyprowadzanej w kierunku Biełoj.

Podczas tych walk otrzymałem awans, lecz już kilka dni później wydarzyło się coś, w wyniku czego mogłem go stracić.

Mój pluton zajął pozycje wzdłuż leśnego szlaku.

- Ładna okolica - powiedział mój kierowca i trzeba przyznać, że miał rację, chociaż i z przodu i z tyłu mieliśmy mocno ograniczoną widoczność, wszędzie tylko drzewa i krzaki. Po drugiej stronie szlaku rozciągała się „ziemia niczyja”. Obok nas stała armata przeciwpancerna, przy której kręciło się kilku piechurów z obsługi.

Kierowcy i ładowniczy z naszego plutonu poszli poszukać czegoś do jedzenia. Myślałem tylko o żarciu, gdy niespodziewanie rozpoczął się atak Rosjan. Połowa z naszych załóg gdzieś przepadła. Żaden czołg nie był gotowy do walki. Wpadłem w panikę, wślizgnąłem się na siedzenie kierowcy i wycofałem pojazd do lasu. Pozostałe czołgi z plutonu podążyły za mną, w przekonaniu, że zawiodła łączność radiowa. W takich

sytuacjach rozkazy są jasne: robić dokładnie to, co dowódca plutonu.

Po kilkuset metrach zdałem sobie sprawę z całego bajzlu, jakiego narobiłem. Obsada armaty i garstka piechurów - wszyscy z pewnością byli przerażeni, kiedy zobaczyli, że zmykamy. Szybko zawróciłem na poprzednie pozycje. Dzielnych chłopaków, którzy pozostali na swoich stanowiskach w wykopanych lisich norach, nie ogarnęła panika. Odparli atak. Potem krzyczeli do nas:

- Patrzcie, banda bohaterów!

A dowódca obsługi armaty dodał:

- Jeśli tylko to potraficie, to lepiej się nie pojawiajcie na linii frontu. - Mogłem tylko zapewniać, że nic takiego więcej się nie zdarzy.

To doświadczenie głęboko zapadło mi w pamięć. Jakże łatwo można podjąć pochopną decyzję i jak dramatyczne mogą być jej skutki. Oczywiście, powinienem był pozostać na miejscu, nawet jeśli nie byliśmy gotowi do walki. Zdałem sobie z tego sprawę prawie natychmiast, lecz już było za późno, popełniłem błąd w momencie, gdy ruszyliśmy z miejsca.

To była cholernie dobra lekcja. Zapamiętałem ją na zawsze, pamiętałem także wtedy, gdy musiałem ocenić podwładnych. Szczęśliwie dane mi było zmasać tę plamę jeszcze przed przeniesieniem w rejon na północ od Orła. Dzięki temu ze spokojnym sumieniem, mogłem czekać na kolejny awans.

Ale teraz otrzymałem specjalne zadanie w rejonie przyszłej operacji. Przez krótki okres byłem dowódcą plutonu saperów przy sztabie kompanii.

## 5 KATASTROFA

Mieszkaliśmy w schronie, daleko od linii frontu. Pewnego poranka usłyszałem głos naszego dowódcy:

- Hej, Carius, popatrz - chyba śnię. Jak to możliwe?

Tuż obok naszych kwater maszerowała świeżo uzbrojona dywizja Luftwaffe. Kierowali się na front. Aż mi dech zaparło - dosłownie jak w bajce! Wszystko nowe - od chlebaków, aż po długolufowe armaty przeciwpancerne. Zobaczyłem broń, o której krążyły legendy: karabiny maszynowe MG-42, armaty przeciwpancerne kalibru 75 mm, i inne cacka. Te tłumy wojska zmierzające w kierunku linii frontu wydawały się gwarancją spokojnej zimy na naszym odcinku. Mieliśmy nadzieję, że będziemy w stanie skompletować naszą jednostkę i wyposażyć ją w podobny sprzęt.

Nasz dowódca miał wielką ochotę przyjrzeć się z bliska tym wszystkim cudom. Ruszyliśmy na rozpoznanie w stronę linii frontu.

Zobaczyliśmy ich podoficerów w eleganckich czapkach z daszkami, a żołnierzy beztroskich i lekko znudzonych. Czuliśmy się jak na poligonie. Całkowity spokój. Nie mogliśmy nawet przyjrzeć się karabinom MG-42, bo były spakowane. Nasi nowi koledzy niechętnie prezentowali nam tę nową, nieznaną, cudowną broń. Ogarnęły nas złe przecucia. Co będzie, jeśli nagle zaatakuje Iwan? Przecież nim zdążą przygotować broń, Rosjanie zajmą ich pozycje.

Niestety, już niedługo okazało się, że te obawy nie były bezpodstawne. Pewnego ranka obudził nas przytłumiony huk, rozlegający się od północnego wschodu. Nastawialiśmy uszu i już po chwili nic nie mogło nas zatrzymać w ziemiankach. Na zewnątrz lodowaty śnieg, który niosła zamieć, zatykał dech w piersiach i niemal unosił nas w powietrze. Dla Rosjan to była idealna pogoda do ataku. Nie czekając na alarm, poderwaliśmy całą kompanię na nogi. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że Rosjanie przełamali naszą linię obrony.

Dowódca dywizji Luftwaffe był zrozpaczony. Nie miał pojęcia, gdzie są jego oddziały. Rosyjskie czołgi przetoczyły się po pozycjach dział przeciwpancernych, nim te zdołały oddać choćby jeden strzał. Iwan zdobył wiele nowego ekwipunku, a dywizję rozgonił na cztery wiatry. Na szczęście, po początkowym sukcesie, chyba z obawy przed pułapką, nacierający Rosjanie się zatrzymali. Dzięki temu nasz pułk zdołał załatać

wyłam w linii frontu. Kompletne szaleństwo!

Pewnego razu w jednej z wiosek pojawił się pododdział piechoty, a te patałachy z Luftwaffe zaczęły im machać na powitanie. Chwilę potem przybysze otworzyli niszczycielski ogień. Rosjanie założyli zdobyczne ubrania maskujące.

To właśnie dlatego otrzymaliśmy rozkaz strzelania do każdego w mundurze Luftwaffe. Niestety, kilku naszych ludzi z odizolowanych grup bojowych stało się ofiarami tego nieszczęsnego rozkazu. Słyszając charakterystyczny stukot zamka MG-42, mogliśmy zakładać się o życie, że to strzelali Rosjanie. Nadal bowiem nie mieliśmy tego cuda, a nasi piechurzy musieli zadowalać się zdobyczną rosyjską bronią.

Ogarnęła nas furia. Najlepszą broń, jaką mieliśmy, wsadzili w ręce kompletnie niedoświadczonych i źle wyszkolonych żołnierzy. Na dodatek od razu posłali ich na front.

Ludzi i sprzęt można by było rozsądnie wykorzystać w trakcie najbliższych tygodni podczas ofensywy i walk obronnych w rejonie na południe od Biełoj, Kozielska i Szyniszcza!

Byłem świeżo upieczonym podporucznikiem. W plutonie saperów przeżyłem paskudną akcję. Mieliśmy oczyścić z min pole przed czołgami. Po tej operacji miałem poranione całe ręce. Właśnie wtedy zacząłem doceniać pracę naszych oddziałów inżynieryjnych.

Byłem szczęśliwy, gdy przydzielono mnie z powrotem do naszej starej 1. kompanii. Znowu spotkałem mojego dowódcę Augusta Dehlera. Awansował do stopnia feldwebela (sierżanta) i kolejny raz jeździliśmy w tym samym plutonie. Uczestniczyliśmy w operacjach, w których nasz batalion poniósł największe straty od początku kampanii.

Rosjanie wprowadzili do walki mnóstwo karabinów przeciwpancernych (rusznic), które z łatwością przebijały pancerze naszych czołgów. Straty były ogromne. Wielu kolegów odniosło w czołgach śmiertelne obrażenia, ewakuowano wielu ciężko rannych.

W nocnych starciach byliśmy kompletnie bezradni. Rosjanie pozwalali nam podejść bardzo blisko. Nim ich rozpoznaliśmy, było nieraz za późno na obronę. W nocy nie mogliśmy polegać na celownikach naszych czołgów.

Byliśmy bezsilni. Na szczęście z zaplecza frontu zaczęły nadchodzić T-IV z długolufowymi armatami kalibru 75 mm, oraz T-III ze wzmocnionym pancerzem i długolufowymi armatami kalibru 50 mm. Pojawiło się światelko w tunelu.

Powróciła nadzieja. Z entuzjazmem ruszyliśmy do ataku, niestety



nieudanego, na miejscowości Płuskaja i Bielajewa.

Nadszedł styczeń 1943 roku. Poprosiłem o przepustkę, chciałem zdążyć, nim je w ogóle zlikwidują.

Na dzień przed moim wyjazdem zdarzył się tragiczny wypadek. Czołg Augusta Dehlera znajdował się poza „boksem”, czyli głębokim wykopem, chroniącym załogę przed przeraźliwym mrozem. Dehler, który miał na nogach filcowe buty, poślizgnął się na gładkiej, pochyłej rampie i wpadł z przodu pod lewą gąsienicę pojazdu. Żelazna taśma wciągnęła go, a kierowca nawet tego nie zauważył. Kiedy inni członkowie załogi zorientowali się, co się dzieje, zaczęli krzyżeć. Kierowca natychmiast zahamował, ale było za późno, gąsienica zmiądzzyła Dehlerowi nogi, aż po uda. Zginął na miejscu. Straciłem jednego z najlepszych przyjaciół.

Gotowy do wyjazdu myślami byłem już w kraju i w domu moich rodziców. Nic z tego. Nadszedł telegram, że zostałem przeniesiony do 500. batalionu zapasowego. Rozczarowany, próbowałem zgadnąć, dlaczego nie tylko nie mogę wyjechać, ale nawet wrócić do mojej kompanii.

Dotarłem do Putlos z mieszanymi uczuciami, niemal pewien, że otrzymam skierowanie na kolejny kurs artyleryjski. Wolałem powrót na front, do mojej starej bandy, ale gdy tylko zameldowałem się w sztabie, odkryłem, że byli tu także doświadczeni oficerowie i towarzysze z frontu wschodniego. Mieliśmy być szkoleni na nowych czołgach - Tygrysach. Informacja rozniosła się lotem błyskawicy, chociaż nikt nic konkretnego nie wiedział. Prototypy, które widzieliśmy, specjalnie nam się nie podobały.

Szkolenie miał poprowadzić kapitan von Lüttichau. Znałem go już z frontu. Miałem do niego wielki żal, kiedy wyznaczył mi funkcję gońca w klubie oficerskim. Byłem najmłodszym oficerem i niczego nie mogłem zmienić - ale niczego! Ta praca przyniosła mi wiele korzyści. To był fart, jakiego już później nie miałem.

Stacjonowaliśmy w Paderborn, siedzibie 500. batalionu szkolenia rezerw, który później odpowiadał za przeszkolenie wszystkich załóg Tygrysów.

W klubie oficerskim natknąłem się na kapitana Schobera. Jego kompania też została tu skierowana. Von Lüttichau dał mi dokładne rozkazy. Miałem zaspokoić każde życzenie Schobera, dotyczące alkoholu. Obaj kapitanowie byli przyjaciółmi, a Schober lubił sobie od czasu do czasu coś chlapanąć.

Niemal codziennie zjawiał się u mnie, musiałem więc kontrolować

nasze szczupłe zapasy. Tak właśnie się poznaliśmy. Po pewnym czasie nabraliśmy do siebie szacunku. Miałem wrażenie, że mnie polubił i to nie tylko z powodu przydziałowego francuskiego wermutu, za którym przepadał.

Spędzałem dużo czasu z nim i z jego ludźmi. Któregoś dnia zapytał:

- Carius, gdyby to było możliwe, chciałbyś przejść do mojej kompanii?

- Tak jest, natychmiast!

Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu. Jak na razie organizowano tylko dwie kompanie. Z całej grupy oficerów do nowych pododdziałów potrzeba było najwyżej sześciu. Mogłem zostać jednym z nich! Z mojej rekomendacji Schober przyjął porucznika von Schillera jako oficera operacyjnego. Zналиśmy się jeszcze z 21. Pułku.

Przeniosłem się do nowej kompanii. Już nie byłem gościem w kasynie oficerskim. Schober spożywał spore ilości alkoholu. Można by pomyśleć, że zaopatrywał w spirytualia całą swoją kompanię.

Kiedyś zażądano kilku butelek na przyjęcie dla „zwierzchności”. Musiałem z „szacunkiem zameldować”, że nie ma już nawet kropli. Mój następca nie musiał robić żadnego remanentu! A przeniesienie okazało się bardzo łatwe!

Teraz mogłem całkowicie poświęcić się kompanii. Kiedy Schober przedstawił mnie swoim ludziom, momentalnie wróciło wspomnienie tego, co mówili koledzy w pociągu, wówczas gdy powołano nas do wojska. Nie zapomnę spojrzenia, jakim obrzucili mnie szef kompanii Rieger i starszy sierżant Delzeit. Po jakimś czasie powiedzieli, jakie wywarłem na nich wrażenie. Można to sprowadzić do pytania:

- Chłopie, skąd stary wyciągnął tego wypierdka?

Naturalnie, nowemu przybyszowi trudno zdobyć zaufanie kompanii bojowej. Ale wszystko poszło dobrze. Jeszcze przed odjazdem do Francji, gdzie mieliśmy dostać nasze Tygrysy, bardzo zżyłem się z nowymi kolegami. Miałem wrażenie, jakbym znalazł ich od dawna.

Niestety, kapitan Schober otrzymał rozkaz przejęcia dowództwa batalionu. Jego mowa pożegnalna była dla mnie inspiracją przez bardzo długi czas. Poprosił też swoich ludzi, by zaufali mi tak, jak jemu ufali.

Poświęciłem się całkowicie nowym obowiązkom. Po kilku miesiącach poprzenoszono nas do różnych kompanii w batalionie. Szkoliliśmy następców. W czasie całego szkolenia mieliśmy tylko kilka drobnych technicznych wpadek.

Gdy kapitan Radtke przejmował kompanię, nie miałem nawet cienia nadziei, że zostanę dowódcą. Kapitan Oehme przejął 3. kompanię. 1.

kompania została wysłana jesienią 1942 roku jako pododdział eksperymentalny w północny rejon frontu wschodniego. Po wdrożeniu do służby spodziewaliśmy się, że ruszymy z nią w rejon Leningradu.

## 6 W BRETRANII

Zostaliśmy skierowani do Ploermel w Bretanii. Zakwaterowano nas w opuszczonym, zaniedbanym zamku. Dowódca i oficer funkcyjny zamieszkali w mieście, ja postanowiłem zostać z żołnierzami. Uważałem, że powinniśmy lepiej się poznać, jeśli mamy razem walczyć. Chłopcy nigdy mi tego nie zapomnieli. Bez narzekania przyjąłem niedogodności, które musiałem znosić, mieszkając w zatęchłej izbie zamku.

Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, zaczęła się zabawa. Musieliśmy doprowadzić do porządku stare stajnie, bo nie nadawały się do zamieszkania. Nigdzie nie było podłóg. Chciałem przynajmniej zdobyć parę bel siana, aby moi chłopcy mieli na czym spać. Potrzebowałem zaświadczenia z lokalnego dowództwa. Bez tego nie było o czym gadać z miejscowymi gospodarzami. Musiałem pojechać do pobliskiego miasteczka, ale w dowództwie nikogo już nie zastałem.

Jednemu z gospodarzy osobiście wypełniłem zaświadczenie uprawniające do wniesienia na mnie skargi. Wkrótce dostałem reprimendę z batalionu. Prawdopodobnie trafiłbym pod sąd za rabunek albo coś podobnego. Ale na szczęście dla mnie nie było na to czasu, wkrótce mieliśmy ruszyć na front wschodni. Po wojnie często wracałem myślami do tamtych wydarzeń. Porównywałem nasze ówczesne zachowanie z tym, jak beztrako francuskie wojska okupacyjne załatwiały swoje potrzeby naszym kosztem.

W tamtym okresie popełniłem zbrodnię wojenną, czyli egzekucję bez procesu i sądu. Strzelaliśmy na skraju miasta, a kogut sąsiada wbiegł w zasięg ognia. Jestem przekonany, że wtedy obowiązywało zarządzenie, iż w czasie zajęć strzeleckich wszystkie zwierzęta w okolicy musiały być zamknięte w stajniach lub zagrodach. Właśnie wycelowałem, gdy między mnie i cel wbiegło wspomniane ptaszysko.

Dowódca coś do mnie krzyknął, ale było za późno. Nic nie mogłem zrobić. Wziąłem na celownik koguta, co wywołało uciech zgromadzonych. Ptak zrobił w powietrzu kilka salt, a potem okazał się, że był ledwo jadalny. Dowódca kompanii właśnie mnie sztorcował, gdy podbiegł do nas zrozpaczony właściciel poległego w chwał koguta. Nic, nawet pieniądze, nie zdołało go udobruchać. Twierdzi że nigdzie jak świat szeroki nie ma drugiego takiego ptaszyska.

Czerwone Wino było istotnym elementem naszego pobytu we Francji.

Szczególnie umiłowali je sobie Austriacy. Nieomal każdego wieczoru musiałem wstawać z łóżka i zaganiać do spania moich rozbawionych podwładnych.

Dowódcy kwater, tak jak większość tam obecnych, którzy służyli jako kierowcy, kanonierzy i dowódcy czołgów, byli podoficerami i nie byli w stanie wymusić na swych kolegach gaszenia światła. Niejednokrotnie musiałem osobiście ogłaszać ciszę nocną. Zazwyczaj nie obywało się jednak bez szklaneczki wina i wysłuchania kilku wiedeńskich piosenek.

Ceremoniału wojskowego nie traktowaliśmy śmiertelnie poważnie. Oczywiście, gdy pojawił się przełożony, odnosiliśmy się do niego jak należy, zgodnie z regulaminem. Nie chcieliśmy rzucać się w oczy. Byłem szczęśliwy, że możemy przeżyć kilka beztrudnych dni, nim ponownie zostaniemy wysłani na front.

Wkrótce poznaliśmy szczegóły transportu, którym miały przyjechać z Niemiec pierwsze Tygrysy. W związku z tym należało załatwić wiele spraw. Jedną z nich przypadła mnie.

W czasie podróży miałem zwykle po kilka dni przerwy. Zatrzymywałem się w Paryżu. Bardzo interesowało mnie miasto i jego mieszkańcy, chociaż trudno było nawiązać z nimi rozmowę. Podziwiałem jednak postawę Francuzów. Przegrali wojnę, ale nie powiedzieli złego słowa na swoich żołnierzy. Powstrzymywali się również o krytycznych komentarzy na nasz temat. Obrzucanie się błotem p przegranej wojnie było charakterystyczne tylko dla Niemców.

Nasze oddziały w Paryżu tak się zachowywały, jakby wojna już się skończyła naszym zwycięstwem. To było dla mnie niezrozumiałe. Nie mogłem przecież zapomnieć, że za parę tygodni znowu znajdziemy się w okrutnej Rosji.

## 7 PORTRET TYGRYSA

Oczywiście, podczas podróży nasze myśli krążyły wokół nowego czołgu. Jak ten Tygrys się sprawdzi? Miał kształty bardzo dalekie od tego, co nazywamy pięknem. Był pokraczny. Wszystkie powierzchnie płaskie i poziome. Tylko pancerz czołowy był ustawiony ukośnie. Grubość pancerza miała rekompensować brak obłych kształtów. Jak na ironię, tuż przed wojną dostarczyliśmy Rosjanom doskonale prasy hydrauliczne, dzięki którym stworzyli wspaniałe T-34 i T-43 o opływowych kształtach. Nasi specjaliści od uzbrojenia nie uważali tego typu problemów za istotne. Według nich, ukośny pancerz nie był nam potrzebny. W rezultacie mieliśmy płyty pancerne płaskie jak patelnie.

Nawet jeśli nasz Tygrys nie grzeszył urodą, to jego solidność wzbudzała podziw. Prowadziło się go jak samochód. Dwoma palcami można było przenieść 700 koni mechanicznych na 60 ton stali i podróżować z prędkością 45 km/h drogą albo 20 km/h w jeździe terenowej. Jednak z uwagi na ciężar wyposażenia po drogach jeździliśmy z prędkością 20 km/h, a w terenie otwartym odpowiednio wolniej.

Za sprawność pojazdu odpowiadał kierowca. Musiał być pierwszorzędnym fachowcem, który tak naprawdę pracował głową, nie „siedzeniem”. Jeśli był sumienny, Tygrys nigdy go nie zawiódł.

Dobry kierowca czołgu - a tylko takich kierowano do Tygrysów - musiał być też prawdziwym rajdowcem. I zawsze, nim jeszcze dowódca wydał komendę, ustawiać pojazd pancerzem czołowym w stronę wroga. Pozwalało to dowódcy czołgu skoncentrować się wyłącznie na toczącej się walce. W konsekwencji dowódcy plutonów i kompanii mogli odpowiednio dowodzić całością operacji.

Kierowca czołgu musiał być też twardzielem. Jako jedyny z załogi nie brał udziału w walce, ale tylko on wszystko widział. Obserwując teren, pomagał towarzyszom, którzy znajdowali się w wieży, a oni musieli mieć do niego całkowite zaufanie.

Właśnie ze względu na te cechy dowódcami czołgów zostawali nie tylko kanonierzy. Równie często funkcję tę obejmowali kierowcy. Na przykład Kerscher i Linck, dwaj świetni dowódcy, wcześniej byli kierowcami. Mój „stary i niezawodny” Karl Baresch zajął moje miejsce natychmiast po tym, gdy w 1944 roku zostałem ranny.

Czytelnik musi mi pozwolić na przedstawienie pewnych informacji.

Chcę pokazać, jak wiele prac trzeba było wykonać już po zakończeniu każdej operacji. Przygotowując pojazd do akcji, mieliśmy wszyscy, a szczególnie kierowcy, wiele obowiązków do wypełnienia.

Zbiorniki paliwa miały pojemność 530 litrów, tzn. dwadzieścia siedem kanistrów lub trzy beczki. Dzięki tej ilości paliwa można było w jeździe terenowej pokonać około 80 kilometrów. Bardzo ważna była właściwa konserwacja akumulatorów. Musiały być cały czas doładowywane, szczególnie w zimie, aby dało się odpalić silnik po dłuższej przerwie, gdy rzadko ich używano. Bez doładowania starter nie uruchomiłby maszyny. Jeśliby do tego doszło, to dwóch ludzi z załogi musiało wyjść na zewnątrz i poruszyć korbą inercyjny starter. Identycznie jak się to robiło w starych samolotach, tyle tylko, z tyłu pojazdu. Nie potrzeba zbytnej fantazji, by zdać sobie sprawę co to znaczyło. Przecież naokoło szalała bitwa, a wróg strzelał a wszystkich stron. Niestety, bardzo często okazywało się, że baterie są zbyt słabe. Wkrótce znaleźliśmy znakomitą metodę, by nie wychodząc z czołgu, poradzić sobie z tym problemem.

Wzywano sąsiedni pojazd, a ten odwróciwszy lufę, przodem zbliżał się do tyłu naszego czołgu. Popychano unieruchomiony czołg a silniki prawie zawsze zapalały po kilku metrach takiej jazdy.

Radiostacja, oświetlenie wewnętrzne i zewnętrzne, wentylator oraz elektryczny zapłon - działanie tych wszystkich urządzeń za leżało od akumulatorów. To chyba dla wszystkich oczywiste, że utrzymanie ich w sprawności było ogromnie ważne.

Chłodnica o pojemności 120 litrów oraz cztery wentylatory chłodziły silnik. Krata na pokrywie chłodnicy na tylnej płycie była niezbędna, aby wydmuchiwać gorące powietrze. Bardzo często pozornie nieszkodliwe pociski i szrapnele niszczyły chłodnicę, co bywało przyczyną unieruchomienia pojazdu.

Silnik potrzebował 28 litrów oleju, układ przekazywania napędu - 30, przekładnie redukcyjne - 12, a system obrotu wieży - 5, wentylacja kolejnych 7. Para wielkich filtrów powietrza wychwytywała pył. Przejechanie siedmiu kilometrów wymagało przefiltrowania 170 000 litrów powietrza. Zebrane zanieczyszczenia mogłyby pokryć powierzchnię czterech akrów. To robi wrażenie. Taka ilość powietrza wystarcza człowiekowi na dziesięć dni oddychania, nawet w najbardziej zapyłonym miejscu. To jasne, że filtry powietrza trzeba było czyścić przed każdym wyjazdem. Jeśli czyściło się je regularnie, to silnik mógł działać bez remontu nawet do 5000 przejechanych kilometrów.

Dwa gaźniki zasilają silnik i kontrolowały go przez dwa rozrządy.

Delikatne gaźniki były wielką słabością niemieckich silników benzynowych, czego nie można powiedzieć o niezawodnych rosyjskich motorach napędzanych ropą. Jednak duża wytrzymałość naszych silników dawała nam sporą przewagę nad Rosjanami.

Półautomatyczny układ napędowy miał osiem biegów do jazdy w przód i cztery biegi wsteczne. Mechanizm skrzyni umożliwiał przekazywanie mocy z jednej gąsienicy na drugą. Gdy czołg obracał się w miejscu, jedna z gąsienic skręcała do przodu, a druga w tył. Moc była kontrolowana przez układ hamulców kierunkowych taki, jaki miały Pantera i Panzer IV. Kierowca Tygrysa siadał i mógł 63-tonowym pojazdem kierować z równą łatwością, jak samochodem.

Częściowo niezależne zawieszenie miało osiem osi z każdej strony. Na każdej osi były trzy koła jezdne, które poruszały się po gąsienicy i jednocześnie ją naciągały. Lżejsze typy niemieckich czołgów miały obydwie typy kół - jezdne i rolki naciągające gąsienice. Wyobraźcie sobie, ile trzeba było zdjąć kół jezdnych, aby wymienić choć jedno z kół wewnętrznych!

Prawie dwudziestodwulitrowy silnik najlepiej pracował przy 2600\_ obrotach na minutę. Przy 3000 szybko się przegrzewał. Aby załadować Tygrysa na platformę kolejową, trzeba było zmienić gąsienice na węższe, drogowe. Wystające szerokie gąsienice do jazdy terenowej mogły zahaczać o trakcję kolejową i ją zniszczyć. Do przewozu tych kolosów skonstruowano specjalne sześciosiowe wózki kolejowe o nośności osiemdziesięciu ton. Wózki dowoziły wszystkie bataliony w rejon działań bojowych. Pomiedzy dwoma platformami z załadowanymi Tygrysami umieszczano cztery puste. W ten sposób unikano przekroczenia nośności mostów kolejowych.

Wieżyczka czołgu obsługiwana była przez hydrauliczną skrzynię biegów. Stopa działonowa spoczywała na pochylnym pedale. Naciskając czubkami palców na przód pedału, obracał wieżę w prawo< jeśli naciskał piętą - w lewo. Mocniejszy nacisk na jedną lub drugą stronę powodował szybszy obrót. Przy najwolniejszym obrocie pokonanie 360 stopni zabierało prawie 60 minut. Najszybciej udawało się wykonać taki obrót w 60 sekund. Umożliwiało to wielką precyzję celowania. Doświadczony działonowy niczego nie musiał korygować ręcznie.

Dzięki elektrycznemu odpalaniu armaty, lekki nacisk małym palcem wystarczał do wystrzelenia pocisku. W ten sposób unikano podskoków typowych dla klasycznego pociągania za spust przy mechanicznych metodach odpalania.



W Rosji naszymi najgroźniejszymi przeciwnikami były czołgi T-34 i T-43, wyposażone w długolufowe armaty kalibru 76,2 mm. Były dla nas groźne, gdy zbliżyły się na 600 metrów od przodu, na 1500 metrów z boku i na 1800 metrów z tyłu. Jeśli w sprzyjającym terenie natknęliśmy się na wrogi czołg, potrafiliśmy go zniszczyć z naszego działa kalibru 88 mm z odległości 900 metrów. Czołg typu Józef Stalin, jaki poznaliśmy w 1944 roku, w pewnym sensie dorównywał Tygrysom. Jego dużą zaletą był opływowy kształt (podobnie jak T-34). Nie będę opisywał rzadziej spotykanych KW-1 i KW-85, ani dział szturmowych z armatami rozmaitych kalibrów.

W pełni wyposażona ciężka kompania posiadała 14 Tygrysów. Jej siła ognia była większa niż całego batalionu artylerii przeciwlotniczej (trzy baterie po cztery armaty). Koszt produkcji jednego czołgu wynosił niemal milion reichsmarek. Dlatego zorganizowano tylko kilka batalionów. Dowódca tak cennej formacji ponosił naprawdę wielką odpowiedzialność.

## 8 POCIĄGIEM EKSPRESOWYM NA FRONT LENINGRADZKI

Zaledwie poznaliśmy trochę nasze czołgi, a już załadowano nas do pociągu jadącego na front wschodni. W małym miasteczku Ploermel celebrowano święto Bożego Ciała. Rada miasta ogłosiła komunikat o naszym wyjeździe, więc wszystkie procesje skończyły się, nim dojechaliśmy do stacji kolejowej. Mieszkańców nie obchodziło, że niemiecki front w rejonie Leningradu z takim utęsknieniem wyczekuje na nasze wsparcie. Przeklinając od czasu do czasu, czekaliśmy prawie trzy godziny na rozpoczęcie załadunku.

Nasze czołgi ładowano w wielkiej tajemnicy. Natychmiast przykrywano je brezentem, uniemożliwiając zobaczenie nawet jednej śrubki. Pomimo tego mieliśmy jakieś dziwne wrażenie, że wróg wie o tych wozach bojowych tyle samo, co my.

Jechaliśmy pociągiem ekspresowym, zatrzymując się tylko na chwilę, aby zmieniać lokomotywy. Z Metz wysłałem telegram do domu. Nie wierzyłem, aby ktoś z mojej rodziny zdołał tak szybko dotrzeć z Zweibrücken do Homburga nad Saarą. Ale matki żołnierzy potrafią dokonywać niewiarygodnych czynów!

Pociąg wjeżdżał na stację, a na peronie już na mnie czekała. Miałem trochę szczęścia, bo właśnie tutaj zmieniano lokomotywy. Mogłem przedstawić mamę kumplom, którzy jechali ze mną na front. Na szczęście jeszcze nie wiedzieliśmy, co nas tam czeka. Mieliśmy nowe pojazdy i myśleliśmy o nadchodzących wydarzeniach z większym niż dotąd spokojem.

Od czasu do czasu zerkaliśmy czule na stalowe potwory ukryte pod plandeką. Dzięki nim nareszcie będziemy mogli coś zdziałać! Tygrys był naszym najcięższym pojazdem bojowym.

Najsłabszy był lekki Panzer I, „sportowy wóz Kruppa”, jak go chrzcili nasi chłopcy. Załogę stanowiły dwie osoby, ważył ledwie 6 ton i był uzbrojony w dwa karabiny maszynowe. Podczas kampanii rosyjskiej ten czołg został już w domu.

Panzer II obsługiwały trzy osoby. Był to czołg trochę cięższy ni Panzer I i wyposażony w szybkostrzelną armatkę kalibru 20 mm. W owym czasie wykorzystywano go w lekkich plutonach jako pojazd rozpoznawczy.

Załoga Panzer III składała się z pięciu ludzi. Ważył dokładnie 20 ton

i miał krótkolufową armatę kalibru 50 mm (później długolufową) oraz dwa karabiny maszynowe. Czeski czołg Panzer 38t z grubsza odpowiadał Panzer III. Miał gorszej jakości pancerz, a jego dodatkową wadą była tylko czteroosobowa załoga. Dowódca czołgu musiał być jednocześnie obserwatorem i celowniczym.

W każdym batalionie znajdowała się ciężka kompania składająca się z czołgów Panzer IV. W tym czołgu walczyło pięciu żołnierzy. Ważył od 22 do 28 ton. Aż do końca 1942 roku był uzbrojony w krótkolufową armatę kalibru 75 mm. Później został przebrojony w długolufowe armaty tego samego kalibru.

Panzer V był znany jako Pantera. To było nowe rozwiązanie, owoc doświadczeń wojennych. Obsługiwany przez pięciu ludzi, waży niemal 42 tony, posiadał znakomitą armatę kalibru 75 mm, dwa karabiny maszynowe i taki sam jak w Tygrysie system obrotu wieży.

Wreszcie nasz Panzer VI z pięcioosobową załogą. Armaty kalibru 88 mm, dwa karabiny maszynowe, półautomatyczny napęd, a 60 ton stali wymusiło zastosowanie 700-konnego silnika. Armaty kalibru 88 mm znakomicie sprawdziła się w oddziałach przeciwlotniczych. W działach przeciwpancernych miała jeszcze dłuższą lufę. Czekaliśmy niecierpliwie, aż nasz czołg przejdzie chrzest bojowy.

\* \* \*

Zmierzaliśmy w stronę Gatczyny. Od razu pech. Rampa wyładunkowa okazała się za krótka i podczas wyładunku jeden z Tygrysów spadł na bok. Obiecujący początek!

Meldunki 1. kompanii po akcji również nie były optymistyczne. Nasi żołnierze walczyli w rejonie Leningradu od 2 września 1942 roku. W pierwszych tygodniach brali udział w pierwszej bitwie obronnej na południe od jeziora Ładoga, następnie w walkach pozycyjnych wokół Leningradu w rejonie działania 11. Armii. Od 12 stycznia do 5 maja 1943 roku uczestniczyli w drugiej bitwie obronnej na południe od Ładogi, w kotle w Pogostje i na południe od Kolpino.

Działania te przyniosły wielkie straty w ludziach i sprzęcie. W bagiennej rejonie walk sytuacja nieraz zmuszała załogi do porzucenia czołgów. Na pobojowisku pozostawialiśmy wypalone wraki ze zniszczonym uzbrojeniem. Wydano rozkaz, że niezależnie od sytuacji, Tygrys nie może wpaść w ręce Rosjan.

Mieliśmy jednak dowody, że Rosjanie już wiedzieli o naszym najnowszym sprzęcie. Podczas późniejszych operacji znaleźliśmy znakomite rosyjskie opisy Tygrysów. Znał je chyba każdy Rosjanin, mogli więc wykorzystać słabości naszego wyposażenia. Zanim nasze dowództwo opracowało porządny podręcznik obsługi Tygrysa, przy szkoleniach korzystaliśmy z opracowań rosyjskich. Z nich dowiadaliśmy się o słabych punktach naszej nowej broni.

22 lipca 1943 roku mieliśmy wprowadzić Tygrysa do walki. Nasze działania miały trwać osiem tygodni. To była trzecia bitwa o jezioro Ładoga. Rosjanie próbowali po raz trzeci odbudować lądowe połączenie z Leningradem. Dawało to im możliwość wykorzystania kanału Stalina i linii kolejowej Wołchow-Leningrad.

21 lipca załadowaliśmy się na pociągi, ale nie dotarliśmy do stacji przeznaczenia. Z największym trudem dowieziono nas do maleńkiej stacyjki Sniigri w okolicy Mga. Drżąc ze strachu, ściągaliśmy nasze czołgi z platform kolejowych. Artyleria sowiecka ostrzeliwała okolicę, a my nie mieliśmy żadnych ramp wyładunkowych.

Zaraz po rozładunku 3. kompania ruszyła na pole walki. Kapitan Oehme, dowódca kompanii, i podporucznik Grünewald zginęli przed naszym przybyciem.

Iwan wypuścił wielkie roje samolotów szturmowych, które kosiły wszystko, co się ruszało - to było nowe, straszne doświadczenie. Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały porzrzucone stosy ciał ludzi i zwierząt. (Takie sceny były przedsmakiem tego, co oglądaliśmy później w czasie odwrotu w 1945 roku.) W pasie natarcia mogliśmy się poruszać wyłącznie nocą. Tylko pojazdy konne mogły się posuwać naprzód.

Musieliśmy wejść w to piekło. Wpakowaliśmy się w nie tak samo jak Rosjanie. Trwało to aż do końca września. W zasadzie nie odnieśliśmy żadnego sukcesu, same klęski, Siniawino, Wzgórze X, Droga Mazurska i Wioska Bunkrów. Okrucieństwo tych walk zapamiętałem na zawsze. Linia frontu przesuwała się w tę i z powrotem, i tak było dzień w dzień. Ważniejsze pozycje w ciągu jednego dnia przechodziły kilkakrotnie z rąk do rąk.

Pewnego razu walczyliśmy całą kompanią przeciwko Wiosce Bunkrów. Ruszyliśmy z południowego wschodu. Spodziewałem się że po dotarciu na miejsce wesprze nas atak z lasów na wschód od naszych pozycji. Czekaliśmy na drugą grupę Tygrysów - na próżno. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego nasi towarzysze zostawili nas w tej krytycznej sytuacji. Samotnie usiłowaliśmy zdobywać stanowiska przeciwpancerne

wroga. Mignęło nam kilka naszych czołgów, ale w chwilę później nie wiedzieliśmy, gdzie są nasze tyły, a gdzie przednie pozycje. Sytuacja jakoś się ustabilizowała, ale pozycje rosyjski zostały nienaruszone, a nam tylko szczęśliwym trafem udało się zebrać wszystkie Tygrysy.

„Żaden z Tygrysów nie może wpaść w ręce wroga” - rozkaz nie łatwy do wykonania. Kto w takim zamieszaniu mógł sprawdzać, czy nie porzucono jakiegoś uszkodzonego czołgu.

Każdy ciężki czołg zaopatrzone „przezornie” w ładunki niszczące. Znajdowały się w uchwytach dokładnie obok prawej ręki dowódcy za jego siedzeniem w wieżyczce. Dzięki temu mógł zniszczyć bez większego wysiłku armatę. Poza granatami ręcznymi, którymi dysponował dowódca, była to kolejna nowość - gwarancja, że jeśli czołg otrzymał śmiertelne trafienie, dowódca też nie wyjdzie żywy i nie wpadnie w ręce Rosjan.

Mogłem się obejść bez tego spokojnie. Wykorzystywałem wspomniany wcześniej uchwyt do zabezpieczenia butelki wódki. To bardziej uspokajało moją załogę niż ładunek niszczący!

Czasami wydawało się, że tylko alkohol pomoże nam przetrwać tę przekłętą operację. Sukcesy, na które liczyliśmy, ciągle nie nadchodziły. Byliśmy zmęczeni i rozczarowani.

W dodatku dowództwo w naszym batalionie zmieniał się tak często, jak Siniawino przechodziło z rąk do rąk. Zginęło wielu naszych kolegów: dowódca 3. plutonu, potem plutonowy Pfannstie oraz plutonowy Kienzle. Ten ostatni był jednym z tych dowcipnych wiedeńczyków, w starym, dobrym znaczeniu tego słowa.

Złościły nas bezsensowne rozkazy, np. ktoś wpadł na pomysł umocnienia dróg, które prowadziły przez bagna w okolicy Tosno. Położono na nich drewno i zakotwiczone je, a niektóre nawet pokryto asfaltem. Taka droga prowadziła na przykład aż do Gatczyny, a potem dochodziła do linii frontu. Dzięki niej Rosjanie wykonali kolosalny skok naprzód, gdy zdobyli ten teren w styczniu 1944 roku.

A my przez prawie trzy lata musieliśmy używać dróg ułożonych z pni drzewnych. Już one same były specjalnym rozdziałem w historii tej wojny. Pamięta je każdy, kto po nich jeździł. Pomimo wielu mijanek i objazdów korki były nie do uniknięcia. Po obu stronach rozciągały się niskie, bagienne lasy.

Jedna z podróży taką „szosą” ściągnęła na mnie niechęć dowództwa.

Wracalem na linie frontu z jakiegoś spotkania i jak zwykle sie spiesylem. Nagle ktos jak szalony zaczal za mna trabic. Spodziewalem sie, iz uda mi sie wjechać w jakas mijanke i przepuscic natreta, ktory wyraźnie spiesyl sie bardziej niz ja, a poza tym mial duzo silniejszy samochod. Nawet gdybyśmy dotarli do rozszerzenia drogi, trudno byloby z powrotem wlaczyc sie do ruchu. Dlatego, mimo ze pojazd kierowcy mial proporczyk sztabowy, zdecydowalem sie jechać dalej.

W koncu utknęliśmy w jednym z zatorów i musieliśmy sie zatrzymać. Poczulem silne uderzenie w kark. To byl kapitan ze sztabu Lindemanna, dowodcy Frontu Polnocnego. Natychmiast zaczal mnie ochrzaniac.

Kiedy mu odpowiedzialem, ze moja obecność na froncie jest tak samo wazna jak jego inspekcja i gdyby nie zolnierze na linii frontu, to nie mialby czego kontrolowac, natychmiast zażadal moich dokumentów.

- Zglosisz sie do dowodcy frontu, a on ci powie, co jest wazne, a co nie - oznajmil zlowieszczym tonem.

Następnego dnia odkrylem, co jest wazne, a co nie jest. Lindemann przyjal mnie z usmiechem. Podczas walk na Wale Zachodnim poznal mojego ojca. Wiec zamiast strasznej awantury odbylem całkiem przyjemna pogawedke.

- Ten chlopak ma szczescie - mowili moi koledzy, kiedy usmiechnięty wróciłem ze spotkania.

Po wielu tygodniach Rosjanie zaczęli przełamywac sie przez ziemie niczyja na poludnie od jeziora Ladoga. Jak zawsze zachowywali sie bardzo cicho. My w tym czasie wycofaliśmy sie z linii frontu i zajęliśmy kwatery w Czernowie, niedaleko Gaczniny. Większość pojazdów znajdowala sie w warsztatach naprawczych, Były klopoty z zębami kół napędowych. Dowódca naszej kompanii, porucznik von Schiller zostal przeniesiony, a jego miejsce zajal oficer operacyjny. Do lata tego roku w naszej kompanii pozostal jeszcze tylko jeden oficer.

W czasie przerwy w walkach otrzymałem rozkaz rozpoznania dróg wiodących do Leningradu. Prowadzily z Gaczniny na północ do nadbrzeżnych traktów i stanowiły połączenie z innymi drogami. Nawiązałem kontakt z piechotą na linii frontu. Musialem również sprawdzic nośność wszystkich okolicznych mostów i przepustów. Niektóre z nich saperzy powinni wzmocnić, aby mogły przez nie przejechać Tygrysy. Drogi dla nich mialy zostac oznaczone symbolem mamuta.

Niestety, to Rosjanie stali sie beneficjentami moich wysilków, kiedy przeszli do ataku w 1944 roku.

W czasie tej podróży miałem okazję zapoznać się z całym Frontem Leningradzkim. Jadąc wzdłuż osi natarcia, już z daleka widziałem poruszające się dźwigi portowe. Stanowiły dla nas istotny problem, ponieważ Rosjanie mieli tam znakomite punkty obserwacyjne.

Nie można było ich po prostu zniszczyć zwykłym ogniem artylerii. Za każdym razem, gdy dotarłem do końcowego przystanku tramwajowego, przez który przebiegała linia frontu, i spoglądałem na miasto z rozbitego trolejbusu, pytałem siebie w nieskończoność, dlaczego nie zdobyliśmy tego miasta w 1941 roku? Wtedy przecież trudno było mówić o jakimś oporze Rosjan.

Od sanitariuszki, która wpadła w nasze ręce, dowiedzieliśmy się że w zimie z 1941 na 1942 rok miasto zostało prawie zagłodzone. Ciała zmarłych gromadzono w stosy jak drewno na opał. Dziewczyna pracowała jako kierowca pułkownika. Wjechała na minę i za karę została przeniesiona do kompanii szturmowej. Powiedziała też, że teraz życie w Leningradzie w zasadzie powróciło do normy. Ludzie praktycznie bez przeszkód chodzą do pracy, bo zawsze wiadomo, kiedy i gdzie Niemcy otworzą ogień.

Mieliśmy bardzo mało amunicji. Kiedy od innego jeńca dowiedzieliśmy się, że w mieście w 1941 roku prawie nie było żołnierzy i Rosjanie chcieli je poddać, to nawet najdurniejszy kierowca z kantyny widział jasno, że tego błędu już nie damy rady naprawić. Chociaż front już niemal od trzech lat przebiegał w tym samym miejscu, to nie uczyniono nic, by powstrzymać rosyjski atak, który musiał kiedyś nadejść. Dowódcom dywizji obiecano, że pod koniec 1943 roku pojawią się przysłane z tyłów spychacze. Miały one wykopać rowy przeciwczołgowe, szczególnie w rejonach narażonych na ataki pancerne. Dopiero po trzech latach naszego pobytu w tym rejonie!

Gdy spychacze wreszcie przyjechały, ziemia była już tak zamarznięta, że nie było mowy o ich użyciu. Następnej wiosny lepiej wykorzystali ten sprzęt Rosjanie.

Leningrad był kamieniem granicznym północnej części frontu wschodniego. Mieliśmy tam przezimować na w miarę przyzwoicie przygotowanych pozycjach. To mogło być niezłym punktem wyjściowym do ponowienia ataku wiosną 1943 roku.

Atak na Moskwę miał pierwszeństwo przed próbą zdobycia Leningradu. Natarcie utknęło jednak w błocie, gdy stolicę Rosji mieliśmy już prawie w garści. Tego, co się działo w czasie fatalnej zimy z 1941 na 1942, nikt nie jest w stanie opisać. W nieludzkich warunkach niemiecki

żołnierz musiał stawić czoła doświadczonym w walkach zimowych i znakomicie wyposażonym dywizjom rosyjskim.

Nasze pułki - albo lepiej, to co z nich zostało - na wpół zagłodzone, z odmrożonymi kończynami i w ciągłej depresji psychicznej, miesiącami utrzymywały pozycje. Trudno uwierzyć, że udało się nam przetrwać całą zimę i utrzymać pozycje.

Dlaczego żołnierze, którzy byli na froncie wschodnim podczas tamtych zim, nie współczuli osobom, które skazywano za podburzanie, sabotaż i inne przestępstwa wojenne? A przecież to tych skazanych czczono potem jak męczenników i bohaterów.

Czy zwykły żołnierz jest na froncie z chęci spotkania śmierci? Czy dla frontowego żołnierza nie było kwestią szczęścia, że wyszedł z tego piekła żywy? Bóg wie, że nikt nie kupi opowieści, że wytrzymywaliśmy to wszystko z powodu miłości do spojrzenia Hitlera, głosu Goebbelsa czy munduru Goeringa.

Słowa „ojczyzna” i „rząd” są nieporównywalne. Walczyliśmy i dawaliśmy z siebie wszystko, bo zobowiązywało nas do tego prawo. Prawo naszej Ojczyzny. Ale kiedy na wpół szaleni ze zmęczenia, zimna i głodu, nie mogliśmy nawet o tym myśleć, to przy życiu utrzymywał nas strach i instynkt samozachowawczy.

Tak, kierował nami instynkt, który podpowiadał nam, że ze Wschodu grozi wielkie niebezpieczeństwo, i to nie tylko nam, ale również innym społeczeństwom Zachodu.

Przeklinając tę głównianą wojnę, znaleźliśmy się na przedpolach Leningradu. Wykonywaliśmy rozkazy. Taki już jest duch niemieckiego żołnierza. Wielu ludzi chciało przedstawić w złym świetle naszą lojalność, chęć wypełnienia obowiązku, pozornie wbrew zdrowemu rozsądkowi, co przyczyniło się do niespodziewanych sukcesów i często zamieniało prawie pewne porażki w zwycięstwa.



## 9 BITWA OBRONNA W NEWELU

W rejonie Ładogi cały front zamarł. Ledwie zdołaliśmy trochę odetchnąć, zaskoczył nas nowy rozkaz wymarszu. Teren nowej operacji znajdował się wokół Newela. Rosjanie zaatakowali zniemacka i zdobyli miasto. Natarcie było tak niespodziewane, że spadło na niektóre nasze jednostki podczas dyslokacji. Wybuchła prawdziwa panika. Komendant Newela miał stanąć przed sądem wojennym za zaniedbania wywiadu.

Otrzymaaliśmy zadanie utrzymania za wszelką cenę otwartej drogi frontowej Wielkie Łuki-Newel-Witebsk, aby nasza piechota mogła zająć pozycje na wschód od tej trasy. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się ponownie wyprzeć Iwana.

Wkrótce, dzięki nieprzewidzianym wydarzeniom, mogliśmy się przekonać, z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia.

Od zimy 1941-1942 roku w linii frontu na południe od Newela utworzył się wielki wyłom. W zasadzie nikt się tym nie przejmował, bo niekończące się bagna były naturalną przeszkodą. Ku naszemu zaskoczeniu, Rosjanie po zdobyciu Newela zaczęli w małych grupach przenikać tamtędy i nękać nas z bagien przy drodze frontowej na osi natarcia. Wysłano mnie naprzód. Miałem z jednym czołgiem zapewnić początkową osłonę, za mną powinna pojawić się reszta kompanii. Wróg miał niczego nie dostrzec.

Droga, którą mieliśmy otworzyć, wznosiła się trochę po prawej stronie i jakieś 2 km dalej znikła za wzniesieniem. Reszta naszego batalionu miała dotrzeć z tamtej strony i wzmocnić linię frontu między Łowezem i Newelem. Był 4 listopada.

Wysiedliśmy na chwilę z czołgu. Mój kierowca, plutonowy Köstler, naprawiał uszkodzoną lewą gąsienicę. Stanęliśmy w otwartym terenie, z radością obserwując, jak od strony wzniesienia toczą się ku nam nasze czołgi. Mój radiooperator nie złożył żadnego niepokojącego meldunku.

Rozpoznałem pierwszy czołg i zdrętwiałem. Siedziała na nim piechota. Wyciągnąłem lornetkę - tak, nie było wątpliwości, to Rosjanie składali nam wyrazy uszanowania. Błyskawicznie zajęliśmy pozycje w wozie bojowym, ale wrogowie zupełnie nie zwracali na nas uwagi. Prawdopodobnie uznali, że nasz czołg jest zniszczony i nie spodziewali się spotkania z przeciwnikiem.

Köstler zrujnował cały nasz plan. Gdy tylko zobaczył wrogie czołgi, dostawał furii. Zawsze uważał, że trzeba natychmiast strzelać. Chociaż

osobiście wolałby chyba taranowanie. Od razu odpalił silnik. Bez przerwy domagał się otwarcia ognia. Zupełnie nie mógł zrozumieć naszej „ciszy”. Plutonowy Clajus, działonowy, był jednym z tych, którzy jako studenci starszych lat lubili sobie popić. W odróżnieniu od jego wcześniejszych zwierzchników zachowywałem się w tej sprawie całkiem dyskretnie. Niestety, odmówiono mu zgody na powrót na studia, więc trafił do mojej załogi. (Mam nadzieję, że w końcu zdobył upragniony dyplom i pomimo uwielbienia dla boga Bachusa jest dzisiaj naczelnym inżynierem w jakiejś dużej firmie.) Właśnie chciałem dać rozkaz otwarcia ognia, gdy Köstlerowi puściły nerwy i ruszy z miejsca. Pierwsi Rosjanie byli od nas nie dalej niż sześćdziesiąt metrów. W mgnieniu oka Clajus wpakował im pocisk między wieżę i korpus pancerza. Wrogi czołg, dymiąc, natychmiast zjechał do rowu. Załoga nie dawała żadnego znaku życia, zaś rosyjska piechota rozbiegła się po terenie rozciągającym się wokół frontowej drogi.

Potem Clajus zajął się pozostałymi czołgami. Rosjanie wpadli w panikę, szybko zawrócili, nie myśląc nawet o stawianiu oporu. Spośród dwunastu T-34 tylko dwa uszły przed naszym ogniem.

Wieczorem odwołano nas na północ. Mieliśmy przeprowadzić małą operację w Szelkunisze. Żołnierze z obrony przeciwlotniczej mieli zająć nasze opuszczone pozycje. Wróciliśmy po dwóch dniach. Jako wzmocnienie otrzymaliśmy czołg z 3. kompanii, dowodzony przez sierżanta Dittmara.

Byliśmy pewni, że po takim laniu Rosjanie nie pojawią się szybko. Ale, jak zwykle, nie doceniliśmy przeciwnika i jego uporów. Pojawili się w południe dokładnie w tym samym miejscu, co przed dwoma dniami. Tym razem zamknęli włazy czołgów i skierowali w naszą stronę lufy armat. Wydawało się, że rozpoznali jedynie jednostki przeciwlotnicze, zupełnie nie zauważając sprawcy poprzedniej porażki. Ich czołgi z wysiłkiem objechały wypalone wraki. Do natarcia ruszyło pięć pojazdów. Wszystkie załogi rosyjskie nacierały równocześnie, zwracając uwagę tylko na wzniesienie - to był ich błąd.

Otworzyli ogień - zupełnie niecelny. Nasze obsady dział przeciwlotniczych całkowicie zdały się na nas. Zniszczyliśmy trzy pojazdy, a resztą zajęli się artylerzyści. Wkrótce po tych zdarzeniach przeprowadziliśmy na wzgórzu mały rekonesans. Rosjanie nadal transportowali materiały wojenne przez bagienne bezdroża.

Wieczorem powróciliśmy na stare pozycje. Otrzymaliśmy zadanie zdobycia wioski za wzniesieniem. Operację zaplanowano na poranek dnia następnego. Mieliśmy utorować drogę dla pułku piechoty. Nocą

dostaliśmy jako wsparcie dwa dodatkowe czołgi i trzy czterokołowce ze sprzężonymi działkami przeciwlotniczymi kalibru 20 mm. Podczas tej akcji te ostatnie udowodniły, że w działaniach lądowych są niesłychanie pomocne.

Była jasna, księżycowa noc. Zdecydowałem się na błyskawiczny atak. Uczyłem na to, że zaskoczony przeciwnik nie zdoła wykorzystać swojej przewagi liczebnej. Mój Tygrys prowadził natarcie. Za mną ustawiły się pozostałe czołgi i pojazdy z działkami 20 mm. Z zaciemnionymi światłami przeciwlotniczymi dotarliśmy w okolice wioski.

Nikt do nas nie strzelał. Iwan prawdopodobnie uznał nas za swoją kolumnę transportową. Zatrzymaliśmy się i dopiero wtedy działka 20 mm rozpoczęła ostrzał. Wbrew rozkazom kanonier ostrzelał domy po lewej stronie drogi. Gęsty dym gnany przez wschodni wiatr spowił wiejskie uliczki, ograniczając widoczność. Wjeżdżając do wsi, przetoczyliśmy się po trzech rosyjskich działach przeciwpancernych ulokowanych w pobliżu zabudowań.

Chcieliśmy nawiązać kontakt ze zbliżającym się pułkiem piechoty. Rozpraszając się, zapewniliśmy sobie bezpieczeństwo. Żołnierze piechoty przeszukali domy. Rankiem ruszyliśmy dalej na północ. Cała akcja odbyła się bez strat własnych. Tylko dwa czołgi Iwana zdołały ujść cało. Czekając do rana, narazilibyśmy się na ostrzał i nie zdołalibyśmy wywieźć zdobytego sprzętu.

Pomimo zabezpieczeń i uszczelnień linii frontu Rosjanie nadal przenikali przez tę samą lukę w liniach bojowych. Zbudowali długie i wąskie przejście przez bagna, coś w rodzaju „rurociągu”. Tą drogą przechodziło coraz więcej wojska. Nasze skromne siły nie były w stanie uszczelnić linii obronnych i odciąć Rosjan, mimo że pozostawienie na zapleczu wrogich wojsk mogło grozić okrążeniem. „Kto kogo okrążył?”. To pytanie często stawiano w czasie kampanii rosyjskiej. Taktycznie wycofaliśmy się na zachód. Poza tym teren zupełnie nie nadawał się do działań czołgów.

Dokuczał nam śnieg i mróz. Ze wszystkich stron otaczały nas bagna, w których można było bardzo łatwo utknąć. Lasami specjalnie nie się nie zajmowaliśmy. W porównaniu z północnym odcinkiem frontu wschodniego i tak było tu całkiem znośnie.

W listopadzie, chyba dziesiątego, przeprowadziliśmy kontratak na Pugaczynę i przecięliśmy przejście, które nazywaliśmy „rurociągiem”. Nasza trasa prowadziła przez mniej więcej pięć kilometrów niemal alpejskiego lasu, gdzie Rosjanie niedawno zdobyli dwie niemieckie

armaty długolufowe kalibru 88 mm. Odnaleźliśmy je nietknięte i nieużywane. Było jasne, że Ruscy nie wiedzieli, jak się nimi posługiwać.

Musieliśmy wysadzić w powietrze odzyskane działa. Nie chcieliśmy dać Iwanowi kolejnej okazji, aby na nas sprawdził ich skuteczność.

W czasie natarcia byliśmy pełni optymizmu do momentu, gdy usłyszeliśmy odgłosy kanonady.

Jeden z naszych pojazdów natychmiast stanął w płomieniach. Na szczęście jego załoga zdołała się ewakuować o własnych siłach i dotarła do innego czołgu. Przeciwnik w tym rejonie mógł nacierać tylko lekkimi siłami. Pomimo to czuliśmy się niepewnie, nikt nawet w wyższym dowództwie nie miał pojęcia o pozycjach walczących stron.

Zdobyliśmy już spore doświadczenie, ale w tej sytuacji nie wiedzieliśmy, czy śmiać się, czy płakać. Na patrolu zabezpieczającym dotarł do nas konny łącznik. Jechaliśmy powoli, aby nie zdenerwować wierzchowca, lecz młody koń szarpnął się i skoczył tak blisko czoła naszej maszyny, że kierowca nie zdążył zahamować. Zwierzak został bardzo poważnie ranny, jeździec, który zdołał w ostatniej chwili zeskoczyć, musiał go dobić. W dzienniku bojowym zapisałem, że absolutnie nie odpowiadamy za to przykre zdarzenie. Biednego łącznika wzięliśmy na pancierz czołgu i odwieźliśmy do jego jednostki.

Martwy koń znalazł się w kuchni polowej. To moi ludzie załadowali go na jeden z czołgów. Dzięki temu udało się wzbogacić nasze skromne racje żywnościowe. Na mrozie można było długo przetrzymywać mięso. Następnego dnia mieliśmy na kolację kotlety. Nasz dowódca, nieświadom pochodzenia mięsa, zjadł trzy porcje i chwalił kuchnię za znakomite danie. Kiedy wyznałem mu całą prawdę, biedak wszystko zwymiotował.

Przez kilka następnych dni, dopóki nie przekonał się, że zjedliśmy ostatnie kawałki koniny, jadał bezmięsne posiłki.

W parę dni później zaczęły się kłopoty. Rozciągnęliśmy ubezpieczenie aż na niewielkie wzgórze, skąd mieliśmy dobre pole obserwacji wioski Siergiezewo. Wioska była w naszych rękach, ale zaraz za nią znajdowali się Rosjanie.

Mieliśmy pomóc odeprzeć przewidywany atak. O zmierzchu Iwan rzeczywiście przypuścił szturm w sile czterech czołgów i piechoty. Dowódca czołgów stał w wieżyczce swego wozu i kierował całym natarciem. Po chwili wszystkie T-34 stały w ogniu, a ruska piechota uciekała z powrotem do lasu.

Nieustanne walki trwały aż do końca roku. Chyba 25 listopada otrzymaliśmy zadanie wsparcie 503. Pułku Piechoty, który usiłował

opanować lasy wokół Siergiejzewa. O świcie nasze czołgi, zgodnie z planem, dotarły na pozycje. Mile zaskoczeni obserwowaliśmy, jak nasi koledzy z piechoty z werwą zmierzają w kierunku linii lasu. Jeszcze bardziej zaskoczyło nas, że Rosjanie nie otwierają ognia! Podjechaliśmy trochę bliżej i poznaliśmy całą tajemnicę.

Ludzie, którzy biegli w stronę lasu, nie byli naszymi piechurami, tylko Rosjanami, którzy nocą okopali się na przedpolach wioski. Przygotowywali teren do swojego ataku. Nasi piechurzy znajdowali po obu stronach własnych pozycji, czekając, aż czołgi wejdą do akcji. Rosjanie mieli niezwykle szczęście, że nie rozpoznaliśmy ich w półmroku.

Teraz trzeba było walczyć w lesie, zamiast wykończyć ich bez większych problemów w otwartym terenie. Dowódca batalionu, kapitan Johannmeyer, został ciężko ranny przez rosyjskiego snajpera, który skrył się wśród drzew. Martwiliśmy się, czy zdoła dotrzeć do punktu pierwszej pomocy, bo otrzymał paskudny postrzał w płuca. Dlatego bardzo się ucieszyłem, gdy w 1944 roku - podczas pobytu w szpitalu - otrzymałem od niego pozdrowienia. Trochę wcześniej przed tym postrzałem kapitan stał się 329 żołnierzem, który otrzymał Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego. Poważna rana o mało co a uniemożliwiłaby mu stawienie się na ceremonii nadania tego odznaczenia.

2 grudnia otrzymaliśmy razem ze starszym sierżantem Zwettim zadanie, aby jeszcze raz przeciąć pas terenu zajęty przez wojska Iwana - „rurociąg” w Goruszce. Mieliśmy wspierać natarcie piechoty. Tymczasem Rosjanie doskonale okopali się na niewielkim, ale dominującym nad tym terenem wzgórzu.

Byli w tym mistrzami. Zaraz za wzniesieniem i po obu jego stronach ustawili ciężką broń, taką jak armaty przeciwpancerne i ciężkie moździerze. Nie mogliśmy ich zaatakować. Musieliśmy nacierać wzdłuż ścieżki, prowadzącej do mostu, którym nie można było przejechać.

Rosjanie mieli doskonałe pole widzenia i natychmiast zaatakowali nas ogniem moździerzy. Most był nie do pokonania. Miałem ochotę zabić kapitana, dowódcę naszych saperów. Okazało się, że można przedostać się przez rów po prawej stronie mostu. Zrozumiałe, że saperzy nie chcieli wzmacniać mostu w dzień - w polu widzenia wroga. Ale ja też nie miałem specjalnej ochoty zapaść się w rowie i dokonywać zbędnych i niebezpiecznych manewrów na oczach Rosjan.

Wkrótce pojawił się kapitan i zażądał natychmiastowego wznowienia natarcia. Od słowa do słowa, a tymczasem Iwan co chwila akompaniował nam niewielkim „przyjacielskim” ogniem.

Kiedy kapitan zarzucił mi w końcu symulowanie, tchórzostwo i temu podobne, gwałtownie zerwałem Krzyż Żelazny z kurtki munduru i rzuciłem mu pod nogi. Wsiadłem do czołgu i ruszyliśmy. Prawie natychmiast zapadliśmy się w błoto i to tak głęboko, że wieżyczka naszego czołgu ledwie wystawała ponad poziom terenu. Kapitan dostał nauczkę i ulotnił się. Nie winię go całkowicie, to nie tak. Iwan obserwował z bliska nasze bezsensowne wysiłki i mógł praktycznie poodstrzeliwać nam pokrywę włazów czołgowych.

Zawołałem Zwettiego i zaczepiliśmy linę holowniczą. Byłem najszczęśliwszy, że nie stało się nic więcej. Tylko kawałek szrapnela moździerzowego oszpecił mi skroń. Jak głupek, pozwoliłem mojemu kierowcy go wyciągnąć. Uwolniliśmy czołg z błota. Wymagało to wielokrotnego cofania pojazdu i sporo wysiłku, a moja rana krwawiła jak szalona. Chyba została uszkodzona jakaś duża żyła. Zwetti jak fachowiec założył mi opatrunek uciskowy. Instrukcja pierwszej pomocy nas nie zawiodła. Od tej chwili nosiłem na głowie piękny, biały turban. Służył za cudowny kamuflaż w śnieżnym krajobrazie. Do tej pory każdej zimy malowaliśmy czołgi na biało. Z daleka moja głowa była ledwie widoczna - takie błogosławione przebranie.

Tamtego wieczora kapitan saperów odesłał moje odznaczenie wraz z listem. Przepraszał i zapewniał, że następnego dnia rano most będzie przejezdny. Zakopaliśmy topór wojenny. Następnego ranka pokonaliśmy tę przeszkodę bez większych problemów. Mostek trochę się kołysał, ale trzymał się mocno.

Dzięki szczęściu i umiejętnościom przekroczyliśmy pole minowe. Zwetti jechał po śladach naszych gąsienic. Znaleźliśmy się dokładnie przed frontem rosyjskiej obrony. Wyraźnie było widać ich dołki strzeleckie wykopane w łagodnie pochylonym stoku. Daliśmy chwilę wytchnienia naszej piechocie. Zwetti w tym czasie rozwalił dwa ruskie działa przeciwpancerne, które osłaniały pole minowe.

Po jego prawej stronie Rosjanie rozpoczęli ostrzał z rusznic przeciwpancernych. Po chwili żadna z naszych szczelin obserwacyjnych nie nadawała się już do użytku. Zwetti próbował strzelać do tych kąśliwych szerszeni, ale strzelcy po oddaniu strzału znikali jak błyskawice. Prowadziliśmy rozpoznanie ogniowe na całej długości wschodnich umocnień. Rosjanie byli tak pewni siebie, że rzucali w naszą stronę tylko ręczne granaty. Dopiero kiedy podeszliśmy bliżej, syknął mi koło głowy pocisk przeciwpancerny. Nie miało sensu ruszać do przodu, dopóki nie dotrze do nas piechota. Dlatego staliśmy parę godzin, czekając

na jakieś wsparcie. Nasi towarzysze nie opuścili jednak w ogóle pozycji, ponieważ rosyjscy snajperzy, siedząc na wysokich drzewach, kontrolowali cały teren. Nawet my musieliśmy się chować, by nie paść ich ofiarą.

Po południu Zwetii dał mi znak, że z tyłu mojego czołgu powstała kałuża. Miałem złe przeczucia. Kierowca włączył silnik, którego temperatura natychmiast skoczyła do 250 stopni.

Najwyraźniej Rosjanie przestrelili chłodnicę z rusznicy przeciwpancernej lub moździerza. Co mogliśmy zrobić? W naszej sytuacji ucieczka z pojazdu lub odholowanie go nie wchodziło w grę. Musieliśmy spróbować wycofać się przez most o własnych siłach, nie zważając na zatarcie łożysk.

Bieda lubi towarzystwo! Zwetii zapomniał nastawić radiostację na odbiór. Dzięki temu miałem doskonałą okazję, żeby posłuchać rozmów w jego czołgu, a to mnie przecież specjalnie nie interesowało. To są właśnie te sytuacje kiedy uświadamiamy sobie, jak ważne jest przestrzeganie regulaminu bojowego. Przecież dwanaście razy na dobę wbijało się radiooperatorom do głowy, aby po zakończeniu transmisji przestawiali swoje stacje na odbiór! Ale to jak widać nie pomagało!

Pod osłoną podniesionej klapy wjazdu machałem słuchawkami, pokazując Zwettiemu, że chcę z nim porozmawiać. Nie było zbyt wiele czasu, bo z chłodnicy przez cały czas wyciekał płyn. Ktoś wreszcie zauważył moje wysiłki i gwałtownie obudzony radiooperator zaczął nareszcie mówić coś, co mogłem zrozumieć. Poleciałem kierowcy mojego skrzydłowego przejechać przez pole minowe. Miał cofać się na ślepo, by wskazać nam drogę odwrotu. Z trudem dotarliśmy wreszcie do mostu, który już w trakcie naszego pierwszego przejazdu zapadał się w środku rozpiętości.

Czy uda nam się przez niego przejechać? Mocno zaciskaliśmy kciuki. Udało się! Po przejechaniu jakichś 100 metrów ukrył nas przed wzrokiem Rosjan niski, bagienny las. Nigdy więcej nie próbowaliśmy atakować tej pozycji. Nikt nie był w stanie dotrzeć żywy do wzgórza, nawet jeśli tak jak my, znalazł się blisko rosyjskich pozycji obronnych.

12 grudnia wysłano nas do Łoweza na trasie Witebsk-Newel. Rosjanie nacierali ze wschodu na szerokim froncie naszych pozycji. Przez kilka pierwszych dni mieliśmy tylko jedno zadanie, jeździć po kilka kilometrów w tę i z powrotem wzdłuż tras rokadowych, sugerując Rosjanom przybycie dużych jednostek pancernych.

Około 16 grudnia przeciwnik, wykorzystując wsparcie czołgów,

usiłował zaatakować wzgórze, gdzie przed kilkoma tygodniami zniszczyliśmy rosyjską armatę przeciwpancerną. Szybko przeprowadziliśmy skuteczny kontratak.

Zniszczyliśmy wiele wrogich czołgów. Rosjanie uniknęliby strat, gdyby przeprowadzali zmasowane natarcia. Wiedzieli, jak nacierać, ale robili to jakoś nerwowo, nie rzucali naraz wszystkich sił. Dzięki temu mieliśmy bardzo ułatwione zadanie.

Z drugiej jednak strony mieliśmy spore kłopoty z rosyjskimi myśliwcami. Kołysały się nad nami niemal bez przerwy. Tylko w ten sposób można określić ich styl latania. Mój działonowy, plutonowy Kramer, dokonał czynu, jakiego na całym froncie wschodnim chyba nikt nie powtórzył. Zestrzelił mianowicie ruski myśliwiec z działa czołgowego. Oczywiście, pomógł mu w tym trochę przypadek. Oto jak do tego doszło. Kramer, zdenerwowany drażniącą obecnością brzęczących samolotów, podniósł lufę armaty i skierował ją w kierunku przypuszczalnej trasy ich przelotu. Mówiłem mu, kiedy nadlatują. Wykorzystując szansę, nacisnął spust. Przy następnej próbie trafił dokładnie w taką „pszczołkę”. Rosjanin rozbił się niedaleko od nas. Tego dnia mieliśmy kolejną chwilę wytchnienia, gdy dwa wrogie samoloty zderzyły się w powietrzu i jeszcze zanim uderzyły w ziemię, rozpadły się na kawałki.

Tego samego wieczora odbyłem odprawę z dowódcą miejscowego pułku piechoty. Trwała dłużej, niż się spodziewałem. Mogłem wrócić na nasze pozycje dopiero około drugiej nad ranem. Przy tej okazji natknąłem się na naszą piechotę.

Chłopcy kryli się w pobliżu drogi frontowej, bo Rosjanie prowadzili sporadyczny ostrzał z karabinów i broni maszynowej. Wskazałem miejsce, gdzie przypuszczalnie znajdowały się nasze czołgi, po czym cicho poszedłem na południe w kierunku „domu”. Musiałem się spieszyć. Załogi czołgów skurczyły się teraz do ledwie dwóch ludzi na pojazd. Wszyscy mnie szukali zdenerwowani moją nieobecnością. Zwetti poinformował, że linia frontu biegnąca wzdłuż drogi, którą szedłem, została w wielu miejscach przerwana, a droga frontowa stała się ziemią niczyją.

Tymczasem przeciwnik otrzymywał nadal posiłki. Z największym trudem utrzymywaliśmy nasze pozycje. Rosjanie przywozili swoje oddziały ciężarówkami, których światła drogowe były widoczne z daleka. Zupełnie nie przejmowali się groźbą kontrataków. Nasza artyleria odzywała się bardzo rzadko i to przeważnie wtedy, gdy kolumny wroga już zniknęły.

Następnego dnia jeszcze raz zaatakowaliśmy w kierunku na północ,



wzdłuż trasy frontowej, dając naszej piechocie szansę odbicia pozycji, które opuściła poprzedniego dnia. Tuż obok, po prawej stronie drogi, stały wojska rosyjskie.

Organy Stalina rozmieszczone na równinie skoncentrowały ogień. Mój czołg otrzymał trafienie rakieta. Zwetii zapytał przez radio, co się stało. W gęstym dymie nie mogłem niczego rozpoznać. Mieliśmy szczęście, czołg wytrzymał. Staraliśmy się szybko zniknąć z pola widzenia wroga.

Pomimo ponawianych prób nasza piechota nie zdołała przedrzeć się na wschód. Nadal tkwiliśmy po lewej, a Rosjanie po prawej stronie drogi, starając się przebijać w naszym kierunku. W trakcie tych działań mogliśmy podziwiać postawę sowieckiego komisarza, który wyprostowany stał na polu walki, pod ogniem, i uparcie machał na swoich ludzi. Wydawało się, że żaden karabin maszynowy nie jest dla niego groźny. Rozgniewało to nas i Kramer wysadził go w powietrze pociskiem z naszego działa. Od tego momentu Rosjanie zaczęli się wycofywać na swoją stronę drogi frontowej. Mimo to nasz atak też odwołano. Nowa linia frontu została ustanowiona bardziej na zachód.

Kiedy wróciłem na pułkowe stanowiska dowodzenia, dowódca ryczał z wściekłości. Zniknęło dwóch Alzatczyków. Może nie czuli się tutaj niezbędni albo przekroczyli linię frontu i teraz „puszczali farbę” naszym wrogom.

Inny bolesny incydent dotyczył zdobycznych rosyjskich T-34. Dwa takie „niemieckie” czołgi pełniły służbę zabezpieczenia tras i dopiero wieczorem wracały na pozycje. Obsady naszych dział przeciwpancernych, nie wiedząc, że w środku są niemieckie załogi, zniszczyły oba pojazdy. W ciemnościach nie zdołały rozpoznać krzyża bałkańskiego. Od tego czasu trudno było kogokolwiek namówić, aby wsiadł do zdobycznego czołgu.

Nasze zadanie na odcinku Newela dobiegało końca. Czekwały nas nowe i trudne działania na południe od Leningradu. Front wokół Newela jeszcze się nie ustabilizował, a my już musieliśmy zmierzać do następnej stacji przeładunkowej. Potrzebowano nas pilnie do osłony odwrotu w rejonie Leningradu. Naszym kolejnym celem była Gatczyna na drodze Leningrad-Narwa. Podczas odwrotu z linii frontu w rejonie Newela wszystkie mosty i linie kolejowe, które pozostawialiśmy za sobą, wysadzono w powietrze. Linia frontu znowu się cofnęła.

\* \* \*

Pluton odzyskiwania sprzętu (z kompanii remontowej) zasługiwał na wyrazy szacunku i głębokiego podziwu. Ci ludzie dokonywali rzeczy niemożliwych. Ich dowódca, podporucznik Ruwiedel, wołał przebywać z towarzyszami z kompanii czołgów, ale w swojej pracy był niezastąpiony. Takie zadania mogli wykonywać tylko nadzwyczajni ludzie. Nikt z nas im nie zazdrościł. Trudno sobie wyobrazić zadania, jakie mieli do wykonania na polu walki.

Pod ciągłym ostrzałem przeciwnika musieli odholowywać unieruchomione pojazdy bojowe osiemnastotonowymi ciągnikami. Często w ciągu jednej nocy docierali na najdalej wysunięte pozycje.

Wciągarkami holowali czołgi na tyły. Nawet przy dobrych warunkach gruntowych ta praca była skrajnie wyczerpująca i mogła przebiegać sprawnie tylko wtedy, gdy piechota siedziała cicho i nie ostrzegała wroga flarami rozświetlającymi.

Ale nasi ludzie musieli wykonywać swoje zadania w śniegu i lodzie. Ruszenie z miejsca sześćdziesięcotonowego Tygrysa tandemem ciągników wymagało sporego doświadczenia i stalowych nerwów. W trakcie walk w odwrocie, gdy wróg i śmierć deptały nam po piętach, każdy błąd kosztował utratę cennego pojazdu.

\* \* \*

Na szczęście dotarliśmy do stacji załadunkowej, nim jeszcze została zniszczona. Wjechaliśmy na platformy kolejowe i odjechaliśmy w stronę Gatczyny. Wielki pośpiech nie zapowiadał niczego dobrego. Sytuacja na froncie gwałtownie się zmieniała i raz jeszcze musieliśmy wystąpić w roli „straży pożarnej”.

Nasze obawy okazały się prorocze. Kiedy dotarliśmy na miejsce, główna stacja kolejowa w Gatczynie była pod ostrzałem artylerii, więc nie mogliśmy wyładować czołgów. W dodatku otrzymaliśmy informacje, że nasza 1. kompania już weszła do walki i poniosła duże straty. Wysłano ją na linię frontu prosto z rampy kolejowej.

Przeważające siły Rosjan przełamały naszą obronę między Leningradem i Gatczyną. Uderzyli w dwóch kierunkach - wzdłuż linii brzegowej oraz w kierunku Puszkina, na wschód od Gatczyny. Tu, na stacji kolejowej w Gatczynie, miał miejsce pechowy incydent, o którym wspominałem wcześniej.

Sprawdziliśmy wszystkie mosty między Gatczyną i Leningradem, i

wzmocniliśmy te, które mogły unieść ciężkie czołgi. Przeprowa poszła sprawnie, ale nasi towarzysze przybyli zbyt późno, by - po naszym przejściu - wysadzić je w powietrze. W zasadzie całą pracę wykonaliśmy dla Iwana. Dzięki temu mogli błyskawicznie ruszyć za nami.

Po przybyciu na miejsce poznaliśmy więcej szczegółów dotyczących zniszczenia 1. kompanii. Rosyjskie czołgi otoczyły ją na frontowej drodze. Pluton podporucznika Meyera został niemal całkowicie unicestwiony. Sam Meyer zabił się strzałem w głowę, gdy Rosjanie próbowali wziąć go do niewoli. Te wszystkie informacje były bardzo przygnębiające. Uważałem, że zawinił dowódca, który nie wstrzymał natarcia do chwili, aż zbiorą się razem wszystkie kompanie.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie mógł inaczej postąpić. W pewnym sensie pododdział ruszył w nieznane, bo nikt się nie orientował, gdzie dokładnie toczą się walki. Major Jähde był najlepszym dowódcą, jakiego mieliśmy w 502. batalionie. Był dla nas przykładem, zawsze troszczył się o swoich ludzi i stawiał czoła najtrudniejszym sytuacjom.

## 10 ODWRÓT DO NARWY

Gatczyna wróciła w ręce Rosjan. Grupa Armii Północ cofała się wzdłuż drogi frontowej Gatczyna - Wołosowo - Narwa.

Podobno zbudowano silne pozycje obronne wokół Narwy. Po uporządkowanym odwrocie mieliśmy się bronić na „Linii Pantery”. Jako doświadczeni żołnierze byliśmy nastawieni sceptycznie do takich informacji. Nie wierzyliśmy w opowieści o solidnych bunkrach i przygotowanych pozycjach dla czołgów. Cieszyli się tylko nasi koledzy z piechoty, którzy przez ostatni rok walczyli cały czas w otwartym terenie.

Nasze przewidywania się sprawdziły. „Linia Pantery” istniała tylko na papierze! Nie wiem, w jaki sposób wytłumaczono tę farsę.

W drodze do Narwy zdarzały się również miłe chwile. Tworzyliśmy, razem z „piechotą Wenglera”, tylną straż. Relacje z tym oddziałem układały się wspaniale, mimo że nasze zadanie osłaniania odwrotu piechoty i artylerii w rejonie trasy Gatczyna-Leningrad nie było wcale łatwe.

Niemal wszystkie nasze oddziały poruszały się po wąskiej drodze frontowej. Między nią a wybrzeżem działali swobodnie Rosjanie. Cały czas usiłowali przeciąć tę drogę, a my musieliśmy zabezpieczać równocześnie wszystkie jej odcinki. Kiedy odjeżdżaliśmy, Rosjanie ponownie atakowali tylną straż. Od czasu do czasu ruszaliśmy dalej na północ, aby odeprzeć wroga, który starał się zamknąć nam drogę odwrotu.

W jednej z takich akcji, jadąc w kierunku wybrzeża, zajęliśmy niebronioną wioskę. Linia lasu zaczynała się jakiś kilometr od niej, prawie w połowie drogi między trasą zapewniającą nam łączność i brzegiem morza.

Zajęliśmy pozycje na skraju zabudowań. Wieczorem pojawiło się kilku spóźnionych piechurów. Było już ciemno, gdy z lasu wyłonił się rosyjski patrol. Prawdopodobnie chcieli sprawdzić, czy wioska nie jest zajęta przez wroga.

Całkiem rażno ruszyli w naszą stronę. Byli jakieś 500 metrów przed nami, w rowie biegnącym wzdłuż ścieżki. Wtedy otworzyliśmy ogień, ale oni nie wycofali się w stronę drzew. Oznaczało to, że już zajęli okoliczne wzgórza.

Noc ciągnie się niemiłosiernie, kiedy trzyma się straż przy czołgach.

Minuty zdają się godzinami, szczególnie zimą, gdy noc trwa od trzeciej po południu do dziewiątej rano następnego dnia.

Czasami przysypiałem i pochylając się, uderzałem głową o krawędź wieży - wtedy trzeźwiałem. Paląc papierosa, siedziałem schylony tak długo, aż żar nie poparzył mi palców. Wtedy budziłem się i wszędzie widziałem zjawy.

Przybierały formę ciężarówek, armat i czołgów, a w świetle dziennym okazywały się tylko zwykłymi, niegroźnymi drzewami i krzakami. Od czasu do czasu wznosiła się w górę flara oświetleniowa i rozjaśniała najbliższą okolicę. Ale gdy zgasła, noc stawała się jeszcze ciemniejsza. Po pewnym czasie zdaliśmy sobie sprawę, że taka iluminacja zdradza nasze pozycje i zaprzestaliśmy oświetlania terenu. Flary były naprawdę potrzebne tylko w czasie trwania bitwy. Takie oświetlenie pozwalało celować kanonierom. Gdy nie było światła księżyca, podczas walki wspomagaliśmy się racami z magnezją.

Ostatnio otrzymaliśmy flary na spadochronach, które dłużej oświetlały teren. Z jedną z nich miałem tragikomiczny wypadek w czołgu. Trzymałem pistolet sygnałowy w ręku, chcąc odciągnąć kurek, ale nie przesunąłem go do końca i kurek odskoczył, uderzając w spłonkę. Flara wystrzeliła wewnątrz naszego pojazdu. Odbijała się od ścian pancerza, jak kot skaczący po rozgrzanych węglach. To nie do wiary, jak długo taka mała flara może się wypalać. Gdy wreszcie zgasła, głęboko odetchnęliśmy. Nikomu nic złego nie się stało.

Tego wieczora przez parę godzin ochranialiśmy wioskę. Nic się nie działo. Nagle, około drugiej nad ranem usłyszałem wystrzał z moździerza. Pierwsze pociski padły zbyt daleko, ale bez wątplenia były przeznaczone dla nas.

Wkrótce wioska znalazła się pod ciężkim ostrzałem. Rosjanie wiedzieli, że jest zajęta i chcieli ją oczyścić, nim dalej ruszą na zachód. Jednak sposób, w jaki to robili, wskazywał, że nie mieli pojęcia, iż mają do czynienia z całą kompanią Tygrysów.

Widziałem na linii drzew błyski wystrzałów. Przemieszczały się coraz bardziej w prawo. To musiały być czołgi. Rosjanie chcieli dotrzeć do drogi na drugim końcu wioski. Tam zajmował pozycje starszy sierżant Zwetti.

Za nim znajdował się czołg von Schillera. Skontaktowałem się przez radio ze Zwettim. Flary oświetleniowe pomogły mi ustalić, że T-34 przejeżdżały nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od jego pozycji. W huku artylerii von Schiller nie słyszał odgłosów silników czołgów. Dzięki temu Iwan dotarł już prawie do wioski. Zwetti zapalił pierwszy z rosyjskich

pojazdów, ale ku swemu zaskoczeniu spostrzegł, że na środku wiejskiej drogi stoi drugi T-34, tuż obok czołgu von Schillera.

Rosjanie, pechowo dla siebie, mieli zamknięte włazy. Nie widzieli, co dzieje się dookoła.

Na pancerzu ich czołgu ulokował się desant piechoty. Piechurzy też nie zorientowali się w sytuacji. Potem było już za późno.

Kiedy von Schiller obracał wieżę, wjechał w niego rosyjski czołg. W tej sytuacji Tygrys, by móc oddać strzał, musiał się najpierw trochę cofnąć. Ja zaś bałem się strzelać, aby w niego nie trafić. To była jedna z najbardziej wariackich sytuacji, jakie przeżyłem na froncie!

Potem Zwetti wykończył jeszcze trzy czołgi. Wówczas Rosjanie się wycofali. Rzeczywiście ponieśli spore straty. Pozostawaliśmy przez całą noc w kontakcie radiowym, a na jednym z kanałów cały czas słyszeliśmy rosyjskie rozmowy. Znaczyło to, że nie znajdowali się od nas zbyt daleko.

O świcie nasi piechurzy zbliżyli się ostrożnie do T-34. Stał tuż obok czołgu von Schillera. Oprócz przedziurawionego kadłuba nie było widać żadnych zniszczeń. Co zaskakujące, gdy weszli na wieżyczkę, by otworzyć włazy, okazało się, że są zamknięte. W tym momencie z czołgu wyleciał granat zaczepny. Wybuch poranił kilku naszych.

Von Schiller jeszcze raz musiał ostrzelać wroga. Dopiero po trzecim strzale rosyjski dowódca opuścił pojazd. Był ciężko ranny i natychmiast upadł na ziemię. Pozostali Rosjanie zginęli. Zabraliśmy rosyjskiego podporucznika na przesłuchanie do sztabu dywizji, ale z powodu upływu krwi zmarł podczas jazdy.

Ten incydent nauczył nas, jak bardzo trzeba być ostrożnym. Ruski z pewnością przekazał szczegółowe raporty o naszej jednostce. Poza tym mógł obrócić wieżę i z bezpośredniej odległości strzelić w czołg von Schillera. Pamiętam, jak narzekaliśmy na upór rosyjskiego podporucznika. Dzisiaj mam o nim zupełnie inną opinię...

\* \* \*

Odwrót Grupy Armii Północ przerywały manewry oskrzydłujące Rosjan. Trasa przemarszu stawała się coraz bardziej zatłoczona przez cofające się oddziały. Wróg coraz częściej przerywał tę jedyną linię komunikacyjną. Musieliśmy przywracać łączność na drodze. Mieliśmy z tym pełne ręce roboty.

Podczas trwania tych działań mieliśmy wielokrotnie okazję, by

podziwiać dyscyplinę naszych przeciwników. Działali dokładnie tak, jak nakazuje podręcznik. Podczas jednej z potyczek odparliśmy atak, wyglądający tak jakby był przeprowadzany na ćwiczeniach.

Rosjanie zaatakowali kilka kilometrów na zachód, w pełni wyposażonym pułkiem piechoty, wspieranym przez czołgi. Nacierali z północy na południe w kierunku naszej drogi odwrotu. Zbliżyliśmy się do nich od wschodu, wzdłuż ich lewego skrzydła.

Wzięliśmy udział w spektaklu rzadko widywanym na wojnach. Rosjanie często zupełnie nie chronili lewego skrzydła, przemieszczali się przed naszym frontem jak na placu musztry. Zatrzymaliśmy się na skraju wioski i otworzyliśmy ogień.

Ich czołgi stanęły w płomieniach. Te straty wydawały się zupełnie nie mieć wpływu na działania rosyjskiej piechoty, która bez żadnych zmian kontynuowała natarcie. Nie było takiej sytuacji, aby dwóch Rosjan biegło obok siebie. Poruszali się skokami co trzy, cztery kroki, i przypadali do ziemi.

W ten sposób dotarli do naszej drogi frontowej bez wsparcia pancernego. Musieliśmy ją jeszcze raz odbijać z ich rąk. Ta potyczka pokazała, jak ważna jest dyscyplina bitewna i jak małe ponosi się straty, gdy każdy wie, co ma robić i prawidłowo wykonuje wszystkie działania.

Kiedy kolumna mogła już posuwać się naprzód, natychmiast robiło się gorąco. Rosjanie atakowali ją z tyłu. Takie dzikie zamieszanie trwało nieprzerwanie aż do samej Narwy. Pewnej nocy Rosjanom udało się nawet okrążyć stanowisko dowodzenia dywizji.

Nie mieliśmy trudności ze zniszczeniem sił rosyjskich, które mogły tylko przeprowadzać uderzenia oskrzydlające z pomocą szybkich formacji takich, jak: piechota zmotoryzowana, lekkie armaty przeciwpancerne i lekkie czołgi. Rankiem okrążony wcześniej sztab mógł ruszyć dalej. Generał - dowódca dywizji - jechał w moim czołgu, który był ostatni w kolumnie.

Przy węźle drogowym w Wołosowie znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Naszym zadaniem było utrzymanie za wszelką cenę pozycji wokół wioski Opolie, aż do momentu, kiedy otrzymamy wyraźny rozkaz wycofania się. Działo się to na południowym skraju drogi frontowej.

Sama wioska znajdowała się jakieś 100 metrów po drugiej stronie drogi. Rankiem wszystko wydawało się jasne. Spokojnie mijały nas jednostki tylnej straży. Batalion piechoty miał zapewnić osłonę naszym czterem Tygrysom. Ponieważ większość jednostek nie była zmotoryzowana, ich przemarsz odbywał się zrywami, a my musieliśmy

czekać na wsparcie. Na trasie odwrotu, poza kilkoma drobnymi potyczkami, nie doszło do poważniejszych incydentów. Wioska znajdująca się przed nami wracała do życia.

Widzieliśmy poruszające się w niej ludzkie sylwetki, więc staraliśmy się być czujni. Mimo wszystko mieliśmy nadzieję, że czeka nas spokojna noc. Poza naszymi czterema Tygrysami jak okiem sięgnąć nie było widać żadnego innego pojazdu. Na szczęście Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z naszej sytuacji albo bali się nas zaatakować. Dwa razy próbowali ustawić z boku działa przeciwpancerne, ale nie pozwoliliśmy im wystrzelić więcej niż po jednym pocisku.

Rosyjski dowódca zrobił sobie trochę wolnego. Najwyraźniej był przekonany, że nasze czołgi zabezpieczą dobrze ukryta piechota. Inaczej na pewno kazałby zbliżyć się swoim piechurom do naszych pozycji.

Wkrótce przed północą zaczęły od zachodu nadjeżdżać nasze bojowe pojazdy. Był to batalion fizylierów, który nie zdołał do nas wcześniej dołączyć i teraz - spóźniony - wycofując się, zmierzał w naszym kierunku. Dowódca batalionu siedział w czołgu jadącym na czele. Oficer był kompletnie pijany. Klęska była nieunikniona.

Cały ten pododdział nie miał zielonego pojęcia, że wchodzi w pole ostrzału Rosjan. Gdy tylko Iwan otworzył ogień z karabinów maszynowych i moździerzy, ogarnęła ich przeraźliwa panika. Wielu żołnierzy zginęło. Nie miał kto dowodzić, więc zamiast schronić się na południu, wszyscy starali się dotrzeć do drogi frontowej. Jakikolwiek koleżeństwo i współdziałanie zniknęło. Każdy myślał o własnej skórze. Tylko to się liczyło.

Rannych rozjeżdżały czołgi. Cała droga frontowa zamieniła się w horror. A przecież można było zapobiec masakrze, gdyby dowódca tego motłochu nie spał pijany w czołgu i wykonał swoje obowiązki, to znaczy: przeprowadził oddział na przełaj, w szyku ubezpieczonym.

Po gwałtownym ostrzale Rosjanie przerwali ogień, a dowódcy naszych czołgów i radiooperatorzy opuścili pojazdy i czołgali się do drogi, by uratować przynajmniej kilku ciężko rannych. Zatrzaszczyliśmy się o nich tak, jak umieliśmy. Potem ułożyliśmy ich na pancerzach Tygrysów. Noc utrudniała nasze działania.

Rosjanie mogli przez cały czas obserwować, co robimy, podczas gdy my identyfikowaliśmy ich położenie tylko dzięki błyskom wystrzałów. Nasza pozycja stawała się coraz trudniejsza. Co kwadrans kontaktowałem się z batalionem, ale oczekiwany rozkaz odwrotu nie nadchodził. Rosjanie raz po raz dokuczliwie ostrzeliwali nas z moździerzy, nawet nie próbując



zbliżenia. Na szczęście straty z tego powodu nie okazały się zbyt dotkliwe.

Nad ranem sierżant Wesely zameldował, że w jego czołgu została przestrzelona chłodnica. Pół godziny później taki sam raport dotarł z drugiego czołgu. Oznaczało to, że dwa pozostałe pojazdy będą musiały holować te uszkodzone. Nie mogliśmy ich przecież zostawić, trudno było o takie nowe maszyny. Kierowcy też nie chcieli ich porzucać, bo troszczyli się o nie jak średniowieczni rycerze o swoje cenne wierzchowce.

Zameldowałem o tych zdarzeniach w batalionie. Po około dwudziestu minutach nadszedł długo oczekiwany rozkaz wycofania się. Zaczepiliśmy unieruchomione czołgi, najlepiej jak umieliśmy, i holowaliśmy je przez dwa kilometry do wojskowego składu żywności, który w tym czasie płonął już jak pochodnia.

Nasi żołnierze nie byli w stanie zabrać ze sobą wszystkich zapasów, a nie chcieli nimi obdarowywać Rosjan. Zjechaliśmy z trasy na południe, ponieważ na zachód od nas znajdowały się już rosyjskie wojska. Dalsze przebijanie się przez ich pozycje nie miało sensu. Staliśmy nadal przy dopalającym się składzie zaopatrzeniowym, ponownie zakładając kable holownicze.

Nagle powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Podmuch rzucił nas na ziemię, jakby skosił nas jakiś olbrzym. W tej samej chwili stopy żywności, na którą zawsze wyczekiwaliśmy z utęsknieniem, wyleciały w powietrze. Za nią leciały w górę belki i palety wszelkich rozmiarów, zasłaniając niemal całe niebo. Szczęście, że nikt z nas nie odniósł ran w tak haniebnej sytuacji.

Saperzy, dokonujący tego zniszczenia, przeprowadzili sprawną operację. Mogli jednak zrobić to trochę później. Rzadka okazja utraty życia po uderzeniu puszką z mięsem specjalnie nas nie podniecała. Szybko zebraliśmy się i ruszyliśmy dalej. Trzymał silny mróz, więc droga frontowa była twarda i dzięki temu łatwa do pokonania.

W szarym świetle poranka spostrzegłem zbliżający się samochód terenowy, jechał w nim nasz dowódca. Nie wahał się, by wyjechać nam na spotkanie, chociaż w okolicy nie było żadnych niemieckich jednostek, a Rosjanie mogli pojawić się lada chwila. Major Jähde uścisnął mnie serdecznie i przyznał się, że już chcieli spisać nas na straty.

Odnieśliśmy wielki sukces, ponieważ zdołaliśmy odholować oba uszkodzone czołgi.

Piechota jechała na pancerzach czołgów. Byli to bardzo zmęczeni żołnierze, którzy już prawie nie mogli iść o własnych siłach. Siedzieli blisko wentylatorów chłodnicy; tamtędy wydmuchiwane jest gorące

powietrze z komory silnika. Posnęli ze zmęczenia i zatruli się tlenkiem węgla. Powietrze było wymieszane ze spalinami. Pomimo natychmiastowej reanimacji kilku z nich nie udało się uratować. Od tego czasu ostrzegaliśmy zawsze żołnierzy przed grożącym im niebezpieczeństwem .

\* \* \*

Węzeł drogowy w Wołosowie musiał być utrzymany za wszelką cenę, aby zapewnić kolumnom transportowym całej armii możliwość powrotu do Narwy. Żołnierze pułkownika Wenglera zajęli pozycje blokujące na wschodnim skraju miejscowości. Reszta naszego batalionu została rozmieszczona wzdłuż trasy razem ze wszystkimi pododdziałami artylerii przeciwpancernej.

Nie mieliśmy najmniejszej szansy na dotarcie bez kłopotów do Wołosowa. Major Jähde wyjaśnił, że musimy objechać wielkie bagna. Trzeba było ponownie zjechać z trasy na północ. Drogę między nami a Wołosowem przeciął już Iwan. Jedyłą naszą szansą było przebić się drogą prowadzącą na zachód.

W dzień było to niemożliwe, więc czekaliśmy do wieczora. Nim ruszyliśmy, major Jähde łyknął spory haust wódki i usiadł u stóp mojego celowniczego. Co mógł jeszcze zrobić poza ściskaniem kciuków?

Wieże holowanych czołgów obróciliśmy tyłem do kierunku jazdy. W ten sposób można było skutecznie osłaniać tyły. Gdy tylko ruszyliśmy na zachód, rosyjskie armaty przeciwpancerne zaczęły ostrzeliwać wieżyczki od tyłu. Holowany czołg tworzył pewną zasłonę. Jednak nieprzyjacielski pocisk zerwał hol. Pojazd został odczepiony, ale tylko na chwilę. Wszystko skończyło się dobrze.

Do nowej linii obrony mieliśmy niecałe trzy kilometry. Rosjanie zajmowali pozycje po obu stronach drogi frontowej. Oczywiście, starali się nas wykończyć. Kilku z nich nawet wskoczyło na pancierz naszego czołgu, ale bez większych sukcesów. Natychmiast poleciały w ich stronę granaty trzonkowe. Do tego dołożyły się przekleństwa mojego oddanego kierowcy Köstlera. Rosjanie, tym razem, z pewnością nie byli do końca zdeterminowani. Ostrzelały nas własne armaty przeciwpancerne. Koledzy sądzili, że jesteśmy wrogami! Dopóki nie odpowiedzieliśmy z dział tego samego kalibru, nie mieliśmy chwili spokoju. Laik powiedziałby, że mogliśmy dokonać identyfikacji flarami sygnałowymi.

Oczywiście, że tak zrobiliśmy. Ale kto się przejmuje takimi sygnałami w chaosie odwrotu, jeśli nie wiadomo, kto ich właściwie używa - Niemcy czy Rosjanie?

W Wołosowie nareszcie natknęliśmy się na resztę naszej kompanii. Do obrony przygotowano spore siły. Piechurzy pułkownika Wenglera zbudowali wokół miasteczka znakomite pozycje obronne. Otwarta pozostała tylko droga na zachód, do Narwy. Nasze cztery Tygrysy dołączyły do pododdziałów piechoty. Reszta batalionu ruszyła w kierunku końcowej stacji kolejowej, gdzie ciężkie czołgi miały być załadowane na platformy. Wspierała nas skutecznie ciężka artyleria.

Za obronę Wołosowa odpowiadał pułkownik Wengler. Aby go uczcić, miejscowość tę przemianowano na Wenglerowo. To był typ prawdziwego przywódcy. Rezerwista, dyrektor banku. Jego osobowość zjednywała mu zaufanie wszystkich podwładnych. Poszliby za nim nawet do piekła. Godne podziwu było jego opanowanie, tak bezcenne w krytycznych sytuacjach. Przy jakiejś okazji prowadził krótką odprawę zaledwie o 100 metrów od linii wroga. Rosjanie strzelali z trzech stron, na pewno nie było bezpiecznie. Pułkownik właśnie przedstawiał sytuację, gdy wybuch pocisku moździerzowego wyrwał futrynę z okna. Jeden z oficerów został ranny w rękę i szukał schronienia pod stołem. Pułkownik spojrzał lekceważąco w stronę rannego i powiedział:

- Panowie, nie dopuszczajcie do tego, aby zwykła strzelanina doprowadzała was do szaleństwa. Wróćmy do sedna sprawy. Kiedy skończymy, będziemy mogli udać się na nasze posterunki.

Przywrócił nam wiarę w siebie. Dowódca, który kontroluje swoje czyny i zachowanie, może wymagać wszystkiego od podwładnych.

W Wołosowie po raz pierwszy spotkaliśmy członków III Korpusu Pancernego SS. Zdobyli sobie wielką sławę, broniąc pozycji w Narwie. Zawsze zazdrościliśmy im lepszego wyposażenia. Jednak tym razem cieszyliśmy się z tego spotkania. Imponowało nam ich beztróskie podejście do wojny, chociaż nie akceptowaliśmy tego, jak bezwzględnie traktują ludzi i jak nie szanują sprzętu. Tam, gdzie używano oddziałów SS, działania bywały na ogół skuteczne, ale straty w ludziach bardzo duże, tak że często wycofywano te oddziały z powodu reorganizacji. My nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Musieliśmy oszczędnie gospodarować ludźmi i sprzętem. Zawsze naszym celem było osiągnięcie jak najlepszych efektów, przy jak najmniejszych stratach.

Rosjanie z całą siłą nacierali na Wenglerowo. Byliśmy bardzo szczęśliwi, gdy wreszcie nadszedł rozkaz opuszczenia pozycji obronnych.

Odwrót osłaniały zmotoryzowane jednostki SS. Specjalne wagony kolejowe do przewozu Tygrysów już czekały na boczniczy kolejowej. Wkrótce potem pełną parą ruszyliśmy w kierunku Narwy. Podczas załadunku dostaliśmy smutną wiadomość: dowódca 1. kompanii, porucznik Diels, został zabity. Jadąc samochodem terenowym, drogą frontową ostrzeliwaną przez Rosjan, został trafiony odłamkiem szrapnela prosto w serce.

# 11 „STARY FRYC”

Udało nam się szczęśliwie dotrzeć do Narwy. Nowe pozycje wydawały się dobrze ufortyfikowane i mocne na tyle, by zatrzymać Rosjan. Niestety, od razu zaczęły się kłopoty. Nie mogliśmy znaleźć kolumn zaopatrzeniowych. Brakowało kwater. Wraz z innymi pododdziałami szukaliśmy miejsca, gdzie można by się trochę ogrzać. Oczywiście załogi naszych dwóch unieruchomionych czołgów także zostały wysłane do Narwy. Ruszyłem na ich poszukiwanie.

Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą dwa termosy z porządną grochówką. Bałem się, że moi żołnierze stoją na mrozie wygłodniali i zmarzną. Kierowałem się na wschód, co nie było łatwe, bo cały ruch odbywał się w przeciwnym kierunku. Na stacji kolejowej odnaleźliśmy uszkodzone Tygrysy, ale nigdzie nie widzieliśmy załóg. Zaczęliśmy ich szukać, chodząc od domu do domu. W jednym z nich moi „wygłodniali” i „zmarzną” ludzie, niczym się nie przejmując, siedzieli sobie przy stole. Zajadali klopsiki i inne smakołyki serwowane przez panią domu. Powitali mnie głośnym „Hallo”, zapraszając do stołu. Ochocho przyłączyłem się do uczty.

Byliśmy potwornie zmęczeni, marzył nam się odpoczynek w porządnym łóżku, a największym pragnieniem było spać, spać, spać... Niestety, nic z tego.

Przyszedł rozkaz wyjazdu i dotarcia do naszej jednostki na drodze frontowej. Ruszyliśmy, gdy już zrobiło się ciemno. Po przebyciu jakichś 20 kilometrów na zachód dostaliśmy ostrzeżenie:

- Wszyscy na prawo. Nadjeżdżają pojazdy, ruch dwukierunkowy!

Z przeciwnej strony - z dużym trudem - nadjeżdżał Tygrys. Zatrzymał się. Wsiadający z niego starszy sierżant Zwetti miał dobre wiadomości. Przeprowadził resztę kompanii, a więc nie musieliśmy wracać po niego na stację.

Nareszcie mogłem wsiąść do swojego czołgu. Wszystkimi czterema Tygrysami ruszyliśmy na wschód. Łóżko i sen znowu okazały się tylko słodkim marzeniem. Zwetti nie znał szczegółów naszego nowego zadania: po prostu mieliśmy zameldować się u dowódcy dywizji SS, która utrzymywała przyczółek w Narwie. Przekraczając zbudowany przez naszych saperów most, byliśmy pełni złych przeczuć. „Coś” wisiało w powietrzu. Odnalezienie stanowiska dowodzenia nie było łatwe.

Żołnierze z dywizji grenadierów pancernych „Nordland” byli przeważnie Skandynawami i niewiele rozumieli po niemiecku.

Dowódcą dywizji był generał major SS Fritz von Scholz, którego wkrótce przechrzciliśmy na „Starego Fryca”. Jego sztab mieścił się w dość niezwykłym miejscu, czyli w zaparkowanym obok domu starym autobusie. Tylko raz na tej wojnie - właśnie teraz - widziałem dywizyjny punkt dowodzenia, który znajdował się bliżej linii frontu niż stanowisko dowodzenia najbliższego pułku.

Zameldowałem się oficerowi operacyjnemu: stanowisko, stopień, numer jednostki i tak dalej... - Chcę się widzieć z panem generałem.

Hauptsturmführer spojrzał na mnie, jakbym był istotą z innej planety.

- Pan generał - powiedział, specjalnie wydłużając każdą sylabę - pan generał. Hmm! Nie ma tu nikogo takiego! Jesteśmy z Waffen SS, jakbyś nie wiedział. i nie ma tu żadnego „pana” ani „generała”. Tutaj jest brigadeführer i nie „pan”, ale to o niego chyba ci chodzi. J A tak przy okazji, tytuł „pan” zniknął z nazewnictwa wszelkich rang i dotyczy to również reichsführera.

Nie byłem przygotowany na takie przyjęcie. Natychmiast zmieniłem ton.

- Chcę się widzieć z brigadeführerem.

Oficer operacyjny pokiwał z uznaniem głową.

- To już lepiej - powiedział nadal lekko protekcyjnym tonem. - Wenger, idź i zapytaj brigadeführera, czy znajdzie chwilę czasu dla „pana porucznika” Cariusa z Tygrysów.

Spoglądając na moją rangę, słowo „pan” powiedział całkiem wyraźnie.

Untersturmführer przerwał pracę i rzucił przez ramię:

- Jasne, hauptsturmführer!

Po kilku minutach wrócił i powiedział:

- Brigadeführer oczekuje.

Ruszyłem do drugiego autobusu, kompletnie zaskoczony tym, co mnie tutaj spotkało. Ale jeszcze bardziej zaskoczył mnie fakt, że teraz meldowałem się komuś, kto zdawał się być uosobieniem swobody i ciepła. Rzadko można spotkać dowódców, których da się porównać ze „Starym Frycem”. Całkowicie identyfikował się z żołnierzami swoich oddziałów. Był zawsze ze swoimi chłopcami, serdeczny i dostępny dla każdego. Jego ludzie go ubóstwiali.

Przez cały czas traktował mnie jak syna. Wszyscy byliśmy bardzo poruszeni, gdy w Dyneburgu dowiedzieliśmy się, że „Stary Fryc” zginął w rejonie Narwy. W sierpniu 1944 roku miano go odznaczyć Krzyżem

Rycerskim, ale dla pogrążonych w bólu ludzi, którzy stracili „frontowego ojca” to już nie miało żadnego znaczenia.

Zameldowałem się, a von Scholz po przyjacielsku poklepał mnie po ramieniu.

- No dobrze, dlaczego nie mamy napić się po kieliszku za naszą wspólną walkę?

Napełnił dwie szklaneczki i stuknął się ze mną.

- Skąd pochodzisz?

Odpowiedziałem, a dalsza rozmowa przypominała rodzinne pogaduszki. Opisałem też pierwsze wrażenia na temat jego oddziałów. Roześmiał się serdecznie.

- Ha, ha, tak tu właśnie jest - i dodał: - Ja też po przeniesieniu z armii musiałem się trochę zmienić. Miałem bardzo mieszane uczucia, ale teraz nigdy bym nie zostawił tych chłopców.

Takich jak oni nigdzie nie zobaczysz, są naprawdę świetni. A do twojej prywatnej wiadomości - lubię jak się do mnie zwraca „panie generale”. Pochodzę ze starej szkoły i ta forma wydaje mi się bardziej naturalna. Teraz co do ciebie...

I zaczęliśmy rozmawiać o sytuacji. Bardzo sceptycznie odniosłem się do legendarnej linii obrony „Pantera”.

„Stary Fryc” wyjaśnił:

- Jeśli chcesz wiedzieć, „Pantera” istnieje tylko na papierze. Przez cały zeszły rok nie mogliśmy zbudować takich pozycji obronnych. Mamy wprawdzie nadal kilka bunkrów z czasów natarcia, ale nie tam, gdzie ich najbardziej potrzebujemy. Poza tym Rosjanie nacierają szybciej, niż przewidywaliśmy, a na dodatek nasze oddziały wycofały się już z pozycji, które nadawały się do obrony. Każdy wskazany na mapie kawałek terenu, na którym chcieliśmy utworzyć przyczółek frontowy, okazywał się już zajęty przez Rosjan.

Musiałem więc stworzyć nową linię przyczółków. Waszym zadaniem będzie pomóc ludziom na linii frontu w zajęciu jak najlepszych pozycji na ich odcinkach. Rosjanie nacierają słabymi siłami rozpoznawczymi, nie powinniście mieć trudności z ich odparciem. W tym czasie moi ludzie rozbudują linię frontu.

Moje zadanie zostało wyraźnie sprecyzowane. Z okolic Leningradu wycofano artylerię, która wpierała nas i żołnierzy z Waffen SS.

Przez długie miesiące udawało się utrzymać front wzdłuż Narwy tylko dzięki wsparciu artylerii. Nasze czołgi przez cały czas znajdowały się blisko stanowiska dowodzenia - na wschód od Narwy. Południowa linia

frontu biegła wschodnim skrajem miasta, następnie - na krótkim odcinku - zachodnim brzegiem rzeki, formując linię frontu, aż do ujścia Narwy do Bałtyku.

\* \* \*

Czas względnego spokoju szybko się skończył. Rosjanie skierowali przeciwko naszemu przyczółkowi spore siły. Ściągnęli ciężką i bardzo ciężką artylerię. Wkrótce można było odnieść wrażenie, że w mieście odbywa się nieustanny pokaz sztucznych ogni. Dzięki postawie Waffen SS Iwan nie zdołał zbudować dróg podejścia do naszego przyczółka. Jednak Rosjanie trzymali most pod ciągłym ostrzałem. Bardzo mnie to niepokoiło.

Most kolejowy miał być zniszczony. To była ostatnia przeprawa przez Narwę i gdyby została zniszczona, utknęlibyśmy w pułapce, pozbawieni możliwości użycia czołgów na zagrożonych odcinkach frontu.

Opisałem sytuację „Staremu Frycowi”. Ustaliliśmy, że musimy przenieść Tygrysy na zachodni brzeg rzeki. Dzięki temu, w ciągu kilku minut moglibyśmy dotrzeć do każdej pozycji.

Wycofaliśmy się za most. Rozglądałem się za odpowiednim miejscem koncentracji pojazdów, gdy pojawił się terenowy Volkswagen z proporczykiem korpusu. Zatrzymał się. Ku mojemu zdziwieniu z auta wyskoczył feldmarszałek Model. Złożyłem raport i w tej samej chwili rozpętała się burza. Brwi Modela drgały. (Widziałem kiedyś coś takiego na Froncie Centralnym.)

Nie pozwolił mi na żadne wyjaśnienia. Feldmarszałek wydał rozkaz, którego nigdy nie zapomnę.

- Czynień cię osobiście odpowiedzialnym za to, aby ani jeden rosyjski czołg nie przekroczył Narwy. Żaden z twoich Tygrysów nie może zostać zniszczony. Potrzebujemy każdej lufy!

Feldmarszałek Model nie pozwalał sobie na kompromisy i litość w stosunku do siebie, ale był wyrozumiały dla żołnierzy, którzy go za to podziwiali. Niczego nie żądał dla siebie. W 1945 roku w oblężonym Zagłębiu Ruhry jeszcze raz usłyszałem jeden z jego bon motów:

- Dzień ma dwadzieścia cztery godziny. Dodaj do tego noc i zdołasz wykonać robotę!

\* \* \*



Wkrótce nasza współpraca z dywizją „Nordland” dobiegła końca. Esesmani okopywali się na swoich nowych pozycjach, a my staraliśmy się ochraniać ten odcinek frontu, osłaniając ich od ognia rosyjskich armat przeciwpancernych. Żołnierze z tej dywizji walczyli jak lwy. Nigdy ich nie zapomnę.

Dzięki własnym doświadczeniom lepiej znali bolszewizm niż teoretycy na Zachodzie, którzy swoją wiedzę o ludziach Wschodu czerpali z grubych ksiąg.

Wielu z żołnierzy walczących w Kurlandii przedostało się do Szwecji, między innymi członkowie III Korpusu Pancernego SS. Zostali internowani, a później pod naciskiem aliantów wydani w ręce Rosjan. Trzeba zwrócić uwagę, że stosunki między Zachodem a Rosją były złe. Było oczywiste, jaki los zgotują komuniści żołnierzom z krajów bałtyckich. W tym świetle decyzja rządu szwedzkiego oburzyła nas. A przecież w Szwecji tak dużo i pięknie mówiono o Czerwonym Krzyżu.

Estończyków, Łotyszów czy Litwinów wysyłano na śmierć bądź na wieloletnią zsyłkę na Syberię. Tak jak wiele lat wcześniej ich dziadków i pradziadków.

Z szokujących raportów z obozów dla internowanych dowiadujemy się o tym, co się tam działo. Na wieść, że zostaną przekazani Rosjanom, żołnierze popełniali samobójstwa albo dokonywali samookaleczeń. Nasi żołnierze z krajów bałtyckich brali broń do ręki, by bronić swego kraju i cywilizacji zachodniej przed bolszewizmem. Szwedzi wydawali ich na pewną śmierć.

\* \* \*

U ujścia Narwy czekało na nas następne zadanie. Ciężar rosyjskich ataków przeniósł się w ten rejon. Sytuacja wokół naszego przyczółka na Narwie była dla Rosjan mocno kłopotliwa. Chcieli przeniknąć po zamarznętej rzece, aby stworzyć własny przyczółek na jej zachodnim brzegu.

Centralnym punktem ich ataków była wioska Riigi, leżąca na zachodnim brzegu, pomiędzy Narwą a Bałtykiem. Piechurzy Wenglera - pomimo śmiertelnego zmęczenia - bronili jej do upadłego. Korzystali z okopów z 1941 roku.

Rosjanie przedzierali się przez Narwę. Ludzie pułkownika Wenglera potrzebowali wsparcia w walce ze zmasowanymi atakami pancernymi.

16 lutego zostałem wysłany z dwoma czołgami w okolice Riigi. Stanowisko dowodzenia, osłaniane przez bagienny las, znajdowało się dwa kilometry za linią frontu. Pułkownik powitał mnie serdecznie.

- Ty znowu tutaj! To dobrze! Potrzebuję kogoś, z kim nadaję na tej samej fali. Sytuacja jest bardzo poważna, ale to na pewno już wiesz. Podczas odwrotu ponieśliśmy duże straty. Z mojego pułku został w zasadzie batalion, a odcinek, którego bronimy, powinien obsadzić co najmniej pułk. Ledwie utrzymujemy linię frontu. Utworzyliśmy sieć punktów umocnionych, ale oceń sytuację osobiście, a nie na podstawie map sztabowych. Tak będzie najlepiej.

Ruszyliśmy na rekonesans. Dzięki temu później mogliśmy poruszać się po tym terenie również nocą. Poziom aktywności bojowej był bardzo wysoki.

Na batalionowym stanowisku dowodzenia poinformowano nas o kolejnej wrogiej próbie penetracji naszych pozycji obronnych. Rosjanie przeprowadzali ataki bez żadnej osłony, ponosząc przy tym ogromne straty. Przedzierali się po lodzie przez Narwę i natychmiast oblegali nasze okopy jak wszy. Musieliśmy się ich pozbyć, nim zdążyli wyprowadzić kolejny atak. Nie zważając na straty, za wszelką cenę dążyli do celu.

Naszym zadaniem było wsparcie piechoty przy zajmowaniu kolejnych części transzei. Ostrzał musiał być precyzyjny, by ogniem z dział nie razić naszych ludzi. Musieliśmy zbliżyć się na pięćdziesiąt metrów do biegnących zygzakiem okopów. Stąd obserwowaliśmy działania piechoty.

Za każdym razem, gdy zajęli fragment okopu, dawali nam znak. W odpowiedzi, z armat kalibru 88 mm ostrzeliwaliśmy kolejne dwadzieścia metrów umocnień. W ten sposób przygotowywaliśmy je do przejęcia. W momencie gdy ponad okopem pojawiały się charakterystyczne hełmy naszych żołnierzy, przerywaliśmy ostrzał, a piechota zdobywała następny fragment transzei. Nasza współpraca układała się znakomicie.

Pomimo ogromu ponoszonych ofiar Rosjanie nie odnosili sukcesów, lecz ich artyleria reagowała natychmiast na obecność naszych czołgów. Wysłali nam „powitalną salwę”. Wschodni brzeg Narwy wspinał się stromo. Ze skraju lasu, który porastał brzeg, Iwan miał świetne pole obserwacji naszych pozycji. Ich artyleria starała się utrudniać nam życie, jak mogła. Za każdym razem, gdy wysuwaliśmy się z linii lasu, po ich stronie rzeki błyskały ognie wystrzałów. Potrzebowali do tego niespełna trzech minut. Tylko jazda zygzakiem chroniła nas przed bezpośrednimi trafieniami.

Skoncentrowałem się na dalszym odcinku brzegu rzeki, a Zwetti

wspierał piechotę. Niszczyliśmy codziennie po kilka stanowisk ich dział, lecz następnego dnia pojawiały się nowe.

Przy okazji udało mi się oduczyć kierowcę jednego z czołgów - Lustiga, szaleńczej postawy. Ten wulkan energii woził mnie, gdy mój czołg był unieruchomiony. Lustig był z zawodu kowalem i miał posturę kafara. Jego dowódca wspominał, że ten gość zawsze szarżuje - aż do końca. To cecha godna podziwu, ale i niebezpieczna. Lustig był silny i odporny na ból. Kiedyś, gdy niedopałek papierosa wpadł mu za koszulę, nie zerwał ubrania, tylko wyjął żar gołą ręką. Gdy ścisnął mi dłoń na powitanie, czułem się, jakby miażdżył ją walec. Na widok wroga rwał się do przodu i trudno go było zatrzymać. Ale któregoś dnia i on nauczył się kontrolować emocje. Znajdowaliśmy się jakieś 500 metrów od niewielkiego lasu, gdy Rosjanie rozpoczęli ostrzał. Pierwsza salwa okazała się zbyt krótka, druga padła zaraz za nami. Nie czekałem na trzecią. Zawołałem do Lustiga: Wycofać się!

Nie zareagował. Staliśmy w miejscu, gdy Rosjanie wystrzelili trzecią salwę. Wokół wybuchały pociski. Na naszej ścieżce wylądował pocisk - kolos o średnicy 28 cm, ale nie eksplodował, tylko podskakując, jak wielka mysz zbliżał się w naszą stronę. Ślizgając się po śniegu, przeleciał pod naszym czołgiem. Po tym incydencie nawet mój przyjaciel Lustig przekonał się, że gdy pada komenda wycofać się, nie warto zwlekać.

Po raz kolejny podziwialiśmy jakość stali, z jakiej wykonano pancerz naszego czołgu. Był twardy, a mimo to elastyczny. Jeśli pocisk przeciwpancerny nie uderzył centralnie, to ześlizgiwał się po pancerzu, zostawiając tylko niewielkie wyżłobienie, jakbyś przejechał palcem po powierzchni masła.

W nocy nie mogliśmy pomagać kolegom. Straszaliśmy tylko wroga, strzelając w powłokę lodu pokrywającą Narwę. W ten sposób potrafiliśmy nieraz wyprzedzić ich natarcie. Wojska rosyjskie uparcie próbowały forsować rzekę. Nieraz w ciągu nocy ponawiały atak aż dwanaście razy. Do przeprawy używano nawet sań. Mimo olbrzymich strat, nacierali bezustannie. Obie strony walczyły z determinacją. Ale ich postawę nazywano „męstwem”, a naszą tylko „brawurą”.

Tak właśnie po wojnie oceniono żołnierza, który spełniał do końca obowiązki wobec Ojczyzny. Nazywano go „militarystą” lub „podżegaczem wojennym”, czyli w skrócie „złym nazistą”.

Gdy w końcu w rejonie Riigi zrobiło się trochę spokojniej, otrzymaliśmy nowy rozkaz wymarszu. Dostałem przepustkę. Wręczył mi ją pułkownik Wengler. On sam wracał do Niemiec, gdzie - jak mówił -

czekała go najtrudniejsza i najdłuższa bitwa w życiu. Miał zamiar się ożenić. Życzyliśmy sobie szczęścia.

Okazją, która pozwoliła mu na powrót do Niemiec była uroczystość wręczenia Liści Dębowych do Krzyża Rycerskiego. Był 404 żołnierzem, który otrzymał tak wysokie odznaczenie. Jego małżeństwo nie trwało długo. Wengler zginął na zachodzie w 1945 roku jako generał major. Zdążył jeszcze odebrać Miecze do Krzyża Rycerskiego.

Był 123 żołnierzem Wehrmachtu, który je otrzymał.

## 12 UTRZYMANIE FRONTU NAD NARWĄ

Jak wyglądał układ naszych sił obronnych wzdłuż Narwy 24 lutego 1944 roku? Już sama rzeka była znakomitą pozycją ochronną. Idąc w górę biegu, płynęła mniej więcej dziesięć kilometrów na południowy wschód, aż do ujścia w Zatoce Fińskiej. Zanim skręciła na południe, przepływała przez Riigi i Siverskij w kierunku miasta Narwa. Po dwóch kilometrach skręcała na zachód. Ta odnoga rzeki płynąca prawie dziesięć kilometrów ze wschodu na zachód, jest bardzo istotna dla naszej relacji. Idąc tym odcinkiem jakieś czterdzieści pięć kilometrów na południowy wschód, można dotrzeć do północno-wschodniego narożnika jeziora Pejpus.

Gdy wycofywaliśmy się z Riigi, linia frontu przebiegała od Zatoki Narewskiej przez Hungerburg - wzdłuż zachodniego brzegu rzeki. Ciągnęła się z Riigi prawie do Narwy. Potem przeskakiwała na wschodni brzeg, gdzie naprzeciwko miasta uformował się nasz przyczółek, niezbędny, by utrzymać samo miasto.

Linia frontu docierała do zakrętu rzeki, potem przeskakiwała na wschodni brzeg. Planowano zbudowanie kolejnego przyczółka pośrodku odcinka wschód-zachód. Ale jak często bywało, Rosjanie uniemożliwili nasze zamiary.

Linia kolejowa Narwa-Waiwara-Wesenberg przebiegała równoległe do koryta Narwy na odcinku wschód-zachód około ośmiu kilometrów na północ. W odległości jakichś ośmiuset metrów na północ biegła droga frontowa. Stąd było tylko pięć lub sześć kilometrów do wybrzeża Bałtyku. Teren pomiędzy rzeką i drogą frontową był całkowicie bagienny, także cała linia kolejowa biegła po sztucznym nasypie. Oddziały piechoty, które miały utworzyć przyczółek na południe od osi wschód-zachód, przybyły za późno.

Można było przypuszczać, że Rusczy nie zdążyli jeszcze pokonać bagien i umocnić się na północ od rzeki. Teren ten zdaniem najwyższego dowództwa nie nadawał się do walk.

Kiedy nasi chłopcy chcieli zająć planowane pozycje, zorientowali się, że Rosjanie pchnęli już spore siły między północny brzeg Narwy a drogę frontową. Przyczółek zagrażał naszym oddziałom w Narwie. Byliśmy jednak za słabi, by zepchnąć wroga na południowy brzeg rzeki.

Dlatego też nasza linia obrony przebiegała w zadziwiający sposób. Punkty oporu biegły na północ od linii kolejowej. W środku tego odcinka

obrony wbijały się głęboko na południe w rosyjski przyczółek. Ten kawałek miał kształt buta. Tak więc teren zajmowany przez Rosjan był podzielony na „wschodni worek” i „zachodni worek”. Takich terminów używał w raportach Wehrmacht.

Nasza „ścieżka” biegła z „buta” na północ, przechodziła przez linię kolejową, wioskę Lembitu i po następnych 800 metrach wcinała się we wzgórze, które kształtem przypominało kretowisko. Zaraz za nim docierała do drogi frontowej. W Lembitu krzyżowała się z drugim szlakiem, który biegł z zachodu, równoległe do linii kolejowej i docierał do zabudowań na skraju wsi. Na tym odcinku - między zabudowaniami gospodarczymi a skrzyżowaniem linii kolejowej - stały dwa domy.

Musiałem opatrzyć tym wstępem dalszą opowieść, aby dać czytelnikowi jasny opis terenu przyszłych walk. Naszkicowany plan powinien bardziej rozjaśnić obraz sytuacji.

\* \* \*

Powróciliśmy z Riigi do kompanii zaopatrzenia, znajdującej się dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Narwy, w rejonie między wybrzeżem a drogą frontową. Natychmiast udałem się na stanowisko dowodzenia batalionu, aby złożyć raport. Na prośbę zwierzchnictwa musiałem natychmiast zmienić w Lembitu chorego dowódcę mojej kompanii. Stacjonował w Lembitu, mając do dyspozycji dwa czołgi. Cztery inne broniły „zachodniego worka”. Natychmiast pojechałem samochodem terenowym do Lembitu, aby przejąć dowodzenie. Gdy zjeżdżałem z „Kinderheimu” („Ochronki”) - tak nazywano pagórek na północ od wioski - zauważyłem ślady walk. Dowódca ucieszył się na mój widok i natychmiast zniknął w samochodzie, którym przyjechałem.

Drugim czołgiem dowodził sierżant Kerscher. Zawsze nam się dobrze współpracowało. Walcząc razem, czuliśmy się pewniej. Mój towarzysz wyjaśnił sytuację. Rosjanie znajdowali się za nasypem kolejowym i umacniali pozycje. W wysokim nasypie można było kopać tunele na schrony.

Nasi ludzie obsadzili wioskę oraz dwa domy na skrzyżowaniu drogi z linią kolejową, a nasze czołgi stały za wioską. W nocy kontakt utrzymywały wysunięte czujki. Było to wbrew systemowi transzei, ale dowódca miejscowego pułku piechoty utrzymywał, że obecne pozycje są tylko tymczasowe. Jego stanowisko dowodzenia znajdowało się na

przeciwnym stoku „Kinerdheimu”. Wschodni stok był gęsto ostrzeliwany. Żołnierze piechoty wykopali we wzgórzu tunel, w którym czuli się całkowicie bezpieczni.

Ustaliliśmy z dowódcą piechoty, że my będziemy zabezpieczać teren w dzień, a jego ludzie w nocy. Przecież moi czołgiści też potrzebowali kilku godzin odpoczynku w ciągu doby.

Przeciągnęliśmy kable telefoniczne między wioską a domem stojącym na zachód od skrzyżowania dróg. Gdyby coś się stało, natychmiast by mnie powiadomiono. To był mój pomysł. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy. Nie mogliśmy wspierać ludzi, nie wiedząc, gdzie są ich pozycje i skąd nadchodzi atak.

Jak miała w tej sytuacji funkcjonować praca zespołowa? Dla nas, czołgistów, walki pozycyjne wewnątrz frontu nie były niczym specjalnym. Naszym żywiołem był atak i kontratak. Jednak nie byliśmy stworzeni wyłącznie do wielkich zadań. Chłopcy z piechoty nie utrzymaliby pozycji bez wsparcia czołgów.

Do pierwszego domu trzeba było przejść jakieś 700 metrów. Udałem się tam wraz z patrolem. Z nasypu kolejowego Rosjanie nie mogli w nocy obserwować tej trasy, porośniętej drzewami i roślinnością bagienną.

Tę pozycję obronną zajmowała kompania piechoty. Trudno było nawet powiedzieć, że to kompania, bo pododdział liczył zaledwie trzydziestu pięciu ludzi. Taki „imponujący” stan liczebny osiągnęliśmy dzięki temu, że trochę wcześniej przybyły uzupełnienia. Przyjechało kilkunastu rekrutów, którzy zupełnie nie mieli pojęcia o wojnie. Byli jednak chętni do walki i skorzy do pomocy. Później, z ruchomą czujką, udałem się do trzeciego punktu oporu, mieszczącego się tylko trzydzieści lub czterdzieści metrów od nasypu kolejowego.

Na prawo od nas nie mieliśmy żadnej osłony, ale Rosjanie nie próbowali atakować, tylko od czasu do czasu strzelali, zmuszając nas do padania twarzą w błoto. Jakby chcieli zaznaczyć, że są wciąż obecni. Znajdowaliśmy się o kilka metrów od najbardziej wysuniętych pozycji wroga. Było tu, trzeba przyznać, stosunkowo spokojnie. Tylko raz na jakiś czas od strony naszych pozycji artyleryjskich odrywał się jakiś pocisk i eksplodował po drugiej stronie nasypu.

Co chwila słyszeliśmy nawołujących się Rosjan. Tak jak i my fortyfikowali swoje ziemianki, umacniali pozycje i naprawiali drogi dojazdowe.

Następna kompania była rozlokowana 150 do 200 metrów dalej na linii lasu, który ciągnął się od nasypu kolejowego do drogi frontowej. Był to

najdłuższy odcinek broniony przez kompanię. Na punkcie kontaktowym czuwał żołnierz z 2. batalionu, wchodzącego w skład Dywizji „Feldherrnhalle”. Tam, w lesie, zaczynała się prawdziwa linia frontu. Rosjanie okopali się przy następnej linii lasu, 200 metrów na południe.

Zaden piechur nie lubi mieć za plecami otwartego terenu. Zostaje wtedy bez osłony, co więcej, praktycznie nie ma możliwości wezwania - bez wiedzy przeciwnika - pomocy w trudnych chwilach. Wróg może łatwo temu przeszkodzić. Nasza piechota znalazła się właśnie w takiej sytuacji i obecność czołgów stawała się absolutnie konieczna. Jeśli Rosjanie wpadliby na prosty pomysł, aby nacierać dalej na północ, nasi piechurzy nie mogliby bronić się bez pomocy czołgów.

Piechota była bardzo zaangażowana w rozbudowę umocnionych pozycji. Piwnice wzmacniano belkami, rozbudowywano paleniska, wyznaczano palaczy, którzy mieli pilnować ognia. W porównaniu do nich czołgiści mieli kiepskie warunki. Z rozrzewnieniem wspominaliśmy upał, jaki panował latem w naszych pojazdach. Teraz, w zimie, siedzieliśmy jak w igloo.

Zeby choć trochę się ogrzać, korzystaliśmy z ciepła lampy naftowej. Na szkoleniu surowo zabraniano zapalać lampy wewnątrz czołgów. A teraz paliły się największym płomieniem i to w obliczu wroga! Dzięki Bogu, że nasza beztroska nie spowodowała żadnego wypadku. Ale były inne efekty. Na przykład, jeśli któryś z nas zdrzemnął się, a nie przykręcił knota, ten zaczynał dymić, jakby kończył się świat.

Wszyscy wyglądaliśmy jak kominiarze. Sadza wciskała się wszędzie. Powietrze też nie było najlepsze. Aż dziwne, że nikt z moich ludzi nie uległ zaczadzeniu. Pamiętaliśmy powiedzenie: „Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od mrozu cała armia Napoleona”.

W czołgu nawet racje żywnościowe były przesiąknięte paliwem i spalinami. Z czasem do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ten zapach paliwa i smarów, czyli „zapach czołgów”, przylgnał do nas na lata.

O świcie podbiegł do mnie jakiś żołnierz. Zameldował, że pierwszy posterunek zauważył na nasypie kolejowym rosyjską armatę przeciwpancerną.

Obiecałem natychmiastowy kontratak. Trzeba było coś pokazać naszym piechurom. Wiedzieliśmy, że jeżeli uwierzą w siebie i siły naszego pododdziału, łatwiej będzie nam się porozumieć. I nie będziemy się obawiać, że narobią jakichś głupstw...

Obydwa czołgi chwacko ruszyły do drugiego punktu oporu i ustawiły się naprzeciwko nasypu kolejowego. Namierzyliśmy znakomicie



zamaskowaną rosyjską armatę. Widoczna była tylko długa lufa. Iwan nie strzelił do nas, więc stracił swoją szansę. Po chwili lufa jego armaty sterczała w górę, jakby była z obrony przeciwlotniczej.

Pomimo tego, że znajdowaliśmy się tylko pięćdziesiąt metrów od celu, nie wystarczyłby jeden pocisk, bo Iwan stworzył znakomite stanowisko bojowe. Najpierw trzeba było zmieknąć ich pozycje z zewnątrz. Przyjrzałem się okolicy. Bez wątplenia Ruscy mieli lepsze pozycje.

Za nasypem kolejowym rosło kilka rzędów jodeł. Na wysokich konarach ulokowali się strzelcy wyborowi, którzy kontrolowali okolicę. Mieli znakomitą widoczność, sięgającą aż do wysokich drzew bagiennego lasu. Cofnęli trochę linię obrony, bo nasyp kolejowy na wschodzie był niższy i nie dawał skutecznej osłony.

Po tych „porannych ćwiczeniach” powróciliśmy do wioski. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że te monotonne zajęcia będą trwały jeszcze kilka tygodni. Po powrocie na pozycje zobaczyliśmy jadący z „Kinderheimu” w naszym kierunku terenowy samochód Volkswagen. Oczywiście, Rosjanie zauważyli ten rajd i natychmiast otworzyli ogień z moździerzy.

Na szczęście nie trafili pojazdu. Tak dotarł do nas „Stary Biermann” - zawodowy podoficer. Pobiegł szybko do punktu zaopatrzeniowego oburzony, że racje żywnościowe nie docierają do nas nieprzerwanie. Przyjechał tu z ciepłym posiłkiem.

- Narażasz życie, aby przywieźć nam trochę kaszy do żarcia! Chyba oszalałeś?

Odpowiedź Biermanna był krótka:

- Nie zapominaj, że ja też lubię ciepłe żarcie i kawę. Ale jeśli wy na froncie nie dostaniecie czegoś na ząb, to jak my mamy cieszyć się naszym jedzeniem!

\* \* \*

To nie była czcza gadanina. Jego słowa płynęły prosto z serca. Tam, gdzie strzelają, by zabić, nie ma miejsca na puste gadanie. To było bezinteresowne partnerstwo i braterstwo, o którym nigdy nie zapomnimy. Jeżeli ktoś potrafi pokazać swoją prawdziwą twarz, charakter - a nie tylko zewnętrzną maskę i mundur - może być pewny, że towarzysze nie zawiodą go; zarówno w najgorszych wojennych chwilach, jak i w czasie pokoju. Do dzisiaj łączy nas wszystkich poczucie wspólnoty

i braterstwa.

Wojna nie jest niezbędna, by poznać kogoś do głębi. Jednak doświadczenia braterstwa broni, troska o innych, bez zważania na siebie, przekonują mnie, że nasz czas na wojnie nie był całkowicie stracony. Wskazał nam nawet naszą drogę życiową. W moim przekonaniu ludzie, którzy opluwają swoją armię i mówią o „skradzionych” latach, byli zwykle kiepskimi towarzyszami i bezgranicznymi egoistami.

Oczywiście, „Stary Biermann” był tylko stary dla nas, młodych byczków. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat. Miał rodzinę i należał do partii socjaldemokratycznej, przynajmniej tak twierdził. Nigdy nie skrywał własnych opinii, ale nie przestawał być podoficerem. To był wspaniały żołnierz. Nikt go nie pytał o legitymację partyjną! No, prawie nikt, poza szefem kompanii, który trzymał zapisy kompanijne i wiedział, kto gdzie należy i jaką wyznaje religię.

Któż się wtedy martwił, czy ktoś pochodzi z Saksonii, czy Palatynatu, Berlina albo Austrii. Ważne, aby spełniał swoje obowiązki względem grupy i żeby można było na nim polegać. Mieliśmy tego samego wroga. Z drugiej strony, jeśli ktoś zawiódł lub nie potrafił współdziałać, wyrzucano go z żołnierskiej społeczności. A powrót do niej był bardzo trudny.

Lubiłem rozmawiać z Biermannem o tym, co nas czeka po wojnie. Czasami dostrzegaliśmy, że możemy ją przegrać. Pozwalaliśmy też sobie na własne fantazje. Życie po wojnie mogło być cudowne, jeśli wszyscy szanowaliby się wzajemnie, tak jak u nas w kompanii, bez względu na religię, poglądy i wykonywany zawód. Najważniejsze to wykonywać swoją pracę najlepiej, jak się potrafi.

Wierzyliśmy, że takie idee przyświecają demokracji. Jednak, czy takie doskonałe stosunki mogą powstać na całym świecie? Później mieliśmy się przekonać, jak podobne wątpliwości oceniano. „Stary Biermann” lubił mówić:

- Facet, który siedzi przy korycie, staje się świnią. Ale jeśli tylko on jeden się ześwini, to i tak dobrze, reszta nadal może być w porządku.

Nieźle ponabijał sobie głowę takimi powiedzeniami.

\* \* \*

Po tych kilku dygresjach, powróćmy na front nad Narwą. Rosjanie zachowywali się podejrzanie cicho. „Posypywali” nas z moździerzy granatami tylko wtedy, gdy co kwadrans odpalaliśmy silniki naszych

Tygrysów. Prawdopodobnie myśleli, że chcemy trochę powalczyć, więc dawali znać o swojej obecności. Jak tylko rozlegało się bum... bum... bum..., zamykaliśmy włązy czołgów. Natychmiast blisko nas eksplodowały pociski. Ponieważ zapalniki moździerzowe są bardzo delikatne, granaty nie były w stanie nawet rozerwać zamarzniętej ziemi. Ich eksplozje pozostawiały tylko niewielkie ślady na jej powierzchni. Gdy ściągnęli wielkie moździerze 150 mm, sprawa stała się dużo bardziej niebezpieczna.

Dni mijały nam na drzemkach i marznięciu. W spokojnym, cywilnym życiu trudno sobie wyobrazić, że można się przyzwyczaić do bezustannego zimna. Mimo to zdejmowaliśmy ubrania dwa razy dziennie, by przeprowadzać odwszenia. Byliśmy wdzięczni za każdą puszkę DDT. Rzadko zmienialiśmy bieliznę. Wiedzieliśmy, że z problemem wszy może poradzić sobie tylko pranie w gorącej wodzie.

Nasza bielizna była tak brudna, że nawet wszy miały jej dosyć. Ich zapal do reprodukcji jakoś ostygł.

Miałem przy sobie trzy przedmioty, które przypominały mi życie w cywilu. Pierwszym był, bardzo przez nas ceniony, obcinacz do paznokci. Następnie grzebień, który służył całemu pospolitemu ruszeniu. Ostatnie cacko to długa szpilka do upinania włosów, której używałem do czyszczenia uszu. Ona również krążyła wśród kolegów. Udało mi się ją ocalić przez cały okres pobytu na wojnie i w obozie jenieckim.

Woda stanowiła duży problem. Mycie się czy golenie nie znalazły się zbyt wysoko na liście priorytetów. Kilka dostępnych studni oczywiście zamarzło. Piechurzy nie mieli ani trochę lepszej sytuacji od nas, ale próbowali sobie radzić. Kiedy nocą przywozili nam klopsiki, jedliśmy je rękami. Wówczas spod warstwy sadzy i brudu widać było kolor naszej skóry.

Ale te sprawy miały niewielkie znaczenie. Szczęściem było, jeśli w nocy mogliśmy trochę rozprostować kości.

Drugiej nocy stacjonowaliśmy na zachodnim obrzeżu wioski. Pod podłogą jednego z domów znaleźliśmy schron. Nie było w nim pieca, ale przynajmniej mogliśmy wyciągnąć się i przespać w zimowych mundurach. Ze zmęczenia w ogóle nie reagowaliśmy na mróz. Ciężarówka z paliwem, amunicją i żywnością, przyjechała o północy. Pierwszy raz od dłuższego czasu zjedliśmy wszystko z apetytem.

W dzień jedliśmy raczej niechętnie. Często nie jadłbym w ogóle, gdyby nie zmuszała mnie do tego załoga. Po prostu nie pozwalali mi zapalić papierosa, dopóki nie zjadłem choćby kawałka chleba. Szczególnie

nieubłagany był nasz kanonier, plutonowy Heinz Kramer. Trzeba dodać, że jak na istniejące warunki sprawiał wrażenie wyjątkowo dobrze odżywionego. Nasz sierżant żywnościowy, pochodzący z Wiednia podoficer Pseidl, z zawodu fryzjer, też nie szczędził wysiłków (choć wolał wrócić do załogi czołgu). Często dostarczał nam kluski i warzywa, starając się unikać ciężkostrawnego gulaszu.

Żołnierze, którzy dostarczali nam żywność, paliwo i amunicję zasługują na słowa najwyższego uznania. Mieli do wykonania trudne i odpowiedzialne zadanie. Ci zaradni ludzie musieli odszukać nas na linii frontu i dotrzeć do nas w jednym kawałku.

Zawsze przyjeżdżali nocą, bez świateł i w zasadzie nieprzejezdnymi drogami. Ich zadania były często dużo bardziej niebezpieczne niż nasze na froncie. My przynajmniej znaliśmy lokalną sytuację, oni mogli spodziewać się tylko niespodzianek. Kierowali się wyłącznie intuicją. Dzięki ich pomysłowości i inicjatywie nigdy nie brakowało nam zaopatrzenia.

Byliśmy całkiem zadowoleni z naszego „nocnego obozu”. Żołnierze na linii frontu też mogli czuć się bezpiecznie, ponieważ założyliśmy między nimi a nami linię telefonu polowego. Zwykle, tuż przed świtem, powracaliśmy do zabudowań wioski. Tam zazwyczaj ktoś składał raport o tym, co Rosjanie zmagstrowali ostatniej nocy na nasypie kolejowym.

Niekiedy zdarzały się sytuacje humorystyczne. Od czasu do czasu strzelaliśmy w korony drzew po drugiej stronie nasypu. Często znajdowali się tam rosyjscy snajperzy. Siedzieli nam na karkach i ograniczali możliwość swobodnego przemieszczania się. Któregoś dnia młody żołnierz, który najwyraźniej był na froncie od niedawna, przybiegł do naszego czołgu, niemal tracąc oddech.

Podenerwowany informował, że Rosjanie posadzili na drzewach strzelców wyborowych. Obserwował, jak serie z naszych karabinów maszynowych omiatają szczyty drzew. Biedak myślał, że będziemy tam strzelać z armat czołgowych.

I co zobaczył ten pełen dobrej wiary wojak? Smugi pocisków odskakujących we wszystkie strony po uderzeniu w gałęzie. A przecież trajektorie pocisków z karabinów maszynowych były zupełnie inne. To nasi towarzysze omiatali teren, pozbywając się snajperów. Chłopak powinien się już wcześniej zorientować, co się dzieje.

Kiedy już przeniknęliśmy do „wschodniego worka”, znaleźliśmy kamizelkę kuloodporną. Była prawdopodobnie noszona przez komisarza i według mnie poważnie ograniczała ruchy.

Moi ludzie przyzwyczaili się do surowej dyscypliny. Był tylko jeden wymóg, do którego stosowali się bardzo niechętnie: nikt nie mógł być zwolniony z udziału w operacjach i z pełnienia warty.

Dostawaliśmy wolne rano albo wieczorem. Jeśli było to konieczne i nie mieliśmy innego wyboru, cały czas spędzaliśmy w czołgu. Z czasem każdy z nas przywykł do takich zasad i już nie narzekaliśmy. Miałem poważny powód do wydania tak surowych zarządzeń. Większość ludzi z załóg moich czołgów zginęła, przebywając na zewnątrz.

Rosjanie, którzy obserwowali ich wędrówki, natychmiast otwierali ogień z moździerzy i karabinów maszynowych. Opuszczanie czołgu było niepotrzebnym narażaniem życia. Poza tym, nie mogłem ściągać z zaplecza wykwalifikowanych uzupełnień na miejsce rannych. Dzięki rygorystycznym rozkazom ponosiliśmy dwa razy mniej ofiar niż w innych oddziałach specjalnych. Oczywiście, jako dowódca czołgu musiałem co jakiś czas wychodzić, by nawiązać kontakt z piechotą. Moi ludzie bardzo tego nie lubili. Kiedy chciałem wyjść z wieżyczki, Kramer często chwycił mnie za nogi. Ciągle obawiał się, że mogę otrzymać postrzał.

Bombowce po raz pierwszy złożyły nam wizytę 27 lutego. Od tej chwili pojawiały się w każdą noc, nieraz nawet dwukrotnie przeprowadzając atak. Ewidentnie przygotowywały nasze pozycje na nadejście rosyjskiej ofensywy.

Przed wieczorem nadleciał z południa samolot rozpoznawczy i zrzucił za liniami naszej obrony znajomo wyglądające „drzewko choinkowe”. Chwilę później pojawiły się na niebie dwusilnikowe bombowce. Zrzuciły swoje ładunki po obu stronach drogi frontowej. W czasie nalotu wystrzeliwały czerwone i różowe flary, dzięki którym ich piloci wiedzieli, gdzie jesteśmy. Nie zrzucali bomb na swoich ludzi. Poza własną linią obrony zgromadzili stosy drewna, ułożone w kształcie gwiazdy. Zapalili je, gdy zapadł zmrok. Pomimo tych środków ostrożności sporo rosyjskich bomb spadło na pozycje ich własnej piechoty.

Byliśmy bardzo blisko pozycji Iwana, atakowano więc przede wszystkim nasze zaplecze. Przez kolejne tygodnie cały rejon wzdłuż drogi frontowej z Narwy Rosjanie zamienili w krajobraz księżycowy.

Bomby głęboko wbijały się w bagna, nim eksplodowały. Wykopywały olbrzymie leje w mokrej ziemi. Niektóre z nich miały wielkość domków jednorodzinnych i natychmiast wypełniały się wodą. Codziennie rano musieliśmy przeprowadzać rozpoznanie, aby nie wjechać czołgiem w taką morderczą pułapkę. Tak właśnie zdarzało się na innych odcinkach frontu.

Nasza artyleria przeciwlotnicza ostrzeliwała tylko samolot zwiadowczy. Mieli za mało amunicji. Niestety, nie zawsze udawało się go zestrzelić. Chociaż w zasadzie byliśmy bezpieczni, nie mieliśmy jednak spokojnej i miłej sytuacji. Kiedy spadały bomby, odnosiliśmy wrażenie, że lecą prosto na nas. Ich wybuchy wywoływały kołysanie ziemi. Gdy siedzieliśmy w czołgu, wydawało nam się, że pod siedzeniami mamy sprężynowe materace.

Wieczorem nad naszym przyczółkiem przelatywał rosyjski samolot rozpoznawczy, „dyżurny oficer” - jak nazwaliśmy go z powodu punktualności, Wracaliśmy wtedy szybko do naszego „domu” w Lembitu, aby nie poruszać się w terenie, gdy na niebie rozbłyśnie „drzewko choinkowe”. Ten krótki ruch nie był odwrotem. Po prostu jechaliśmy na zachód, równoległe do linii frontu.

Stacjonowaliśmy teraz naprzeciwko tak zwanej „cholewki buta”. Iwan był tuż obok nas. Bombowce nie mogły nas atakować w tak wąskim pasie, nie zrzucając równocześnie bomb na swoich piechurów.

Pewnego wieczora, gdy podniebni goście już nas opuścili, w wozie zaopatrzeniowym przyjechał dywizyjny chirurg. Chciał sprawdzić zdrowie i nastroje w pododdziałach. Nikt nie był chory, ale wszyscy mieli popuchnięte nogi. Niektórzy, aby ulżyć cierpieniu, musieli porozcinać cholewki butów. Nie mogli ich zdjąć z obawy, że nie zdołają ich na nowo założyć. Dlatego szlachetny doktor pojawił się i sprawdzał nasze nogi. Salwy śmiechu wywołała jego propozycja, abyśmy co wieczór moczyli stopy.

Przecież nie mieliśmy nawet wody, by umyć twarze, nie mówiąc o możliwości rozpalenia ognia. To zdradziłoby nasze pozycje! Dwóch moich ludzi musiano koniecznie przenieść na tyły, ich stopy były już w tragicznym stanie. Ale nie dali się przekonać, aby pojechać na zaplecze frontu choćby na krótki odpoczynek.

Taki właśnie duch panował wśród towarzyszy z linii frontu. Tylko defetystyczne fantazje trzeciorzędnych pismaków przedstawiane w ich bajeczkach wspominają, że trzeba było używać pistoletów, by utrzymać dyscyplinę w oddziałach bojowych.

## 13 CISZA PRZED BURZĄ

Oznaki nieuchronnego ataku Rosjan były coraz wyraźniejsze. Rankiem 28 lutego przeprowadziliśmy kolejną akcję przeciwko ich pozycjom przeciwpancernym. Iwan podejmował kolejne próby okopania armat przeciwpancernych. Zgodnie z tym, co podała nam piechota, przy skrzyżowaniu na nasypie kolejowym zbudowali kolejny bunkier, którego nie można było zniszczyć jednym bezpośrednim trafieniem.

Co wieczór dobudowywali nowe elementy. W tej robocie byli aktywni jak krety. Nie ulegało wątpliwości, że w budowie umocnień polowych Rosjanie mają nad nami przewagę. W ich armii panowała surowa dyscyplina, a roboty przebiegały szybko i sprawnie. Nim zdołaliśmy się zorientować, oni już się okopali. Rosyjskie armaty przeciwpancerne nigdy nie podejmowały pojedynków ogniowych. Ich obsady zawsze się zmywały, zanim my zdołaliśmy zająć korzystne pozycje.

Kilka dni później z korpusu dotarł do nas raport o przechwyconym rosyjskim meldunku. Kategorycznie zabraniano jednostkom czołgowym i przeciwpancernym, usytuowanym naprzeciw naszego przyczółka, ostrzeliwania naszych pozycji. Jasne, chodziło o to, by nie zdradzali swoich pozycji. Zezwalano na użycie armat tylko wtedy, gdyby zostali zaatakowani.

Ten rozkaz ukazywał dwie sprawy. Po pierwsze, że na pewno obawiają się naszych czołgów. Po drugie zaś, że mają już na przyczółku własne czołgi. To wszystko wskazywało na zbliżające się natarcie. Czołgi były przeznaczone do ataku, dlatego że w tym bagiennym terenie nie nadawały się do obrony. Bagna uniemożliwiały szybką zmianę pozycji. Wszyscy, nawet ci nieobdarzeni jakimś specjalnym geniuszem strategicznym, zdawali sobie sprawę, że Rosjanie zaryzykują wiele, by zlikwidować kłopotliwy przyczółek na południe od miasta Narwa.

Tego wieczora prześladował nas prawdziwy pech. Właśnie plotkowaliśmy z kolegami z kolumny transportowej, gdy na niebie ukazały się formacje rosyjskich bombowców. Byliśmy bardzo blisko linii frontu, a więc nie obawialiśmy się tego nalotu. Bomby zaczęły jednak spadać niebezpiecznie blisko. Wtedy kilku naszych kumpli wczółgało się pod czołgi. Reszta zniknęła tak szybko, jak tylko potrafiła.

Jedna bomba wybuchła tuż za moim czołgiem. Dwóch żołnierzy z załogi, którzy starali się pod nim schronić, zginęło na miejscu. Siedzący

na pancerzu ludzie wylatywali w powietrze. Ci, którzy ocaleli, uciekali w szoku na oślep, ratując życie. Dostaliśmy srogą nauczkę. Ten incydent uświadomił nam, że musimy być czujni nawet wtedy, gdy jest względnie spokojnie.

Leżeliśmy na dnie bunkra. Wkrótce mieliśmy się przekonać, jak wiele jest mądrości w starym porzekadle o nieszczęściach, co lubią chodzić parami. Leżeliśmy spokojnie ledwie godzinę, gdy obudził nas wartownik. Na górze usłyszeliśmy podejrzane odgłosy. Okazało się, że nad naszymi głowami kilku idiotów z innego pododdziału rozpałiło piec.

Iskry momentalnie poleciały w powietrze i cały dach zajął się ogniem. Z trudem wydostaliśmy się z płonącego, walącego się domu. Iwan zaczął natychmiast strzelać do tak doskonałego celu. Po raz kolejny przekonaliśmy się, że coś takiego jak choćby pół spokojnej nocy dla nas nie istnieje.

Dzień przyniósł następne zmiany. Rankiem zlikwidowaliśmy nowe stanowisko rosyjskiej armaty przeciwpancernej. Rosjanie już nie ponawiali prób ostrzału. Obserwacja przekazała nam, że nieopodal linii frontu Iwan zgromadził sporo artylerii i ciężkich moździerzy. Od czasu do czasu poświęcał nam trochę uwagi. Wieczorem pojawił się na niebie ich „dyżurny oficer”, za nim formacje bombowców.

Nie mieliśmy wyjścia - musieliśmy się wycofać.

W kępie drzew wielkości znaczka pocztowego znaleźliśmy niewielki, opuszczony bunkier. Znajdował się na północ od ścieżki i 1000 metrów od spalonego domu. Tu mogliśmy nareszcie w nocy odpocząć.

Między drzewami ustawiliśmy i zamaskowaliśmy czołgi. Byliśmy „mniej więcej” zadowoleni. W nocy nasze czujki zameldowały, że od strony umocnionych pozycji naszej piechoty widać łunę ognia i słyszać nasilającą się kanonadę. Wyszliśmy z bunkra, w oddali była widoczna płonąca jasnym ogniem wioska i obydwie umocnione punkty. Rosjanie ostrzelali je pociskami zapalającymi, niszcząc wszystkie osłony. Od dłuższego czasu tego właśnie się obawiałem.

Byłem wściekły, że na samym początku pomiędzy umocnionymi pozycjami nie zbudowano przynajmniej okopów łącznikowych. W czasie ostrzału nasi żołnierze musieli opuszczać bunkry i leżeć bez żadnej osłony w otwartym terenie. Rosjanie, atakując teraz, naraziliby nas na straty o wiele większe niż za dnia. Na szczęście do tego nie doszło.

Najprawdopodobniej chcieli poprawić sobie pole widzenia. Tylko tyle i nic więcej. Szczęśliwie dla nas domy w tych okolicach miały kamienne fundamenty. Dzięki temu nie spłonęły i w dalszym ciągu stanowiły dla nas



pewną ochronę. Lecz dopiero podczas kolejnych nocy zostały przykryte solidnymi belkami. Teraz byliśmy zupełnie odsłonięci i widoczni dla każdego. Jedynym sposobem uniknięcia zaskoczenia była stała obserwacja nasypu kolejowego. Jednak oni nie mieli ochoty na prowadzenie pojedynków ogniowych. Była to dla nas wskazówka, że chcą przeprowadzić atak całą siłą.

Każdego ranka odwoziliśmy ciężko rannych do „Kinderheimu”. Byliśmy dla naszej piechoty „majstrami do wszystkiego” - już nie ponosili tak wiele strat jak dawniej. Kompania skurczyła się do dziesięcio-, może dwunastoosobowego pododdziału. Podczas moich nocnych wypraw do punktu dowodzenia nalegałem na dowódcę, aby nocą kopać transeje.

Niestety, moje prośby pozostały bez echa. To był najsłabszy punkt naszej linii obrony i byłem pewien, że każdy mógł to zauważyć. No cóż, major Haase martwił się tylko o te dwa bataliony, które znajdowały się wewnątrz buta. My, dalej na wschód, powinniśmy kryć styk linii obronnych dwóch dywizji. To było oczywiste, ale nie dla majora, a wróg lubił wybierać takie miejsca do rozpoczęcia ataku.

Budynki, które nas osłaniały, zostały wypalone do samej ziemi. Rosjanie, atakując ze „wschodniego worka” - w stronę drogi frontowej, pogrążyliby naszą piechotę. Znalazłaby się w beznadziejnej sytuacji. Teraz te trzy spalone domostwa przemianowaliśmy na „ruiny”.

Po długich staraniach udało mi się zorganizować pluton czterech dobrze zamaskowanych dział szturmowych. Ustawiliśmy je trochę na wschód od „Kinderheimu”. Trzy czterokołowce z działkami przeciwlotniczymi kalibru 20 mm zajęły pozycje za naszą wioską.

Gdy tylko radiostacja piechoty milkła, jechaliśmy natychmiast do „Kinderheimu” po wsparcie. Podjęliśmy ryzyko dowozu zaopatrzenia w księżycowe noce. W każdej chwili groziło to wpadką. Byłoby po wszystkim, gdybyśmy stracili nasz pojazd. Ale cóż innego mogliśmy zrobić?

Musiałem pomagać moim piechurom wszystkimi możliwymi sposobami. Żołnierze doceniali naszą pomoc. Kiedy przeniesiono nas na inny odcinek frontu, nadal dostawaliśmy od nich pozdrowienia.

Nasz wierny Biermann pojawiał się każdego poranka z gorącą kawą. Taka wyprawa mogła go kosztować życie. Bardzo nas to niepokoiło, ale nie mieliśmy serca mu powiedzieć, że bardziej niż jego kawa potrzebny jest nam odpoczynek. Rosjanie, widząc jego pojazd, natychmiast rozpoczynali wściekły ostrzał, a my musieliśmy chować się, gdzie popadnie. Pewnego dnia Biermann dosłownie otarł się o śmierć. Jego wóz

terenowy dostał dwa trafienia. Wtedy nareszcie usłuchał mnie i zawiesił kursy z „niebezpieczną” kawą. Piechota i obsługa działek przeciwlotniczych odetchnęły z ulgą. Szalony ostrzał trwał od chwili, gdy w polu widzenia pojawiał się pojazd Biermanna, przez co najmniej pół godziny bez przerwy.

Pewnej nocy zostałem bohaterem interesującego zdarzenia. Lecz najpierw muszę poinformować czytelników o tym, że każdej nocy składały nam nieproszoną wizytę „kulawe kaczki” albo „maszyny do szycia”. Nazywaliśmy tak rosyjskie dwupłatowce. Latały w górę i w dół linii frontu na tak niewielkiej wysokości, że niemal można było ich dotknąć. Piloci poza zwykłymi granatami ręcznymi i minami mieli też małe bomby.

Można by je nazwać „podrasowanymi bombowcami”, bo silnik maszyny dławił się lekko, gdy pilot wyrzucał coś na zewnątrz. Trzymając drążek między kolanami, rękami odbezpieczał zapalnik. Słyszając zmianę rytmu pracy silnika, rzucaliśmy się na ziemię. (No, oczywiście wtedy, kiedy nie spaliśmy.)

Pewnej nocy na niebie pojawiła się jedna z takich maszynek. Wszyscy smacznie chrapaliśmy. Jedna z bomb trafiła, najprawdopodobniej przypadkiem, w narożnik naszego bunkra. Dwóch ludzi zostało lekko rannych. W tumanach pyłu, który podniósł się po wybuchu, wszyscy uciekali z bunkra. Ktoś zauważył, że nie wybiegłem | na zewnątrz. Wrócili po mnie do bunkra.

Znaleźli mnie. Leżałem jak nieżywy. Natychmiast, rozpinając mi ubranie, zaczęli sprawdzać, gdzie zostałem trafiony. Wtedy wreszcie się obudziłem. Byłem powalany tynkiem i śniegiem, ale cały i zdrowy. Żadnego draśnięcia. Spałem bardzo głęboko. Tak może spać tylko człowiek kompletnie wyczerpany.

Nieprawdopodobna sytuacja? Każdemu niedowiarkowi może potwierdzić tę opowieść sierżant Kerscher. Do dzisiaj śmieje się z tego serdecznie. Frontowy żołnierz nie potrzebuje tabletek czy nawet łóżka, aby spać jak zabity.

Tygodnie przebywania we wnętrzu czołgu były trudne. Można sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Żyliśmy w zamknięciu i chłodzie. Bez przerwy chorowaliśmy, mimo że nikt nie chciał się do tego przyznać. Wilgoć osiadała na wewnętrznych ścianach czołgu, zmieniając się w szron i lód. Jeśli, nie daj Boże, ktoś przysnął, opierając głowę o stalową płytę, to włosy mu do niej przymarzały. Garbiliśmy się albo zwijaliśmy w kłębek, by choć trochę się ogrzać. Rezultaty takiego trybu życia dały o

sobie znać dużo później.

Piechurzy chyba nam nie zazdrościli. W czołgu mieliśmy niewiele miejsca i nie można było się w nim poruszać. Nie było tu - w żadnym wypadku - możliwości rozpalenia pieca. Zachorowałem na zapalenie opłucnej, jak później stwierdził lekarz z naszej jednostki, a na lewym kolanie, które często dotykało metalowej płyty pancerza, miałem odmrożenia.

Cisza przed burzą trwała aż do 15 marca. Tego dnia zostaliśmy trafieni granatem moździerzowym. Aż do tej pory udawało się tego uniknąć, dzięki zręcznym manewrom naszego kierowcy. Nadałem komunikat do dowództwa, że mamy uszkodzoną chłodnicę. Na szczęście dwa nasze czołgi właśnie opuściły warsztat i znów były zdolne walki, więc następnego ranka mogły nas zastąpić. Przez kilka poprzednich dni Rosjanie ściągali bagiennymi ścieżkami coraz więcej ciężkiego sprzętu. Nie strzelali często. Koncentrowali się na powiększaniu stanu dział. Nasza piechota donosiła o wzmożonych ruchach nieprzyjacielskich pojazdów. Były to przeważnie ciągniki artyleryjskie. Jakkolwiek by patrzeć, panująca cisza nie wróżyła niczego dobrego.

Wieczorem sierżant Kerscher odholował nasz czołg w okolice bunkra. Następnego dnia starszy sierżant Zwetti przyjechał z dwoma czołgami, zastępując nas na pozycjach. Jeszcze przed świtem poszedłem z nim do spalonej wioski, aby pomóc mu zorientować się w terenie. Po czym Kerscher wziął mój czołg na hol i ruszyliśmy w stronę „domu”.

Byliśmy szczęśliwi, że trafiło się nam kilka dni odpoczynku. Nareszcie mogliśmy umyć się i wyspać do woli. Jechaliśmy równolegle do linii frontu przy „zachodnim worku”. W pewnym momencie minęliśmy trzy czołgi, którymi dowodził starszy sierżant Göring. Stały w miejscu, gdzie szlak skręcał w stronę frontowej drogi.

Zajmowali dużo lepszą pozycję niż my. Na tymczasową kwaterę wybrali miejscowy cmentarz. Ich czołgi stały tuż przy cmentarnym murze, a załogi spały w kryptach grobowych wzmocnionych drewnianymi belkami i cegłami. Patrząc na to z perspektywy czasu, można odnieść wrażenie, iż było to bluźnierstwo. Ale prawa wojny są inne. Są ważniejsze niż prawa czasu pokoju. Ludzie starali się za wszelką cenę uniknąć zamarznętego terenu.

Każdy, kto miał pecha dostać się do rosyjskiej niewoli, widywał nieraz gorsze profanacje cmentarzy.

W tym czasie nasza wysunięta baza wsparcia, dowódca kompanii i szef kompanii, byli ulokowani w Sillamäe. Miasteczko znajdowało się

nad brzegiem Bałtyku, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na zachód od Narwy i na północ od drogi frontowej. Przywitaliśmy się z kolegami z naszej kompanii. Nie widzieliśmy się od dawna. Mieliśmy tak bujne zarosty, że ledwie nas rozpoznali.

Przygotowali dla nas saunę. Ustawili ją na nadmorskiej plaży. Sprawili nam przyjemną niespodziankę, marzyliśmy o kąpieli. Potem zameldowałem się u dowódcy. Jego czołg stał obok domu, naprzeciwko okna, osłaniając je w ten sposób przed odłamkami. Dowódca przywitał mnie chłodno.

- Znowu nie nosisz krawata! Skoro dajecie taki kiepski przykład, to nic dziwnego, że codziennie muszę kogoś przywoływać do porządku. Jak ludzie mają darzyć cię szacunkiem, kiedy tak kiepsko wyglądasz!

Zawsze nosiłem czarny szalik, ale wiedziałem, że to nie podobało się von Schillerowi. Nie był napastliwy, ale mówił całkiem poważnie.

Powiedziałem tylko: - Jeśli ludzie mają mnie darzyć szacunkiem wyłącznie dlatego, że noszę krawat, to chyba coś ze mną jest nie w porządku.

Znałem von Schillera od czasów, gdy byłem rekrutem. Zaraz po moim przybyciu do Rosji, do 502. batalionu, zaproponował, abyśmy przeszli na ty. Był moim jedynym zwierzchnikiem w batalionie, ale nie dawał mi dokładnych wytycznych. Wiedział, że zawsze, wykonując zadanie, kieruję się własnym zdaniem.

Tak było podczas całego mojego pobytu na froncie, lecz nigdy żaden z moich dowódców nie miał z tego powodu kłopotów. Z racji mojej zażyłości z dowódcą niejednokrotnie znajdowałem się „między młotem a kowadłem”. Raz byłem mediatorem kompanii, chwilę później dowódcy. Nigdy w obecności żołnierzy nie zwracałem się do niego na „ty”, ale zawsze w sposób absolutnie regulaminowy.

Jeśli ktoś twierdzi, że nigdy się nie bał, to na pewno nie był na froncie. Jeśli jesteś odważny, to musisz odczuwać strach - to warunek konieczny. To zupełnie tak samo jak z lękiem przed śmiercią i niepewnością naszych losów po zakończeniu ziemskiej egzystencji - te właśnie uczucia są podstawą i istotą każdej religii. Prawdziwa odwaga polega na przewyciężeniu strachu przed śmiercią.

Chyba każdy z nas zna to uczucie - lęk. Ja bałem się przed każdą operacją, ale w chwili, gdy czołg zaczynał się toczyć, nie miałem czasu myśleć o niebezpieczeństwie. Pochłaniało mnie zbyt wiele spraw. Po pierwszym wystrzale nerwy same opadały. Zawsze, gdy byliśmy zbyt podekscytowani, sprawy toczyły się źle. Niejednokrotnie w boju

nadawałem przez radio krótkie, żartobliwe komunikaty. To był mój sposób na uspokojenie żołnierzy. Staralem się, by im udzielił się mój spokój.

Postawa von Schillera w walce nie imponowała żołnierzom. Nic więc dziwnego, że go nie lubili. Jego arogancja była nie do zniesienia, mimo że była chyba tylko jakąś formą obrony. Zналиśmy się zbyt dobrze, aby coś sobie zarzucać. Wybaczyłem mu wiele spraw, których nigdy bym nie wybaczył komu innemu. Jednak nie można było wymagać od kogokolwiek innego takiej tolerancji jak moja.

Niejednokrotnie jego krytyczne uwagi były całkowicie uzasadnione, na przykład w sprawie używania nazw kodowych. Von Schiller przedstawił mi sytuację na przyczółku. Potem spojrzał na mnie groźnie.

- Macie skończyć z tymi zabawami, które słycać w radiostacjach. Narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo, nie tylko swoich ludzi!

Powstrzymałem się od jakichkolwiek komentarzy, trzymałem język za zębami. Nie dawałem rady i po prostu nie chciałem używać głupich nazw kodowych i kryptonimów. Jak w czasie działań bojowych używać komunikatów typu: „Szlafmyca do drewnianej kuropatwy”? Zwracając się do siebie po imieniu, moi ludzie czuli się znacznie pewniej. Kontaktując się ze sztabem batalionu lub punktem zaopatrzenia, zawsze używaliśmy oficjalnych kodów. Na froncie natomiast używaliśmy naszych prawdziwych imion. Jeszcze bardziej luźny był nieoficjalny język radiowy.

Często w radiu można było usłyszeć taki komunikat: - Jakie słowo kojarzy się wam z kółkiem z papierosowego dymu.

Oznaczało to po prostu, że komuś skończyły się papierosy, a Otto Carius powinien udowodnić, że w potrzebie potrafi być przyjacielem.

W poczcie z domu zawsze dostawałem dziesięć, piętnaście paczek papierosów. Organizowała je na wielką skalę moja mama. Żołnierze rozpoznawali paczki i przekazywali sobie nawzajem. Papierosy błyskawicznie rozchodziły się między załogami poszczególnych czołgów. Byli bardzo wdzięczni za każdą paczkę.

Naturalnie, Rosjanie podsłuchiwali nas, ponieważ transmisje nie były szyfrowane. Dzięki temu - znając nasze imiona - wiedzieli, gdzie pojawiały się Tygrysy. Nazwy kodowe zmieniano co kilka dni, a nasze imiona pozostawały te same. Jeśli Iwan zauważył, że zniknęliśmy z okolic Newela, mógł nas po imionach zlokalizować w Narwie. Byliśmy dla nich jak cierń w tyłku.

Pewnego razu, we „wschodnim worku” w Lembitu, zażądali przez głośnik, by nasza piechota oddała mnie w ich ręce. Żądali od naszych

przekazania człowieka, który powstrzymywał ich ataki! Tylko przez chwilę nasi towarzysze z piechoty pozwolili im na tę bezczelność. Rozwalili głośnik na kawałki. Mieli dość tego szczekania. Rosjanie wyjątkowo nie lubili takiego „psa gończego” jak ja. Bez wahania kontynuowali kampanię propagandową, tak bardzo się obawiali naszego batalionu czołgów.

Gdy zostałem ranny w Dyneburgu, Rosjanie ogłosili, że zostałem zabity. Rosyjski oficer, który dostarczył mapę sztabową z moim nazwiskiem, został odznaczony medalem. Mapa miała być dowodem. Informacja bardzo rozbawiła przekazującego mi ją sierżanta sztabowego. A ja byłem tylko w szpitalu. Znane jest porzekadło, że jeśli za życia ogłoszono cię zmarłym, to będziesz cieszył się długim życiem.

\* \* \*

Bardzo cieszyliśmy się tymi niespodziewanymi wakacjami w bazie zaopatrzeniowej. Dzięki saunie znowu poczuliśmy się ludźmi, byliśmy jak nowo narodzone dzieci. Wykorzystałem sytuację i wypociłem całe zapalenie. Znowu byłem zdrowy jak ryba. Niestety, nie mieliśmy pojęcia, jak króciutki będzie ten wypoczynek.

Na froncie nie ma dobrego czasu. Nie myśl o tym, co będzie „później” albo „jak długo”. Ledwie zdołaliśmy się rozgościć w ciepłym pokoju, a już nadeszła informacja od starszego sierżanta Zwettiego, że w jego czołgu też przecieka chłodnica. Dodał, że drugi Tygrys ma uszkodzone podwozie. Rosjanie z pewnością byli szczęśliwi. Udało im się uszkodzić trzy nasze maszyny. Oni nigdy nas nie lubili.

Zwetti w dalszym ciągu znajdował się w wiosce. W razie akcji mógł wesprzeć ogniem piechotę. W warsztacie sprawdziliśmy, jak postępują prace przy naszych czołgach. Byłem przekonany, że objaliśmy się już zbyt długo.

Trudno opisać wszystko to, czego dokonywali mechanicy z pododdziałów naprawczych.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że mieli nadludzką wytrzymałość psychiczną. Nie można natomiast twierdzić, że tylko wykonywali rozkazy. Byli pełni pasji i poświęcenia. Mieli wewnętrzne przekonanie, że trzeba zrobić wszystko, aby pomóc oddziałom liniowym. Robili wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby pomóc naszym oddziałom. Wynikało to z wewnętrznego przekonania, że jest to ich obowiązkiem.

Robili wszystko, by uszkodzone pojazdy jak najszybciej wracały na linię frontu.

O starszym sierżancie Delzeicie, dowódcy plutonu naprawczego, można powiedzieć wszystko z wyjątkiem tego, że był spokojnym człowiekiem. Dobre cechy skrywał starannie pod maską gbura. Potrafił dać w kość swoim ludziom, tak że po robocie ledwie byli w stanie założyć mundury.

Delzeit miał bardzo nonszalancki stosunek do zwierzchników. Trudno jednak nawet sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby jego ludzie spróbowali go tak traktować. Lecz wszyscy, którzy go znali - czy to panowie z góry, czy jego podwładni - nigdy nie powiedzieli o nim złego słowa.

Delzeit był profesjonalistą najwyższej klasy i dzięki jego umiejętnościom każdy pojazd wracał do życia. Poza tym był znakomitym kumplem, który nigdy nie zostawił swoich ludzi na lodzie. Dbał o dobre warunki dla swego plutonu. To było dla niego sprawą najważniejszą.

Podczas działań wojennych jego ludzie nierzadko pracowali bez przerwy dzień i noc. Żołnierze z pododdziałów naprawczych nie ustępowali w niczym żołnierzom frontowym. Byli równie jak oni twardzi i wytrzymali. Jeśli Delzeit obiecał, że pojazd zostanie naprawiony w określonym czasie, można było na jego słowie polegać. Tacy ludzie jak on byli na wojnie bardzo potrzebni. Jakież to miało znaczenie, że ktoś był gburowaty? Gładkie słówka i uległość nie są potrzebne, gdy człowiek musi się sprawdzać w najtrudniejszych sytuacjach. Te ostatnie cechy charakteru potrafią błyszczeć, gdy jest już po katastrofie.

16 marca 1944 Delzeit pracował jak zwykle. Był precyzyjny i niezawodny. Powiedział, że mój czołg będzie gotowy o północy. Dlatego zezwoliłem załodze na jeszcze chwilę odpoczynku.

Mimo że nasz „urlop” trwał dokładnie dwadzieścia cztery godziny, to doskonale go wykorzystaliśmy. Załodze czołgu Kerschera poleciłem, by nie rozpakowywali całego majdanu. Musieli złapać parę godzin snu w wygodnych warunkach.

W tym czasie dwie pozostałe kompanie i sztab batalionu zostały przeniesione w okolice Pskowa. Na starych pozycjach w Narwie zostaliśmy tylko my. Właśnie dlatego już nigdy więcej nie zobaczyłem majora Jähde.

15 marca został odznaczony Krzyżem Rycerskim i przeniesiony na stanowisko komendanta szkoły podoficerskiej w Eisenach. To była nagroda i awans, ale samo odejście z jednostki było dla niego trudne.

Wspaniale się z nim współpracowało, dlatego jego odejście nas zmartwiło. Koledzy, uczestniczący w ceremonii odznaczenia i pożegnania, opowiadali, jak trudne było także dla majora rozstanie z 502. batalionem.

Na pożegnanie ścisnął rękę każdemu z żołnierzy. Nie krył łez. Przypadkiem dowiedziałem się, że po wojnie Jähde został oskarżony przez Rosjan w procesie o „zbrodnie wojenne”. Niestety, nigdy nie poznałem wyroku, który wtedy zapadł. Wszelkie ślady zaginęły. Może, choćby dzięki tej książce, otrzymam jakieś dobre informacje. Mam nadzieję, że Jähde żyje i jeszcze kiedyś się spotkamy.

Tego wieczora usiadłem przy butelce dobrej whisky z von Schillerem. Pogadaliśmy dłuższą chwilę. Potem go pożegnałem, chcąc jeszcze trochę poleżeć przed odjazdem na front. Chyba nie miał mi tego za złe. Powiedział, że będę miał jeszcze sporo okazji do odpoczynku na froncie, chociaż... w niewygodnej pozycji.

Oczywiście Iwan też miał w tej sprawie sporo do powiedzenia. My na razie wiedzieliśmy tylko tyle, że czas spokoju dobiega końca. Pożegnałem się z dowódcą kompanii i udałem się na spoczynek. Mieliśmy wyruszyć o czwartej nad ranem. W ten sposób mogliśmy złuzować naszych towarzyszy z linii frontu jeszcze przed świtem, dając im możliwość niewidocznej dla Rosjan ewakuacji. Wydałem polecenie wartownikowi, aby obudził mnie na czas.

Niestety, nie mogłem na niego liczyć. To Kerscher wreszcie mnie obudził. Dochodziła już piąta, a ja byłem strasznie zaspany. Wartownik twierdził, że nie dał rady mnie dobudzić. Coś mu nawet odpowiadałem, ale nie chciałem słyszeć o wstawaniu. Miałem po prostu potężnego kaca. Tymczasem zrobiło się późno. Miotając obelgi i wrzeszcząc na Bogu ducha winnego wartownika, pobiegłem do czołgu. Był już najwyższy czas wyruszyć.

Kilka minut po siódmej dotarliśmy do miejsca pobytu Zwettiego. Udało mu się dojechać jeszcze przed świtem. Nawiązaliśmy kontakt z piechotą, a z rozmowy z dowódcą dowiedziałem się, że na froncie panuje spokój. Dlatego natychmiast poszedłem spać, lecz w razie potrzeby, mogliśmy być błyskawicznie gotowi do akcji. Dla wszystkich na froncie było oczywiste, że nasza obecność uciszała wroga.

To jednak dawało Iwanom okazję do wściekłego ostrzału i któryś z naszych czołgów mógł zostać przypadkowo uszkodzony.



# 14 IWAN ATAKUJE

Wkrótce po świcie obudzono mnie gwałtownie. To nie wróżyło niczego dobrego. Tym razem budzikiem okazał się atak Rosjan. Ich metody były naprawdę groźne. Założyli barierę ogniową, która przekraczała wszelką wyobraźnię. Pokryli ostrzałem cały przyczółek. Tylko Ruscy potrafili zrobić coś takiego.

Nawet Amerykanie, których poznałem później, nie mogli się z nimi równać. Rosjanie po prostu strzelali z każdej dostępnej broni, od lekkich moździerzy po ciężkie działa. Teraz pokazali nam, że przez poprzednie tygodnie robili wszystko, tylko nie spali, przygotowując to natarcie.

Cały rejon obrony 61. Dywizji Piechoty znalazł się pod tak silnym ostrzałem, jakby otworzyło się piekło. Znaleźliśmy się w środku burzy. Nie mogliśmy wyjść z naszego bunkra, by dotrzeć do czołgów.

Gdy już byliśmy gotowi do skoku, po kolejnej salwie rozlegał się następny świst nadlatujących pocisków i musieliśmy uciekać z powrotem do bunkra. W tak gęstym ostrzale nikt nie mógł się zorientować, gdzie znajduje się główny punkt natarcia. Linie obrony piechoty zostały zniszczone w początkowej nawale ogniowej. Wszystko latało w powietrzu. Sądziliśmy, że Ruscy zaatakują nasz odcinek w rejonie Lembitu, ale piechota wroga również mogła nas otoczyć, zanim dotrzemy do czołgów.

Po pewnym czasie Rosjanie przesunęli nawalę ogniową trochę dalej na północ - te pół godziny wydały nam się wiecznością. Był już najwyższy czas, by dostać się do naszych wozów. Wiedzieliśmy, że atak Rosjan dopiero się rozwijał. Niebo nad nami również się ożywiło.

Samoloty bliskiego wsparcia, które nie pokazywały się w poprzednich tygodniach, teraz zaczęły na nas polować. Latały tak nisko, że mieliśmy wrażenie, iż chcą postrzącać nam czapki.

Latały z hukiem nad całym rejonem, zrzucając bomby dymne, aby ograniczyć pole widzenia naszym obserwatorom artyleryjskim.

Wszystko wskazywało na to, że Iwan zaplanował coś wielkiego. Najwidoczniej próbował dotrzeć do wybrzeża morskiego i odciąć tyły naszego przyczółka przed Narwą. To pozwoliłoby mu okrążyć część Korpusu Pancernego SS, Dywizję „Feldherrnhalle” i piechotę Wenglera. Było dla nas bardzo istotne, czy znajdziemy się wewnątrz, czy na zewnątrz tej kieszeni.

W tym czasie sytuacja stała się krytyczna. Wkrótce, przed dziesiątą, kilka oddziałów piechoty zaczęło uciekać na zachód. Potem nadjechała armata przeciwczołgowa kalibru 37 mm na dwunastotonowym ciągniku. Po chwili nadbiegło dwudziestu czy trzydziestu ludzi, wszyscy byli bez broni.

Wszystko to działo się pod niesłabnącym ogniem artylerii przeciwnika. Nasi żołnierze porzucili wszystkie trzy umocnione punkty oporu. Jedno z dział szturmowych znajdujące się na wschód od „Kinderheimu” płonęło, a pozostałe trzy odjechały. Na nas nikt nie zwracał uwagi, chociaż znajdowaliśmy się zaledwie w odległości trzydziestu metrów, w głębi lasu.

Rosyjska piechota i czołgi właśnie ruszały w stronę drogi frontowej. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Było jasne, że zdążają na północ, by zwinąć nasz przyczółek w Narwie.

Ruszyłem błyskawicznie w kierunku wioski. Kerscher jechał za mną, trochę po lewej, osłaniając mnie jak skrzydłem. Powinien skoncentrować się na tym, co dzieje się na równinie. Rosjanie ruszyli siłami pułku na północ od naszych umocnionych punktów. Pięć T-34 zbliżało się z pełną prędkością do drogi frontowej. Szósty czołg Iwana, nim go zauważyliśmy, był już prawie przy „Kinderheimie”. Rosyjskie armaty przeciwpancerne stały na nasypie kolejowym, zagrażając nam ze skrzydła. W tej chwili byli to najgroźniejsi przeciwnicy. Zniszczyliśmy je, ale sami otrzymaliśmy kilka postrzałów w podwozie. Na szczęście żaden z nich nie spowodował poważnych uszkodzeń.

Kiedy mój celowniczy plutonowy Kramer zajmował się rosyjskimi armatami, zerknąłem w lewo i to w odpowiedniej chwili. Zauważyłem, że jeden z T-34 zawrócił i ruszył prosto na czołg Kerschera.

Wszystko było kwestią sekund. Na szczęście Rosjanie działali zbyt nerwowo, tak jak zawsze, gdy nie mogli dość szybko ocenić terenu.

Kerscher nie mógł zauważyć T-34. Czołg zajeżdżał go od tyłu. Znajdował się od niego już tylko o trzydzieści metrów.

Zdążyłem krzyknąć przez radio:

- Hej, Kerscher, za tobą T-34, uważaj!

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Kerscher załatwił Rosjanina bezpośrednim trafieniem. Ruski czołg wjechał w lej po bombie i już z niego nie wyjechał.

Mieliśmy okazję zaczerpnąć trochę powietrza. Gdyby Iwan trzymał nerwy na wodzy, mógłby wykończyć nas obu. Pozostałe T-34 nawet nie próbowały strzelać. Ich załogi chyba nawet nie zorientowały się, kto zniszczył im pojazd i skąd strzelano.

Czołgi Iwana, nim zajęły odpowiednie pozycje, musiały najpierw przejechać rzędem przez nasyp kolejowy. Naturalnie, taki manewr znacznie opóźniał natarcie. Na szczęście dla nich przybyliśmy o kilka minut za wcześnie, dlatego nie mogliśmy dopaść reszty czołgów, które znajdowały się jeszcze po drugiej stronie nasypu kolejowego.

Kiedy zaatakowaliśmy, Rosjanie natychmiast zaczęli rozpaczliwie cofać się w kierunku bagiennego lasu. Większość ich piechoty zdołała wycofać się bez strat. My byliśmy zajęci pojazdami pancernymi i działkami.

Całkowicie porzuciliśmy nasze umocnione pozycje. W rejonie między Lembitu i miejscem, gdzie nasyp kolejowy zniknął w lesie, nie pozostał ani jeden niemiecki piechur.

Późnym popołudniem zaczął strzelać tylko jeden karabin maszynowy z prawego skrzydła Dywizji „Feldherrnhalle”. Wkrótce dotarliśmy do naszych pozycji obronnych w ruinach. Byliśmy zupełnie sami. Mój raport, że piechota ewakuowała swoje pozycje obronne, został odrzucony przez sztab dywizji. Zdecydowałem, że osobiście udam się do „Kinderheimu”. Chciałem mieć przynajmniej kilku ludzi, którzy zajęliby nasze stare pozycje, oczyszczone już z żołnierzy wroga. Jednak zanim przysłano pomoc, Rosjanie pod osłoną nocy zdołali zająć dwie najbardziej wysunięte ruiny. W sumie dowództwo dostarczyło nam tego dnia chyba wszystkich rodzajów frustracji.

Tego samego dnia, wczesnym popołudniem, po półgodzinnym przygotowaniu artyleryjskim Rosjanie ponownie poderwali się do ataku. Wspierały ich jednostki pancerne. Odparliśmy to natarcie, niszcząc pięć kolejnych T-34 i KW-1. Zniszczone czołgi były wyjątkowo niebezpieczne. Musieliśmy dobrze chować głowy, gdy trafione pojazdy eksplodowały setkami metalowych części.

Doprowadzało mnie do wściekłości, że nasza artyleria nie mogła postawić zapory ogniowej. Trzeba jednak zaznaczyć, że wszyscy obserwatorzy artyleryjscy zginęli, a w sztabie panowało przekonanie, że ruiny są nadal w naszych rękach. To powstrzymywało artylerię przed otwarciem ognia, ponieważ obawiali się, że ostrzelają swoich.

Jakieś pół godziny później Rosjanie przypuścili kolejny atak z nasypu kolejowego. Nie mogłem zagwarantować, że odeprzemy trzecie natarcie, bo zaczęło nam brakować amunicji.

Tymczasem dotarł do nas trzeci czołg. Poprosiłem naszego dowódcę, by wsparł nas jeszcze swoim pojazdem. Zakomunikował przez radio, że jest za nami na linii lasu. Nigdzie go jednak nie zauważyłem, co więcej, później dowiedziałem się, że nawet nie wyruszył w naszą stronę. Znowu

miałem wiele powodów do rozgoryczenia. Dowódca nie dotrzymał obietnic. Nic nie mówiłem, bo na szczęście von Schiller przynajmniej zmusił artylerię do otwarcia ognia zaporowego. Prowadzono go tak dobrze, że pozycje wyjściowe rosyjskiego ataku zostały całkowicie zniszczone.

Dokładnie godzinę później Rosjanie zebrali batalion i przy wsparciu czołgów rozpoczęli kolejny atak. Chcieli za wszelką cenę zdobyć nasze umocnienia. Stracili następne trzy T-34.

Po tym nieudanym szturmie Iwana, pozostawiłem w ruinach dwa Tygrysy i udałem się do sztabu w „Kinderheimie”, aby zreferować aktualną sytuację. W sztabie nadal sądzono, że ruiny są w rękach naszej piechoty.

Przedstawiłem dowódcy pułku prawdziwy obraz sytuacji. Zawołał wówczas parę osób ze sztabu. Zabrało to trochę czasu. Musieliśmy potem w ciemności przemieścić pojazdy jakieś 200 metrów od ruin, aby stworzyć sobie pole ostrzału i zabezpieczyć się przed jednostkami niszczycieli czołgów. Tylko jeden z Tygrysów został w okolicy wioski. Sama wioska pozostawała niczyja. Zajęło ją potem dziesięciu naszych żołnierzy. Następnym dwudziestu pięciu uformowało linię obrony na ścieżce za naszymi czołgami.

Rosjanie nie podejmowali w nocy kolejnych ataków, tylko zajęli ruiny bez oporu z naszej strony.

Jakieś dwie godziny przed północą wycofałem się do bunkra, aby odebrać zaopatrzenie. Dwie ciężarówki z kompanijnej kolumny transportowej czekały od rana na nasze wezwanie, w punkcie zaopatrzeniowym w Sillamäe.

Zorganizowałem spotkanie na drodze frontowej. Tu bezpieczniej można było uzupełniać zapasy amunicji. Ponieważ sierżant Gruber przedarł się do nas trzecim Tygrysem, z uzupełnieniem zapasów mogliśmy poczekać do zmierzchu.

Z grupą zaopatrzeniową przyjechał jej szef, sierżant Sepp Rieger, ponieważ chciał nam pogratulować przetrwania poprzedniego dnia. Rieger był wspaniałym facetem, rzadko się takich spotyka. Sądzę, że w całym Wehrmachcie nie znalazłoby się nawet tuzina tak wspaniałych sierżantów, co nie znaczy, że cała reszta była do niczego.

Jednak ludzie typu Riegera byli naprawdę wyjątkami. Miał ciekawą osobowość: wiedza bez zbytnej pedanterii, zapobiegliwość bez najmniejszego śladu skąpstwa. Dostał Krzyż Żelazny jako dowódca czołgu i jednocześnie plutonu, i to na linii frontu.

Wiedział, że mimo wrodzonego poczucia sprawiedliwości, nie można wszystkim dogodzić. Żołnierze czasami skarżyli się na to, że Rieger bardzo rygorystycznie pilnuje wyposażenia. Ale był przecież za nie odpowiedzialny i wiedział, jak jest go przeraźliwie mało. Nigdy nie słyszałem, aby pobrał z kantyny więcej butelek wódki czy paczek papierosów, niż mu się należało. Oddziały liniowe zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Najpierw wysyłał do nas pododdział naprawczy, za nim zaopatrzenie, wreszcie zespół kwatermistrzowski. Wszyscy go cenili, zarówno przełożeni, jak i podwładni. Rieger był wzorowym towarzyszem broni.

Jako zwierzchnik wiedział, w jaki sposób wzbudzać respekt, nie używając krzyku. Każdy go szanował i podziwiał jego poczucie sprawiedliwości. Taki był właśnie nasz Sepp Rieger. Na pewno każdy, kto miał szczęście służyć pod jego rozkazami, na zawsze go zapamiętał.

Przewieźliśmy po kryjomu paliwo i amunicję do czołgów. Sto pocisków i dwieście litrów paliwa dla każdego Tygrysa. Wykonaliśmy ciężką pracę, zanim mogliśmy zasiąść do ciepłego posiłku. Potem było dobre jedzenie i wojenne opowieści. Rieger opowiadał, jak przeżywali „nasz” dzień w Sillamäe. Dowódca kompanii rozkazał przeciągnąć kabel radiostacji swojego Tygrysa i podłączyć do głośnika radia polowego. Dzięki temu wszyscy mogli usłyszeć, co się dzieje na froncie. Za każdego zabitego na polu walki Rieger częstował swoich ludzi kieliszkiem sznapsa.

Żołnierze nie mogli zrozumieć tylko jednego: dlaczego nasz dowódca nie pojechał do nas, chociaż o to prosiłem i od początku nie załatwił nam wsparcia artyleryjskiego? Cóż... Wszystko załatwiał w sztabie przez telefon.

Dopiero kiedy pod wieczór zameldowałem, że dłużej nie utrzymamy pozycji, wsiadł w samochód i pojechał do sztabu korpusu, by domagać się ognia osłonowego. Zachowanie naszego dowódcy wywołało oburzenie w całej kompanii.

Sporo wysiłku kosztowało mnie uspokojenie rozgoryczonych żołnierzy. Mówiłem, że nie ma co się denerwować po fakcie. Uspokajałem ludzi, choć sam byłem rozczarowany postawą von Schillera. Poradziliśmy jednak sobie sami, a ogień zaporowy pojawił się błyskawicznie.

Około północy odjechaliśmy na linię frontu, aby wesprzeć moralnie naszą piechotę. Potem w „Kinderheimie” omówiłem z dowódcą pułku plany na następny dzień. Zaplanowano kontratak. Włączyliśmy do pomocy kolejnych szesnastu ludzi z naszych skromnych sił.

Około piątej nad ranem zebraliśmy się do ataku w Tirtsu, niewielkiej

plamie na mapie, pomiędzy „Kinderheimem” i Lembitu. Do osłony mojego czołgu i Kerschera wyznaczono ośmiu ludzi.

Natarcie zaczęło się punktualnie o godzinie piątej. Oczywiście, nadal panowały ciemności. Sierżant Gruber miał za zadanie zdusić ogniem Rosjan na początku naszego ataku. W sile trzech czołgów z bardzo bliskiej odległości ostrzelaliśmy zachodnie ruiny. Potem zajęło je ośmiu naszych żołnierzy. Operacja była bardzo udana. Tylko jeden żołnierz został ranny.

Zupełnie inaczej przebiegał atak na wschodnie ruiny, leżące niedaleko skrzyżowania linii kolejowej i drogi frontowej. Tam było dużo trudniej. To miejsce miało o wiele większe znaczenie dla Rosjan. Ostatecznie udało nam się tam zniszczyć w ciągu nocy pięć okopanych armat przeciwpancernych, dwie haubice i działko przeciwlotnicze kalibru 47 mm. Musieliśmy się trochę napracować.

Rosjanie, gdy tylko zajęli teren, natychmiast - nawet w nocy - zwozili materiały jak mrówki i kopali w ziemi jak krety. Nigdy nie udało się nam dostrzec, jak to robili. Pomimo największych wysiłków nie odbiliśmy drugiego punktu umocnień. W czasie wymiany ognia Ruscy kontratakowali niewielkimi siłami piechoty i dwoma T-34.

Udało nam się ich odeprzeć i zniszczyć obydwie czołgi. Wkrótce po tym spadła na nas lawina pocisków z ciężkich moździerzy i haubic wielkiego kalibru. Nasze straty to: dwóch zabitych i dwóch rannych. Pozostała czwórka żołnierzy nie miała szansy utrzymać samotnie pozycji. Na domiar złego dowódca piechurów, podporucznik ze sztabu poległ, gdy szturmował ruiny z okrzykiem „hurra!”.

Rosjanie kontynuowali ostrzał z karabinów maszynowych. W żaden sposób nie mogliśmy ich uciszyć. Nie mogli sobie pozwolić na utratę pozycji po naszej stronie nasypu kolejowego. Gdyby się wycofywali, znaleźliby się bez żadnej osłony w naszym polu ostrzału.

Teraz musieliśmy zatroszczyć się o naszych rannych. Dwoma Tygrysami podjechaliśmy tak blisko, jak to możliwe, aby dać pojazdom osłonę przed ogniem z broni maszynowej. Podczas tych walk Rosjanie stracili trzydziestu lub czterdziestu ludzi, ale walczyli o ruiny jeszcze przez kilka dni.

Po południu rosyjskie wojska wznowiły atak, poprzedzając go piętnastominutową nawałą ogniową. Próbowali odbić ruiny wioski i umocniony punkt oporu. Nacierali w sile kompanii, wspartej czołgami. Stracili sporo ludzi oraz czołgi T-34 i T-60.

W końcu uznali, że na ten dzień mają dosyć. Mieliśmy spokój aż do następnego ranka. Po naszym powrocie do bunkra przyjechały pojazdy z

zaopatrzeniem.

Znowu mieliśmy kłopoty z dowódcą. Nasi ludzie mieli go już dosyć. Poprosiłem przez radio o samochód terenowy, abym mógł pojechać w nocy do sztabu 61. Dywizji Piechoty.

Chciałem po prostu oszczędzić sobie pieszej wędrówki, bo oznaczało to osiem kilometrów w każdą stronę. Nie chcąc zwracać uwagi Rosjan, nie mogłem pojechać czołgiem. Poza tym załoga zasłużyła na trochę odpoczynku. Jednak samochód terenowy o który prosiłem, nie pokazał się. Biermann zameldował, że dowódca nie ma żadnego takiego pojazdu do dyspozycji.

Dopiero na spotkaniu po wojnie dowiedziałem się od jednego z żołnierzy, który służył jako ordynans, że w tym czasie jeździł z von Schillerem przez kilka wieczorów po pewną znajomą panią. Potem odwozili ją do Narwy.

To do tego był mu potrzebny wóz terenowy! Gdybym wtedy o tym wiedział, to szlag by mnie trafił. Nie wiedziałem o tym przez całą wojnę, więc nie poniosły mnie nerwy.

Komunikat w biuletynie wojennym Wehrmachtu, w którym wspomniano o 2. kompanii z 502. batalionu, dowodzonej przez porucznika von Schillera wywołał sporą konsternację. Przecież nasz dowódca w niczym nie przyczynił się do tego sukcesu. Tym razem było bardzo trudno uspokoić ludzi. Wyjaśniłem im, że w ten sposób została uhonorowana cała kompania. Inaczej można by było wspomnieć tylko o jednym plutonie. Jasne jednak, że na sukces zapracowała cała kompania.

Dobrze się stało, że nie wiedziałem wtedy o niewiarygodnych przejażdżkach naszego dowódcy. Inaczej nie próbowałbym nawet uspokajać żołnierzy.

Trzeba jednak zaznaczyć, że zostaliśmy uhonorowani w inny sposób: specjalnym rozkazem dziennym, wydanym przez sztab korpusu. Rozkaz został głośno odczytany we wszystkich pododdziałach.

Wspomniano tam tylko nasze czołgi. Było czymś niezwykłym, że sami, do tego z własnej inicjatywy, zatrzymaliśmy rosyjskie natarcie w kierunku wybrzeża. Mogło ono odciąć wszystkie oddziały na wschód od „Kinderheimu”. Bez wsparcia piechoty utrzymywaliśmy przez cały dzień odzyskaną linię obrony.

\* \* \*

Rosjanie nie dawali nam chwili spokoju. Za wszelką cenę chcieli zwinąć albo okrążyć nasz przyczółek w Narwie. Około południa 19 marca Iwan zaatakował na zachód od „wschodniego worka”. Jednak najpierw było przygotowanie artyleryjskie, przeprowadzone przez haubice i moździerze. Próbowali odciąć południową część buta, który nadal znajdował się w naszych rękach. Ten manewr miał połączyć „wschodni worek” z „zachodnim”, co dawałoby Rosjanom lepszą pozycję wyjściową do dalszych ataków.

Zniszczyliśmy sześć T-34 i T-60 oraz armatę przeciwpancerną kalibru 76,2 mm. Pomimo tych strat udało im się przeniknąć przez nasze pozycje obronne.

Nim nasza piechota rozpoczęła kontratak, trzeba było w trybie alarmowym interweniować na innym odcinku frontu. Z umocnionego punktu, na północ od nasypu kolejowego, dostaliśmy meldunek, że cztery rosyjskie działa szturmowe umocniły się po drugiej stronie nasypu, na ścieżce prowadzącej do lasu. Zauważono też dwa wrogie czołgi w okolicy skrzyżowania kolejowego. Sierżant Kerschner i ja ruszyliśmy błyskawicznie Tygrysami, bo naszą piechotę zaczynała ogarniać panika. Rozumiałem ich, poza naszymi czołgami nie było w pobliżu innej broni przeciwpancernej.

Zniszczyliśmy pojazdy pancerne Iwana, nim zdołały ruszyć do ataku. Zdążyliśmy też wesprzeć kontratak naszej piechoty w kierunku południowym. Atakowaliśmy z punktu 39,9 (wzdłuż linii z „Kinderheimu” do podstawy „buta”).

Bagienny teren sprawiał sporo kłopotów. Mogliśmy poruszać się wyłącznie drogami, a piechota potrzebowała wsparcia. Tylko z naszą pomocą mogli utrzymać swoje pozycje. Operacje na bagnach są bardzo uciążliwe, żaden czołgista ich nie lubi.

Po trzech godzinach przeciwnik się wycofał, a nasza piechota znowu zajęła stare pozycje. Jeden z oficerów zasłużył na specjalną uwagę. To major Haase, który na czele swego batalionu z ogromną zręcznością i odwagą atakował radzieckie pozycje.

Ten typ działań przypominał mi opowieści ojca z 1 wojny światowej, jak to oficerowie z wyciągniętymi szablami szturmowali na czele swoich oddziałów.

W czasie tego natarcia zniszczyliśmy dwa kolejne T-34. Jednak Rosjanie nie kapitulowali. O świcie w sile kompanii ponownie zaatakowali Lembitu. Odrzuciliśmy ich po godzinnej walce. Atak podjęty przez nich w południe spotkał ten sam los. Znowu stracili dwa czołgi i armatę



przeciwpancerną kalibru 45 mm. Nadal nie rezygnowali. Teraz zaatakowali nocą. O trzeciej nad ranem przeprowadzili szarżę na nasze pozycje. W ciemnościach strzelaliśmy na ślepo, więc Iwan zdołał dotrzeć do środkowych ruin.

Nauczeni doświadczeniem, jakie dała nam nieudana akcja na umocniony punkt przy nasypie kolejowym, nie zwlekaliśmy z kontratakami. Przeprowadziliśmy go razem z dziesięcioma piechurami i po dwóch godzinach znowu ruiny były w naszych rękach. Rosjanie już zdążyli się okopać i ściągnąć armatę przeciwpancerną kalibru 76,2 mm, która sprawiła nam sporo kłopotów. Odbicie tych ruin, znajdujących się w środku naszej obrony, było dla nas niezmiernie ważne. Gdybyśmy tego nie zrobili, szybko stracilibyśmy też zabudowania wioski, a wtedy cały broniony przez nas odcinek mógłby się rozpaść. Oczywiście, dla przeciwnika ten teren był tak samo ważny.

Rosjanie ponowili atak trzy godziny później. Punkt oporu trzeba było ewakuować. Zginęło tam czterech jego obrońców, w tym dowódca tego pododdziału. Pozostałych sześciu ludzi nie mogło powstrzymać Rosjan, więc szukali schronienia w zabudowaniach wioski.

Nasze trzy czołgi zajęły pozycję wokół wioski. Musiała być utrzymana za wszelką cenę. Ponieważ radiostacja piechurów była zepsuta, posłałem do dowództwa pułku sierżanta Grubera z czołgiem, aby ściągnął posiłki.

Piechurzy nie mogli nadążyć. Rosjanie grali z nami w „kotka i myszkę”. Atakowali tam, gdzie akurat nie było czołgów. Ganiali piechotę z miejsca na miejsce. Po południu sierżant Kerscher zniszczył przy punkcie 33,7 dwa ruskie czołgi.

Przed zapadnięciem zmroku przypuściliśmy kontratak na środkowe ruiny. Zdobyliśmy je pół godziny później. To miał być nasz ostatni atak przed natarciem na „wschodni worek”. Jego celem było stworzenie skuteczniejszej linii oporu na południu. Stanowiło to część „Operacji Strachwitz”.

Ogromne straty w ludziach i sprzęcie zmusiły Rosjan do chwilowej przerwy w natarciach. W dużej mierze zawdzięczamy to naszej wspaniałej piechocie. Dokonywała w tamtych dniach nadludzkich wyczynów, jednak była za słaba, by utrzymać pozycje. Przeciwnik był silniejszy. Pomimo to nasi piechurzy bez przerwy atakowali. Ich męstwo może docenić tylko ten, kto był na froncie. Słowami nie da się tego opisać.

Sytuacja wyjściowa została przywrócona. Ustawiłem nasze Tygrysy na wprost skrzyżowania linii kolejowej z drogą. To nie była zabawa. Rosjanie ciągłym ogniem z dział i moździerzy zmuszali nas do nieustannej zmiany

pozycji.

Nie mieliśmy żadnej osłony. Wróg obserwował każdy nasz ruch, szczególnie od czasu, gdy zajął ruiny po naszej stronie nasypu kolejowego. Iwan nie dawał nam ani chwili spokoju.

\* \* \*

Wydałem rozkaz, że żaden czołg - bez uzgodnienia przez radio kierunku ruchu z sąsiednim pojazdem - nie może się wycofać. Dowódca ruszającego Tygrysa mógł nie widzieć, co dzieje się za nim. Zawsze istniało niebezpieczeństwo zderzenia. Kierowca czołgu był kompletnie „ślepy”.

Trzeba było również obserwować gąsienice sąsiedniego czołgu. W trakcie cofania mogły podwinąć się pod zęby koła napędzającego. Do takiej sytuacji mogło też dojść podczas delikatnych manewrów skrętu - szczególnie gdy wszędzie leżało błoto i śnieg. Jeśli do tego doszło, powstawały silne naprężenia i czołg był unieruchomiony. Wtedy nie pozostawało nic innego jak rozerwać gąsienicę.

Mimo doświadczeń i przypomnień i tak doszło do nieszczęścia. Akurat gdy byliśmy pod ostrzałem, sierżant Gruber postanowił nagle wycofać swój czołg i przez nieuwagę wjechał w wielki lej po bombie. Oczywiście, nie miał włączonego radia i nie zważał na moje sygnały. Jego pojazd zniknął w głębokim kraterze.

Z dołu wystawał tylko gruszkowaty hamulec wylotowy, umieszczony na końcu lufy. Gruber nawiązał ze mną kontakt radiowy i klął jak szewc. Nikt z załogi nie mógł wyjść na zewnątrz, bo Rosjanie, widząc, co się dzieje, strzelali do nich ze wszystkich sił.

To była trudna sytuacja. Natychmiast pomyślałem o „przemitym” zadaniu wyciągania czołgu. Musieliśmy to przeprowadzić następnej nocy. Na domiar złego mój Tygrys został uszkodzony i nie nadawał się do holowania.

Zrządzeniem losu pojawił się Zwetti ze swoim świeżo naprawionym czołgiem. Razem z Kerscherem wyciągali „małego Maxa”. Niestety, nie wszystko poszło gładko.

Rosjanie, gdy zobaczyli dwa czołgi, ponownie dostali amoku i zaczęli ostre ostrzeliwanie. Wiedzieli przecież, że będziemy próbowali wyciągnąć zatopiony pojazd. Ustawili wszystkie celowniki na ten przeklęty lej po bombie.

Granat moździerzowy kalibru 150 mm, taki z opóźnionym zapalnikiem, przeznaczony do walki z czołgami, trafił we właz pojazdu jednego z naszych radiotelegrafistów. Pocisk uderzył prawie pionowo i oderwany właz zmiażdżył nogi niefortunnego radiotelegrafisty. Ostatnie dwa dni minęły bez ofiar i dopiero teraz, podczas odzyskiwania czołgu, pech dopadł tego chłopaka, który niedawno przybył do naszej kompanii.

Chyba dopiero skończył osiemnaście lat i była to jego pierwsza bitwa. W bunkrze zrobiliśmy mu opatrunek. Musiał odczuwać straszny ból. Skarżył się, że boli go lewa stopa. Nie zauważył nawet, że już jej nie miał.

Ten straszliwy widok poruszył mnie bardziej niż wszystko, co widziałem przez ostatnie dni. Zauważyłem w jego oczach mieszaninę strachu i nadziei. Był nadal prawie dzieckiem, które z porozrywanymi nogami, w straszliwych boleściach leżało teraz w czołgu. Bełkotał coś bez sensu:

- Panie poruczniku, ona mnie już chyba nie zobaczy. Och, jak boli mnie lewa stopa! Czy musi być amputowana? Ciekaw jestem, czy ona to zniesie? Już straciła dwóch synów, a teraz mnie. Panie poruczniku, napisze pan do niej?

Bełkot ciężko rannego chłopaka, który ciągle mówił o matce, wstrząsnął mną do głębi. Staralem się mu pomóc, jak tylko umiałem i zapewniałem, że natychmiast zostanie przewieziony ambulansem do szpitala polowego.

Byłem szczęśliwy, że przeżył. Musieli mu amputować lewą nogę poniżej kolana, ale mógł przynajmniej zobaczyć swoją matkę, a to była najważniejsze. Później widziałem go w batalionie uzupełnień. Ucieszyliśmy się z ponownego spotkania. Może ta noga uratowała mu życie? Ale kto może być tego pewien?

\* \* \*

22 marca Rosjanie po raz ostatni zaatakowali punkt 33,9 w „bucie”. Kosztowało ich to dwa dodatkowe czołgi.

Od tego momentu we „wschodnim worku” ucichło. W okresie od 17 do 22 marca w trakcie ciężkich walk zniszczyliśmy trzydzieści osiem wrogich czołgów, cztery działa szturmowe oraz siedemnaście różnych dział artyleryjskich.

Mogliśmy być zadowoleni z naszych osiągnięć.

Jedyną ofiarą w naszym pododdziale był ciężko ranny osiemnastolatek.

Ale nie doszłoby do tej tragedii, gdybyśmy nie musieli wyciągać z dołu czołgu Grubera.

Iwan jeszcze raz spróbował osiągnąć cel. Ponieważ nie mógł już atakować od strony „wschodniego worka”, zdecydował się na desant od strony morza. Wiedzieliśmy o tym na podstawie zeznań jednego z jeńców wojennych. Nawet pociągi w okolicy Sillamae były przygotowane na „Operację Lew Morski”. Taki kryptonim nadano przygotowaniom do odparcia desantu morskiego.

Rosjanie usiłowali wylądować na północ od „Kinderheimu”, w Mereküla. Kilka czołgów ruszyło natychmiast w stronę wybrzeża.

Większość okrętów desantowych jeszcze na morzu została zniszczona przez armaty przeciwpancerne Dywizji „Feldherrnhalle”. Zobaczyliśmy tylko miotające się przy brzegu płonące barki desantowe. Bardzo niewielu Rosjan zdołało dotrzeć do brzegu. Ci, którzy ocaleli, natychmiast dostali się do niewoli. Należeli do znakomicie wyposażonych, elitarnych jednostek. Jak zeznawali, długo przygotowywano się do tej operacji.

Ten desant nie miałby miejsca, gdyby Rosjanie przełamali naszą obronę przy „wschodnim worku”. Ponieważ to się nie udało, musieli spróbować gdzie indziej. Rezultatem tej decyzji była bezsensowna masakra ich elitarnych jednostek.

Pomimo fiaska rosyjskiego desantu, nie znikło widmo „Operacji Lew Morski”. Penetrowaliśmy wybrzeże morza jeszcze przez kilka nocy. Jednak do końca naszego pobytu w rejonie Narwy Rosjanie już jej nie powtórzyli.

W końcu marca nasze czołgi zostały wycofane z odcinka obrony 61. Dywizji Piechoty. Przygotowywaliśmy się do nowej operacji. Otrzymała nazwę: „Eliminacja wschodniego i zachodniego worka”. Za jej wykonanie odpowiadał pułkownik graf von Strachwitz.

Zebrałiśmy się w Sillamäe. Potrzebowaliśmy wszyscy gruntownego przeglądu - my i nasze Tygrysy.

# 15 BUNT W SCHRONIE

W bazie zaopatrzeniowej na wybrzeżu Bałtyku mieliśmy wreszcie kilka dni spokoju. Załogom naszych czołgów należał się wypoczynek. Od dłuższego czasu nie mieliśmy chwili wytchnienia. Pomimo wielkiej wytrwałości i chęci do walki ludzie mają granice wytrzymałości. Z wielu powodów ten odpoczynek był dla mnie interesujący i relaksujący. Bardzo się cieszyłem, że mogę znowu posłuchać w radio dobrej muzyki. Na tym tle dochodziło do drobnych spięć z naszym dowódcą. Ja byłem miłośnikiem muzyki klasycznej, a on wolał słuchać lekkiej muzyki współczesnej.

Inna sprawa, która utkwiała mi w pamięci. Zdobyłem uznanie czworonożnego przyjaciela - Hasso, niemieckiego psa pasterskiego. Von Schiller wykupił go od żandarmerii polowej za butelkę wódki. Dla policji Hasso nie miał wartości od chwili, gdy wybił sobie zęby. Był doskonale wyszkolony i dawał mi dużo radości. Potrafił wspinać się po drabinach, skakać zadziwiająco wysoko i wyławiać różne przedmioty z wody. Warował przy kawałku drewna tak długo, dopóki nie zwolniłem go odpowiednią komendą.

Na mój rozkaz Hasso potrafił zostawić kawałek mięsa, nawet jeśli trzymał je w pysku. Towarzyszył mi wszędzie, a nocą kładł głowę na moich stopach. Gdy chciał rano wyjść, lizał mnie po rękach, dopóki się nie obudziłem i nie wyprowadziłem go na podwórze. Chociaż był „psem kompanijnym” i miał wielu panów, bardzo się do mnie przywiązał. Dzięki niemu mogłem oderwać się od poważnych spraw. Jednak moje chwile radości były czasami zakłócone.

Dowódca był zawsze jakoś o mnie zazdrosny, ponieważ miałem ze wszystkimi dobre układy. Nie zazdrościł mi ciężkich doświadczeń, które towarzyszyły naszym sukcesom. Zawsze był zaskoczony naszym „myśliwskim szczęściem”, podczas gdy on nie zniszczył nawet jednego nieprzyjacielskiego czołgu. Faktem jest, że my cały czas znajdowaliśmy się na polu walki - a on w przeciwieństwie do nas - zawsze stamtąd uciekał. Za każdym razem, gdy dwa Tygrysy z naszej kompanii brały udział w jakiejś akcji, jednym z nich musiał być mój. Poza tym, jak długo musieliśmy siedzieć w Lembitu, nim sami znaleźliśmy bezpieczne schronienie? Von Schiller przypominał mi „myśliwych na dobrą pogodę”. Wierzył, że wystarczy wejść do lasu, by spotkać jelenia, który już na niego

czekał.

Radziłem sobie z nim, gdy byliśmy sami, bo zawsze pamiętałem o jego wpadkach. Było również dobrze, gdy ja znajdowałem się na polu walki, a on siedział z kompanią w bazie zaopatrzeniowej. W Sillamäe atmosfera była jednak napięta. Miałem zwyczaj przebywać z moimi ludźmi, a to całkowicie nie odpowiadało dowódcy. Miał opinię osoby stale utrzymującej dystans do ludzi. Dzięki Bogu, nigdy nie uważałem tego za konieczne. Nigdy nie zauważyłem, aby ktoś w stosunku do mnie zachowywał się nieodpowiednio. Dlatego znalazłem się między młotem a kowadłem. Musiałem uspokajać podoficerów, gdy głośno skarżyli się na dowódcę.

Z drugiej strony, starałem się przekonać szefa, że nasi chłopcy to wspaniali żołnierze, którzy na nim polegają. Trzeba wziąć pod uwagę, że nasi ludzie byli bardzo rozdrażnieni po ciężkich akcjach. Pewnego dnia bomba eksplodowała i wywołało to o wiele poważniejsze skutki, niż można było się spodziewać.

Oczywiście - jak zawsze - sytuację sprowokował Iwan. Nigdy nie dawał nam spokoju, nawet gdy byliśmy na pozycjach rezerwowych. Z artylerii dalekiego zasięgu usytuowanej na południe od Narwy strzelał nad nami w stronę morza. Rosjanie chcieli ostrzeliwać naszą drogę zaopatrzeniową, lecz ich pociski padały zbyt daleko. Kiedy przelatywały nad naszymi głowami, wydawało się, że pozrywają okoliczne dachy. Ostrzeliwali nas co kilka godzin. Słyszeliśmy przytłumione wybuchy i liczyliśmy sekundy, gdy mijały nas pociski. Wysunięte placówki błyskawicznie donosiły o rozpoczęciu kolejnego ostrzału. Obowiązywał rozkaz, według którego w czasie ostrzału wszyscy musieli przebywać w piwnicach budynków. Było to całkowicie uzasadnione, bo Rosjanie strzelali często zbyt „krótko”. Sierżant z pododdziału naprawczego i kompanijny pisarz zostali zabici w drodze do bunkra. Nie zdążyli dotrzeć tam na czas. Dlatego wszystkie środki ostrożności miały swoje uzasadnienie. Tak było bezpieczniej.

Podoficerów, którzy spali w pokoju obok nas, irytowało, że dowódca zawsze pierwszy dopadał wejścia do piwnicy. Nawet wtedy, gdy nie było to konieczne. Zgodnie z wojskowym zwyczajem, dowódca powinien myśleć o własnym bezpieczeństwie dopiero na samym końcu. Zdenerwowany kompanijny sierżant łączności, radiotelegrafista Schotroff obraził von Schillera i niemal doszło do bójki. Został aresztowany pod zarzutem buntu.

Von Schiller żądał natychmiastowego postawienia chłopaka przed sądem wojennym. Nim do tego doszło, mieliśmy się spotkać z dowódcą

Pułku Pancernego Großdeutschland, pułkownikiem grafem von Strachwitzem. W podróży urobiłem von Schillera. Chciałem uprosić go, by nie niszczył życia tak doświadczonego żołnierza jak Schotroff.

Dzięki moim staraniom von Schiller nie był już tak kategoryczny w swych żądaniach. Możliwe, że pomyślał też o sobie. Wyjaśnienia przed składem sędziowskim sądu wojennego nie wróżyły mu nic przyjemnego. Wreszcie, ku mojej wielkiej uldze zdecydował, że nie przekaże sprawy do sądu polowego.

Powiedział:

- W porządku Otto, dajmy temu spokój. Tylko tobie ten żołnierz zawdzięcza, że go ukarzę osobiście za to skandaliczne zachowanie. Zostanie aresztowany i wcielony do załogi mojego czołgu.

Siedziałem cicho. Wielki ciężar spadł mi z serca, chociaż radiotelegrafista Schotroff zarobił najsroższą karę, jaką mógł nałożyć na niego dowódca - zakaz opuszczania kwatery. W dodatku miał służyć jako radiooperator w czołgu dowódcy. Ta kara nie uwzględniała aspektu psychologicznego. Była błędna i to podwójnie.

Po pierwsze, wyznaczenie do pododdziałów liniowych nie mogło być karą, bo służba w nich stanowiła sedno naszego zawodu. W dodatku Schotroff wielokrotnie prosił, aby skierować go na linię. Jego prośby zawsze spotykały się z odmową. Tak dobrze wyszkolonego łącznościowca trudno było zastąpić. Po drugie - jak wkrótce ustaliliśmy - von Schiller nigdy nie dostał pozwolenia na wcielenie go do załogi swojego czołgu.

# 16 OPERACJA STRACHWITZ

Pułkownik rezerwy Hyazinth graf Strachwitz był typem człowieka, którego, gdy się raz spotkało, nigdy się nie zapomina. Był mistrzem organizacji. Z drugiej strony pozwalał swoim podwładnym w dużym stopniu improwizować. Mieliśmy szczęście uczestniczyć w paru operacjach, którymi kierował. Były znakomitym przykładem tego, że dobre planowanie stanowi połowę sukcesu.

Graf Strachwitz otrzymał Krzyż Rycerski jako major rezerwy i dowództwo 1. batalionu w 2. Pułku Pancernym 25 sierpnia 1941 roku. Kilkanaście miesięcy później, 17 listopada 1942 roku otrzymał Liście Dębowe. Już jako pułkownik i dowódca pułku pancernego w Dywizji Großdeutschland 28 marca 1943 roku dołożył jeszcze Miecze do tej kolekcji. Teraz mieliśmy dzielić z nim chwałę sukcesu. Za znakomite wykonanie operacji 15 marca 1944 roku otrzymał Diamenty do Krzyża Rycerskiego.

Pojawiały się plotki, że odebrano mu dowodzenie pułkiem czołgów w Dywizji Großdeutschland, bo miał zbyt dużo strat. Mam co do tego uzasadnione wątpliwości. Graf Strachwitz i jego sztab byli zawsze w najgorętszych punktach frontu. Przeprowadzali szczególnie trudne operacje, wykorzystując do tego każde możliwe wsparcie. Podczas takich działań trudno uniknąć bolesnych strat. Jednak dzięki stratom naszego pułku, udawało się ocalić wielu żołnierzy z innych oddziałów.

Z Dywizji Großdeutschland graf Strachwitz zabrał swój sztab oraz kilka czołgów i transporterów opancerzonych. Nasza kompania grała rolę jednostki podległej w pierwszej operacji, mającej odciąć i zniszczyć „zachodni worek”. Atak miał być prowadzony z zachodu na wschód, blisko podeszwy „buta”. Dlatego musieliśmy odzyskać łączność z naszą piechotą, znajdującą się w „bucie”.

Odzyskaliśmy ją i worek został ostatecznie zlikwidowany, ale szlak, którym poruszały się nasze Tygrysy, nie był odpowiednio szeroki i stabilny. Dlatego na początku trzeba było użyć Panzer IV, które były prawie o trzydzieści ton lżejsze.

Gdy czołgi dotarły na miejsce natarcia, graf jechał w czołowym pojeździe, czym od razu zyskał nasze zaufanie. W trakcie całej tej akcji odpowiadaliśmy tylko za powstrzymanie nacisków z zewnątrz i kontrataków, które pojawią się w „zachodnim worku”, w momencie



rozpoczęcia ataku.

Całą operację miały wspierać Stukasy (choć lepiej powiedzieć, iż spodziewano się, że ją wesprą). Udowodniły już, że nie są zbyt skuteczne w terenie zalesionym, a co gorsza, mogą stanowić zagrożenie dla naszych oddziałów! Po prostu w takim terenie piloci nie zawsze mogli rozpoznać wyznaczone cele. Jednak Ju 87 przybyły o wyznaczonym czasie i śmiało zanurkowały ku pozycjom wroga.

Jedna z ich bomb wybuchła na środku jedynej drogi, którą mogły poruszać się czołgi. Minutę później, a sam graf Strachwitz mógłby stać się ofiarą tego nalotu. Dowódca zaczął przeklinać całe lotnictwo i dalszy atak odbywał się już bez wsparcia z powietrza.

Trzeba wspomnieć, że mieliśmy rozkaz utworzyć nową linię frontu bez względu na poniesione straty. Istniało niebezpieczeństwo, że Rosjanie uciekną z tego „worka” na południe lub zwiną naszą linię obrony, która na tym odcinku nie była zbyt mocna.

Następnego dnia cały „worek” został zredukowany, a potem zniszczony. Większość Rosjan i ich materiałów wojennych wpadła w nasze ręce.

Strachwitz osiągnął swój cel w zasadzie bez użycia czołgów i lotnictwa.

Nieliczni Rosjanie uciekli na południe, skąd wyprowadzali uderzenia spowalniające nasze działania. Musieli wprowadzić do „wschodniego worka” znacznie więcej ludzi i sprzętu niż kiedykolwiek przedtem. Iwan nie sądził, że ruszymy również w tamtą stronę.

Graf miał swoje dziwactwa, ale nikt nie lekceważył go z tego powodu, bo zdobył nasz szacunek i uznanie. Na przykład, Strachwitz nie pozwalał zwracać się do siebie „panie pułkowniku”. Mówiono, że nie wstydził się nawet upominać swoich przełożonych, by zwracali się do niego „panie hrabio” lub „graf”. Twierdził, że tytuł grafa (hrabiego) znaczy dużo więcej niż ranga wojskowa.

W czasie pierwszej odprawy przedstawił nam dokładny plan rozwoju sytuacji. Jego śmiałe planowanie zaskoczyło nas, ale wkrótce przekonaliśmy się, że było bardzo sensowne.

- Panowie, tak widzę te sprawy - powiedział nieco wyniośle. - Nasza grupa bojowa będzie prowadzić frontalny atak przeciwko tak zwanemu „wschodniemu workowi”. Zaczynając od „Kinderheimu”, ruszymy po równinie w kierunku skrzyżowania kolejowego. Cztery Tygrysy będą ruchomą szpicą. Po przekroczeniu nasypu kolejowego zwrócą się w prawo i będą zwijać linię rosyjskiej obrony. Następne cztery Tygrysy, które będą miały desant piechoty, ruszą szybko jak diabli do rozwidlenia dróg o 100 metrów na południowy wschód od skrzyżowania kolejowego.

Rozwidlenie musi zostać jak najszybciej zdobyte i otwarte dla naszych oddziałów. Tamtędy ruszą Panzer IV i transportery opancerzone z piechotą, by zająć równinę położoną na dnie „worka”.

Wskazał na mapę: - Zatrzymaj się o ten rejon. W nocy ten obwód obrony musi być utrzymany, dopóki nie przybędzie inny pułk piechoty i nie rozbuduje pozycji obronnych. Dzięki temu będziemy mieli ciągłość linii na wschodzie i zachodzie.

Najważniejszą rzeczą jest, mocno to podkreślam, aby operacja przebiegała zgodnie z planem. To oznacza, że żaden czołg nie może pozostać na drodze, blokując drogę nacierającym oddziałom. Takie opóźnienie może narazić całą operację na porażkę, a ja na to nie pozwolę. Dlatego jeszcze raz rozkazuję, aby każdy unieruchomiony pojazd został zepchnięty w bagna i nie wstrzymywał ruchu innych wozów pancernych.

Zamilkł na chwilę.

- Odpowiedzialność za sukces operacji spada bezpośrednio na dowódców czołgów i to bez względu na ich rangę. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak jest, Herr Graf!

Pułkownik skrzywił usta w delikatnym uśmiechu. Wiedział przecież, że pozwoliliśmy sobie zrobić kilka uwag na temat formy zwracania się do niego i żadna z nich nie znalazłaby się w podręczniku dobrych manier.

- Bardzo dobrze. Dalej też będzie całkiem łatwo. Ale teraz inne pytanie do ludzi z Tygrysów. Z jakim batalionem chcecie iść do walki?

Spojrzelismy po sobie, zaskoczeni wspaniałomyślnością dowódcy. Natychmiast wskazaliśmy na batalion lekkiej piechoty, z którym już uprzednio wspólnie walczyliśmy.

- W porządku, będziecie go mieli.

Potem zwrócił się do adiutanta:

- Dopilnuj, by tamci ludzie zostali wycofani z linii frontu w Narwie i ściągnij ich tutaj. Porozmawiamy później o włączeniu miotaczy ognia, saperów, obserwatorów artyleryjskich i innych drobiazgach.

Na chwilę przerwał i przełknął ślinę.

- Przewagę w powietrzu mają zapewnić nasze myśliwce. To już zostało uzgodnione z dowództwem lotnictwa. Konieczny kontakt ze Stukasami będziecie utrzymywać z transportera opancerzonego łączności, który zostanie wam przydzielony. Czy coś jeszcze? Ach, oczywiście! Otrzymacie własne mapy i zdjęcia lotnicze rejonu operacji. Ważne dla was rejony zostały oznaczone numerami. Dzięki temu nie będzie nieporozumień i niepotrzebnych pytań. Będziecie mogli podawać swoją lokalizację

szybciej i dokładniej. To wszystko na dzisiaj. Jakies inne pytania? Nie? No, to dobrze. Dziękuję panowie.

Na kilka dni przed planowanym na 6 kwietnia atakiem otrzymaliśmy nowe urządzenie do oczyszczania z min trasy dla czołgów. Był to ciężki, metalowy walec, który toczył się przed czołgiem. Miał powodować eksplozję miny, nim wjedzie na nią pojazd pancerny. Jednak ten pomysł nie do końca wypalił. Pomimo zagrożenia zrezygnowaliśmy z niego, bo bardzo spowalniał ruchy czołgu.

Całą „Operację Strachwitz” przećwiczyliśmy na terenie dwa razy większym niż „wschodni worek”. Ćwiczenia przeprowadzono bez wsparcia Luftwaffe i artylerii, jednak z użyciem ostrej amunicji. Podczas ćwiczeń byli obecni sztabowcy z najwyższego dowództwa Frontu Północnego. Później odbyli z nami krótką odprawę. Wskazali na wagę tej operacji. Przyczółek nad Narwą musiał być utrzymany za wszelką cenę, bo na terenie Estonii znajdują się złoża roponośnych łupków. Ropa była niezbędna dla naszych U-Bootów.

Wcześniej wcale nie myśleliśmy o estońskiej ropie. Teraz całkowicie poświęciliśmy się czekającemu nas zadaniu.

\* \* \*

Krótko przed rozpoczęciem ataku przetoczyliśmy czołgi w rejon! koncentracji za wzniesieniem „Kinderheimu”. Musieliśmy poruszać się bardzo ostrożnie. Artyleria co jakiś czas strzelała, aby zagłuszyć! przypadkowy hałas, który mógł przyciągnąć uwagę Rosjan. Grafl Strachwitz pomyślał o wszystkim!

Piechota była już na miejscu i każdy jej oddział szybko odnalazł przydzielony sobie czołg, tak jak wcześniej przećwiczyliśmy. Wszystko działało jak w zegarku. Nasze cztery Tygrysy ruszyły w porządku: Kerscher, ja, Zwetti, Gruber.

Graf Strachwitz zabronił, by dowódca pododdziału jechał w pierwszej linii. Dzięki temu atak nie utknie, jeżeli pierwszy czołg wpadnie na minę. To było jednak wbrew moim zasadom. Musiałem jechać w pierwszym czołgu na drugim miejscu. Tylko dowódca w czołowym czołgu mógł prawidłowo ocenić sytuację w terenie.

Ustalono, że Tygrysy będą szpicą natarcia. Ponieważ przebywaliśmy wcześniej na tym terenie przez kilka tygodni, znaleźliśmy okolice Lembitu jak własną kieszeń. Znaleźliśmy każdy lej po wybuchach, orientowaliśmy się,

co dzieje się za nasypem kolejowym.

Dowódcy trzech czołgów walczących obok mnie idealnie nadawali się na swoje stanowiska. Rzadko można spotkać się z taką perfekcją. Poznaliśmy się dobrze w czasie tych trudnych miesięcy, dlatego pragnę podkreślić ich zalety i zasługi, nie odbierając niczego pozostałym kolegom, takim jak: Link, Wesely, Carpaneto, Göring, Riehl, Mayer, Hermann i wielu innych.

Druga grupa miała mniej szczęścia. Musieli okazyjnie „pożyczać” pojazdy i dlatego nie mogli się zbyt wykazać. Nie byli jednak od nas gorsi i mam nadzieję, że wszyscy dowódcy kompanii czołgów chcieliby mieć u siebie ludzi tego rodzaju.

\* \* \*

Nasza grupa czołgów nie miała desantu na pancerzach. Tylko Gruber i Zwetti mieli jako „gości” po trzech saperów do pomocy w pokonywaniu zapór minowych. W trakcie trwania całej operacji nic złego im się nie przytrafiło. Gdy tylko się zatrzymywaliśmy, natychmiast znikali w terenie. Mieli lepiej niż my w czołgach.

Graf Strachwitz miał dwa bunkry zbudowane wewnątrz „Kinderheimu”, jeden dla siebie, drugi dla adiutanta.

Ten zadziwiający arystokrata pomyślał o wszystkim. Piechurom w czasie natarcia było wygodniej poruszać się bez ubrań zimowych, zostały więc zebrane i złożone oddzielnie w zawiniątkach. Zostały opisane i miały być dostarczone właścicielowi w transporterze opancerzonym, po zakończeniu operacji. Dzięki temu nikt po skończeniu akcji nie musiał marznąć.

W dniach poprzedzających atak adiutant dowódcy ustalał co do minuty, kiedy rankiem robi się na tyle jasno, aby można było zobaczyć cele. To wyznaczyło dokładny czas natarcia.

Przygotowanie artyleryjskie miało zacząć się pięć minut przed rozpoczęciem ataku. Po tych pięciu minutach bariera ogniowa miała się przesunąć w głąb linii obrony wroga. W tym czasie my już powinniśmy przekraczać nasyp kolejowy.

Wkrótce przed rozpoczęciem natarcia, na nasze stanowiska przybył z nieodłączną laseczką sam graf, by stąd obserwować przełamanie linii wroga. Takiego przygotowania artyleryjskiego nie zobaczyliśmy już nigdy więcej w czasie całej wojny. Wokół „wschodniego worka” rozmieszczono

w półkolu szybkostrzelne działka przeciwlotnicze kalibru 37 mm, samojezdne działka kalibru 20 mm i armaty przeciwlotnicze kalibru 88 mm.

Strzelały pociskami smugowymi i świetlnymi, tworząc nad rejonem ostrzału ogniową kopułę, pod osłoną której ruszyliśmy do natarcia. Mieliśmy dotrzeć do południowego skraju linii obrony wroga. Pułk raketowy strzelał z dalszej odległości najpierw pociskami zapalającymi, a potem burzącymi. Trudno opisać zniszczenia powstałe na skutek tej ogniowej nawały.

Niskie drzewa na terenie bagien utrudniały wrogowi szybką ucieczkę. Pociski zapalały je na wysokości kilku metrów. Wszyscy Rosjanie, którzy nie znajdowali się w bunkrach, zginęli od wstrząsów. Intensywny ostrzał prowadziły również haubice kalibru 280 mm i inne jednostki artylerii.

W trakcie trwania tej nawały ogniowej ruszyliśmy pełnym gazem w stronę skrzyżowania kolejowego z polną drogą. Widzieliśmy, jak Rosjanie zmykają w tym kierunku wykopanymi przez siebie transzejami. Jechaliśmy z pełną szybkością i nie mogliśmy wykorzystać karabinów maszynowych, by ich trochę przetrzebić. Błyskawicznie dojechaliśmy do skrzyżowania, które wbrew naszym obawom nie było zaminowane, bo Iwan wykorzystywał drogę na południe do zaopatrywania własnych oddziałów.

Atak musiał być dla nich całkowitym zaskoczeniem. Gdy nasze czołgi minęły skrzyżowanie i ruszyły w prawo, widzieliśmy skamieniałych ze zdumienia Rosjan, którzy stali w samych koszulach i gaciach, nie wierząc własnym oczom w to, co widzą. Kerscher załatwił armatę przeciwpancerną, która chyba miała blokować ścieżkę. Na lufie nadal znajdował się pokrowiec, a jej obsada była zupełnie nieprzygotowana do walki.

Ruszyliśmy na zachód, równoległe do linii kolejowej. Droga między linią kolejową i lasem była zaminowana, dlatego jechaliśmy po śladach gąsienic. Na szczęście miny leżały na powierzchni gruntu. Ziemia była zamrznięta, więc Ruscy nie mogli ich zakopać. Poza tym zakopane w grząskim gruncie miny skrzynkowe stawały się zbyt wilgotne, by eksplodować. Dzięki temu dotarliśmy do naszych celów bez żadnych strat.

Gdy już skręciliśmy w prawo, zobaczyliśmy tyły pozycji obronnych wroga. Iwan budował co kilka metrów w nasypie kolejowym bunkry i schrony, które od strony ich linii obronnych nie dawały żadnej ochrony. Bez strat zdobyliśmy siedem nieuszkodzonych armat przeciwpancernych. Zaskoczony przeciwnik nawet nie zdołał obrócić ich w naszą stronę.

Byliśmy w świetnych nastrojach. Wszystko przebiegało, jak należy, a sukces był większy, niż się spodziewaliśmy. Doskonale planowanie operacji przynosiło pierwsze efekty. Nastrój popsuło jednak nieprzyjemne zdarzenie.

W pewnej chwili spadły nam na głowy pociski z haubic piechoty, posyłane z okolic „Kinderheimu”. Obserwator artyleryjski wziął nas za czołgi wroga. Sylwetki naszych czołgów ledwo wystawały ponad nasyp kolejowy, a poza tym strzelaliśmy w stronę naszych linii obrony.

Artyleria zaatakowała. Słyszeliśmy dokładnie każdy wystrzał i mogliśmy obserwować, jak pociski płaskim torem lotu zbliżały się w naszą stronę. To nie było przeżycie dla ludzi o słabych nerwach.

By uniknąć „przyjacielskiego ognia”, wycofywaliśmy się przez naszpikowany minami teren. To było lepsze niż lądujące na głowach 150 mm pociski.

Na domiar złego, nasi rodacy strzelali bardzo celnie. Natychmiast wezwałem przez radiostację obserwatora z „Kinderheimu”, aby wyjaśnić pomyłkę. Robiło się coraz niespokojniej, bo nasi artylerzyści nieprzerwanie strzelali z czterech dział. Nie pozostało do zrobienia nic innego, jak tylko posłać kilka pocisków przed stanowisko obserwatora. To zmusiłoby go chociaż do zmiany pozycji.

Przywołałem chłopca do porządku. Rzeczywiście nas nie rozpoznał i nadal nie wierzył, że nasze czołgi tak szybko znalazły się za nasypem kolejowym. Dopiero gdy znalazł się pod ogniem naszych dział, zorientował się, co się dzieje.

Ten „przyjacielski ostrzał” miał jeszcze inne przykre konsekwencje. Wyszliśmy z niego bez szwanku, ale napięcie nerwowe oraz ciągłe jazdy w tył i do przodu odwróciły uwagę od pola walki. I to tak bardzo, że nie zauważyliśmy działka przeciwpancernego, które stało ukryte między rosnącymi za nami drzewami. Niespodziewanie pocisk trafił w tył mojego pojazdu. Zwetti odnalazł tych chłopców i przykrył ich ogniem, aby uniknąć dalszych niespodzianek. Niemal w tym samym czasie czołg Grubera został trafiony z prawej strony. Iwan naprawdę szybko obrócił swoją armatę, stojącą w małym młodniku niedaleko skrzyżowania. Za naszą nieuwagę płacił teraz Gruber. Pierwszy pocisk paskudnie uszkodził podwozie jego pojazdu, drugi wbił się w pancerz. Gruber i jego ładowniczy zostali ranni.

Najpierw uciszaliśmy armatę wroga. Zwetti wyprowadził czołgi poza pole minowe, w kierunku skrzyżowania kolejowego. Gruber z najwyższym trudem poruszał się swoim czołgiem. Osłaniał go Zwetti,

eskortując aż do „Kinderheimu”. Szczęściem w nieszczęściu, czołg Grubera nie musiał być holowany, bo w okolicy rozpętało się piekło. Teraz do bitwy przyłączyła się nawet rosyjska artyleria, stacjonująca na południe od Narwy. Iwan chciał za wszelką cenę odwrócić falę natarcia.

Nie byliśmy w stanie zająć się resztą ich piechoty. Mieliśmy nacierać za przednimi pododdziałami. Upłynęło już sporo czasu, od kiedy minęli rozwidlenie przy krzyżówce kolejowej. Cztery czołgi von Schillera, wraz z towarzyszącą im piechotą, utrzymywały wjazd do bagiennego lasu. Niestety, batalion lekkiej piechoty poniósł poważne straty od rosyjskiego ognia.

Piechota ukryła się w przydrożnych rowach, szukając schronienia przed ostrzałem. Gdy Rosjanie zorientowali się, że idziemy na południe, natychmiast ostrzelali ten kierunek. Jeden z ciężkich pocisków spadł dokładnie w środek naszej piechoty. Ponieważ żołnierze leżeli blisko siebie, straty były bardzo poważne. Powinni natychmiast się rozproszyć.

Ruszyliśmy przez las - na południe. Rosjanie wszędzie rozstawili czujki. Musieliśmy maksymalnie natężyć zmysły, aby uniknąć nowych, przykrych niespodzianek. Zauważyłem pozycje moździerzy po obu stronach lasu. Obok nich znajdowały się haubice piechoty i armaty przeciwpancerne. Ale my mieliśmy tylko jedno zadanie: „Naprzód, za wszelką cenę”.

Zajęliśmy się tylko tymi działami, które były skierowane w stronę trasy naszego przejazdu. Przed linią drzew przejechaliśmy przez cmentarz, który Rosjanie założyli dla swoich poległych. Zawsze chowali zabitych żołnierzy zaraz za linią frontu. Gdy już cały „worek” przeszedł w nasze ręce, odkryliśmy, że na drewnianych krzyżach nie ma nawet nazwisk ofiar.

Przypadek pokazał, jak ważne jest wykorzystanie szansy. Oprócz determinacji i odwagi żołnierz potrzebuje też odrobiny szczęścia - i to nawet bardziej niż w cywilu.

Z przecinki w lesie wyskoczył nagle T-34. Pędził na południe, dokładnie wzdłuż naszej trasy. Oczywiście nie miał ochoty nas atakować, po prostu chciał uciec w kierunku, w którym nacieraliśmy. My ze swej strony nie mieliśmy zamiaru go zniszczyć, bo zablokowałby najważniejszą, a do tego jedyną drogę natarcia. Tym razem nasze zamiary były takie same, jak zamiary wroga. Saperzy straciliby zbyt dużo czasu na usuwanie wraka. Było jasne, że załoga tego czołgu bardziej chciała zwiać na południe, niż powstrzymać nasz atak. Kilka rosyjskich czołgów, które pozostawały nadal w częściach „worka” strzelało chaotycznie z obu stron. (Zostały

później zdobyte, bo Iwan też mógł poruszać się tylko po drogach utwardzonych pniami drzew. Nasze natarcie na południe odcięło im drogę odwrotu.)

Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie nasze pododdziały miały skręcić na wschód, pozostawiłem na straży dwa czołgi, a sam wycofałem się na równinę, by wzmocnić pierścień naszej obrony. Czołowe pododdziały dotarły bez większych strat na wyznaczone miejsca. Jeszcze raz przekonałem się, jak to dobrze mieć porządne mapy kartograficzne. Dzięki nim łatwo mogliśmy odnaleźć wszystkie drogi, polany i przecinki. A to nie byłoby możliwe, gdybyśmy mieli tylko zwykłe mapy sztabowe.



# 17 TA NOC BYŁA PIEKŁEM

Aż do tej chwili wszystko przebiegało względnie dobrze. Jednak dla wszystkich było jasne, że Rosjanie będą kontratakować. Naprawdę szczęśliwi będziemy, jeśli przetrwamy noc.

Po zapadnięciu zmroku wysłaliśmy dwa patrole, aby nawiązały kontakt z naszymi pododdziałami na wschodzie i zachodzie. Ta noc z 6 na 7 kwietnia 1944 roku była chyba jedną z najgorszych, jakie przeżyłem w czasie całej wojny. Znajdowaliśmy się dokładnie w środku rosyjskich pozycji i nie wiedzieliśmy, czy już odcięli nam drogę odwrotu.

W dzień transporterzy opancerzone dowiozły nam ubrania zimowe, a nocą miały dostarczyć amunicję i racje żywnościowe. To było dużo trudniejsze zadanie, wymagające odwagi, hartu ducha i nadzwyczajnego poczucia obowiązku. Ich załogi musiały sobie wywalczyć drogę najpierw na południe - do nas, a potem z powrotem na północ. Rosjanie robili wszystko, by zablokować jedyną drogę zaopatrzenia. Wiele transporterów zostało zniszczonych przez ułożone na drodze miny. Droga ta była utrzymywana tylko dzięki osobistej odwadze adiutanta grafa Starchwita, podporucznika Günthera Famuli, któremu powierzono to trudne zadanie. Podporucznik Famula zginął 22 kwietnia podczas kolejnej operacji w rejonie Kriwasoo. Zabiła go bomba z rosyjskiego samolotu. Nie mógł już odebrać Krzyża Rycerskiego, którym nagrodzono go 15 maja tego samego roku.

Rosjanie atakowali nasz rejon obronny ze wszystkich kierunków. Ich siły, które odcięliśmy na północy, próbowały teraz przebić się na południe. Z południa Iwan przeprowadzał energiczne ataki odciążające, aby nas zniszczyć i starał się utrzymać poprzednie pozycje. To była ciężka noc dla całego batalionu, który pod ciężkim ostrzałem wroga poniósł poważne straty. Ciężej rannych wywożono na tyły w transporterach opancerzonych, natomiast lżej ranni woleli zostać z nami.

Eskadry Stukasów przynosiły nam tylko niewielką ulgę. Nie mogły rzucać precyzyjnie bomb, bo wróg znajdował się zbyt blisko nas. Poza tym, ciężkie bomby tonęły w bagnach i zostawały po nich wielkie kratery, ale niewielkie szkody. Rosjanie zgromadzili bardzo dużo broni przeciwlotniczej, w tym sporo szybkostrzelnej, więc nasze bombowce nie mogły nurkować zbyt nisko. Czas, kiedy Stukasy deprimowały wroga, już dawno minął. Więcej pomagali nam obserwatorzy artyleryjscy. To oni,

wspaniale kierując ogniem dział, dawali nam najwięcej wytchnienia.

Gdy nadszedł ranek, ledwie mogliśmy uwierzyć, że nadal żyjemy. Iwan nie ustawał w wysiłkach, by nas wyprzeć, ale w świetle dziennym wszystko wyglądało inaczej. Minęła wreszcie przytłaczająca ciemność, w której nie możesz odróżnić przyjaciela od wroga. Rano teren wokół nas pod wpływem kwietniowego słońca zaczął rozmarzać. Wkrótce nasze czołgi pogrążyły się w bagiennym gruncie tak głęboko, że osiadły na kadłubach. Zdołaliśmy tylko dotrzeć do drogi i zapewnić jej ochronę.

Wkrótce przybyły pierwsze pododdziały piechoty i zajęły zdobyte przez nas poprzedniej nocy pozycje. Reszta tych jednostek przeczesywała teren z północy na południe. Jeden z naszych czołgów, ten Wesely'ego, został wcześniej trafiony na rozstaju dróg. Uszkodził go ogień rosyjskiej ciężkiej artylerii i tkwił teraz nieruchomo na równinie, wystawiony na ataki wrogich patroli. Wzywałem kilka razy Schotroffa i mówiłem mu, że musimy odholować ten czołg. Von Schillera znowu nie było w jego czołgu i nie powrócił na czas. Ostatecznie sami musieliśmy wyciągać Wesely'ego z tej nieszczęsnej opresji.

Ledwie mogliśmy poznać dowódcę batalionu fizylierów i jego ludzi, którzy przetrwali piekło ostatnich dwóch dni. Pokazali, że przez ostatnie lata nabrali sporo doświadczenia.

Na koniec operacji wycofano nas wreszcie z linii frontu. Dalej ruszyliśmy wzdłuż drogi frontowej w stronę Sillamäe. Daleko poza linią frontu Rosjanie obserwowali z balonu tę drogę przecinającą grzbiety wzniesień. Dałem wyraźny rozkaz, aby w tym rejonie pozamykać włązy czołgowe albo przynajmniej schować głowy w wieżach.

Sierżant Link nie przejmował się tym poleceniem i wychylił się z włązu, aby poprawić kołpak. Trzy czołgi przejechały już przez niebezpieczny rejon, gdy pierwsza salwa pocisków spadła tuż obok, po lewej i prawej stronie drogi. W tym samym momencie zobaczyłem, że Link wpadł do wieży jak rażony piorunem. Czołg się nie zatrzymał, chociaż wydałem rozkaz przez radio. Załoga nie zauważyła, że jej dowódca został poważnie ranny.

Próbowaliśmy wyciągnąć go z wieżyczki, ale krzyczał z bólu, jakbyśmy go chcieli rozerwać na kawałki. Duży odłamek pocisku ugodził go w udo i rozharatał je z jednej strony. Wyglądał okropnie i obawialiśmy się, że nie dowieziemy go żywego do szpitala polowego.

Ku naszej uldze lekarz stwierdził, że żaden ważny organ nie został uszkodzony. Po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że Link otrzymał urlop na rekonwalescencję.

Jeszcze raz nam się upiekło, ale te niepotrzebne straty denerwowały bardziej, niż te poniesione w ciężkich walkach.

## 18 FARTY CZY FIKCJA?

W końcu mieliśmy kilka dni odpoczynku i mogliśmy naprawić uszkodzone czołgi. Pewnego dnia rano, ku naszemu zaskoczeniu, zajechał do nas pojazd z kompanii propagandowej radia publicznego.

Ci, którzy nim przyjechali, mieli opisać nasze walki obronne z 17 marca. To miał być „autentyczny zapis” rejestrowany na płytach woskowych.

Dopóki elektryk nie przeciągnął kabla z czołgu dowódcy do naszej kwatery, musieliśmy opowiedzieć wszystkie historie związane z tą akcją.

Radio dowódcy zostało połączone z urządzeniem nagrywającym znajdującym się obok nas.

Kiedy wszystko już zadziało, musiałem wejść do czołgu, a miejsce radiooperatora zajął człowiek z propagandy. Dramat mógł się rozpocząć.

Miałem udawać, że jestem na łączach i wykrzykiwać rozkazy, które wydawałem tamtego dnia. Oczywiście, rozkazy ogniowe i temu podobne komendy też musiały padać. Von Schiller siedział w pokoju i odgrywał rolę dowódcy kompanii.

Później został wspomniany w rozkazie dziennym Wehrmachtu. Napisano o tym nawet w „Raporcie z linii frontu”.

Kiedy miałem już dosyć tej tragikomicznej zabawy, zawołałem: „Dość!”.

Nagranie odtworzono w całości, ale nie znalazło ono uznania wymagającego fachowca. Musieliśmy powtórzyć wszystko od początku.

Podczas jednej z przerw facet z propagandy przedstawił pełen fantazji scenariusz wydarzeń. Plastycznie opisywał, jak w czołgi uderzały pociski, jak zapalały się i jak dookoła rozpętało się piekło.

Drugie nagranie już mu się spodobało. Kilku kolegów, którzy mieli w domu gramofon, uzyskało zgodę na zapis nagrania na płytach i wyślanie ich rodzinom jako rodzaj listu z frontu. Gdy odtwarzaliśmy płytę, nikt nie był w stanie rozpoznać swego głosu. Tylko po tekście odgadywaliśmy, kto aktualnie mówi.

Chłopcy z propagandy nie byli naszymi ulubieńcami. Nie znaczy to jednak, że nie było wśród nich wspaniałych ludzi, którzy traktowali swoją pracę poważnie i byli naprawdę dobrymi żołnierzami. Ale tu wyjątek nie potwierdzał reguły. Zwykle były to dziwne typy, które pozowały na żołnierzy, ubranych w pseudooficerskie mundury.

Hybryda stworzona z pół cywila i pół żołnierza była nieszczęsnym

pomysłem, a poza tym w korespondentach wojennych widzieliśmy pupilków ministra propagandy. Korespondenci traktowali wojnę jako przygodę, pewną odmianę w porównaniu do czasów pokoju. Byli traktowani o wiele lepiej niż frontowi żołnierze piechoty.

Zauważyłem też, że my, czołgiści, cieszymy się specjalnymi względami tych korespondentów-łowców przygody.

Pechowo, ale kilku z nich też musiało oddać życie za ojczyznę.

Kilka dni później usłyszeliśmy w radio naszą propagandową audycję.

Byliśmy bardzo zdziwieni, gdy usłyszeliśmy, jak dobrze dograli w Berlinie odgłosy bitewne. W ogólnej strzelaninie ledwie mogliśmy usłyszeć nasze głosy. Szalenie nas to rozbawiło. Po tym doświadczeniu już nigdy nie traktowaliśmy poważnie reportaży z pola walki.

Kiedy nasi goście odjeżdżali, ich propagandzista chciał, bym podpisał oświadczenie, że w trakcie operacji siedział ze mną w czołgu. Odesłałem go do dowódcy kompanii, on mógł złożyć podpis z całkowitym spokojem ducha. Poza tym, wszystko wydarzyło się w jego czołgu!

\* \* \*

Dopóki nie przesłuchaliśmy jeńców, nie zdawaliśmy sobie sprawy jakim sukcesem była nasza operacja. Nasza awangarda zgarnęła między innymi oficera operacyjnego dywizji walczącej we „wschodnia worku”.

Szybko nacierające czołgi z Dywizji Großdeutschland dotarły do sztabu rosyjskiej dywizji usytuowanego w podstawie „worka”. Stało się to tak błyskawicznie, że rosyjski dowódca jeszcze nie wiedział o przełamaniu. Wszystkie linie telefoniczne zostały zerwane podczas naszego przygotowania ogniowego.

Zaskoczony oficer operacyjny był w samej koszuli i musiał szybko się ubrać, gdy zabieraliśmy go do niewoli. Natomiast dowódca, rosyjski generał, umknął na południe.

Jak dowiedzieliśmy się od tego jeńca, Rosjanie umieścili w „worku” całą dywizję wyposażoną w dużą ilość ciężkiej broni. Nawet nie przypuszczali, że może dojść do takiej katastrofy. Pozostałości ich brygady czołgów, która mocno ucierpiała w czasie poprzednich walk obronnych, nadal znajdowały się w bagiennym lesie, gdzie nie można było wykonać żadnych manewrów. Dywizja ta wpadła w nasze ręce, a my nie ponieśliśmy przy tym żadnych strat własnych.

Schwytany kapitan był skory do współpracy. Trzeba przyznać, że

pomimo swego skąpego odzienia, sprawiał znakomite wrażenie.

Zauważyłem, że Rosjanie mieli na mundurach szerokie naramienniki, które przez jakiś czas były zakazane. Znowu też mogli nosić medale. Ekspozując odznaczenia, chcieli pokazać światu wartość bojową swoich żołnierzy. Przeciwnik powinien to zauważyć

Z zeznań kapitana wynikało, że nasz atak był dla nich całkowitym zaskoczeniem. W ogóle nie spodziewali się frontalnego ataku od północy. Sądziło, że część północna frontu w Lembitu jest tak dobrze ufortyfikowana, że przełamanie akurat w tamtym miejscu nie mieściło im się w głowach.

Nie chciałem się przekonać, co by się stało, gdybyśmy nacierali na nasyp kolejowy, a dziesięć armat przeciwpancernych Iwana znajdowałyby się na pozycjach bojowych. Rosjanie spodziewali się raczej naszego ataku ze wschodu i zachodu na dno „worka”.

To była najkrótsza droga i „zachodni worek” został w ten sposób zlikwidowany. Aby uniknąć podobnej porażki Rosjanie zaminowali z obydwu stron dno „wschodniego worka”.

Nawet drzewa powiązano drutami naciągowymi. Żaden piechur nie był w stanie przebyć takiej zapory, czy to idąc, drepcząc stopa za stopą, czy też czołgając się po ziemi. Ale te miny okazały się przekleństwem dla samych Rosjan. Po naszym przełamaniu nie byli w stanie przebić się przez taką barierę i się wycofać.

Rosjanie przeklinali swojego komisarza tak samo, jak my naszego oficera politycznego. Był on dla nas sporą zawadą na froncie. Ale ludzie tego pokroju kręcili się zawsze wokół dowództwa każdej jednostki. Jednak ich obecność zauważaliśmy dopiero wtedy, gdy systematycznie pojawiali się na linii frontu. Dla nas ci ludzie zupełnie się nie liczyli.

Zrobiłem z siebie idiotę przed swoimi żołnierzami, gdybym na porannym apelu powitał ich słowami „Heil Hitler”. Mimo wszystko różni ludzie brali udział w tej samej walce i na tych samych surowych prawach. Znaleźli się tutaj zdeklarowani naziści i ich przeciwnicy oraz ludzie kompletnie niezainteresowani polityką. Jednoczyło ich braterstwo broni. Było zupełnie nieważne, czy ktoś wykonywał swoją robotę dla Führera, ojczyzny, czy też ze zwykłego poczucia obowiązku.

Poglądy polityczne nie interesowały nikogo. Podstawowa sprawa to: być dobrym towarzyszem broni i sprawdzić się jako solidny żołnierz. Jeśli taki byłeś, cała reszta zupełnie się nie liczyła.

\* \* \*

Po wszystkich trudach, które pozostały za nami, mogliśmy w Sillamäe odetchnąć pełną piersią. Ale ostatnia masakra nie dawała mi spokoju. Chciałem ten teren obejrzyć jeszcze raz i to w „spokojniejszej” atmosferze. Dlatego wskoczyłem do mojego samochodu terenowego i odwiedziłem rejon, który wcześniej stanowił „wschodni worek”.

Teraz, gdy nie musiałem już koncentrować się na wrogu, zdałem sobie sprawę, jak koszmarny był to teren. Zresztą skarżyliśmy się na niego, zgorzkniali, bez przerwy przez ostatnie parę tygodni. Gdy przed zapadnięciem zmroku wróciłem tu ponownie, wstrząsały mną dreszcze. W powietrzu unosił się smród, który pozostawiły spalone czołgi. Wszędzie leżał porozrzucany rosyjski sprzęt. Na równinie znalazłem samotnie sterczącą wieżę ich czołgu. Przetrwiała nienaruszona cały ostrzał artyleryjski. Czołg, do którego należała, zniszczyliśmy zaraz na początku walk.

Wieża została oderwana od kadłuba w wyniku eksplozji i poszybowała w powietrze. Aż schowaliśmy głowy, bo wylądowała niedaleko od nas. Lufa wbiła się w bagno pionowo, aż po osłonę pancerną, i wieża sterczała teraz w górę jak patyk. Prawie wszystkie drzewa na południe od nasypu kolejowego były wypalone albo rozerwane na kawałki. To wszystko sprawiało koszarne wrażenie, jakby wymarła cała okolica.

W umarłym lesie nie było widać ani jednego stworzenia. Nawet wszystkie ptaki gdzieś znikły po tym, jak człowiek podeptał naturę.

Zawsze byłem ciekaw, jak Rosjanie potrafią budować ziemne pozycje obronne w tak trudnych warunkach. Jednostki artyleryjskie i moździerze miały zbudowane stanowiska z okrągłaków i osłonięte belkami przed odłamkami. Człowiek chyba nie potrafił tak głęboko kopać w takim bagnistym terenie!

Płytkie rosyjskie schrony (jeśli ktoś chce, może je nazywać ziemiankami) dobrze chroniły nawet przed ogniem ciężkiej artylerii, chyba że było to bezpośrednie trafienie. Musieliśmy przyznać, że Rosjanie, którzy siedzieli w swoich prowizorycznych schronach, nie najedli się wielkiego strachu.

Nawet rowy łącznikowe, biegnące między skrzyżowaniem kolejowym i naszym poprzednim wschodnim punktem umocnionym, były skonstruowane we wzorcowy sposób.

To mi uświadomiło, że nawet w tak mokrym terenie i pomimo

panującego mrozu, można się szybko okopywać. Dowódca naszego pułku utrzymywał, że coś takiego jest niemożliwe.

Umocnione pozycje - bez wsparcia ciężkiej broni, kontaktu i połączenia z innymi takimi pozycjami - w razie zmasowanego ataku nie miały szans przetrwania. Ludzie zakopani w terenie nie byli psychicznie przygotowani, by walczyć do końca. W czasie natarcia przeciwnika każdy odczuwał strach, że nim wygrzebie się ze swojej lisiej nory, to już będzie po nim, bo musiałby się wycofywać w otwartym terenie. Rów łącznikowy dawał po prostu szansę przetrwania.

Dlatego logiczne było to, co robili nasi chłopcy, gdy Rosjanie przenikali przez nasze pozycje. Po prostu w czasie nawały artyleryjskiej szukali schronienia.

## 19 KU CHWALE TYGRYSA

Jak dotąd w mojej książce wiele wspominałem o niszczeniu rosyjskich czołgów i broni przeciwpancernej. Taki obraz może tworzyć wrażenie, że w jakimś stopniu była to dziecinna zabawa. Jeśli tak, to ta książka została źle zrozumiana.

Nadrzędnym celem wojsk pancernych jest ścieranie się i niszczenie wrogich czołgów i sprzętu przeciwpancernego. Psychologiczne wsparcie piechoty jako osłony w czasie zadań bojowych ma w zasadzie drugorzędne znaczenie.

W czołgu nie można znaleźć czegoś takiego jak ubezpieczenie na życie i na pewno nigdy tak nie będzie. Jednak nasz Tygrys był najbezpieczniejszym pojazdem pancernym, z jakim miałem do czynienia. Prawdopodobnie nie przewyższał go żaden współczesny mu pojazd tego typu. W każdym razie ta ocena dotyczy frontu zachodniego, bo Rosjanie mogli zawsze nas czymś zaskoczyć.

Moc Tygrysa leżała w jego opancerzeniu, mobilności i uzbrojeniu. Te czynniki stały w pozornej sprzeczności ze sobą, ale odpowiednio wyważone dawały doskonały efekt. Armata kalibru 88 mm była na tyle dobra, by zniszczyć każdy ówczesny czołg, jeżeli został trafiony w odpowiednie miejsce. Nasz Tygrys miał tak mocny pancierz czołowy, że mógł znieść kilka bezpośrednich trafień. Nie mogliśmy sobie tylko pozwolić na uderzenia w boki i tył pojazdu, a szczególnie w górny pancierz, który był najsłabszy. To wymagało od załogi sporej rozwagi i doświadczenia.



Nasza przewodnia zasada brzmiała: „Strzelaj pierwszy, a jeśli tego nie możesz zrobić, to trafiaj pierwszy”. Warunkiem koniecznym do realizacji tej zasady była łatwa komunikacja pomiędzy poszczególnymi czołgami i wśród samej załogi. Co więcej, musiał dobrze funkcjonować system kierowania ogniem. Rosjanie zazwyczaj nie przestrzegali tych zasad. Dlatego też ze starcia z nami najczęściej wychodzili kiepsko, chociaż dorównywali nam pod względem opancerzenia, uzbrojenia i manewrowości, a dzięki czołgom IS nawet nas pod pewnymi względami przewyższali.

Po spełnieniu warunków materiałowych pozostawała najważniejsza kwestia: O odniesieniu sukcesu decydowała postawa dowódcy czołgu, jego odwaga, inwencja, agresywność; szczególnie w sytuacji, gdy przeciwnik miał przewagę liczebną.

Brak dobrej obserwacji ze strony Rosjan był często przyczyną porażek ich dużych formacji pancernych. Dowódca czołgu, który zamyka swój wjazd na początku ataku i nie otwiera go ponownie przed dotarciem do celu, jest bezużyteczny lub może odegrać co najwyżej drugoplanową rolę. Co prawda, na obwodzie wieży znajduje się sześć lub osiem szczelin obserwacyjnych, ale przez nie można rozpoznać tylko wąskie sektory pola walki, a ich wielkość jest ograniczona polem widzenia wizjerów. Jeśli dowódca patrzy przez wizjer z lewej strony, a armata przeciwpancerna strzela z drugiej strony, to mija bardzo dużo czasu, nim zidentyfikuje on wroga z wnętrza zamkniętego czołgu.

Na domiar złego nadlatujący pocisk ma większą szybkość od dźwięku, więc najpierw czuje się uderzenie, a dopiero potem dociera huk wystrzału. Dlatego dla dowódcy czołgu ważniejsze są oczy niż uszy. W huku eksplodujących w pobliżu pocisków nie może ustalić słuchem kierunku, z którego pochodzi zagrożenie. Zupełnie inna sytuacja powstaje, gdy dowódca od czasu do czasu wystawia głowę przez otwarty luk wjazdu, aby ocenić ogólną sytuację. Jeśli patrzy w lewo, to kątem oka zauważy błysk wystrzału armaty wroga, znajdującej się trochę na prawo od czołgu. Jego uwaga zostanie natychmiast skierowana w tamtą stronę i na czas zidentyfikuje nowy cel. Tu zazwyczaj decydują sekundy. Z tego, co napisałem powyżej, wynika, że w czołgach powinny być instalowane peryskopy.

Niszczenie armat przeciwpancernych jest często lekceważone przez żołnierzy z innych formacji. Sądzą, że to nic specjalnego. Dla nich liczy się tylko niszczenie wrogich czołgów. A przecież armaty przeciwpancerne uważane są przez doświadczonych czołgistów za dwa razy groźniejsze

od czołgów. Taka armatka może stać w zasadzce, znakomicie ukryta i usadowiona w terenie. Dlatego przeważnie trudno ją zobaczyć, bo na dodatek nie jest wysoka. Zwykle nie mogliśmy takiego przeciwnika zidentyfikować - dopóki pierwszy raz nie wystrzelił w naszą stronę. Gdy obsługa działka była dobrze wyszkolona, otrzymywaliśmy trafienie i musieliśmy wjeżdżać w ścianę armat przeciwpancernych. Dlatego warto zawsze zachować spokój i zająć się wrogiem, nim wystrzeli po raz drugi.

Nikt nie może zaprzeczyć, że wielu spośród oficerów i dowódców czołgów odniosło rany, wystawiając głowy ponad wieże czołgów. Ale to nie były nadaremne straty. Gdyby jeździli z zamkniętymi włazami, to dużo więcej ludzi znalazłoby śmierć lub odniosło ciężkie rany wewnątrz swoich pojazdów.

Ogromne straty wśród rosyjskich czołgów są najlepszym potwierdzeniem tej tezy. Na szczęście dla nas, Rosjanie prawie zawsze szarżowali w swoich czołgach „zapięci na ostatni guzik”. Oczywiście, podglądając linię frontu, każdy dowódca czołgu musi uważać, szczególnie wtedy, gdy toczą się walki pozycyjne. Siedząc w otwartych włazach, narażeni są na śmiertelnie groźny ostrzał strzelców wyborowych wroga. Nawet krótkie pojawienie się w polu widzenia przeciwnika może przynieść tragiczne skutki. Dlatego zarekwirowałem składane nożycowe lornety artyleryjskie.

Przez długi czas załogi rosyjskich czołgów składały się tylko z czterech ludzi. Dowódca musiał być jednocześnie obserwatorem, celowniczym i działonowym. Był zawsze w gorszej sytuacji od przeciwnika, u którego te funkcje sprawowały dwie osoby. Wkrótce po rozpoczęciu wojny Rosjanie zdali sobie sprawę z przewagi, jaką daje pięcioosobowa załoga. Dlatego ostatecznie przeprojektowali swoje czołgi. Dodali kopuły na wieżach i umieścili w nich stanowisko dowódcy. Nadal nie całkiem rozumiem, dlaczego na przykład Anglicy, rozwijając po wojnie nowy ciężki czołg, przewidzieli w nim tylko czteroosobową załogę.

Byliśmy zadowoleni i dumni z naszego Tygrysa, nie mniej niż nasza piechota. Dzięki niemu mogliśmy wraz z nią bronić pozycji na Wschodzie i na Zachodzie. Wielu czołgistów jest wdzięcznych tej pierwszorzędnej maszynie. Dzięki niej przetrwali wojnę i dzisiaj mogą cieszyć się spokojem.

## 20 PORAZKA I POŻEGNANIE

Celem nowo planowanej operacji było zlikwidowanie pozostałości rosyjskiego przyczółka nad Narwą. Jego głębokość z północy na południe była prawie dwukrotnie większa niż głębokość obydwu części przyczółka, które już zlikwidowaliśmy.

15 kwietnia 1944 roku ponownie rozkazano nam udać się na spotkanie z grafem. Przedmiotem narady miało być przygotowanie do trzeciej „Operacji Strachwitz”. Zналиśmy już metody dowodzenia tego arystokraty, lecz jego ostrożne i metodyczne planowanie zaskoczyło nas po raz kolejny.

Dotarliśmy do stanowiska dowodzenia, gdzie zgromadziła się spora grupa oficerów. Graf po raz kolejny zmierzył nas wszystkich przenikliwym spojrzeniem. Odłożył na bok czapkę i laskę, i zbliżył się do mapy leżącej na stole.

- Bardzo dobrze. Panowie, tym razem musimy zlikwidować resztki rosyjskiego przyczółka, który tkwi nam jak cierń w tyłku. To obszar dwa razy większy niż ten, który już zniszczyliśmy. Ale nie to jest najbardziej niepokojące. Grupa bojowa przeprowadzająca atak będzie miała taką samą siłę i organizację, jak w przypadku operacji ze „wschodnim workiem”. Panowie już się znacie, a to ułatwia sporo spraw.

Mówiąc ostatnie słowa, pułkownik wskazał na mapę.

- Zbierzemy się w lesie, w tym miejscu. Aby tam dotrzeć, musicie skręcić z drogi frontowej na południe, na wschód od „Kinderheimu”. Nasza linia frontu biegnie około dwóch kilometrów od rejonu koncentracji i przekroczy ją podczas przygotowania artyleryjskiego, na linii biegnącej z północy na południe, wzdłuż boku przyczółka. Przełamiemy rosyjskie pozycje jednym ciętym i mocnym atakiem.

Przerwał na chwilę.

- Proszę, abyście zapoznali się z dodatkowymi informacjami które umieszczono na mapach wręczonych wam przed naradą. To mapy i kopie zdjęć terenu naszych przyszłych działań.

Materiały były znakomicie opracowane, przy nich inne mapy czy plany mogły się schować.

- Celem pierwszej potyczki będzie punkt 312. Zauważcie, że w tym miejscu droga skręca pod kątem prostym na południe i biegnie niemalże prosto, docierając - w tej większej wiosce - do brzegu Narwy. Szlak z północy, który dochodzi do naszej drogi dojazdowej w tym zagięciu,

będzie zabezpieczony przez jednostki czołowe, dopóki reszta grupy bojowej jadącej na południe nie minie punktu 312. Potem cała grupa ruszy w kierunku Narwy, zajmie wspomnianą wcześniej wioskę, a przyczółek zostanie rozbity na poszczególne kawałki, które będą po kolei likwidowane.

W tym samym czasie druga grupa bojowa ruszy na południe wzdłuż osi „podeszwy buta Kinderheim”, przesuając się na wschód i dotrze do osi. Trzecia grupa bojowa będzie miała za zadanie spenetrować linie wroga trasą równoległą, wiodącą do szlaku, a biegnącą od niego w odległości 1500 metrów. Jak widzicie, was i tę grupą bojową dzieli - od wschodu na zachód - zalesiona linia niskich grzbietów. Według planu macie atakować aż do tego miejsca.

Graf przerwał i przez chwilę przyglądał się kolejno każdemu z nas. Nie mieliśmy żadnych pytań, mówił więc dalej:

- Z grubsza ujmując, ta operacja będzie podobna do poprzednich. Tylko tym razem najprawdopodobniej napotkamy dużo więcej trudności. Zapamiętajcie moje słowa - podstawowy cel się nie zmienił. Musicie nacierać bez przerwy, nie zatrzymując się. Macie dotrzeć do Narwy, nim Rosjanie pozbierają się z rozumem. Chyba dla wszystkich jest jasne, że nie osiągniecie wyznaczonych celów, jeśli elementy czołowe z jakiegokolwiek przyczyny utkną w martwym punkcie. Bagna po lewej i po prawej stronie drogi dojazdowej to dla Tygrysów problem, dlatego nie możecie zjechać z drogi. Co gorsza, ta droga jest wąska, jej szerokość wystarcza tylko dla jednego Tygrysa. Natomiast jej zaletą jest to, że góruje nieco ponad terenem i ma dobrą podbudowę. Od punktu 312 ciągnie się przez dość wysoki las, który dochodzi aż do Narwy. Niestety, dla was czołgiści, to coś wyjątkowo niepożądanego.

Czy i jak długo jesteśmy w stanie utrzymać całą operację w tajemnicy, to już zupełnie inny problem. Już dwa razy zaskoczyliśmy Rosjan na tym przyczółku. Oni wiedzą, jak bardzo jest dla nas niewygodny, dlatego zaskoczenie ich po raz trzeci jest mało prawdopodobne. Szczególnie od momentu, gdy mają świadomość, że nowy atak może być prowadzony tylko wzdłuż tej drogi. To naturalnie zmniejsza szanse powodzenia. W poprzednich operacjach mogliśmy wykorzystać element zaskoczenia. Na szczęście wiemy również o paru sprawach. Jeńcy zeznali, że Rosjanie zaminowali pas ziemi od punktu 312 do linii swoich pozycji. W przepusty pod drogami napakowali sporo materiałów wybuchowych. Są ulokowane co jakieś trzydzieści metrów. Ze schronu - który jak widzicie, znajduje się tu, w lesie, obok punktu 312 - mogą odpalić te niby komory. Chcemy

zapobiec wysadzeniu całej drogi. Podczas przygotowania artyleryjskiego w bunkier będzie strzelać bateria haubic kalibru 280 mm. To na pewno pozrywa kable do zapalników i dzięki temu trasa będzie nadawała się do przejazdu. Osłonę czołowych pododdziałów zapewni pluton saperów podążający za Tygrysami. Po przełamaniu saperzy będą przemieszczać się rowami, po obu stronach drogi. Ich zadanie to odcięcie kabli od ładunków wybuchowych znajdujących się w przepustach. Lepiej się wcześniej zabezpieczyć, aby potem nie było kłopotów. Zakładam, że Rosjanie nie zdążą wysadzić ładunków, dopóki nasze czołgi będą na zaminowanym odcinku drogi. Bo tylko w takim przypadku nasze przygotowania mają sens. Jeśli wbrew naszym oczekiwaniom, pomimo ognia artyleryjskiego kable lontowe pozostaną nietknięte, to jeszcze możemy mieć nadzieję, że w odpowiednim czasie przetną je saperzy.

- Co się stało? - graf z niechęcią zwrócił się do adiutanta, który otworzył drzwi i wyraźnie przejęty wtargnął do pokoju.

Oficer wyprężył się.

- Herr Graf, chciałbym zameldować, że w radio podano informację o tym, że Führer nagroził pana Diamentami do Krzyża Rycerskiego. Jeśli pan pozwoli, pierwszy chciałbym panu pogratulować!

Wiadomość bardzo nas uradowała. My też chcieliśmy powinszować naszemu dowódcy i odpowiednio uczcić to wydarzenie. Poza tym, było w tym trochę naszej zasługi. Nim zdążyliśmy powiedzieć choćby jedno słowo, graf szorstko wyraził swoją dezaprobatę.

- Po pierwsze, informacja nie pochodzi z oficjalnego źródła. Po drugie, teraz nie mam czasu na takie sprawy, więc proszę mi więcej nie przerywać!

Adiutant zrobił się czerwony jak burak. Podniósł dłoń do czapki, zasalutował i wyszedł jak zmyty. Pułkownik odwrócił się w naszą stronę i mówił dalej, jak gdyby nigdy nic.

- Na drodze za liniami Rosjan nadal stoi zniszczony T-34. Na zdjęciu lotniczym można go łatwo rozpoznać. Uważam, że musimy usunąć tę przeszkodę. W tym celu za drugim Tygrysem będzie podążał transporter opancerzony z saperami. Oni wysadzą wrak w powietrze. Czy chce pan coś powiedzieć, Carius?

- Tak, Herr Graf! Na zdjęciach lotniczych można rozpoznać rów pomiędzy pozycjami Rosjan i spalonym T-34. Drewniany most, który był przez niego przerzucony, jakiś czas temu rozebrano. Na jego miejscu znajduje się teraz niewielka kładka dla pieszych, przez którą z całą pewnością nie przejadą nasze Tygrysy. Drewniany most o niewielkiej

rozpiętości mogłyby utrzymać czołg, ale taka kładka...

Graf przerwał mi.

- Przecież przejedziecie przez ten śmieszny rów nawet i bez mostu!

- Z całym szacunkiem, nie, Herr Graf! Pamiętam ten teren z czasów, gdy Rosjanie byli dalej niż teraz i tylko przenikali przez Narwę. Wtedy dokładnie studiowałem topografię tego terenu. Nawet jeśli ów rów nie stanowi przeszkody dla piechoty, to dla jednostek pancernych jest...

Graf wsadził ręce do kieszeni spodni i patrzył na mnie z zainteresowaniem. Pod jego natarczywym spojrzeniem zawahałem się, przerywając na chwilę wyjaśnienia. Uniósł kącik ust i zapytał wyniośle:

- A dla czołgów jest?

Nie mogłem zignorować tego pytania. Zebrałem myśli i powiedziałem:

- To właśnie chciałem powiedzieć. Teren wokół rowu jest bagnisty, dlatego przebycie go wydaje się niemożliwe. Poza tym, ze zdjęć lotniczych wyraźnie wynika, że skarpy rowu są strome. Rosjanie celowo stworzyli dodatkową przeszkodę, przerabiając rów odpływowy na przeciwczołgowy. To po prostu jest przeszkoda i tak należy ten rów traktować.

Musiałem podtrzymać swoją opinię. Uznałem, że moim obowiązkiem wobec dowódcy jest przedstawienie wszelkich wątpliwości. Poza tym, jeśli ktoś utknąłby w tym przeklętym miejscu, to my, a nie graf. Patrzyłem mu prosto w oczy „nieugięcie, ale nie obraźliwie”, jak to ładnie formułuje regulamin.

Pułkownik wyciągnął prawą rękę z kieszeni i palcem przesunął po mapie wzdłuż linii rowu.

- Pamiętaj Carius - powiedział przyjacielskim tonem. - Jeśli powiedziałem, że dla mnie rów nie jest zaporą przeciwpancerną, to znaczy, że nie jest. Czy się rozumiemy?

Podczas całej mojej kariery militarnej, nigdy nie spotkałem się z tak elegancką i równocześnie stanowczą odmową. Graf Strachwitz nie chciał widzieć w tym miejscu rowu przeciwczołgowego, więc go tam nie było. Kropka - koniec dyskusji. Byłem tak zaskoczony, że zdołałem tylko wykrztusić:

- Tak jest, Herr Graf!

Pułkownik, uśmiechając się sarkastycznie, powrócił do referowania. Żadne z zadanych pytań nie pozostało bez odpowiedzi. Na koniec, gdy zapadła cisza, pułkownik zadał retoryczne pytanie: „Czy jest coś jeszcze do wyjaśnienia?”. Następnie zwrócił się do mnie:

- Myślałem o tej sprawie ponownie, Carius. Czy nadal przewiduje pan

problemy w tamtym miejscu?

- Tak jest, Herr Graf!

- Jeśli coś jest na rzeczy, zepsuję ci zabawę, a tego nie chcę. Masz jakieś propozycje?

- Myślę, że powinniśmy przygotować drewniane belki i w odpowiednim momencie przewieźć je transporterem opancerzonym. Możemy położyć je nad rowem i przejechać po nich, co będzie tylko niewielkim opóźnieniem w stosunku do planu.

Strachwitz pokiwał potakująco głową.

- Zgoda! - powiedział. - Wydam odpowiednie dyspozycje.

Potem sięgnął po laskę i czapkę, i skierował się do wyjścia. Miałem mimo wszystko niejasne wrażenie, że graf nie wierzył w sukces i chyba wolałby odwołać całą operację.

Skala przygotowań była porównywalna z poprzednimi operacjami, które przeprowadzał graf Strachwitz. Nasze myśliwce, startujące z Rewela zapewniały absolutną przewagę w powietrzu. Piloci Stukasów otrzymali trudne zadanie zniszczenia mostu głównego i dwóch mostów pontonowych, które Rosjanie przerzucili przez Narwę. Chodziło o odcięcie ich od dostaw i uniemożliwienie ucieczki.

Bez wątpienia koncepcja operacji była wspaniała, a jej organizacja i przygotowanie doskonałe. Mimo to czuliśmy, że szanse powodzenia są niewielkie. To wydaje się mało logicznie, ale jednak trzeba pamiętać, że w dwóch poprzednich operacjach mieliśmy dużo szczęścia, a poza tym wielką rolę odegrał element zaskoczenia. Na dodatek wiedzieliśmy, że jeśli ta operacja się powiedzie, to wokół nas wszędzie będą Rosjanie. W tej sytuacji za wszelką cenę będą chcieli utrzymać przyczółek. Mogą nas schwytać w pułapkę, a wtedy nikt się nie wymknie. Ustawione na jedynej drodze działa szturmowe lub czołg uniemożliwi nam jakkolwiek ruch.

Z mieszanymi uczuciami wracaliśmy do Sillamäe. Przedstawiliśmy plan nowej operacji dowódcy kompanii. Von Schiller chciał poprowadzić szpicę naszej kompanii. Bardzo na to nalegał. Próbowałem wybić mu to z głowy, lecz bezskutecznie. Najprawdopodobniej pragnął nam udowodnić, że zła opinia, jaką się cieszył, jest niesłuszna. Ale nie można tego zmienić podczas jednej operacji. Był to beznadziejny zabieg. To nie jest sposób na sukces. Na dodatek miał po raz ostatni dowodzić naszą kompanią podczas boju.

\* \* \*

Zgodnie z planem, nad ranem 19 kwietnia dotarliśmy w rejon koncentracji. Rosjanie zachowywali się podejrzanie cicho. Przez cały czas obawialiśmy się lawiny ognia artyleryjskiego, która mogła spaść w każdej chwili. Przecież Rosjanie z łatwością mogli zobaczyć, co się dzieje w naszym lesie. Musieli też nas słyszeć, szczególnie że do tej pory w okolicy panowała cisza. Ku naszemu zdziwieniu, nic się nie działo, absolutnie nic! Ich uzbrojeni po zęby żołnierze najprawdopodobniej tylko czekali, by przyjrzeć się nam z bliska. Byłem o tym głęboko przekonany.

Graf Strachwitz kazał zbudować stanowisko dowodzenia w naszym lesie. Kierowcy tych transporterów opancerzonych, które miały nam przewieźć drewniane belki, znajdowali się w schronie. Mieli czekać na wezwanie.

Inne transportery opancerzone stały wraz z naszymi ośmioma Tygrysami w jednej linii z Panzer IV z ich pułku. Miały wziąć udział w przełamaniu i przewozić piechotę.

Za naszym drugim Tygrysem umieszczono transporter opancerzony. Znaleźli się w nim saperzy i - bardzo dla nas ważny - obserwator artyleryjski. Do każdego z naszych czterech Tygrysów przydzielono drużynę piechoty. Teraz stali na pancerzach czołgów i sprawdzali, jak się ustawić, by być najmniej widocznym i w razie czego móc schronić się za wieżyczką czołgu.

Do rozpoczęcia ataku pozostało jeszcze mniej więcej dziesięć minut. Chodziłem wzdłuż kolumny, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Wtedy, w ostatniej minucie przed atakiem, zdarzył się pechowy wypadek, który odebraliśmy jako zły omen. Jakies pięćdziesiąt metrów za moimi plecami rozległa się seria z karabinu maszynowego.

Od razu wiedziałem, że komuś puściły nerwy. Jakiś nieszczęsny chłopak wystrzelił kilka pocisków. Niemalże dostałem ataku serca, gdy zdałem sobie sprawę, że sprawcą był mój ładowniczy. Jeden z moich ludzi! Nieszczęścia chodzą parami. Ładowniczy tak skierował lufę, że poważnie ranił dwóch ludzi, którzy znajdowali się na pancerzu Tygrysa ustawionego przed nami. Nasi towarzysze broni z batalionu fizylierów byli wściekli, a zaufanie, którym nas dotychczas darzyli, legło w gruzach.

Rannych natychmiast odwieziono transporterami na zaplecze frontu. Za chwilę miał się rozpocząć atak. Jeśli do tej pory Iwan niczego nie zauważył, to teraz wszystko stało się jasne.

Ta sprawa dręczyła mnie podczas całej operacji, ale nic już nie można było zrobić. Stało się. Zachodziłem w głowę, jak mogło dojść do tego, że doświadczeni żołnierze zachowali się jak rekruci. Warto wspomnieć, że



ładowanie czy nawet naciskanie spustu broni przed atakiem lub gdy nie ma czystego pola ostrzału, było ściśle zakazane.

Przed rozpoczęciem natarcia tylko radiooperatorzy mieli pozwolenie na strojenie radiostacji. Reszta żołnierzy miała czekać. I tak miało być tego poranka, jak i we wszystkie inne, kiedy mieliśmy mnóstwo czasu na ładowanie swojej broni. Jeszcze się o tym przekonamy.

Tego dnia mój ładowniczy był już dla nas bezużyteczny, miałem go po dziurki w nosie. Z największym trudem uchroniliśmy go przed sądem wojennym. Jakaż by była korzyść ze skazania tego pechowego chłopaka? Ale to już działo się dużo później.

Powodem nieszczęśliwego wypadku okazał się zużyty spust zamka karabinu, jednak wina ładowniczego była bezdyskusyjna. Lufa broni powinna być uniesiona. To jedna z podstawowych zasad. Również nasz kanonier powinien stanąć przed sądem. Do jego obowiązków - jako zwierzchnika - należało kontrolowanie broni, a on tego nie zrobił. Uniknąłem ukarania ich obu i bardzo się z tego cieszyłem.

Mimo wszystkich pechowych wydarzeń, atak rozpoczął się w wyznaczonym czasie. Ruszyliśmy. Nasza szpica przekroczyła linię frontu i nagle cała kolumna szturmowa się zatrzymała. Chwilę później przez radio dotarła informacja, że czołowy czołg kolumny wjechał na minę i został unieruchomiony. Całe natarcie utknęło. Pojęliśmy, że nigdy nie dotrzemy do Narwy.

Staliśmy pośrodku otwartego terenu, stanowiąc doskonały cel, a Iwan właśnie zaczął dawać oznaki życia.

Jego artyleria wszelkich kalibrów oraz moździerze zaczęły strzelać, co więcej zaalarmowali lotnictwo bliskiego wsparcia. Na szczęście nasze myśliwce choć raz potrafiły zapanować na niebie i zestrzeliły dwa szturmowce wroga. Potem inne rosyjskie samoloty już nie ośmieliły się za bardzo do nas zbliżyć.

Nad przyczółkiem unosiły się balony obserwacyjne wroga. Kierowano z nich ogniem ciężkiej artylerii. Na razie nie otrzymaliśmy żadnego bezpośredniego trafienia, chociaż od kilku godzin tkwiliśmy w tym samym miejscu. Mieliśmy bardzo ograniczone pole manewru, bo nie mogliśmy zjechać z zakorkowanej drogi. Na przykładzie tej sytuacji widać wyraźnie, jak trudno z dużej odległości unieszkodliwić czołg, nawet jeśli można precyzyjnie kierować ogniem.

Pod pewnymi względami Rosjanie byli prawdziwymi czarodziejami. Potrafili na przykład, widząc na horyzoncie nasze myśliwce, zaskakująco szybko posadzić na ziemi swoje balony obserwacyjne. Kiedy tylko

samoloty znikają, znowu wznosili się w powietrze.

Nasze samoloty nie mogły atakować na niskim pułapie, bo Rosjanie mieli w okolicy niezliczone ilości broni przeciwlotniczej. Szczególnie dużo podwójnie i poczwórnice sprzężonych działek szybkostrzelnych, które umieszczali na samojezdnych lawetach. Gdy tylko pojawiały się nasze myśliwce, stawiały one ścianę ognia zaporowego.

Stukasy, które w ciągu dnia atakowały przyczółek nad Narwą, spotykał ten sam los. Nurkując stromym torem, bardzo trudno trafić w most, a staje się to niemal niemożliwe, gdy trzeba zrzucić bomby z dużej wysokości.

Podczas nalotów straciliśmy dwie maszyny. Dopiero później odkryliśmy, że z powietrza przeprawa była prawie niewidoczna. Rosjanie ukryli ją tuż pod powierzchnią wody.

Most można było zlokalizować tylko dzięki lekkim ruchom wody. Z dużej wysokości nie da się wykryć i co więcej trafić w tego typu konstrukcję. W każdym razie Iwan nie spał, a jego działania obronne stały się dla nas nierozwiązywalnym problemem.

Dwa pozostałe pododdziały bojowe także znalazły się w próżni. Pododdział nacierający z „podeszwy buta” nie mógł skorzystać ze wzmocnionej drogi. Panzer IV zakopały się w błocie.

Podczas narady przed bitwą żartowaliśmy, że graf chciał 20 kwietnia - w dniu urodzin Führera - zameldować mu o likwidacji przyczółka. Już po kilku godzinach było jasne, że z prezentu urodzinowego nici.

Nasze Stukasy kilkakrotnie zrzuciły bomby na grzbiety wzniesień znajdujących się trochę dalej na południe od naszych pozycji i wokół punktu 312. Te ataki na pewno nie wyrządziły wrogowi dużych szkód, miały chyba tylko psychologiczne znaczenie. Ledwie rozwiął się dym, Rosjanie powracali do życia.

Dowódca kompanii von Schiller siedział cicho w czołgu, nie próbując niczego robić. Graf Strachwitz regularnie wypytywał o rozwój sytuacji. Za każdym razem otrzymywał tę samą odpowiedź: „Miejsce postoju niezmienione, dalsze natarcie niemożliwe”.

Tak doczekaliśmy południa, a wtedy graf stracił cierpliwość. Wezwał nas - von Schillera i mnie - na stanowisko dowodzenia. Dotarliśmy tam, raczej czołgając się, niż idąc.

Graf Strachwitz już nas oczekiwał. Nerwowo wymachiwał nieodłączną laseczką. Potem nie wytrzymał:

- Von Schiller, jestem zszokowany! Przez cały czas nie wydałeś ani jednego rozkazu! Myślisz, że nic nie robiąc, jutro będziesz w tym samym miejscu? Domagam się więcej inicjatywy od dowódcy kompanii

Tygrysów! To niespotykane! Po prostu zamknąłeś włązy i czekałeś, aż sytuacja sama się rozwiąże! Zbadam sprawę i podejmę odpowiednie kroki!

Graf załatwił von Schillera w swoim stylu, lecz trząśł się z wściekłości i trudno było go powstrzymać. Kazał mi przejąć dowodzenie kolumną i wprowadzić ją ponownie na właściwą trasę. Zapowiedział, że wkrótce odwiedzi czołowe pododdziały.

- Jeśli osobiście będę musiał pchnąć natarcie do przodu - powiedział groźnie - to dopiero wtedy zobaczysz!

Wracałem na linię frontu z mieszanymi uczuciami. Przekazałem przez radio wszystkim naszym ludziom, że przejąłem dowództwo. Sierżant Carpaneto, który wjechał pechowo na minę, natychmiast przesunął swój czołg w kierunku bagna, używając tylko jednej gąsienicy. Pomogłem mu trochę, lekko popychając jego pojazd z tyłu. Po chwili mogliśmy bez problemów przejechać obok jego Tygrysa. Oczywiście, ten manewr można było przeprowadzić już wcześniej, ale von Schiller nawet go o to nie poprosił!

Carpaneto od dawna nie znosił naszego dowódcy i chyba czekał, aby dać mu nauczkę. Incydent z miną tylko mu w tym pomógł. Można by powiedzieć, że tak bezczynne czekanie na rozkaz to brak solidarności i ducha koleżeństwa, ale na dłuższą metę Carpaneto swoim uporem i niechęcią, jaką żywił do von Schillera, uwolnił nas od niego.

Mimo że działaliśmy szybko, nie mieliśmy wątpliwości, że Iwan miał dość czasu, by nas wykończyć.

Alfredo Carpaneto był malarzem z wykształceniem akademickim. Pochodził z Wiednia. Do szaleństwa odważny, był wspaniałym dowódcą czołgu i towarzyszem broni. Prawdziwy przyjaciel dla wszystkich, którzy mu ufali. Nie był stworzony do parad, defilad i koszarowej dyscypliny. Nie nadawał się do musztry i nie dało się z niego zrobić „Prusaka”, ale jego poczucie solidarności i koleżeństwo było bliskie prawdziwemu, starymu pruskiemu duchowi walki. Oczywiście, taki człowiek zawsze chciał zrobić osła z ludzi w rodzaju von Schillera. Nie mogłem zrozumieć, jak ktoś taki, jak von Schiller, mógł rozkazać temu sierżantowi (i wszystkim innym sierżantom z kompanii), by na froncie jechali przed jego czołgiem.

Jeszcze raz przekonaliśmy się, że von Schiller jest niedoświadczony, słaby psychicznie i brakuje mu przenikliwości. To go zgubiło.

Kiedy szybkim sztychem przebiliśmy się przez rosyjskie pozycje i dotarliśmy do zdradliwego rowu, znowu musieliśmy się zatrzymać. Natychmiast zameldowałem o naszej nowej pozycji. W odpowiedzi graf

Strachwitz rozkazał kontynuować natarcie, bez przerwy, do rana. Nocą saperzy mieli zbudować przeprawę przez rów i usunąć z drogi spalony T-34.

Tylko Bóg jeden wie, że nasza pozycja była nie do pozazdroszczenia. Rosjanie wszędzie wokół, a my skazani na bezruch.

Teraz opisuję te wydarzenia bez emocji, ale to wszystko było niewyobrażalnie trudne. Trzeba wziąć po uwagę różne aspekty. Każdy czołg stojący w kolumnie chronił jej lewą lub prawą stronę. Tylko jeden czołowy pojazd zabezpieczał front, bo te stojące za nim nie mogły strzelać przed siebie, a wyłącznie na boki.

Musieliśmy być też niezwykle czujni, by Rosjanie nie zaskoczyli nas czymś paskudnym. Nerwy mieliśmy napięte jak postronki. Naszym największym marzeniem było, by ta noc skończyła się jak najszybciej.

Rów przeciwczołgowy osłaniało rosyjskie działko przeciwpancerne znajdujące się w kępie drzew, na prawo od naszych pozycji. Jakakolwiek przeszkoda przeciwczołgowa nieosłaniana ogniem była bezwartościowa. Po długim pojedynku ogniowym z Rosjanami wreszcie ich uciszyliśmy.

Wiedzieliśmy, że jeśli Rosjanie są w formie (a zazwyczaj byli), to do rana ściągną kolejne armaty przeciwpancerne na te same pozycje. Trzeba przyznać, że walka ogniowa nie była zbyt zacięta. Podejrzewałem, że Rosjanie chcieli wciągnąć nas trochę głębiej w swoje pozycje. Byli bardzo pewni siebie, bo mieli możliwość oceny siły naszej grupy bojowej i podzielenia jej na cele.

Nasze lewe skrzydło napotkało kolejny problem z natarciem na punkt 312 - wzniesienie położone równoległe do osi natarcia. Jego zalesione szczyty wydawały się stworzone na pozycje obronne. Nasze nadciągające czołgi staczały pojedynki ogniowe z usytuowanymi na południu działami szturmowymi, które stamtąd nam zagrażały. Obserwatorzy artyleryjscy mogliby mocno popsuć zabawę Rosjanom, gdyby ci stali się zbyt bezczelni. Wkrótce zobaczyliśmy, że w stronę wzniesień maszeruje rosyjska piechota.

Ich ludzie byli tak beztroscy, jakby nasze czołgi zjechały tu dla zabawy. Rosjanie trzymali sytuację w garści i nie zamierzali podkulać ogona ze strachu. Bez wątplenia wiedzieli, że nie stanowimy dla nich poważnego zagrożenia.

Artyleria Iwana strzelała wyjątkowo celnie. Na razie nie tworzyli zmasowanej bariery ogniowej, tylko pokazywali, że mogą nas dopaść. Jeńcy, pojmani we „wschodnim worku”, zeznali, że ciężka artyleria rosyjska jest obsługiwana przez kobiety. Może dlatego Rosjanie byli

bardzo precyzyjni w namierzaniu celu. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że rosyjskie kobiety w mundurach były często prawdziwymi fanatyczkami i to w stopniu o wiele większym niż ich mężczyźni rodacy.

Rosjanie nigdy nie mieli problemów z dostarczaniem zaopatrzenia, nawet w najtrudniejszym terenie. Jako środka transportu używali miejscowej ludności, bez względu na jej płeć i wiek. A każdy z nich robił, co tylko mógł, by pokazać swoje „przywiązanie do ojczyzny”.

\* \* \*

Zapadł zmierzch. Tym razem byliśmy z tego zadowoleni. Nad nami (jak zwykle) przelatywały formacje rosyjskich bombowców, atakując nasz przyczółek i zrównane z ziemią miasto Narwa. Za każdym razem, gdy za naszymi plecami pokazywały się płomienie, dziwiliśmy się, że jest w tym mieście jeszcze cokolwiek do spalania.

Noc była tak ciemna, że nie widzieliśmy dłoni przyłożonych do twarzy. Musiałem uzbroić część załogi w pistolety maszynowe i przeznaczyć tych żołnierzy do osłony czołgów na krótkim dystansie. Iwan mógłby wykorzystać taką noc, by zgotować nam niemiłą niespodziankę.

Z Kerscherem i Zwettim powróciliśmy do miejsca koncentracji, by odebrać zapasy amunicji, paliwa i jedzenia. Stąd transporterami opancerzonymi zaopatrywano nasze pododdziały. Zawdzięczaliśmy to Dywizji Großdeutschland i jednemu z jej dowódców podporucznikowi Famuli. Trudno zliczyć, ile razy chodziłem nocą do ich schronu z różnymi prośbami. Zrywałem ich ze snu, zmuszając do jazdy na linię frontu, i nigdy nie usłyszałem słowa skargi czy przekleństwa.

Kerscher przywiózł amunicję i paliwo rozdzielane na podstawie raportów złożonych przez załogi poszczególnych czołgów. Podążyłem za drużyną saperów, układającą drewniane belki nad rowem. Rosjanie bardzo rzadko strzelali z ciężkiej broni. Czasami, z lewa lub z prawa, rozlegała się seria z broni maszynowej.

Za ich pozycjami, aż po rów przeciwczołgowy, panowało wielkie zamieszanie. Wysłali w pole wielką liczbę patroli. Zdarzało się nam krzyknąć do kogoś stojącego na ścieżce i dopóki nie zniknął w ciemności, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to wróg. Mimo tego albo raczej z tego powodu, noc była wyjątkowo nerwowa. Nikt z nas nie angażował się w wymianę ognia. Rosjanie wyraźnie chcieli pojmać kogoś z naszych. To wystarczało, byśmy zachowywali najwyższą ostrożność.

Po południu nie mogliśmy doczekać się zapadnięcia zmroku, w nocy zaś niecierpliwie wypatrywaliśmy poranka. Wtedy przynajmniej mogliśmy dostrzec, co dzieje się w najbliższym otoczeniu. W ciemnościach panował chaos, ludzie biegali tam i z powrotem, bezustannie jeździły transportery opancerzone. Chociaż wokół działali Rosjanie, to nie mogliśmy strzelać. Obawialiśmy się, że trafimy naszych towarzyszy. Mieliśmy już sporo takich smutnych doświadczeń.

O poranku 20 kwietnia, w dniu urodzin Adolfa Hitlera, rów przeciwczołgowy został wreszcie „wyrównany”, a spalony T-34 przygotowany do wysadzenia w powietrze. Saperzy wpakowali w ten wrak wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, a więc ta przeszkoda powinna wreszcie zniknąć z drogi. Postanowiliśmy szybko skryć się w czołgach. Saperzy ostrzegli nas, gdy tylko odpalili lonty ładunków.

Stalowa skorupa pofrunęła w powietrze. Byliśmy przekonani, że teraz to już na pewno Iwan się obudzi. Byliśmy w błędzie. Wróg nadal nie dawał oznak życia. Miał czas i znał swoją moc, więc nie musiał się spieszyć. Jeszcze raz udałem się na stanowisko dowodzenia, aby przedyskutować nadchodzącą operację z dowódcą batalionu fizylierów.

Graf Strachwitz pozwalał, aby mu przerywano sen tylko w wyjątkowych sytuacjach. Podporucznik Famula zameldował: - Słyszałem, że graf śpi. - Dowódca miał zwyczaj sypiać w piżamie, ale raczej nie pozwalał nic mówić na ten temat. - Sytuacja chyba nie jest zła - powiedział Famula - jeśli graf śpi spokojnie.

Ponieważ graf był nieobecny, w tej sytuacji o operacji rozmawiałem z dowódcą batalionu. Postanowiliśmy, że w chwili rozpoczęcia natarcia, pułk Nebelwerferów (wyrzutni pocisków rakietowych) postawi na punkcie 312 pięciominutową barierę ogniową, a obserwator może kierować ogień artylerii tam, gdzie jest to nam potrzebne.

Tymczasem na nasze pozycje dotarł batalion piechoty. Żołnierze schronili się w rowach po lewej i prawej stronie drogi, oczekując na rozkaz rozpoczęcia natarcia. Nerwowo spoglądałem na zegarek.

Mieliśmy jeszcze jakieś pięć minut do rozpoczęcia ataku. Zaczęliśmy rozgrzewać silniki czołgów. Nikt z nas nie czuł się pewnie. Uważaliśmy, że byłoby dobrze, gdyby graf odwołał w nocy tę operację. To oszczędziłoby sporo ludzi i sprzętu, ale musieliśmy czekać dwa pełne dni na rozkaz wycofania się.

W momencie, gdy atak miał się rozpocząć, równocześnie za naszymi plecami rozległo się wycie Nebelwerferów. Starąłem się dostrzec, gdzie spadną rakiety, gdy ziemia się zatrzęsła wokół nas. Pod nami otworzyło

się piekło. Wszystkie włązy pod ciśnieniem powietrza podskoczyły do góry. Wydawało się, że wyrwie nam płuca. Od razu pomyślałem, że Rosjanie podsłuchiwali nasze stacje radiowe i uprzedzili przygotowanie artyleryjskie. Niestety, myliłem się.

Do głowy mi nie przyszło, że to nasi „cudowni chłopcy” strzelają zbyt krótko! Rakiety nadlatywały z tyłu z ogłuszającym hukiem. Przeżyłem wielokrotnie ostrzał z „organów Stalina” (katiusz), ale teraz, po tych przeżyciach, mogliśmy powiedzieć, że Rosjanie byli zwykłymi amatorami. Bezskutecznie próbowałem się skontaktować ze stanowiskiem dowodzenia. Rzadko kiedy udawało się odwołać rozkaz rozpoczęcia ostrzału. Gdy wydano komendę, salwa musiała zostać wystrzelona! Dlatego trzeba było wytrzymać te straszne pięć minut. Ten, kto je przeżył, nigdy ich nie zapomni. Byliśmy bezradni pod ogniem własnej artylerii. Nawet Rosjanie, gdyby chcieli zdziesiątkować nasze siły, nie mogliby zrobić tego lepiej!

Nigdy nie zdołałem ustalić, jak doszło do tak tragicznej sytuacji i kto za nią odpowiadał. Przecież chłopcy od Nebelwerferów mieli te same mapy, co my!

Prowadząc działania we „wschodnim worku”, nalegałem na wsparcie ogniowe usytuowane osiemdziesiąt metrów przed naszymi pozycjami. Odmówiono mi, bo podobno było to zbyt blisko naszych pozycji. Teraz ci sami ludzie strzelali w sam środek naszych pozycji!

Nie mogliśmy się z nimi skontaktować, bo oddziały Nebelwerferów natychmiast zmieniały pozycje, aby nie natknąć się na odpowiedź Rosjan. Dzięki takiej strategii byli praktycznie nieuchwytni dla wroga. Teraz nienawidziłem tych jednostek tak samo jak Rosjanie.

W wyniku tego koszmarnego ostrzału batalion fizylierów rozpadł się w pył. Większość jego żołnierzy zginęła lub została rannych. To był naprawdę makabryczny widok. Nawet porządnie ułożone belki w rowie przeciwczołgowym zostały rozbite na drzazgi.

Mimo wszystko bez większych problemów przedostałem się na jego drugą stronę. Przejechałem trzema czołgami, uniemożliwiając Rosjanom zakłócenie ewakuacji naszych rannych piechurów. Podporucznik Famula bardzo szybko przysłał niezbędne nam transportery opancerzone. Byliśmy przekonani, że teraz operacja zostanie definitywnie odwołana. Zamiast tego przesłano nam rozkaz: „Oceńcie, czy możecie nacierać. Nowy batalion jest już w drodze”. Wydawać by się mogło, że to szaleństwo albo (w zależności od czasów) zbrodnia. Ale była to przecież przełomowa bitwa obronna. Czyż mamy prawo oceniać jej wymogi z cywilnego,

pokojuowego punktu widzenia?

Moim planem minimum było dotarcie do punktu 312, skąd następnego dnia rano mogliśmy mieć lepszy punkt wyjścia do kolejnego skoku.

Właśnie miałem zapalić papierosa. Kramer podawał mi ogień i w tym momencie nasz czołg otrzymał potężne trafienie. To musiał być pocisk dużego kalibru wystrzelony z działa szturmowego. Tym razem nadleciał od strony Rosjan, którzy zamaskowali się na wyżynie po naszej lewej stronie. Żołnierze z czołgów stojących za mną, natychmiast namierzili cel i otworzyli ogień. Z wieży naszego Tygrysa zdmuchnęło kopułkę wjazdu dowódcy. W twarz i skroń wbiły mi się odłamki metalu. Rany krwawiły obficie, ale nie dolegało mi nic poważnego. To mogło skończyć się dużo gorzej. Kramer zawsze narzekał na moje palenie, ale gdybym nie pochylił głowy w tej krytycznej chwili, to poleciałaby razem z kopułką wieży. Mogłem „stracić głowę” w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu.

Początkowo nie wiedziałem, co się stało, a cały problem sprowadzał się do błędu projektanta. W pierwszych modelach Tygrysa kopułka była przyspawana do pancerza wieży. Zbyt wysoka, miała szczeliny obserwacyjne skierowane we wszystkie strony. Gdy wjazd był otwarty, to sterczał pionowo. Czołg był wówczas widoczny z bardzo daleka i stanowił łatwy cel.

Wystarczyło, by pocisk większego kalibru uderzył w sterczący wjazd, a kopułka ścinała głowę dowódcy. Z kolei, aby odczepić zatrzask zwalniający klapę, dowódca musiał wychylić się na zewnątrz aż do bioder i dopiero wtedy mógł zamknąć luk. Ten wadliwy projekt szybko zmieniono. Kopułka została zaokrąglona, a dowódca nie musiał patrzeć bezpośrednio przez szczeliny obserwacyjne, lecz mógł posłużyć się systemem lustrzanek. Wjazd był zamknięty i znajdował się w pozycji bardziej poziomej.

Pocisk uderzył dokładnie w linię spawu. Miałem szczęście, bo gdyby trafił trochę wyżej, w klapę wjazdu, to nie wy dostałbym się tak łatwo z pojazdu. Nie pomogłoby nawet szczęście, które niewątpliwie towarzyszyło mi tego dnia.

Nareszcie zniknęliśmy z pola widzenia Rosjan i ruszyliśmy szybko do punktu 312. Znaleźliśmy się w lesie. Zwróciłem się w prawo, aby osłonić ścieżkę, która docierała do drogi od północy. Miałem zamiar ustawić kolejny czołg tak, aby osłaniał nas od południa, i wtedy odkryłem rosyjskie działo szturmowe na północy. Kazałem naszemu działonowemu wziąć je na cel.

Kramer wystrzelił. W tym momencie pocisk z kolejnego działa



szturmowego trafił nas między wieżę i kadłub nadwozia. Następny czołg jeszcze nie dojechał do punktu 312. Do dzisiaj zastanawiam się, jak udało się nam wydostać z uszkodzonego Tygrysa. W każdym razie zrobiliśmy to błyskawicznie, lądując w pobliskim rowie. Cały czas miałem na głowie słuchawki radiostacji - to była jedyna rzecz, która ocalała z naszego czołgu.

Schowaliśmy się w następnym Tygrysie. Cała kolumna zaczęła się cofać w stronę rowu przeciwczołgowego, osłaniając się nawzajem ze wszystkich stron. Podczas tego manewru kolejny nasz czołg został wyeliminowany. Musieliśmy zepchnąć go do bagna, by nie blokował drogi.

Mieliśmy zamiar później wyciągnąć uszkodzony pojazd. Można by pomyśleć, że to tylko my musimy się wszystkim zajmować. Mieliśmy tego dosyć. Gdyby Rosjanie lepiej panowali nad sytuacją i dłużej poczekali z otwarciem ognia, to wszyscy nasi czołgiści wracaliby na piechotę. Taki był finał naszego „prezentu urodzinowego dla Führera”.

Podczas odwrotu już nie ponieśliśmy strat. Równocześnie graf pchnął kolejny batalion poza stare linie obrony, umożliwiając nam bezpieczny odwrót. Grupa bojowa, która nacierała z południa, również musiała się zatrzymać.

Zgodnie z raportami dowództwa grupa bojowa, która atakowała na południe od nas, dotarła do drogi między punktem 312 i miastem Narwa. Najprawdopodobniej dlatego musieliśmy dłużej czekać. Być może z tamtego miejsca można było otworzyć drogę do przemieszczania się. Następnego dnia, w czasie kontrataku Iwana, zniszczyliśmy mu dwa kolejne czołgi.

Naszego uszkodzonego Tygrysa musieliśmy wysadzić w powietrze, bo nie nadawał się do naprawy. 22 kwietnia przesunęliśmy nasze pozycje odrobinę do przodu, ułatwiając sobie w ten sposób odzyskanie drugiego uszkodzonego czołgu. Nocą udało się go odholować. Teraz Rosjanie już nie żałowali amunicji. Wiedzieli, że nasza operacja okazała się porażką. Trafiło nas kilka pocisków z armat przeciwpancernych i musieliśmy porzucić kolejnego Tygrysa tuż przed rowem przeciwczołgowym. Rozgrzane do czerwoności rury wydechowe czołgu stanowiły znakomity cel.

Trochę wcześniej wyciągnęliśmy unieruchomiony czołg Carpaneto, ale rosyjskie dwupłatowe „kulawe kaczkę” bardzo utrudniały nam odwrót. (Podporucznik Famula został śmiertelnie ranny odłamkiem bomby zrzuconej z tych samolotów, gdy stał na skrzyżowaniu drogi.) Mimo

wszystko w całkiem niezłej formie dotarliśmy do rejonu koncentracji.

Staliśmy tam, aby w razie czego odeprzeć kontratak Iwana, a w tym samym czasie piechota powróciła na stare pozycje. Von Schiller ruszył do przodu razem ze starszym sierżantem Delzeitem. Miał odzyskać kolejny uszkodzony pojazd pancerny. W czasie tej operacji Delzeit dostał w zadek odłamkiem pocisku przeciwpancernego. Klnąc jak szewc, dawał upust swoim uczuciom.

Tygrys, który pozostawał poza rowem przeciwczołgowym, został wysadzony w powietrze. Piechota nie była już w stanie dłużej wytrzymać rosyjskiej presji. Nasi chłopcy wycofali się nocą. Tak zakończył się trzecia „Operacja Strachwitz”. Nie zdobyliśmy ani kawałka terenu, a za to ponieśliśmy duże straty w piechocie i czołgach.

\* \* \*

Pomimo kilku sukcesów, operacje w północnym rejonie Frontu Wschodniego, szczególnie te ostatnie w rejonie Narwy, nie były dla nas szczęśliwe. Jednak mieliśmy poczucie, że nasza obecność na froncie była niezbędna. Piechota była po prostu za słaba, by samotnie walczyć z tak silnym przeciwnikiem. Musieliśmy tutaj tkwić jak „fiszby w gorsecie”. Czasami dawaliśmy tylko psychologiczne wsparcie, ale to wystarczało do powstrzymania piechurów przed porzuceniem pozycji. Niestety, straty rosły. Na nasze z trudem utrzymywane pozycje kierowano ogień pośredni i straty były już zbyt wysokie. Na dodatek, problemy techniczne wynikające z działań w bagnistym terenie praktycznie unieruchamiały nasze pojazdy.

Tu, na tych bagnach, nie było terenu, w którym cała kompania czołgów mogłaby rozwinąć się w szyku bojowym. Dlatego często musieliśmy zastępować ciężką broń bronią defensywną. „Duch pancerniaka to duch kawalerzysty” - zwykł mawiać nasz poprzedni dowódca kompanii. Tak jak wielu oficerów wojsk pancernych wywodził się z kawalerii. To odpowiednie porównanie. Do manewrów czołgowych potrzeba miejsca, a na tym odcinku walk zawsze go brakowało. Tylko atakując bądź kontratakując, mogliśmy pokazać, co potrafią nasze maszyny z ich wspianymi armatami kalibru 88 mm. Tutaj, na północy, Iwan unikał nas, a więc nie mogliśmy mu zadać poważnych strat.

Jednak gdyby nas tu nie było, rejon Narwy nie utrzymałby się. Aby przezwyciężyć trudności, dołożyliśmy wszelkich starań i doszliśmy do

kresu ludzkich możliwości. Nawet jeśli przeklinaliśmy nasz podły żywot w tym bagiennym terenie, byliśmy dumni, że piechurzy nam ufali. Mieliśmy wielką satysfakcję.

Trzecia „Operacja Strachwitz” była naszym pożegnalnym występem w rejonie Narwy. Zebraliśmy się w bazie zaopatrzeniowej w Sillamäe. Większość czołgów znajdowała się w naprawie lub musiała przejść gruntowne przeglądy. Na szczęście Iwan też potrzebował odpoczynku i przez kilka następnych tygodni panował względny spokój.

## 21 KRZYŻ RYCERSKI W SZPITALU

Nasz pobyt w rejonie Narwy dobiegał kresu. Pod koniec kwietnia zgodnie z rozkazem podążyliśmy z całym batalionem w okolice Pskowa. Miasto to było węzłem komunikacyjnym na trasie Leningrad - Dyneburg. Leżało nad Jeziorem Pskowskim, które ciągnęło się na północ od jeziora Pejpus. Z Sillamäe ruszyliśmy na zachód do najbliższej stacji kolejowej. Nawet bez specjalnych interwencji ze strony wroga mieliśmy urwanie głowy z naszymi czołgami. Nadszedł okropny okres deszczów i błota, nawet główne drogi były ledwie przejezdne. Pojazdy kołowe zapadały się w rozmokłą ziemię, aż po osie. Obawialiśmy się, że czołgi pozapadają się po kadłuby, bo każdy z nich holował jedną lub dwie ciężarówki, które nie mogły poruszać się samodzielnie.

Piekielne błoto dostawało się nam do chłodnic. Jeśli lina holownicza była na tyle mocna, to mogła wyrwać z zablokowanej błotem ciężarówki przednią oś razem z kołami. Gdy w końcu przybyliśmy do stacji załadunkowej, praktycznie wszystkie samochody nadawały się do naprawy. Większość z nich trzeba było holować na platformy kolejowe.

Nie mogliśmy doczekać się podróży koleją. Wreszcie można było się wyciągnąć na słomie, którą wyścielono samochody dla rekrutów, i zasnąć spokojnym snem. W czasie podróży nie przewidywaliśmy żadnych alarmów. Chcieliśmy z tego skorzystać, bo nikt nie wiedział, co nas czeka w rejonie Pskowa! Oczywiście, zabraliśmy też mojego czworonożnego towarzysza, Hasso, ale gdy się obudziłem na jednym postojów, pies zniknął. Powiedziano mi, że wyskoczył w momencie, gdy pociąg ruszał, bo chciał aportować jakiś przedmiot wyrzucony z pociągu. Bardzo mi było żal przyjaciela, chociaż to tylko czworonożne stworzenie.

Batalion zajmował wioskę, w której spodziewaliśmy się znaleźć kwatery. Wszyscy liczyli na kilka tygodni ciszy. Niestety, ja nie mogłem wypocząć. Wkrótce po przybyciu nowy dowódca major Schwaner złożył mi wizytę. Do tej pory go nie znałem. Poprosił, abym przygotował plan zajęć na najbliższe cztery tygodnie. Nie bardzo mi się to spodobało. Uważałem, że ludzie powinni najpierw odpocząć po długich i wyczerpujących walkach. Naturalnie, nawet zajmując pozycje tyłowe, musieliśmy w ciągu dnia spełniać podstawowe obowiązki służbowe. Jednak nie miałem zupełnie ochoty prowadzić bezsensownych szkoleń dla kanonierów, szczególnie że wśród nas nie było żadnych żółtodziobów.

Zdumiewające, ale ten odpoczynek nie wyszedł mi na dobre. Odkryłem, że nawet mimo najlepszych chęci nie można przekroczyć granicy wytrzymałości. Miałem atak astmy i to tak silny, że musiałem zatrzymywać się co krok dla nabrania oddechu. Mogłem poruszać się tylko o lasce. Zajął się mną nasz medyk, doktor Schönbeck. Zakazał mi picia alkoholu i palenia papierosów. Fakt, że wcale nie miałem na nie ochoty, świadczył chyba najlepiej o tym, jak źle się czułem. Po tygodniu poczułem się na tyle silny, żeby pokonać trasy rekonesansowe w kierunku linii frontu. Musieliśmy przecież sprawdzić drogi i mosty na zapleczu naszych linii obronnych. Ponadto trzeba było nawiązać kontakt z pododdziałami, które mieliśmy wkrótce wspierać.

4 maja za nasze operacje w rejonie Narwy zostałem odznaczony Krzyżem Rycerskim. Moi kompani twierdzili, że rozchorowałem się tylko po to, aby uniknąć włączenia do formowanego batalionu. Nagrodę dostarczono mi do kwatery. Chłopcy pili moje zdrowie, a nasz dowódca łąpał okiem i sprawdzał, czy nie wziąłem do ust choćby kropli alkoholu. Wszyscy cieszyli się moim szczęściem. Wiedzieli, że będę z nimi, gdy ruszymy ponownie do walki.

Aby mnie zastąpić, przybyło dwóch nowych oficerów, porucznicy Nienstedt i Eichhorn. Mój stan zdrowia wyraźnie się poprawił. Ponieważ sytuacja na froncie była stosunkowo spokojna, otrzymałem czterotygodniowy urlop wypoczynkowy. Ale jak wiadomo, nie warto chwalić dnia przed zachodem słońca. Przebywałem w domu ledwie pięć dni, gdy otrzymałem telegram wzywający mnie z powrotem do jednostki. Żołnierz frontowy musi być przygotowany na takie ewentualności. Podczas wojny tylko żołnierze z jednostek okupacyjnych mogą liczyć na spokojne przepustki i urlopy, nawet jeśli brali udział w jakichś „akcjach”. Odnoszę wrażenie, że to właśnie ludzie z tych uprzywilejowanych oddziałów skarżyli się najbardziej na „mizериę straszliwej wojny.” W ich szeregach było wiele osób, które dyskryminowały porządnych niemieckich żołnierzy i tchórzliwie wspierały kampanię nienawiści, kierowaną na nich z innych krajów.

W Rydze, w czasie powrotnej podróży na front, spotkałem podporucznika Schürera z 3. kompanii. Otrzymał taki sam telegram. Klął, na czym świat stoi, i chyba nawet nie zauważył, że byłem zadowolony, iż mam towarzysza podróży. To pozwalało łatwiej znieść nagły wyjazd z domu. Na stacji przeznaczenia, gdy pytaliśmy o nasze pododdziały, powiedziano tylko, że przeniesiono je na nowe pozycje. Wtedy odnaleźliśmy dowódcę batalionu dział szturmowych, kapitana Schmidta,

którego znaleźliśmy już wcześniej. Obiecał nam dostarczyć samochód i kierowcę, który zawiezie nas do jednostek.

Aby utopić smutek po tak szybko zakończonym urlopie, zorganizowaliśmy małą imprezę. Hulanka była mocno podlewana alkoholem, tak że nawet nie zauważyliśmy momentu odjazdu. Nie odzyskaliśmy jeszcze na dobre przytomności, gdy dojechaliśmy do stanowiska dowodzenia naszego batalionu. Tutaj zamiast spodziewanego ataku wroga, czekała nas niespodzianka. Kolejna impreza!

Schürer właśnie otrzymał awans na porucznika. Opuściła nas cała złość. Nasi towarzysze wezwali nas z przepustek, wcale nie z powodu oczekiwanych akcji bojowych.

\* \* \*

Następnego dnia pojechałem do swojej kompanii. Zostałem zakwaterowany spory kawałek drogi za wsią. Na początku nasz szef kompanii zupełnie mnie nie poznał. Zasalutował regulaminowo, bo pomyślał, że jestem nowym oficerem przeniesionym do batalionu. Nieporozumienie wkrótce się wyjaśniło. Z radością uścisnęliśmy sobie ręce. Muszę dodać, że na głowie miałem nowiutką czapkę, którą przywiozłem z urlopu i to ona zmieniła mój dotychczasowy wygląd. Zawsze używałem nakrycia głowy, które już od dawna nie przypominało regulaminowej czapki. Otrzymałem je od matki, gdy zostałem awansowany do stopnia podporucznika. Od tego czasu czapka zupełnie się zdefasonowała i wyblakła, była bardziej szara niż czarna. Ale siedziała na głowie bardzo dobrze i nie miała żadnej kokardy ani orła na otoku. Denerwowało to moich dowódców kompanii i batalionu, ale mimo licznych próśb nie chciałem jej wyrzucić. Zawsze służyła mi dobrze i była już tak uformowana, że nie przeszkadzały mi słuchawki na uszach. Nawet przy najsilniejszym wietrze nie musiałem się martwić, że spadnie mi z głowy. Teraz jednak miałem nową czapkę połową, którą nosiłem tylko na tyłach.

Gdy tylko założyłem swoją starą „czapkę szturmową”, moi ludzie od razu zorientowali się, co się święci. Wartownik, który mnie zauważył, natychmiast zbudził załogi. Wiedział, co wkrótce ma się zdarzyć.

Już pierwszej nocy miałem okazję spakować z powrotem moją „oficjalną czapkę”. Rosjanie przełamali front w Ostrowie, na południe od Pskowa. Mogłem być im tylko wdzięczny, że poczekali na mój powrót.

Wytoczyliśmy czołgi wczesnym rankiem i ruszyliśmy trasą frontową Rossitten - Psków, by zbliżyć się do rejonu przyszłych działań. Iwan przełamał się od wschodu w kierunku drogi frontowej i teraz ją kontrolował. Mieliśmy go odeprzeć kontruderzeniem.

Na stanowisko dowodzenia piechoty przybyliśmy punktualnie piętnaście minut przed rozpoczęciem kontrnatarcia. Jak zawsze w trakcie przejazdu siedziałem razem z działonowym na zewnątrz wieży, na lewo, obok lufy Z tej pozycji widzieliśmy więcej i mogliśmy pomagać kierowcy. W trakcie jazdy pochyliłem się i nagle spadłem z pancerza prosto na drogę, tuż obok wjazdu kierowcy. Jeszcze raz dopisało mi szczęście. Nasz kierowca Baresch zareagował błyskawicznie, nim gąsienica zdołała mnie chwycić. Bez jego refleksu zginąłbym mało chwalebłą śmiercią. Niestety, miał pecha łącznik, który chciał przejechać przed frontem czołgu i skrócić w prawo. Wpadł w dziurę na drodze i został zmiażdżony przez ciężki pojazd.

Major Schwaner, nasz nowy dowódca, chciał wziąć udział w pierwszej akcji z całym batalionem. Dumny, że może poprowadzić do walki wszystkie kompanie, udał się do dowództwa pułku przedyskutować plan operacji. Nie było łatwo z nim się porozumieć, inaczej niż z nieodżałowanym Jähde. Jasno i dobitnie wyjaśniałem, że niemożliwe jest rozpoczęcie ataku o ósmej rano. Gorączkowo namawiałem go, aby przełożyć rozpoczęcie akcji przynajmniej na dziewiątą, ale Schwaner był innego zdania. Wkrótce powrócił ze sztabu i mimo moich obaw rozkazał ruszać natychmiast. Od tego momentu cała operacja była skazana na niepowodzenie. Koordynacja między dowódcami stanowiła dla niego sprawę drugorzędą, a przecież ważne było, aby czołgiści mieli okazję uzyskać kontakt z dowódcami piechoty. Musieli uzgodnić wspólne działania, a na to nie mieliśmy czasu. Wkrótce odczuliśmy rezultaty tego pośpiechu. Piechurzy przebyli tylko krótki dystans, po czym przypadli do ziemi i więcej ich nie było widać. Nie będąc doświadczonymi żołnierzami, wszyscy naraz zgromadzili się pod osłoną pancerzy czołgów. To przyciągnęło ogień ciężkiej broni Rosjan. Poległo wielu naszych grenadierów. Ci, którzy ocalili, rzucali się panicznie na prawo i lewo. Pod tak ciężkim ostrzałem żaden z nich nawet nie ośmielił się podnieść. Zapanował niewiarygodny bałagan. Nikt z nas nie widział ich oficerów i nie wiadomo było, kto komu podlegał. Praktycznie więc nie miało żadnego znaczenia, że nasze czołgi dotarły do wyznaczonych celów. Gdy zapadła ciemność, musieliśmy się wycofać z zajętych pozycji. Nie byliśmy w stanie wyprzeć samodzielnie Rosjan z okopów, a potem jeszcze

utrzymać pozycje. Wiedzieli o tym i nie czynili żadnych prób, by się wycofać. Pozostali w schronach całkiem bezpieczni.

Płaskowyż, na który rzucono naszych ludzi, został nazwany „Judennase”, czyli „Żydowski Nos”. Niektórzy czytelnicy mogą odnieść wrażenie, że to określenie miało obraźliwy charakter. Ale to nie miało nic wspólnego z antysemityzmem. Nazwa odnosiła się tylko do kształtu tego terenu i była zrozumiała dla wszystkich.

Cały ten „Nos” był tak umocniony, że do dzisiaj pozostaje dla mnie tajemnicą, jak Rosjanie mogli go odbić z naszych rąk. Jednak zajęli go podczas nocnego rajdu. To co się stało, można wyjaśnić tylko beztrąską ludźmi, którym wydawało się, że są bezpieczni na tych pozornie nie do zdobycia pozycjach.

Linia grzbietu wznosiła się dosyć stromo. Najważniejsza droga, która prowadziła przez wąwóz, miała około pięćdziesięciu metrów długości. Mógł nią poruszać się tylko jeden Tygrys. Na lewym i prawym stoku wąwozu zostały wykopane transeje położone w systemie tarasów od podstawy do szczytu. Okopy, które łączyły schrony, były tak rozmieszczone we wzgórzu, że w zasadzie całkowicie chroniły przed bezpośrednim ogniem. Rosjanie tylko odwrócili system obrony. Mielśmy dokładną „mapę umocnień” i wiedzieliśmy dobrze, gdzie znajduje się każdy schron i dokąd prowadzi każdy okop. Spodziewałem się, że poprowadzimy frontalny atak siłą całej kompanii. W tym samym czasie reszta batalionu w prawie pełnym składzie, wypoczęta i dobrze zaopatrzona, miała nacierać na prawo od nas na grzbiet, który prowadził w stronę „Nosa”. To oznaczało, że cały batalion zgromadził się w tym miejscu, a czołgi będą nacierać jeden za drugim, stanowiąc łatwy cel dla rosyjskiej artylerii.

To był kolejny powód do kłótni z dowódcą. Już był do mnie źle nastawiony, z powodu moich obiekcji co do czasu rozpoczęcia natarcia. Do przeprowadzenia ataku, moim zdaniem, wystarczała jedna kompania. Gdyby to ode mnie zależało, wziąłbym ze sobą cztery czołgi, a cztery kolejne nacierałyby wzdłuż linii grzbietu i wtedy narażonych byłoby tylko osiem czołgów. Jeżeli osiem czołgów nie poradziłoby sobie tutaj, to i cały batalion byłby bezradny, bo na tak małej powierzchni zbyt wiele maszyn tylko przeszkadzałoby sobie nawzajem w prowadzeniu ognia.

Moje argumenty nie znalazły uznania, a na dodatek zostałem zrugany. Zgodnie z nauczkami odebranymi „przy przesypywaniu piasku”, w akcję miał być zaangażowany cały batalion. Niestety, nie mogłem już niczego zmienić. Człowiek ma zawsze lepsze samopoczucie, gdy w rezerwie jest



kilka pojazdów, które mogą go wybawić z opresji...

Wyjechałem najszybciej, jak mogłem, i dotarłem do wąwozu wcześniej niż inni. Przejeżdżając tamtędy, nie mieliśmy najlepszych nastrojów. Musieliśmy bacznie obserwować sąsiadów, aby uniknąć gigantycznego bałaganu. Iwan z łatwością mógł z okopów i z krawędzi wąwozu rzucać na nas ładunki wybuchowe. Jednak wjechaliśmy na grzbiet bez problemów. Dwa czołgi skręciły w lewo, w stronę podstawy „Nosa”. Ruszyły ścieżką, która biegła prostopadłe do stoku i docierała do skraju kępy drzew, po przeciwnej stronie naszych pozycji. Ledwie wysunąłem nos poza grań, obok nas przeleciał pocisk sporego kalibru. To kazało mi pozostać po naszej stronie grzbietu. Później odkryłem, że Rosjanie umieścili niedaleko grzbietu działa szturmowe i przeciwpancerne. Całkowicie panowali nad tym terenem i każde natarcie z naszej strony byłoby samobójstwem. Poza tym, dotarliśmy już do naszych starych pozycji. Trzeba było tylko je zająć, ale piechota znajdowała się o jakiś kilometr za nami i wyglądała na zasną. W każdym razie przez resztę dnia nie zobaczyliśmy ani jednego piechura.

W tym czasie z prawej strony zbliżyła się reszta batalionu. I chociaż utrzymywaliśmy kontakt radiowy, dowódca batalionu - mój szef - trafił pociskiem z działa swojego czołgu między wieżę i płytę czołową naszego Tygrysa. Facet jechał z tą drugą grupą. To odebrało nam ochotę do dalszych działań. Gdyby trafił bardziej w lewo, nikt z nas nie miałby najmniejszych szans nawet zakląć. Na szczęście, wreszcie rozpoznał nas i sprawa skończyła się tylko na jednym trafieniu. On po prostu nie był w stanie pojąć, że tak szybko dotarliśmy do celu. Sądził, że to wycofujące się czołgi wroga.

Podporucznik Naumann był nowym człowiekiem w batalionie i po raz pierwszy brał udział w walce. Jechał z dużą prędkością po prawej stronie grupy bojowej. Stał w wieży odsłonięty aż do pasa. To nie miało nic wspólnego z odwagą. Takie postępowanie to samobójcze szaleństwo, na dodatek wystawiał na niebezpieczeństwo swoją załogę. Natychmiast przeszedłem na częstotliwość jego kompanii i zawołałem, aby był trochę ostrożniejszy i jechał nieco wolniej. Kiedy nic nie pomagało, podałem mu dokładną odległość, jaką może jeszcze przejechać, nim Iwan go zauważy i odstrzeli. Mogłem wszystko obserwować i wiedziałem, jak daleko ośmieliliśmy się zapuścić.

Ale Naumann nie słyszał albo nie chciał słyszeć. Dojechał do krytycznego miejsca, które mu wskazałem i jego pojazd momentalnie otrzymał bezpośrednie trafienie. Czołg zniknął na chwilę z pola widzenia.

Jego załoga była jedyną wpisaną na listę zaginionych w całym batalionie. Nikt z załogi nie wrócił. Żaden z nas nie mógł zbliżyć się do uszkodzonego Tygrysa, bo znajdował się w środku pola ostrzału z ciężkiej broni. Jak dowódca czołgu mógł tak bezmyślnie poświęcić swoją załogę! Zupełnie nie mogłem tego pojąć i do dzisiaj nie rozumiem, co kierowało naszym młodym towarzyszem broni.

W 3. kompanii pojawił się nowy dowódca, kapitan Leonhard. Ucieszyliśmy się z jego przybycia. Była to wielka zdobycz dla naszego batalionu. Każdy chciałby mieć takiego dowódcę kompanii. Należy mu się ode mnie masa podziękowań. Kiedy chciałem przekonać do czegoś dowódcę mojej kompanii, kapitan zawsze mi - „małemu porucznikowi” - pomagał.

No a teraz byliśmy na grzbiecie wzgórza, czekając na piechotę, ale w to, że ona przybędzie, wierzyli tylko najwięksi optymiści. Piechota rzadko kiedy nadążała za nami. Jeśli chcieliśmy mieć ją blisko, musieliśmy brać jej ludzi na pancerze. Teraz nasi piechurzy mieli już tylu rannych, że byli zbyt słabi, by w nocy utrzymać zdobyte przez nas pozycje. Tymczasem Rosjanie strzelali gęsto i celnie. Ich obserwatorzy prawdopodobnie siedzieli w okopach na lewo od nas. Zostali po prostu na swoich pozycjach, gdyż nie mieli żadnego powodu, by je opuszczać. Bo co im mogliśmy zrobić?

I tak traciliśmy jeden czołg po drugim. Największe straty poniosła prawoskrzydłowa grupa batalionowa, która zajmowała jeszcze gorsze pozycje od naszych. Von Wesely przez cały czas stał na lewo, przy dalszym skraju kępy drzew, a teraz zameldował, że otrzymał trafienie w wieżę i to z działka przeciwpancernego, które wydawało mu się niezdatne do walki.

Von Wesely chciał choć przez moment związać walką przeciwnika, aby zapewnić nam chwilę oddechu. Rosjanie jednak strzelali bardzo celnie. A jemu pozwolili wystrzelić tylko raz. Gdy wychylił nos ponad grzbiet wzgórza, natychmiast dostał w wylot lufy. Kiedy cztery czołgi z prawoskrzydłowej grupy wjechały na minę i zostały uszkodzone, tak samo jak jeden z moich i ten von Wesely'ego, dowódca wycofał resztę czołgów, aby czekały na obiecane wsparcie piechoty. Ja miałem za zadanie utrzymać grzbiet tak długo, jak to będzie konieczne.

W ciągu dnia mogliśmy wykonać to zadanie, chociaż widzieliśmy, że Iwan coraz bardziej się umacnia i robi się całkiem żwawy, nawet na naszych tyłach. W nocy nie mieliśmy żadnej szansy. Dlatego zdecydowałem się powrócić do wąwozu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł wymagać, abym pozostał na grzbiecie z trzema zdolnymi jeszcze

do walki czołgami albo wycofywał się z wąwozu w całkowitej ciemności. Przebyliśmy ten niebezpieczny teren bez żadnych incydentów i jeszcze podjęliśmy załogę czołgu podporucznika Eichhorna. Jego pojazd nie mógł ruszyć z miejsca, a nikt się o niego nie zatroszczył. Oznaczało to, że jeszcze jeden Tygrys został w otwartym terenie. To było rzeczywiście przygnębiające zakończenie naszych bezcelowych wysiłków.

Kiedy wreszcie przybyliśmy na pozycje wyjściowe, przekonałem się, że nikt z piechoty nawet nie myślał, aby wyruszyć na zajęte przez nas pozycje. Dlatego byłem zadowolony, że nie zostaliśmy na noc przy grzbiecie. Major Schwaner nie zgłaszał żadnych obiekcji, bo chyba nawet on zdał sobie sprawę, że moje poranne jęki i narzekania były słuszne. Każdy musi zapłacić za zdobywane doświadczenia.

Następnego poranka przewieźliśmy piechotę do połowy drogi wiodącej do „Żydowskiego Nosa”, aby miała mniejszy dystans do przebycia. Strzelcy sformowali linię bojową i bez większych problemów resztą swoich sił dotarli do starych pozycji. Teren był stosunkowo płaski, miejscami zalesiony, i można było w nim niezłe się maskować.

Jakieś 800 metrów na lewo od ścieżki, która wiodła do „Nosa”, widać było linię grzbietu biegnącą równoległe do naszych pozycji. Rosjanie właśnie stamtąd chcieli przypuścić atak; zobaczyłem przez lornetkę ich oddziały bojowe. Natychmiast zacząłem strzelać w stronę lewego skrzydła. To trochę pomogło naszym chłopcom w okopach.

Linie rosyjskie biegły w zagłębieniu terenu, w połowie drogi do stoku, trochę na lewo przed nami. Było to jakiś kilometr od nas i z góry mogliśmy swobodnie ich obserwować. Rosjanie ruszali się tak rażno i beztrąsko, że musieliśmy kilkoma pociskami przypomnieć im o ostrożności. Ich bezczelność była nawet zabawna. Około południa ściągnęli na równinę przed stokiem ciągniki, artylerię i przyczepy amunicyjne. Zachowywali się tak, jakby nas wcale nie było! Pozwoliliśmy im zejść w dół na tyle, aby zbyt szybko nie zniknęli za grzbietem, i łukiem posłaliśmy tam kilka pocisków. Odległość była zbyt duża, by precyzyjnie wycelować, ale ich kierowcy zaczęli uciekać, jeszcze zanim ciągniki pojazdów stanęły w płomieniach.

Teraz Rosjanie zdali sobie sprawę, że już zajęliśmy pozycje i tego dnia wstrzymali się z atakiem. Było jasne, że chcą wzmocnić swoje pozycje na „Żydowskim Nosie”. Oczywiście liczyli na to, że uderzymy po raz drugi. W końcu zajęcie tych „umocnień” było dla nas sprawą podstawową. Inaczej nie utrzymałby się front po prawej i lewej stronie. Wzniesienia, które poprzednio utraciliśmy, całkowicie dominowały nad okolicą, dlatego

koniecznie musieliśmy odebrać je wrogowi.

## 22 NIEMIECKIE MYŚLIWCE NIE POJAWIŁY SIĘ

Wzmocnienia piechoty przybyły następnej nocy. Używając dokładnych szkiców naszej „fortecy”, omawiałem z dowódcą batalionu w jego schronie wszystkie szczegóły ataku, który miał być przeprowadzony rano. Dzięki temu, każdy pododdział znał dokładnie swoje zadania. Zapewniono również nadchodzącej operacji wsparcie artyleryjskie. Ponieważ cztery moje czołgi były unieruchomione, otrzymałem pojazdy zastępcze z 3. kompanii. A to oznaczało konieczność działania z mało znanymi mi ludźmi. Na szczęście oni mnie znali.

Ruszyliśmy natychmiast po rozpoczęciu przygotowania artyleryjskiego. Dotarliśmy do podstawy wzgórza leżącego przed wąwozem, nim baterie przeniosły ostrzał trochę wyżej. Rosjanie nawet nie wystawili nosów z okopów, więc łatwo mogliśmy pokryć ogniem ich pozycje. Zgodnie z umową piechota posuwała się zaraz za czołgami. Ostrzelaliśmy mocno okopy, po czym nasza piechota szarżą zajęła ich pierwszą linię, biegnącą wzdłuż niższej krawędzi urwiska. Dwa tyłowe czołgi stoczyły pojedynkę ogniową z dwoma rosyjskimi armatami przeciwpancernymi, które stały zamaskowane w niewielkim zagajniku i zapewne miały nas zatrzymać. (Te dwa czołgi miały za zadanie ruszyć w górę ścieżki, biegnącej w lewo, ukośnie wzdłuż stoku.)

Ja w tym czasie ruszyłem przez wąwóz z dwoma pozostałymi Tygrysami. Zaczekałem, aż artyleria przeniosła ostrzał dalej i szybko zająłem teren z tyłu.

Na szczęście w odpowiedniej chwili zauważyłem ułożone na naszej trasie niemieckie miny. Zaczęło się robić trochę nerwowo, bo czas naglił. Nie mogłem dopuścić, aby z powodu naszych min nie powiodła się cała operacja. Musiałem wyjść z czołgu i odrzucić je na bok.

Z duszą na ramieniu wyszedłem na zewnątrz. Koledzy osłaniali mnie ogniem, zmuszając Rosjan do chowania się w okopach. Jakimś cudem wróciłem do czołgu w jednym kawałku. Teraz mogliśmy ruszyć dalej naszą „aleją”. Dzisiaj można się z tego śmiać, ale wówczas, dopiero gdy dotarliśmy bez szwanku na szczyt, spadł nam wielki ciężar z serca. Nawet najlepszy żołnierz nic nie zdołał bez odrobiny szczęścia...

Piechota oczyszczała okopy, a na nas spadła niewiarygodna lawina ognia. Mieliśmy dużo szczęścia, że Rosjanie ani razu nie trafili nas bezpośrednio. Ale jak wyglądały Tygrysy po tej strzelaninie! Błoto tak je

oblepiło, że na pancerzach można było sadzić rośliny. To naprawdę cud, że wyszliśmy z tej afery bez żadnych zadrapań. Na dodatek, ku naszemu zaskoczeniu, staliśmy się celem ataku rosyjskich samolotów bliskiego wsparcia. To już był szczyt wszystkiego! Bombowce latały tak nisko, że mogliśmy je niemal łapać ręką. Szczęśliwie nie trafiły w nas ani wystrzelone przez nie rakiety, ani zrzucone bomby.

Oczywiście, naszych myśliwców nigdzie nie było widać!

Ilekcroć pojawiały się rosyjskie samoloty szturmowe lub dwupłatowce, nasi piechurzy śpiewali prześmiewczo „Wołżańskiego wioślarza”. Maszyny Iwana latały nad nami beztrąsko, bez żadnych przeszkód. Wkrótce ktoś skomponował bardziej odpowiedni tekst. Kończył się mniej więcej słowami:

*„Już odesłaliście myśliwce do domu,  
Prosimy więc, pożyczcie nam choćby jednego!”*

Spędziliśmy dużo czasu na grzbiecie wzgórza, stanowiąc świetny cel dla rosyjskiej artylerii. Z tego cyrku nie mogliśmy wyjść bez szwanku. Podczas kolejnej zmiany pozycji na stromym stoku ześliznęła się nam gąsienica. Nasz czołg był chwilowo unieruchomiony. Dwa pozostałe, które działały na lewo od nas po drugiej stronie grzbietu, nie opuściły uszkodzonego pojazdu Wesely'ego. One też igrały z losem i szybko otrzymały bezpośrednie trafienia. Musiałem szybko ruszyć im na pomoc. Tak gęsto ich ostrzeliwano, że załogi nie mogły opuścić swoich maszyn.

Rosjanie obserwowali każdy nasz ruch i w zasadzie nikt nie mógł schronić się przed ich ostrzałem. Ustawiłem swój czołg obok dwóch uszkodzonych pojazdów, tak aby osłonić przed ogniem wyjście załogi. Wszyscy z obsady pierwszego czołgu byli lekko ranni. Potem osłoniliśmy załogę drugiej maszyny, której dowódca był ciężko ranny. Jego życiu groziło niebezpieczeństwo. Ruszyłem więc błyskawicznie w stronę stanowiska dowodzenia batalionu.

Pedantyczny major miał oko na wszystko. Gdy tylko pojawiłem się tam z moim Tygrysem, zanim zdołałem złożyć raport, już się darł na mnie. Jak to możliwe, że wróciłem sam, zostawiając swoich towarzyszy na polu walki. Moja odpowiedź była krótka:

- Wszystkie czołgi są unieruchomione! Reszta naszych ludzi wróci za chwilę, ale pieszo!

Odwróciłem się gwałtownie, aby nie widział moich łez. Przecież straciłem trzy moje ukochane Tygrysy.

Miałem już zszarpane nerwy tymi wszystkimi żadaniami stawianymi naszym czołgom.

Mimo wszystko mieliśmy powody do satysfakcji. Piechota odzyskała swoje stare pozycje, a wyznaczone cele zostały osiągnięte.

Nocą zajęliśmy się ratowaniem uszkodzonych pojazdów. O zmroku wyruszyłem z dwoma czołgami, aby odholować maszyny, które zostały poza naszymi liniami. Z kompanii remontowej sprowadziliśmy pluton naprawczy. W jednym z czołgów znajdujących się, na „Nosie” chłopcy musieli zespawać gąsienicę. Tygrys stał tuż przed naszymi liniami na ziemi niczyjej. Łuna światła, która w nieunikniony sposób pojawia się przy spawaniu, była częściowo stłumiona przez osłonę, ponieważ ustawiłem swój czołg tak, aby chronić przed ostrzałem pracujących ludzi.

Znowu mieliśmy problemy z piechotą. Wbijaliśmy im do głowy, aby nie strzelali pociskami świetlnymi, gdy my naprawiamy czołgi na polu walki. Jednak zawsze znajdzie się jakiś głupek, który strzela taką amunicją prosto w niebo. W takiej sytuacji nic bardziej nie pomaga Iwanowi w zorientowaniu się, co robimy. Staliśmy sami jak palec na tle palących się flar. Komuś, kto sam tego nie przeżył, trudno sobie wyobrazić taką pracę. Na szczęście tym razem obyło się bez ofiar.

Tylko doświadczony czołgista może sobie pozwolić na holowanie Tygrysa z jedną gąsienicą. A my na dodatek musieliśmy jechać w dół i przez wąwóz. Natychmiast po tym, gdy go minęliśmy, wpadliśmy pod ostrzał karabinu maszynowego ze zniszczonego czołgu Wesely'ego. Na dodatek, holowany czołg ześlizgnął się do małego leja po bombie. Gdy wreszcie udało nam się wydostać z tej niebezpiecznej strefy, byliśmy bardzo szczęśliwi.

Kierowca podporucznika Eichhorna, starszy kapral Lustig, co znaczy po niemiecku „zabawny”, dopasował się tego dnia do swego nazwiska. Nie mówiąc nikomu słowa, ruszył sprawdzić swój unieruchomiony czołg, który stał na ziemi niczyjej, zaraz przed naszymi pozycjami obronnymi. Stan pojazdu wskazywał, że Rosjanie już go spenetrowali. Jednak przegapili butelkę likieru, którą nasz kolega odnalazł. Wypił sobie z niej co nieco dla kurażu i ponownie uruchomił silnik czołgu. Kiedy przygotowywaliśmy się do holowania wzdłuż wąwozu kolejnego Tygrysa, ukazał się nam „brat Lustig” i jego maszyna. Natychmiast podczepiliśmy się do niego, dzięki czemu mogliśmy odzyskać równocześnie dwa czołgi pozostawione na wyżynie. Lustig był tak pijany, że nie był w stanie jechać prosto. Kilka razy omal nie ugrzęźliśmy w mokradłach z tym dodatkowym czołgiem. Odholowanie maszyn z pola walki kosztowało sporo nerwów i cierpliwości, ale w końcu się udało.

Do rana ściągnęliśmy wszystkie Tygrysy, poza czołgiem Wesely'ego,

w którym już usadowili się Rosjanie. Następnej nocy próbowaliśmy go odzyskać przy wsparciu patrolu piechoty. Jednak nasze wysiłki spełzły na niczym i aby oszczędzić życie piechurów, zrezygnowaliśmy z dalszych prób.

Rankiem podpaliliśmy pechowy czołg. Pomimo sporych strat ogólnych, utraciliśmy tylko jeden wóz. Jeszcze raz przekonaliśmy się, że odzyskiwanie uszkodzonych podczas operacji wojskowych maszyn kosztuje więcej nerwów niż sama operacja. Z tego powodu zamierzałem w następne akcje obronne angażować jak najmniejszą liczbę ciężkich czołgów.

\* \* \*

Nasz sukces udowodnił, że miałem rację. Sami zdobyliśmy starą linię obrony na „Żydowskim Nosie”, to znaczy zrobiliśmy to, czego wcześniej nie potrafił dokonać cały batalion. Trzeba również wziąć pod uwagę jeszcze i to, że w tym czasie Rosjanie rozbudowali i wzmocnili swoje pozycje. Podczas naszego drugiego natarcia już byli przygotowani do obrony.

Przewidywaliśmy, że podczas pierwszego, batalionowego natarcia powiedzie się zaskoczenie przeciwnika. Jednak to drugi atak, pomimo tylu niedogodności, zakończył się sukcesem. Nie było w tym żadnego cudu. Przeciwnie, drugi atak pokazał korzyści z dokładnego omówienia każdej fazy planu natarcia i uzgodnienia go z artylerią i piechotą. Gdyby nasz dowódca pozwolił wówczas na przełożenie operacji o godzinę, by ustalić szczegóły ataku, wszystko byłoby tylko niedzielną przejażdżką, szczególnie że nieprzygotowanych Rosjan zaatakowałby cały batalion. Najważniejsze w każdej operacji jest to, aby poszczególne formacje działały wspólnie. To decyduje o sukcesie. Nie obok siebie, a razem!

Zawsze wiedziałem, że porządny piechur, który choć trochę „powąchał frontu”, nie da się namówić na wejście do Tygrysa, nawet pod groźbą użycia siły. Oczywiście docenia korzyść, jaką daje gruby pancerz czołgu, ale widzi też wady „stalowych gruchotów”. Dla wroga stanowiliśmy dogodniejszy cel i przeważnie na nas koncentrował nawałę ognia, a taki „konik polny”, mógł trzymać się od nas z daleka. Potrafił też zręcznie wykorzystać nierówności terenu i schować nos głęboko w ziemię.

Za powodzenie natarcia zawsze odpowiadał dowódca pododdziału czołgów. Dlatego w jego dobrze pojętym interesie było zapewnienie sobie



wsparcia piechoty. Nie da się tego dokonać, jeśli dowódca pozamyka włązy czołgu i na ślepo pędzi do celu. Jeśli choć raz straci kontakt z piechotą, ona już nigdy za nim nie podąży. Pierwszy dzień natarcia jeszcze raz wyraźnie to udowodnił.

Teraz mówi się o hełmach z wbudowanymi odbiornikami radiowymi. Jeśli nawet ta forma kontaktu z piechurami będzie codziennością, to osobisty kontakt nigdy nie pójdzie w zapomnienie. To jest oczywiste, szczególnie w sytuacji, gdy dowódca ma do czynienia z dużym pododdziałem piechoty. Na długo przedtem, zanim nadeszła era „odbiorników”, dowodzący mógł szybko przekazać wszystkie informacje, kontaktując się z podwładnymi osobiście.

Każdy dowódca pododdziału czołgów musi czasem porzucić komfort swojego pojazdu, nawet jeśli jest to trudne do przeprowadzenia. Musi pokazać piechuram, że w stalowych pudłach też jest jakieś życie i że my, czołgiści, również potrafimy walczyć, nawet wtedy, gdy nie mamy naszej pancernej osłony.

Miałem wielką satysfakcję, że teoretycznie nieudany atak zakończył się powodzeniem. Nigdy nie uważałem, że nasza piechota siedzi beczynnym i nie chce wspierać nas podczas natarcia.

Coś jeszcze nam pomagało - nikt z nas, czołgistów, nie nosił hełmu. Co prawda, sprawiało to nader niepożądane wrażenie, że jesteśmy szczególnie lekkomyślnymi żołnierzami. Hełmy znajdowały się w naszym wyposażeniu, jednak zwyczajowo wisiały na zewnątrz wieży czołgu, bo w środku zajmowały zbyt dużo miejsca. W konsekwencji szybko gdzieś ginęły. W czołgu nie można trzymać hełmu na głowie, bo nie ma w nim miejsca na słuchawki. Gdy szedłem na rozpoznanie z piechurami, często oferowano mi jakiś zapasowy hełm, ale rzadko udawało się dobrać odpowiedni rozmiar. Mam nietypowo wielki rozmiar głowy, czyli 7 i 3/8.

Nowi czołgiści na froncie musieli nauczyć się wielu rzeczy. Na przykład często oceniali bliskość frontu po tym, że piechurzy mieli hełmy na głowach lub zsunięte na karki. Jednak w wielu wypadkach był to fałszywy wniosek. Po prostu żołnierze nie znali wygodniejszego sposobu noszenia hełmów. Często bardziej przeszkadzała, wisząc na pasku lub w inny sposób przyczepiony do ekwipunku. Na zewnątrz czołgów staraliśmy się oceniać sytuację zgodnie z zaleceniami podporucznika Riegera: „Hełmu będę potrzebował wtedy, gdy otrzymam postrzał w brzuch!”

W tych słowach była krwawa ironia. W czasie odwrotu spod Narwy Rieger rzeczywiście zginął od postrzału w brzuch.

## 23 NATYCHMIAST ZAMELDOWAĆ SIĘ W JEDNOSTCE

Po udanej operacji na „Żydowskim Nosie” cały batalion wycofał się na tyły, w rejon koncentracji. Podporucznika Karla Ruppela i mnie wysłano do ośrodka wypoczynkowego w Rewelu, żebyśmy nabrali sił. Była to w jakimś stopniu jakby rekompensata za brutalnie przerwany urlop. Poza tym, w razie potrzeby można było nas z Rewela szybko ściągnąć. Jak bardzo byliśmy potrzebni, przekonaliśmy się szybciej, niż mogliśmy się spodziewać. Ale o tym później.

Moje skierowanie do ośrodka wypoczynkowego poparte było oświadczeniem podpisanym przez lekarza batalionowego. Badania lekarskie przeprowadzono po moim przedwczesnym powrocie z urlopu zdrowotnego. W dokumencie napisano, że nie wykryto wad w funkcjonowaniu serca, a coś takiego stwierdzono wcześniej, pod koniec 1943 roku. To oznaczało, że wyzdrowiałem zadziwiająco szybko! Ale na tym nie koniec odkryć:

„Czterotygodniowy pobyt w ośrodku wypoczynkowym jest wskazany ze względu na niestabilny układ krążenia i pogorszenie ogólnego samopoczucia, mimo udzielonego wcześniej urlopu. Całkowita abstynencja alkoholowa i nikotynowa jest warunkiem koniecznym powrotu gotowości do służby. W przyszłości można liczyć się z kolejnymi atakami astmy sercowej z powodu długotrwałych stresów psychicznych”.

Wyjechaliśmy „ekspresem” w stronę Rewela. Trudno dziś uwierzyć, że podróż trwała osiem dni. Dla nas, urlopowiczów, nie była to zabawna sytuacja.

Ledwie pociąg przejechał jakiś krótki dystans, a już lokomotywę zabierano do innych wagonów, a potem znowu doczepiano. Na tempo podróży miało też wpływ jeszcze coś innego - partyzanci. W takich warunkach podróżowaliśmy aż do Rewela.

Ku memu zaskoczeniu zarządca domu, który znał już mnie z 1943 roku, wysłał po nas na stację samochód. Otrzymaliśmy wspaniały pokój z bieżącą wodą, ubikacją i wanną. Do tego trzeba jeszcze dodać wspaniałe wyżywienie i wszechobecną ciszę. Wszyscy kuracjusze otrzymali taką nagrodę.

Pierwszego poranka jedliśmy śniadanie razem z gospodarzami domu. Opowiadaliśmy, co się z nami działo ostatnimi czasy, gdy wszedł ordynans i wręczył każdemu z nas telegram.

Spojrzelismy na niego z obrzydzeniem. Juz wczesniej zalozyłem się, że w Rewelu nie spędzimy nawet trzech tygodni. Od razy zgadłem, że wygrałem zakład. Wieczorem w dniu przyjazdu dowiedzieliśmy się z komunikatów Wehrmachtu, że Rosjanie przełamali front w Witebsku.

Wiedzialem, co jest w telegramie - tylko kilka słów: „Natychmiast zameldować się w jednostce!”. Przeklinalismy jak wariaci i tylko dobre wychowanie uchronilo mnie przed dalszym powtarzaniem wulgarnych słów. Bylismy wściekli, bardziej z powodu bezsensownej podróży niż z faktu, że znowu jesteśmy potrzebni. A teraz jeszcze raz czekała nas podobna podróż! Wrócilismy do naszych pododdziałów jeszcze bardziej nerwowi niż przed wyjazdem.

W punkcie kontrolnym w Pskowie dowiedzieliśmy się, że nasz batalion przeniesiono na południe od Dyneburga. Został przerzucony na skrzydło otwarte przez Rosjan, którzy teraz szybko zbliżali się do Wilna.

Wróg sporo się od nas nauczył i obecnie maszerował wzdłuż tej samej trasy, którą my przemierzaliśmy w 1941 roku, tylko pechowo dla nas w odwrotnym kierunku. Pierwotnie trasa wiodła od Wilna przez Mińsk, Witebsk do Smoleńska. Tym razem Iwan maszerował w przeciwną stronę! Bogowie wojny odwrócili się od nas, a wróg w tym czasie nabierał coraz więcej sił.

## 24 ODMOWA WYKONANIA ROZKAZU

Nasz „urlopowy tabor” poruszający się na trasie Rossitten - Dyneburg musiał być rozdzielony między siły szybkiego reagowania z powodu poważnego zagrożenia ze strony partyzantów. Do samego Dyneburga przybyliśmy bez większych kłopotów. Tam natychmiast przeniesiono nas do macierzystych jednostek.

To było niesamowite, wszyscy zachowywali się jak w czasie pokoju! Wszędzie stały rozebrane na części czołgi. Wyglądało to tak, jakby czekały na konserwację. Ludzie z ich załóg porozkładali namioty, opalali się i pisali listy. Oczywiście wiedzieli, że stan takiej beztroski nie potrwa długo.

Ponieważ tabory nadal znajdowały się przy jednostkach liniowych, mieliśmy nadzwyczajne zaopatrzenie w porównaniu z tym, które zwykle otrzymywaliśmy. Monotonne wyżywienie w trakcie kampanii teraz rekompensowano nam nadwyżką luksusu. Nikt nie jadał zup, bo były zbyt tłuste. Kto by chciał jadać regulaminowe posiłki, kiedy można było zażądać wszystkiego, co dusza zapragnie. Warto wspomnieć, że nasza jednostka zagarnęła spore stada żywego inwentarza: krów, świń, kaczek i kurczaków. Stworzono specjalną drużynę, która miała się zajmować tym „bogactwem”. Żołnierze, którzy później dostali się do rosyjskiej niewoli, za takie „zbrodnie” dostawali wyroki dwudziestu pięciu lat więzienia. W każdym razie żyliśmy w tym czasie luksusowo. I to tak, że ludzie wracający do domów zazdrościli nam tego dobrobytu. Wszystkie specjały mieliśmy na wyciągnięcie ręki.

Nikt lepiej niż żołnierz nie wie, jak ulotne są dobra ziemskie!

Iwan często wodził nas za nos. Ruszał co chwila do jakiegoś celu, chcąc ściągnąć nasze siły, ale nigdy nie przeprowadzał zmasowanego ataku na północ. Od czasu do czasu pułk stawiał nas w stan pogotowia, jednak ani razu nie wsiedliśmy do czołgów.

11 lipca, w okolicach Karasina, mieliśmy pierwszy kontakt z wrogiem. Rosjanie nie do końca ustalili, gdzie znajdują się nasze pozycje obronne. Trudno im to przychodziło, bo wolno je odbudowywaliśmy. Musieliśmy pomóc naszym kolegom z piechoty w zajmowaniu dominujących pozycji w terenie. Nie był to specjalny problem, bo Rosjanie nie zgromadzili tutaj zbyt dużych sił i prawie w ogóle nie mieli czołgów. Koncentrowali się głównie w natarciu na zachód. W czasie tych operacji mieliśmy okazję zniszczyć tylko jeden T-34, który pokazał się przy linii lasu. W

porównaniu z tym, co przeżyliśmy wcześniej, była to niewinna igraszka.

Nie ponieśliśmy specjalnych szkód poza naszym dzielnym starszym sierżantem Zwettim, łobuziakiem pochodzącym ze Styrii w Austrii. Obok zwykłych obowiązków miał on troszczyć się o dostarczanie tego, w co zaopatrywano nas za wzniesieniami, daleko od pola widzenia Rosjan. Podczas odbierania dostaw, jak grom z jasnego nieba trafił go rykoszet. Stał na pancerzu swojego czołgu i pomagał ładować do niego amunicję, gdy kawałek metalu trafił go tam, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. W Niemczech, w średnich wiekach mówiono politycznie, że dostał w „ärschling” albo w „tyłek”. Śmieliśmy się do rozpuku, co doprowadzało go do furii. Zwetti, który nie odniósł w trakcie walk żadnej rany, teraz musiał opuścić kompanię z powodu tego pechowego incydentu. Rana nie zagoiłaby się bez pobytu w szpitalu. Spotkałem go potem w 502. batalionie zapasowym w Paderborn. Wyglądał jak dawniej.

Dwa dni później w rejonie Karasina obudzili się Rosjanie. Działaliśmy w rejonie 380. Pułku Grenadierów i tam spotkałem podporucznika rezerwy Bernda Schäzle. W zimie jako dowódca plutonu otrzymał Krzyż Rycerski, a teraz służył jako nasz oficer łącznikowy. To był prawdziwy Szwab, miał prawdziwie szwabskie nazwisko, które w języku angielskim oznaczało coś na kształt „małego skarbu”.

Później, gdy zostałem poważnie ranny, spotkałem go jeszcze raz na okręcie sanitarnym, który wiozł nas do domu. Schäzle, lekko ranny w ramię, mógł chodzić, dzięki temu nie leżałem bezradny i opuszczony. Zapewnił, że mogę spokojnie wypoczywać na pokładzie, a on 1 zajmie się mną w czasie długiej podróży.

W czasie wydawania rozkazów na stanowisku dowodzenia 380. Pułku, złożyli nam nieoczekiwaną wizytę reporterzy filmowi. Mieli nakręcić film do najbliższej kroniki filmowej. Aby wyglądało to bardziej realistycznie, zostałem poproszony, by przy najbliższej operacji zabrać operatora do środka czołgu. Nie bardzo mieliśmy na to ochotę, ale ponieważ zadanie nie zapowiadało się na trudne, dałem się namówić. Po raz pierwszy i ostatni!

Dzentelmen z kroniki filmowej zajął miejsce ładowniczego, dzięki czemu mógł filmować spoza wieży czołgowej. Nasza operacja zmieniała się niemal w prostowanie linii frontu. Sierżant Kerscher nacierał trochę za daleko na wschód i omal nie wprowadził trzech naszych czołgów na bagna. Mój Tygrys zajął w tym czasie pozycję na wzniesieniu, skąd mieliśmy znakomite pole obserwacji pozycji Iwana. Przeciwnik nie wykazywał zrozumienia dla intencji operatora i posłał bezczelnie w naszą

stronę kilka pocisków. To spowodowało, że facet nawet nie wystawił kamery ponad właz czołgu. Krzyczał tylko ze strachu, gdy wybuchał kolejny pocisk. Wywołało to we mnie taką furję, że czekałem na wzgórzu dotąd, aż nie powrócił Kerscher z pozostałymi czołgami. Gdyby chodziło o mnie, szybko zniknąłbym za wzgórzem, ale grzeczność wobec gościa wymagała, aby on też przeżył coś ciekawego.

Wkrótce po naszym powrocie Rosjanie wysłali dwa czołgi na linię lasu, jakieś 1200 metrów przed nami. Jednak nie chcieli atakować, tylko jeździli wzdłuż naszych pozycji. Specjalnie cofnąłem czołg, tak aby nasz kamerzysta miał szerokie „pole ostrzału”. Trzymał sprzęt w pogotowiu, by filmować zniszczenie rosyjskiego czołgu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Nasz pierwszy pocisk chybił, Rosjanie natychmiast schowali się za linię drzew, a przestraszony wystrzałem filmowiec zanurkował w głąb czołgu, blokując ładownicemu dostęp do zamka armaty. Dwa rosyjskie czołgi zawdzięczają swój szczęśliwy los temu operatorowi. Nie wierzę, by nasz przyjaciel kamerzysta jeszcze raz podczas wojny spróbował takiej przejażdżki. Ambicja i zdolność do walki to dwie różne sprawy. Szczególnie w obliczu wroga!

\* \* \*

15 lipca wezwano mnie do sztabu dywizji. Mieliśmy dołączyć do sztabu grupy bojowej, która słabymi siłami organizowała linie obronne w Marudzę, trochę na zachód od nas. Jej dowódca, nim trafił na front, był komendantem sporego miasta na terenach wschodnich. Wyraźnie nie panował nad sytuacją. Dowódca naszej dywizji uspokajał go przez telefon. W mojej obecności zapewniał, że rano doprowadzę Tygrysy do jego zgrupowania.

Punktualnie o szóstej rano pojechaliśmy z podporucznikiem Eichhörnem wozem terenowym do punktu dowodzenia grupy bojowej. Stanowisko umieszczono w autobusie ze względu na mobilność tego pojazdu. Zameldowaliśmy się u generała, który był wyraźnie zdziwiony, że nie słyszy warkotu silników zbliżających się Tygryсів. Jego zdziwienie jeszcze bardziej wzrosło, gdy zameldowałem mu zwięźle, że nasze wozy pancerne są w drodze i przybędą najwcześniej około ósmej. Dżentelmen z wysokim stopniem wojskowym powiedział uprzejmie:

- No, panowie! To chyba jesteście zadowoleni, bo natarcie ma właśnie rozpocząć się o tej godzinie.

Czasami trudno było rozmawiać z generałem, szczególnie w tak krytycznych momentach. Próbowałem mu wyjaśnić, że nie ma sposobu, aby nasze czołgi były gotowe do walki o ósmej, bo musimy przeprowadzić rozpoznanie dróg prowadzących na front. Poza tym konieczne jest spotkanie z dowódcą mającego nas wspierać batalionu piechoty. Wysokiej rangi oficer miał na ten temat inną opinię i wkrótce stał się niecierpliwy.

- Drogi i mosty zostały sprawdzone przez ludzi z dział szturmowych. Tam gdzie oni mogą przejechać, wy też możecie swoimi pojazdami!

Mogłem po prostu stuknąć obcasami i pozostawić całą sprawę, było jednak zbyt dużo zagrożeń. Próbowałem mu wyjaśnić, że działa szturmowe są o połowę lżejsze od naszych maszyn i co najważniejsze, że nigdy nie pozostawialiśmy rozpoznania w cudzych rękach. Miałem za dużo złych doświadczeń, gdy musieliśmy się opierać na cudzym, błędnym rozpoznaniu terenu walki. W tym momencie mojemu generałowi puściły nerwy i zagrzmiał:

- Ty! Nie znoszę, kiedy młody oficer zachowuje się jak primadonna! Masz zaatakować o ósmej!

Nie zostało mi nic innego, jak udawać durnia.

- Z całym szacunkiem, proszę pana generała o wybaczenie - powiedziałem i obróciłem się na pięcie.

Podporucznik Eichhorn zniknął już wcześniej, bo od początku niej miał dobrych przeczuć.

Wiedziałem, że na pewno nie zaatakujemy o ósmej. Wycofałem się, nie chcąc doprowadzać starego generała do skrajnej rozpacz.

Dowódca batalionu piechoty, gdy tylko zobaczył mój czarny mundur, natychmiast się rozchmurzył. Od razu zaznaczył, że prawdopodobnie batalion nie będzie gotowy na ósmą. Szybciutko ustaliliśmy nową godzinę natarcia na dziesiątą. Pluton remontowy obiecał, że na tę godzinę zdąży przygotować czołg Kerschera. Mogłem polegać na tych ludziach. Wiedziałem, że co do minuty przekażą nam naprawioną maszynę. Poza tym piechota nie przeciągnęła jeszcze kabli telefonicznych, więc jej dowódca nie miał kontaktu z poszczególnymi kompaniami.

Ruszyliśmy razem naprzód i major szybko zrelacjonował mi sytuację w terenie. Obiektem natarcia miał być płaskowyż na prawo od nas, w odległości mniej więcej czterech kilometrów. Dominował nad całą okolicą. Gdyby ten teren znalazł się w naszych rękach, moglibyśmy bronić się tutaj stosunkowo słabymi siłami, a nasze obecne siły były bardzo słabe. Do tego trzeba dodać, że Iwan siedział dokładnie przed nami, ukryty za linią drzew, zaś nasze pozycje obronne znajdowały się w całkowicie odkrytym

terenie. Czyli tak naprawdę nad okolicą panowali Rosjanie.

Tymczasem do stanowiska dowodzenia dotarły Tygrysy. Około wpół do dziewiątej przybył sam generał, aby obserwować przebieg natarcia. Widzieliśmy, jak zabierał się do ustalania nowej godziny rozpoczęcia ataku. Ten dzień był dla niego bardziej stresujący niż dla nas. Mieliśmy przecież większe od niego doświadczenie bojowe i niełatwo było zbić nas z tropu byle czym.

Właśnie powoli zbliżaliśmy się do wysuniętych pozycji, gdy przed nami wybuchła strzelanina. Generał dosłownie wyszedł z siebie, ale udało mi się dość szybko go uspokoić. To tylko atakowała piechota, co dla nas nie stanowiło problemu.

Wreszcie ruszyliśmy. Gdy przeprowaiałem się przez wodę, Kerscher utrzymywał ze mną kontakt radiowy. Widziałem, że jego czołg toczy się za moim. Jednak ludzie Delzeita byli niezawodni! Dotarliśmy do starych pozycji obronnych bez większych kłopotów. Kilku Rosjan przemknęło po terenie, widocznie nie zdążyli się wycofać na czas. Nasi piechurzy bardzo łatwo dotarli do starych okopów. Rozpocząłem atak punktualnie o dziesiątej rano. Generał przekazał mi słowa uznania za pośrednictwem drużyny łączności batalionowej, utrzymującej kontakt ze sztabem grupy bojowej. Był wyraźnie zadowolony, choć na razie nie było ku temu specjalnych powodów.

Cały teren pokrywała siatka niewielkich strumieni, a jego obniżenie było trochę podmokłe. Mogliśmy poruszać się tylko skrajem potoków. Na szczęście teren wznosił się łagodnie w stronę miejsca będącego naszym celem. Inaczej z powodu ciągłej zmiany kierunku jazdy, narzucanego przez pokrętny bieg potoków, stracilibyśmy orientację w terenie.

Wreszcie na wprost przed nami ujrzeliśmy cel ataku. Kerscher zauważył, że na szczycie wzniesienia Rosjanie zamaskowali dwie armaty przeciwpancerne. Poruszaliśmy się z burtami wystawionymi w prawo w kierunku natarcia. Manewrowaliśmy w bagiennym terenie, który oddzielał nas od płaskowyżu, starając się osłaniać ruch pozostałych czołgów. Bóg wie, że czołgista nie uważa za przyjemne pokazywanie wrogowi słabych burt pojazdu. Ale co innego mogliśmy zrobić? Musieliśmy dotrzeć na płaskowyż bez względu na wszystko.

Po krótkim czasie Kerscher wykończył obie rosyjskie armaty.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie podążał za mną kolejny czołg. Jego dowódcą był sierżant, który ostatnio przybył z batalionu uzupełnień. Mieliśmy taki zwyczaj, że dowódca każdego czołgu zawsze ustalał ze mną ruchy swojego pojazdu. Miał również przez cały czas uważać, co się dzieje



wokół. Jednak teraz sierżant Kerscher musiał sam zająć się rosyjskimi działkami przeciwpancernymi. Do tego nie mógł jechać za mną, bo przeszkadzał mu jakiś czołg. To już był kres mojej wytrzymałości. Kazałem dowódcy tego czołgu, aby zastąpił go celowniczy. „Nowy” sierżant miał w tym czasie ochłonąć na stanowisku radiooperatora.

Tak wielu chłopaków w kompanii czekało, aby móc zostać dowódcą czołgu! A ten nawet nie chciał wykonać porządnie swego zadania! Wieczorem, gdy powróciliśmy na pozycje wyjściowe, od razu przeniosłem go do taborów. Tam może będzie bardziej użyteczny. Bo na pewno nie nadawał się na front.

W każdym razie dotarliśmy na płaskowyż i pozostaliśmy tam aż do zapadnięcia zmroku. Teren, po którym poruszaliśmy się, był aż do wzniesienia oczyszczony z wrogich oddziałów. Oczywiście, Rosjanie zdawali sobie sprawę ze znaczenia pozycji na wzniesieniu. Na razie ledwie utrzymywaliśmy cienką linię obrony połączoną z naszymi pozycjami głównymi. Jednak z nieznanych mi powodów nasza piechota w ogóle nie przybyła. I to był dla mnie czynnik decydujący. Dopóki jeszcze było widać drogę odwrotu, zameldowałem sztabowi grupy bojowej, że będziemy się wycofywać. Nie miałem zamiaru pozostawać z samymi czołgami bez osłony piechoty, w środku Rosjan i pozwolić się w nocy wysadzić w powietrze. Nie wiadomo też było, co się dzieje z pododdziałami szturmowymi, które miały przebijać się do nas z prawej strony, od tyłów wroga. Po popołudniu słyszeliśmy stamtąd odgłosy tylko krótkiej strzelaniny i... nic więcej. Dlatego uznałem, że wykonaliśmy nasze zadanie. Powróciliśmy bez problemów na stanowisko dowodzenia grupy bojowej. Ale czy nie powinniśmy tam stać od samego początku? Przecież zniszczenie dwóch rosyjskich armat kosztowało nas więcej paliwa i amunicji, niż to było warte.

Pomimo wszystko generał był bardzo dumny z naszych dokonań. Powiedział po przyjacielsku:

- Oczywiście, zachowanie primadonny zostało zapomniane, jeśli sztuka wystawiana na scenie była warta primadonny.

W zasadzie nasz generał był ogromnie szczęśliwy, że w podległym mu rejonie nie zdarzyło się nic tak dramatycznego, jak się spodziewał. W jego oczach to my uratowaliśmy całą sytuację.

\* \* \*

Otrzymaliśmy mało ważne, kolejne zadanie, tym razem trochę dalej na zachodzie. Nie doszło do jego wykonania. Jeszcze raz zdołałem temu zapobiec.

Iwan ustawiał artylerię, aby osłonić swoje skrzydło. Jakikolwiek ruch na wschód lub na zachód powodował, że Rosjanie natychmiast darli się na wszystkie strony:

- Tygrysy! Tygrysy!

A wtedy chłopcy z ich artylerii kładli na całej linii frontu ogień zaporowy. Dlatego dla nas najlepiej było siedzieć cicho, aż do momentu, gdy naprawdę coś miało się stać.

Muszę dodać, że Rosjanie prawie zupełnie nie pokazywali swoich czołgów. Czasami tylko pojawiały się na wzniesieniach razem z ciężarówkami, które przewoziły wrzeszczącą piechotę. Gdy tylko ruszaliśmy im na spotkanie, zmykali. Co najwyżej słyszeliśmy oddalający się warkot silników diesla. Iwan nie pozostawiał nam chwili odpoczynku, jednak zmasowany atak nigdy nie miał miejsca. Może po prostu nasz przeciwnik był na to za słaby? Główne kolumny jego Wojska zmierzały bez przerwy na zachód, my z kolei byliśmy zbyt słabi, by temu przeszkodzić. Dlatego na skrzydle, którego broniliśmy, było stosunkowo spokojnie.

Jak to wyłożył nasz generał, nowa linia obrony w rejonie działania grupy bojowej tworzyła niewielki skręt na północ. Chciał ją lekko wyprostować. Aby tego dokonać, musieliśmy zająć wioskę, wówczas linia obrony wyprostowałaby się. Pojechałem samochodem terenowym, aby przyjrzeć się sprawie. Potem zdałem raport dowódcy naszego pułku. Kiedy mu powiedziałem o intencjach generała, nazwał go idiotą. Cała wioska leżała w dolinie, na ziemi niczyjej. Nasze pozycje obronne znajdowały się na wzniesieniach, przy linii lasu, na północ od zabudowań. Rosjanie zajmowali pozycje na stokach, na południe od wioski. Zajęcie tej dziury na mapie graniczyło z obłędem. W ciągu dnia można było do niej dotrzeć, ale to udałooby się tylko czołgom, bo na pewno nie piechocie. Nasze obecne pozycje mogliśmy utrzymać skromnymi siłami. Nawet jeśli nasza linia umocnień nie wyglądała porządnie na mapie, to przynajmniej nadawała się do obrony.

Generał wkrótce wezwał dowódcę pułku i rozkazał mu atakować wioskę. Teraz pułkownikowi puściły nerwy. Ku jego uldze zadeklarowałem, że pojedę natychmiast do generała Berlina, któremu podlegała grupa bojowa, aby zapobiegł bezsensownej operacji. Stary generał od razu zorientował się co do słuszności moich uwag i roześmiał

się, gdy wspomniałem o moim małym „buncie”. Wezwał dowódcę grupy bojowej i kazał mu zostawić pozycje obronne tam, gdzie były. Nasze Tygrysy i piechota były zbyt cenne, by wykonywać głupie rozkazy.

Ten przykład, jak wiele innych w tej książce pokazuje, że nawet w III Rzeszy możliwa była odmowa wykonania rozkazu. Jeżeli została przedstawiona w odpowiedniej formie, bywało, że nie trafiała do akt. Nie trzeba dodawać, że odpowiedzialność za skutki decyzji spadały na samego oficera lub osobę, której dotyczyła. Tego samego należy wymagać od współczesnych żołnierzy niemieckich. W każdym razie, chciałbym zobaczyć, ilu oficerów, szczególnie młodych, potrafi w razie konieczności odmówić wykonania rozkazu, podczas gdy zwykle nikt nie może sobie na to pozwolić.

Obecnie oficerowie przeważnie nie są na tyle zapoznawani z sytuacją bojową, aby mogli podjąć tak ryzykowny krok. My byliśmy przydzieleni do korpusu armijnego, więc orientowaliśmy się w ogólnej sytuacji na froncie. Dlatego mogliśmy spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. Jednak każdy z nas musiał brać na siebie całkowitą odpowiedzialność za działania, jakie podejmował z własnej inicjatywy, szczególnie gdy zmienialiśmy treść rozkazów lub odmawialiśmy ich wykonania. Świadome i aktywne ponoszenie odpowiedzialności jest jedną z najważniejszych cech, które powinny charakteryzować dobrego oficera. Wydaje się, że nie ma w tym nic nowego, bo każdy, kto brał udział w wojnie, na pewno napotykał takie sytuacje. Kiedy jakaś „drobna płotka” podejmie inicjatywę i przyniesie ona sukces, wtedy należy mu się pochwała. W pewnych sytuacjach nawet nagroda. Ale jeśli podjęcie decyzji doprowadzi do porażki, oficer może stanąć przed sądem wojennym.

Uwzględniając te zastrzeżenia, my też braliśmy odpowiedzialność na własne barki. Jednak inicjatywy, które wydawały się nam wtedy konieczne, później okazywały się słuszne. Oczywiście, okazję do podejmowania takich decyzji miał znacznie rzadziej dowódca plutonu czy kompanii piechoty niż niższy rangą dowódca z samodzielnego batalionu armijnego, którym wówczas byłem.

W nowym typie armii nie powinno to już stanowić problemu. Jednak zasada podporządkowania się tylko „sensownym rozkazom” wynika z fałszywych przesłanek. W przyszłości też będzie rzadko dochodziło do sytuacji, że żołnierz, odmawiający wykonania rozkazu, uniknie kary. I tak być musi, bo sukces militarny nie będzie możliwy, jeśli każdy żołnierz będzie rozstrzygał, który rozkaz jest słuszny (patrząc z subiektywnej i

ograniczonej perspektywy).

W tym czasie mieliśmy tylko zabezpieczać stanowisko dowodzenia batalionu, który prowadził atak w kierunku Marugi. Gdy obudziłem się rano, zauważyłem, że sierżant Kerscher gdzieś zniknął. Rozpytywałem o niego dokoła i ze zdziwieniem dowiedziałem się, że to ja sam wezwałem go w nocy i na pół śpiący, rozkazałem ruszyć na linię frontu, aby zabezpieczyć nasze pozycje. Zupełnie nie pamiętałem tej sytuacji. Przecież nigdy nie wysłałbym czołgu w nocy na linię frontu. Jednak Kerscher był porządnym żołnierzem i postąpił zgodnie z moim rozkazem. Musiałem go wezwać z powrotem przez radio. Podobna sytuacja zdarzyła się z kierowcą pojazdu kołowego. Zameldował się, bo wezwałem go z bazy zaopatrzeniowej, aby zawiózł mnie na rekonesans. Rozespany, odesłałem go jednak z powrotem, a po przebudzeniu zastanawiałem się, gdzie podział się pojazd i jego kierowca.

Aby uniknąć podobnych nieporozumień, powiedziałem sobie, że będę podejmować decyzję tylko wtedy, gdy zupełnie się rozbudzę. Wszyscy byliśmy już tak zmęczeni, że chwilami zawodziły nas zmysły. Panowaliśmy nad sobą z największym trudem i to tylko wtedy, gdy mogliśmy choć chwilę się przespać. Starszy sierżant Delzeit znalazł najlepsze rozwiązanie. Gdy gdzieś na chwilę przysnąłem, a on miał jakieś pytania, chwycił mnie za kołnierz i po prostu sadzał na krześle. Dopiero wtedy wszystko było w porządku, rzeczywiście się budziłem! Patrząc jednak na to z dzisiejszej perspektywy, stosował nieco dziwną metodę.

\* \* \*

Nasz poprzedni dowódca kompanii, von Schiller, od którego przejąłem dowodzenie, został przeniesiony na tyły jako instruktor taktyki w szkole wojsk pancernych. Miał sporo szczęścia, że graf Strachwitz wrócił do Niemiec po odbiór Diamentów do Krzyża Rycerskiego, a my zostaliśmy wyparci z rejonu Narwy. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek prowadził przeciwko von Schillerowi jakieś dochodzenie. Nikt nie chciał dotykać tej nieprzyjemnej sprawy. Wiem, że był przesłuchiwany tylko starszy sierżant Zwetti. Tak czy inaczej, wszystko rozplynęło się w powietrzu. Sądzę, że tak było najlepiej. Von Schiller do lipca 1944 roku pozostał „oficerem do zadań specjalnych” w batalionie, a ja objąłem czasowo dowodzenie kompanią. Gdybym miał innego bezpośredniego przełożonego, nigdy nie miałbym satysfakcji ani ze zdobytego stanowiska,

ani z takiej liczby zwycięstw.

Von Schiller nie mógłby być tak długo dowódcą kompanii, gdyby nie to, że przejąłem część jego obowiązków i byłem wobec niego dosyć wyrozumiały. Kto inny pewnie zgłosiłby skargi na niego dużo wcześniej. Został kapitanem znacznie szybciej niż inni i dlatego sprawa skończyła się tylko na podbitym oku. Wierzę, że obaj to sobie uświadomimy, jeśli tylko każdy z nas spojrzy uczciwie na sprawę.

## 25 WALKI OBRONNE W DYNEBURGU

W nocy 20 lipca 1944 roku, niewiele godzin przed tym, jak pułkownik hrabia Stauffenberg dokonał zamachu na Hitlera, dotarł do nas raport z batalionu. Stwierdził on, że Rosjanie przełamali się na północny wschód od Dyneburga, w rejonie obrony 190. Dywizji Piechoty i posuwali się w kierunku drogi frontowej Dyneburg - Rossitten. Wspomniano w nim o dziewięćdziesięciu do stu sowieckich czołgach.

Byłem sceptycznie nastawiony do tych informacji, bo nie tylko pijacy, ale i piechurzy widzą czasami podwójnie, szczególnie wtedy, gdy w nocy zaskoczą ich czołgi. Liczyłem, że przebiło się najwyżej pięćdziesiąt rosyjskich czołgów, co też nie brzmiało dobrze. Byliśmy nadal około 50 kilometrów od Dyneburga.

Rozkaz wyruszenia kompanii w kierunku Dyneburga dotarł do nas niemal równocześnie z raportem batalionowym.

Po krótkiej naradzie zaplanowano, że zajmiemy pozycje przy podejściu do mostu kolejowego. To była jedyna przeprawa przez Dźwinę, mogąca unieść ciężkie Tygrysy. Cała kompania była gotowa do drogi wczesnym rankiem 20 lipca.

Do mostu dotarliśmy około jedenastej. Po drugiej stronie rzeki znajdowały się już dwa dodatkowe pojazdy z kompanii. Przybyły tam świeżo po naprawie w warsztatach. Dzięki temu miałem do dyspozycji przyjemną liczbę ośmiu Tygrysów. To była siła bojowa, jaką dotąd rzadko mogłem dowodzić. Przeważnie pięć do sześciu czołgów było wyłączonych z akcji. Miały usterki mechaniczne lub zostały uszkodzone przez wroga.

Na punkt zaopatrzenia batalionu wytypowano cmentarz znajdujący się około pięciu kilometrów na północny wschód od miasta, na zachód od drogi frontowej Dyneburg - Rossitten.

W końcu zebrały się trzy kompanie. Jak do tej pory była to nasza najdłuższa dyslokacja.

Porucznik Bölter z 3. kompanii odebrał już zaopatrzenie i paliwo. Miał tylko tyle czasu, by zawołać do mnie, gdy przejeżdżaliśmy obok.

- Zajmę się wszystkim, zanim przyjedziecie! - powiedział, odjeżdżając.

Życzyłem mu szczęścia. Potem udałem się do sztabu batalionu, aby trochę rozeznać się w sytuacji.

To, co zobaczyłem, nie wyglądało zbyt różowo. Rosjanie dużymi siłami pancernymi przeprowadzili natarcie na pozycje 190. Dywizji Piechoty.

Oczywistym ich celem była dotarcie do drogi frontowej Dyneburg - Rossitten, przecięcie jej i zaatakowanie miasta od północy. Udało im się już dokonać głębokiego przebiccia.

Nasze dowództwo nadal nie miało jasnego obrazu co do wielkości przełamania. Większość naszych oddziałów piechoty była w ruchu. Znajdowały się już dość daleko za plecami stanowiska dowodzenia dywizji.

Iwan całkiem poprawnie rozpoznał, że niemieckie dowództwo rzuciło wszystkie dostępne siły w rejon Dyneburga, chcąc chronić otwarte skrzydło, które pozwalało dotrzeć do Wilna. Rosjanie sprytnie rozwiązali sposób związania tych sił.

Atakowali raz tu, raz tam, nigdy za mocno nie naciskając. Nasze pozycje obronne były praktycznie pozbawione ciężkiej broni, więc szanse na to, że Rosjanie wreszcie gdzieś zaatakują, zmieniały się w pewność. Nie byli dalecy od sukcesu. Ich celem było przecięcie drogi frontowej, następnie atak na zachód, potem skręt na południe i zajęcie Dyneburga. Po takiej akcji mogli okrążyć 190. Dywizję Piechoty i łatwo ją zniszczyć.

Niemieckie dowództwo zgromadziło główne środki obronne na południe od Dyneburga. To doprowadziło do kolejnej skrajności. Wszystkie armaty przeciwpancerne, działa szturmowe i oddziały Tygrysów skoncentrowano w Dyneburgu. Stąd miały ruszyć w kierunku na Połock, aby odeprzeć siły wroga, które przeniknęły przez naszą obronę, i odtworzyć starą linię frontu.

Kiedy dotarliśmy do punktu zaopatrzeniowego, okazało się, że jesteśmy ostatnim oddziałem pancernym w okolicy. Zapowiadał się całkiem spokojny dzień. Trudno było sobie wyobrazić, aby walec pancerny, który ruszył przed nami na zachód, zostawił dla nas jakieś czołgi do zniszczenia.

Było już południe, właśnie skończyliśmy przebierać się i uzupełniać zapasy, i zapalaliśmy silniki, gdy pojawił się przed nami samochód z dywizji piechoty. Wskoczył z niego major z czerwonymi paskami na spodniach wskazującymi, że należał do sztabu generalnego. Zaczął coś mówić podniesionym głosem do pierwszego napotkanego żołnierza. Chciał rozmawiać z dowódcą jednostki.

Okazało się, że dzisiaj rano Rosjanie ponowili atak. Nie można było znaleźć dowództwa dywizji w wyznaczonym miejscu. Sytuacja zdawała się wymykać spod kontroli. Poza tym cały sztab dywizji od kilku dni stacjonował dalej na zachód. Z przodu pozostał tylko oficer łącznikowy, ale nie miał wpływu na nowego dowódcę dywizji piechoty, którym był

nieznany nikomu pułkownik.

Ruszyliśmy drogą frontową w kierunku Rossitten, a po trzech kilometrach jazdy skręciliśmy na wschód, w kierunku Połocka. Potem dalej z uporem kierowaliśmy się na wschód, czasami natykając się na niewielki opór.

Letnie słońce paliło niemiłosiernie. Musieliśmy co trzy kwadransy przystawać, by dać odpocząć naszym maszynom.

Podczas postojów załogi siadały na pancerzach czołgów. W tym czasie kierowcy sprawdzali silniki oraz kontrolowali poziom wody i oleju. Zajmowała nas tylko jedna sprawa: „Co się dzieje na froncie?”.

Nagle z daleka dotarł do nas jakiś hałas. Zawołałem Kerschera i wskazałem na północ, skąd coraz wyraźniej dolatywały trudne do pomylenia wystrzały armat czołgowych. Czyżby Rosjanie parli na zachód trasą równoległą, leżącą trochę na północ od nas?

Nie czekając długo, wsiedliśmy z Kerscherm w samochód terenowy i polnymi drózkami pojechaliśmy w stronę drogi frontowej Dyneburg - Rossitten.

To, co ukazało się naszym oczom, trudno opisać! To nie był odwrót, ale paniczna ucieczka.

Wszystko pędziło na złamanie karku w stronę Dyneburga: ciężarówki, samochody osobowe, motocykle. Każdy pojazd był wypełniony po brzegi ludźmi i sprzętem. Nikt nie był w stanie zatrzymać tego strumienia strachu. To było jak rzeka, którą każdy dopływ coraz bardziej rozpycha na boki.

Droga ledwie mogła pomieścić chaotyczny ruch pojazdów. To przedstawienie mówiło wszystko. Dowodziło, że Rosjanie przeniknęli dużo głębiej i wywołali popłoch w kolumnach taborowych.

Paniczny wyścig na południe powoli zamierał. Teraz przejeżdżały obok nas tylko pojedyncze pojazdy. Wreszcie mogliśmy ruszyć na północ, by sprawdzić, do którego miejsca droga frontowa była wolna.

Po przejechaniu kilku kilometrów zobaczyłem, że przydrożnym rowem biegnie podoficer. Pędził, jakby ratował swoje życie. Przerażony zatrzymał nas, wołając:

- W następnej wiosce są już rosyjskie czołgi!

Byliśmy zadowoleni, że wreszcie trafiliśmy na coś konkretnego. Gdy chłopak złapał trochę oddechu, wsadziliśmy go do samochodu i pojechaliśmy w stronę wioski. Podoficer był wyraźnie przerażony, że jedziemy w tamtą stronę.

- Naprawdę widziałem dwa T-34 - powiedział, jakby za chwilę miał



dostać czkawki.

Myślał chyba, że mu nie wierzymy.

Droga delikatnie wspinała się pod górę. Nas gość wyjaśnił, że poza szczytem, gdzieś w dolinie, znajduje się wioska opanowana przez Rosjan. Nazywała się Malinawa.

Zostawiliśmy samochód na przeciwległym stoku. Ruszyliśmy na przełaj i dotarliśmy do miejsca, z którego mogliśmy obserwować zabudowania bez użycia lornetek.

Wioska leżała jakiś kilometr przed nami. Miała ponad kilometr długości, a jej gospodarstwa były rozłożone w typowo rosyjski sposób - wzdłuż drogi. Wyraźnie widzieliśmy dwa rosyjskie czołgi przed wjazdem do niej.

Rosjanie nie mogli być tu od dawna, ponieważ w wiosce nadal panował spory ruch. Coraz więcej czołgów podążało w stronę drogi frontowej. Wyraźnie widać było, że Iwany chcą ustawić czołgi w półkole i oczekiwać na główne siły.

Wkrótce przyłączył się do nas nowy obserwator. Z południa na motocyklu podjechał do nas porucznik. Otrzymaliśmy od niego informację o wymianie ognia, która spowodowała naszą rekonesansową wyprawę.

Oficer powiedział nam, że z północy na południe, przez Malinawę próbował przebić się batalion dział szturmowych. Jego dowódca rozkazał zaatakować wioskę, czego jedynym rezultatem była utrata siedmiu wozów bojowych.

Nasz oficer miał zadanie za wszelką cenę dotrzeć na motocyklu do Dyneburga i sprowadzić pododdział, który wsparłby z południa jego macierzysty batalion. Teraz wracał z tego miasta, pełen desperacji. Dowiedział się tam, że w okolicy nie ma żadnych sił zdolnych zniszczyć broń pancerną wroga.

Zdołałem poprawić mu nastrój, gdy zaproponowałem, żeby przyłączył się do nas i zobaczył, co się będzie działo. Przecież nie było sensu, aby objeżdżał wioskę szerokim łukiem od zachodu i szukał swoich ludzi.

Obiecałem mu, że najpóźniej za dwie godziny będzie mógł wjechać na drogę frontową i połączyć się ze swoim dowódcą.

Szybko udaliśmy się do naszej kompanii i pozwoliliśmy naszemu „przestraszonemu przewodnikowi” zniknąć z pola widzenia. Nie mogliśmy tracić więcej czasu.

## 26 ZASADZKA

Poprowadziłem kompanię w kierunku wioski wzdłuż rozpoznanej już drogi. Na chwilę zatrzymaliśmy się, aby omówić całą akcję z dowódcami plutonów i poszczególnych czołgów. To, co wtedy powiedziałem, pamiętam do dziś:

- Jesteśmy zupełnie sami, do tego sytuacja jest niejasna. Dlatego niebezpiecznie byłoby atakować wioskę w szyku liniowym. Chciałbym dotrzeć do niej bez strat własnych, jeśli to jest w ogóle możliwe. Za wioską znajduje się batalion dział szturmowych, który już poniósł spore straty. Ale nam to nie grozi! Zaaranżujemy to w sposób następujący:

Dwa czołgi wjadą z najwyższą szybkością do wioski i zaskoczą Iwana. Nie wolno mu pozwolić na otwarcie ognia. Podporucznik Nienstedt poprowadzi pozostałe sześć czołgów. Panie Nienstedt, pan pozostanie po drugiej stronie wzniesienia i będzie czekał na dalsze rozkazy. Miejmy nadzieję, że święty patron naszych radiotelegrafistów nie będzie dzisiaj spał. Panie Nienstedt, to jest pierwsza pana akcja z nami. Zapamiętaj to, co powiem bardzo wyraźnie: dopóki nie stracisz cierpliwości, dopóty wszystko będzie w porządku. Dwa pierwsze czołgi poprowadzę ja i Kerscher. Reszta powinna być zrozumiała. Co będzie się dalej działo, pokaże rozwój sytuacji.

To była krótka narada i tylko tyle potrzebowaliśmy. Wziąłem mojego „towarzysza podróży” na bok i przedyskutowaliśmy wszystkie szczegóły. Sukces będzie zależał od tego, czy uda nam się wedrzeć do wioski, czyli od zaskoczenia przeciwnika.

- Ja prowadzę, pojedziemy do centrum i tam zajmiemy pozycje. Ruszę od przodu, a ty od tyłu. Zajmiemy się wszystkim, co stanie nam na drodze. Oceniam, że w wiosce jest już przynajmniej kompania, reszta batalionu na pewno w tym czasie się zbliży.

Klepnąłem Kerschera w ramię. Po krótkiej komendzie: „Ruszamy”, wsiedliśmy do czołgów. Szybko sprawdziliśmy radiostacje i uruchomiliśmy silniki. Błyskawicznie pokonaliśmy niewielkie wzniesienie i znaleźliśmy się w polu widzenia Rosjan. Mój znakomity kierowca Baresch wyrzucił z „pudła”, co się dało. Wiedzieliśmy, że wszystko zależy od prędkości czołgu. Załogi obydwu rosyjskich czołgów, zwróconych w naszą stronę, na początku w ogóle nie zareagowały. Nie padł żaden strzał. Od razu wpadliśmy do centrum wioski. Trudno

opowiedzieć, co się dalej działo, bo zdarzenia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Kerscher, który jechał jakieś 150 metrów za mną, zauważył, że wieże dwóch czołgów Iwana poruszyły się. Natychmiast się zatrzymał i szybko je zniszczył. W tym samym momencie zacząłem wymiatanie z drugiej strony wioski.

Po chwili Kerscher zbliżył się do mnie i przez radio kazał spojrzeć w prawo. Obok stodoły stał ustawiony bokiem do nas czołg IS (Józef Stalin). To był pojazd, którego na Froncie Północnym jeszcze nie widzieliśmy. Przez chwilę poczuliśmy przerażenie - był wyposażony w potężną armatę kalibru 122 mm.

To był pierwszy rosyjski czołg, który na lufie działa miał hamulec wylotowy. Poza tym, ten JS przypominał nieco kształtem naszego Tygrysa Królewskiego. Po chwili wahania, podobnie jak Kerscher doszedłem do wniosku, że tylko podwozie tego pojazdu było typowe dla Rosjan. Wystrzeliliśmy i ciężki czołg Iwana stanął w płomieniach. Wkrótce wykończyliśmy wszystkie maszyny wroga dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

Mieliśmy potem z Kerscherem spory ubaw, ponieważ myśleliśmy w pierwszej chwili, że przed nami stał rzeczywiście Tygrys Królewski, przypadkiem zdobyty przez Rosjan. W gorączce bitwy przecież takie rzeczy czasem się zdarzają.

Kiedy rozpoczęliśmy strzelanie w wiosce, równocześnie dałem przez radio sygnał podporucznikowi Nienstedtowi, aby powoli Wyjechał ze swoimi czołgami z za grzbietu wzniesienia. Miał on pilnować, aby nikt z Rosjan nie uciekł z wioski. Uciekinierzy mogli przecież powiadomić główne siły wroga o naszej obecności. Ten zabieg okazał się bardzo ważny dla dalszego przebiegu naszej akcji.

Cała afera w wiosce trwała nie dłużej niż piętnaście minut. Tylko dwa ruskie czołgi chciały zwać na wschód. Pozostałe nie wykonały najmniejszego ruchu. Gdy cała nasza kompania znalazła się w wiosce, trzy czołgi zabezpieczyły wschodnie podejście do niej, a reszta opuściła pojazdy i zebrała się na krótką naradę.

Mieliśmy powody do zadowolenia. Atak z zaskoczenia powiódł się i bez żadnych problemów zakończyliśmy go w odpowiednim czasie. Jak się potem okazało, pokonani przez nas Rosjanie zameldowali uprzednio swojemu batalionowi, że droga przed nimi jest czysta. Dlatego główne siły ich zgrupowania poruszały się z dużą pewnością siebie. Mając tak korzystne informacje, przygotowaliśmy nowy plan.

Rosjanie wyciągnęli swoich rannych na drogę. Kazałem, aby razem ze

zdolnymi do marszu przewieziono ich do Dyneburga pod strażą batalionu dział szturmowych. Nie mogliśmy przecież pilnować tych ludzi jak skarbów.

Wkrótce drogą biegnącą z północy podjechał do wioski motocykl z boczną przyczepką. Wsiadł z niej dowódca batalionu dział szturmowych. Był tak zadowolony, że aż mnie wyściskał. Chciał już poddać swój okrążony pododdział. Na dodatek oddaliśmy mu jeszcze jego dzielnego adiutanta.

W wiosce nie było zupełnie rosyjskiej piechoty. Ci, co czołgali się wokół nas, to byli wyłącznie pancerniacy. Czuli się dotąd zupełnie bezpieczni. Nie spostrzegli nigdzie naszych pojazdów, więc ich kierowcy i radiooperatorzy ruszyli do wsi na rabunek. I wtedy spadliśmy na nich jak grom z jasnego nieba. Szybko oczyściliśmy wioskę z wroga. Teraz najważniejsze to dotrzeć jak najdalej na wschód i zabezpieczyć nowe pozycje obronne. To pozwalało znowu otworzyć drogę frontową.

Szybko oceniłem sytuację i wysłałem standardowy raport do batalionu. Do naszego pododdziału przyłączono transporter opancerzony z plutonu łączności. Używając radiostacji pracującej na falach średnich, podałem mojemu dowódcy lokalizację i rezultat ostatniego starcia (zniszczenie siedemnastu IS i pięciu T-34). Ponadto podałem mu cel kolejnego ataku, który sam określiłem. Była to wioska znajdująca się jakieś dziesięć kilometrów na wschód od miejsca obecnego pobytu. Dodatkowo prosiłem, aby zebrano razem rozproszone pododdziały dywizji piechoty. Ludzie mieli czekać na nas przy stanowisku dowodzenia naszego batalionu, gdzie powinniśmy przybyć po nich z ciężarówkami. Tak też wkrótce się stało.

Załogi czołgów z osłony wioski zauważyły, że dwóch Rosjan uciekło z jednego z IS-ów, które zdołały przed zniszczeniem odjechać kilkaset metrów na wschód od wioski. Poruszali się znakomicie w terenie, jeden z nich zdawał się nieść pod pachą mapnik.

Jeden z naszych Tygrysów ruszył za nimi, ale jego załoga zdołała znaleźć tylko mapnik. Rosyjski oficer, major, w ostatniej chwili popełnił samobójstwo. Jak ustaliliśmy później, był dowódcą 1. Brygady Czołgów im. Józefa Stalina. Jego towarzysz został śmiertelnie ranny.

Major miał przypięty do munduru order Bohatera Związku Radzieckiego oraz Order Lenina. Nigdy wcześniej nie widziałem z bliska tych odznaczeń. Obaj oficerowie zostali po południu pochowani przez swoich towarzyszy na skraju wioski. Przekonałem się o tym dopiero następnego dnia, gdy obok grobu wystawialiśmy posterunki.

Mapa znaleziona przy zabitym majorze okazała się bardzo przydatna, bo zaznaczono na niej kopiowym ołówkiem trasę przewidywanego natarcia Rosjan. Zgodnie z nią batalion Iwana miał nacierać dalej wzdłuż naszej drogi frontowej, kiedy tylko przybędą pozostałe kompanie.

W tym samym czasie inna ich grupa bojowa miała minąć od północy Dyneburg i zaatakować miasto od północnego zachodu.

Później przekonaliśmy się, jak ta cenna mapa została wykorzystana w naszym wyższym dowództwie.

\* \* \*

Gdy złożyliśmy wszystkie konieczne raporty, ruszyliśmy polnymi drogami na wschód. Prowadziły one do drogi frontowej z południowego końca wioski. Zatrzymywaliśmy się przed każdą kolejną miejscowością, by sprawdzić, czy nie kryje się tam jakaś niemiła niespodzianka. Na szczęście Iwanów nigdzie nie było widać.

Bez specjalnych przeszkód, około godziny piątej po południu, dotarliśmy do docelowej wioski. Leżała dziesięć kilometrów na wschód od drogi frontowej przed „cmentarzyskiem czołgów”, które niedawno stworzyliśmy. Obok północnego krańca wioski płynął słonawy strumyk. Nad nim przewieszony był podgniły drewniany most, który w żaden sposób nie mógł udźwignąć Tygrysa.

Ustawiłem swój czołg na skraju wioski i kazałem go dobrze zamaskować. Do wozu terenowego, a miałem go zawsze przy sobie na wszystkich akcjach, wsadziłem sierżanta Kerschera i podporucznika Nienstedta.

Ten Volkswagen miał zawsze jechać za moimi czołgami, oczywiście poza czasem, kiedy toczyliśmy bitwę. Zawsze był pod ręką, a jego kierowca ucziwie zarobił na Krzyż Żelazny za odwagę. Ponieważ kilka takich pojazdów zostało zniszczonych podczas moich zadań rozpoznawczych, nadano mi w batalionie przydomek „Śmierć volkswagena”. Było w tym chyba sporo przesady, bo nie przypominam sobie, aby ktoś specjalnie liczył stracone samochody terenowe.

W każdym razie, w batalionie obowiązywał rozkaz, by na akcje rozpoznawcze jeździć transporterami opancerzonymi, które nazywaliśmy „trumnami”, a które wydawały mi się niezbyt solidne i za wolne. Do tego spadały im często gąsienice. Wtedy stawały się niemobilne i traciło się masę czasu. Poza tym ich pancierz ochronny był niewiele

lepszy niż blachy volkswagena.

Gdy łącznościowiec z batalionu podawał naszą nową pozycję, my już wyruszaliśmy dalej. Chcieliśmy dotrzeć do szerszej drogi, którą prawdopodobnie będą się poruszać Rosjanie. Zgodnie z mapą miała ona łączyć się z naszą drogą frontową, jakieś dziesięć kilometrów na północ od wioski Malinava.

Dojechaliśmy do drogi po jakichś czterech kilometrach i szybko znaleźliśmy potwierdzenie naszych podejrzeń - świeże ślady gąsienic! Jeśli nadal dopisywało nam szczęście, to mogliśmy tutaj oczekiwać na resztę rosyjskiej brygady. Tak musiało być, jeśli żaden rosyjski raport dotyczący nowej sytuacji nie dotarł jeszcze do jej sztabu.

Musieliśmy tylko rozwiązać jeden problem. Z pozycji, jakie zajmowała w tej chwili kompania, nie było widać drogi. Cofnęliśmy się trochę i znaleźliśmy we wspomnianym potoku bród, przez który mogliśmy ostrożnie przeprowadzić nasze ciężkie maszyny. Wydawało się, że żadna z nich nie utknie.

Sześć pierwszych przejechało bez kłopotu, natomiast siódma utknęła po kadłub i można było ją uwolnić, tylko się cofając. Dlatego uznaliśmy, że pozostałe na drugim brzegu dwa czołgi nie będą forsowały tej błotnej przeszkody. Nasze sześć luf powinno wystarczyć, by zająć się aferą, w którą sami się wpakowaliśmy. Potem byłem bardzo zadowolony, że te dwa czołgi pozostały na tamtym brzegu. Potrzebne nam były, aby nasze sześć maszyn ponownie przeprowadzić przez ten pechowy potok. Czas gonął, więc szybko rozmieściliśmy czołgi za niewielkim grzbieciem, biegnącym obok drogi. Tak ustawione miały świetne pole ostrzału. Potem dokładnie je zamaskowaliśmy.

Jeśli Rosjanie, tak jak przewidywaliśmy, rzeczywiście nadjadą, to musimy pozwolić, aby ich pierwszy czołg dojechał do wzniesienia, za którym byliśmy ukryci i dopiero wtedy otworzyć ogień. Dzięki temu wjedzie w pole ostrzału wiele pojazdów wroga. Było tylko kwestią nerwów i dyscypliny, aby zbyt wcześnie nie otwierać ognia. Ale dzięki Bogu, mieliśmy to wyćwiczone, więc wszystko powinno zadziałać. Pole ostrzału zostało precyzyjnie podzielone i teraz było ważne, aby stojący najdalej na lewo Tygrys trafił w pierwszy rosyjski czołg, a prawoskrzydłowy Tygrys w ostatni pojazd w kolumnie wroga. Potem pozostałe nasze czołgi powinny na rozkaz natychmiast rozpocząć ostrzał.

Wsiadłem do pojazdu Kerschera jako radiooperator, bo mój czołg był jednym z dwóch, które nie przejechały strumienia. Jego Tygrys znalazł się na lewym skrzydle. Jeśli będziemy mieli szczęście, to wszystko pójdzie

jak na strzelnicy. Byłem zadowolony, że podporucznik Nienstedt, który niecierpliwie zagryzał wargi, będzie wreszcie mógł złapać w celowniku kilka wrogich czołgów.

Następne pół godziny czekaliśmy w napięciu, niepewni, jak potoczą się wydarzenia. W takiej sytuacji minuty zdają się wiecznością. W końcu zauważyliśmy chmurę kurzu na wschodzie. Jeśli nie byli to nasi koledzy z innej kompanii, to mogli być tylko Rosjanie. Wypatrując przez lornetkę, wkrótce mogłem zidentyfikować zbliżające się czołgi. Nasze nadzieje rosły. Iwan nie wiedział o pechu, jaki spotkał ich przednią straż, bo na pancerzach siedziała piechota, a wieże znajdowały się w pozycji podróżnej. Rosjanie poruszali się, jakby byli daleko za linią frontu. Ci chłopcy jechali obok nas jak na paradzie. Odległość między nami wynosiła nie więcej niż kilometr. Na każdym czołgu stało lub siedziało po piętnastu ludzi. Nie mieli bladego pojęcia, że czekamy na nich w pobliżu.

Tuż przed tym, zanim pierwszy rosyjski czołg zniknął za zbawczym wzniesieniem, dałem rozkaz otwarcia ognia. To, co się później wydarzyło, przyprawiłoby każdego czołgistę o szybsze bicie serca. Tak dalece straciłem kontrolę nad sobą, że aż wyszedłem z czołgu, by obserwować ten spektakl.

Wśród Rosjan wybuchła niewyobrażalna panika. Z ich strony nie padł nawet jeden wystrzał. Oczywiście, nie mieliśmy czasu, by zająć się uciekającą piechotą.

Gdy wykończyliśmy wszystkie ich pojazdy, nie było widać żadnego Rosjanina. Wszyscy, którzy nie zostali zaskoczeni w środku czołgów, uciekli gdzieś w pola. Cała kolumna pojazdów Iwana płonęła. Niektóre były przewrócone do góry kołami.

Jeden pojazd wjeżdżał na drugi. Żadna z ciężarówek nie zdążyła uciec. Nim Rosjanie zorientowali się, skąd padają strzały, już było po sprawie. To był naprawdę przerażająco piękny widok. Przed nami płonęło lub dymiło dwadzieścia osiem czołgów! Co chwila eksplodowały zbiorniki z paliwem, a eksplodująca amunicja rozrywała wieże wrogich pojazdów. Wykonaliśmy kawał pięknej roboty. Byłem pewien, że taka akcja da naszemu przeciwnikowi coś do myślenia. Na pewno wystarczy, aby zagwarantować nam kilka spokojnych nocy.

Potem wycofaliśmy nasze maszyny do wioski, zadowoleni, że znowu udało się nam przeprawić przez strumień. Jego koryto było dobrą ochroną w czasie nadchodzącej nocy.

Chłopcy z łączności natychmiast przekazali informację o naszym sukcesie. Wydałem ludziom rozkaz udania się na spoczynek, aby mogli

czuwać nocą. Ja z radiooperatorem wsiałem do wozu terenowego. Przydał się do sprowadzenia samochodów z uzupełnieniem amunicji i paliwa.

Zabezpieczyłem też trasę przejazdu z drogi frontowej do najbliższego punktu zaopatrzenia. Nasz szef kompanii umieścił go przy rozjeździe głównej drogi frontowej i jej odnogi, prowadzącej na wschód. Było to w miejscu, gdzie wcześniej, około południa, skręciliśmy. On chyba dalej nie wiedział, że szuka nas w zupełnie innym miejscu, niż powinien. Do tej pory nie nawiązałem z nim kontaktu radiowego.

Gdy dotarliśmy do punktu zaopatrzenia, czekało nas gorące przyjęcie, bo chłopcy z batalionu dział szturmowych powiadomili już wszystkich, że zorganizowaliśmy zasadzkę. Ale gdy zameldowaliśmy dodatkowo o stratach wroga, zaczęła się prawdziwa feta.

Szef kompanii natychmiast zaordynował po butelce koniaku dla każdej załogi. Żywność, paliwo i amunicja już do nas podjeżdżały. Lünneker, mój „mistrz fal radiowych”, został mianowany przewodnikiem kolumny, więc zaopatrzenie szybko dotarło do załóg. Ja musiałem pospiesznie ruszyć na stanowisko dowodzenia batalionu, znajdującego się obok dowództwa dywizji piechoty.

Chciałem dostać choć garść informacji o sytuacji ogólnej i otrzymać zapewnienie, że co najmniej kompania piechoty jeszcze przed nocą wesprze nas na zajmowanych pozycjach. Nie chcieliśmy spędzać nocy samotnie, bez przyjaciół z piechoty. Bez osłony nigdy nie czuliśmy się dobrze. Szef kompanii otrzymał instrukcję, aby trzymał w pogotowiu ciężarówkę dla piechoty.

Mój dowódca wyszedł mi na spotkanie. Wyglądał, jakby przeszedł przemianę. Gorąco gratulował nam sukcesu. Poinformował mnie o radości, jaka zapanowała, gdy wiadomo już było, jak elegancko została zażegnana tak poważna sytuacja.

Był to również pierwszy wielki sukces batalionu od czasu, gdy zaczął dowodzić nim major Schwaner. Dlatego był bardzo zadowolony, a poprzednie nasze kłótnie zostały zapomniane. Ludzie na froncie nie chowają długo do siebie urazy.

Biorąc pod uwagę przebieg naszej akcji, dyskutowaliśmy o działaniach, które trzeba przedsięwziąć. Jeszcze raz musiałem szczegółowo opisać całą akcję. Wspomniałem, że Rosjanie nie mieliby takich kłopotów, gdyby zostawili w rezerwie poza wsią sześć do ośmiu pojazdów. Na to Schwaner rzucił przyjemną uwagę.

- Wtedy panie Carius z pewnością dostałbyś w wiosce łomot!



Odpowiedziałem, że w każdej chwili sześć pozostałych Tygrysów mogło ruszyć mi na pomoc, bo tak zaplanowałem. Ale muszę przyznać, że nie wszystko mogłoby pójść tak gładko.

W czasie jazdy na front natknęliśmy się na oficera operacyjnego z dywizji piechoty, który miał nieszczęście pracować z nowym dowódcą dywizji. Obejrzał z nami czołgi rozbite na drodze frontowej, po czym omawialiśmy sprawę odbudowy linii frontu, którą miała przeprowadzić jego dywizja. Trzeba było ją stworzyć do następnego poranka, a potem uchwycić kontakt z oddziałami zajmującymi pozycje na północy i południu. Major Schwaner przekazał wszystkie ciężarówki do dyspozycji dywizji, aby ułatwić transport piechoty. Wstąpiła w nas nadzieja, że przed świtem wszystko powróci do ładu.

Potem ruszyliśmy do pierwszego celu naszego natarcia, czyli wioski Malinava, gdzie ciągle jeszcze dymiły zniszczone czołgi. Obejrzałem czołg IS, który w pewnym sensie nadal był w jednym kawałku. Długa lufa jego armaty kalibru 122 mm naprawdę wzbudzała szacunek. Jej wadą było jednak to, że nie strzelała jednoczłonowymi pociskami. Trzeba było do niej ładować oddzielnie pocisk i ładunek prochowy. Pancierz i kształt miał lepsze niż Tygrys, ale my kochaliśmy nasze wozy. Uszkodzony IS, który nie spłonął, miał być przewieziony do Dyneburga, a potem do Berlina, bo Rosjanie nigdy wcześniej nie oddali nam w całości takiego czołgu.

## 27 PAMIĘTNA RÓŻNICA ZDAŃ

Kiedy już dotarłem do sztabu dywizji, zostałem przedstawiony nowemu dowódcy dywizji, pułkownikowi. Wcześniej był komendantem miasta czy czegoś innego w Prusach Wschodnich lub na Litwie. Wtedy odkrył w sobie talent „stratega”. Okazał się człowiekiem, który nie brał udziału w żadnej akcji bojowej na froncie wschodnim i nie pozwalał dojść do słowa oficerowi operacyjnemu. Zawsze żałowałem, że musiałem działać razem z dwoma dowódcami takiego formatu. Miało to miejsce przez kilka tygodni, przed przymusowym powrotem do kraju. Było to szczególnie bolesne, bo wcześniej miałem do czynienia ze wspaniałymi ludźmi, pełniącymi podobne funkcje. Nadal myślę o nich z najwyższym szacunkiem i niezmienną wdzięcznością. Znakomicie przygotowani pod względem taktycznym, dodatkowo byli porządnymi ludźmi.

Początkowo pułkownik był dla mnie miły, spytał, kogo rekomendowałbym do nagrody. Poczęstował moich ludzi papierosami. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać o ocenie zdobycznych map i zeznaniach jeńców, po raz pierwszy zderzyły się nasze opinie. Po krótkiej chwili major Schwaner „zaakceptował nasze miejsce w szeregu”, rzucił krótko: „Jawohl” i wyszedł.

Warto dodać, że nasz pułkownik uważał, iż Rosjanie sfałszowali mapy, aby „wprowadzić nas w błąd”. W wygłoszonej przez niego, dowódcę pułku, opinii będą chcieli bez wątpienia ruszyć na wschód od trasy Dyneburg - Rossitten, w kierunku południowym, na Dyneburg. Okrążenie tego miasta było poza dyskusją! Niestety, kilka dni później na własnej skórze przekonałem się, że to ja poprawnie oceniłem sytuację.

Postarałem się o kilku dodatkowych ludzi z oddziału budowy dróg, aby trzymali nocną wartę. Udało mi się przewieźć ich ciężarówką. Taka ochrona była oczywiście tylko wsparciem psychologicznym. Wystarczała, jeśli żołnierze potrafili skupić uwagę i dobrze nadstawiać uszu. Nawet taka ochrona mogła nam trochę pomóc, bo bardzo chciałem, aby załogi czołgów trochę dłużej wypoczęły, kiedy było to jeszcze możliwe.

W wysuniętym punkcie zaopatrzenia spotkałem podporucznika Eichhorna. Jego czołg właśnie wyjechał z warsztatu naprawczego. Razem z jego pojazdem i ciężarówką ruszyliśmy do mojej kompanii. Gdy przybyliśmy około północy, podporucznik Nienstedt złożył krótki raport. Jak dotąd wszystko było w porządku. Kazał ustawić czołgi na

ubezpieczeniu na skraju wioski w ten sposób, aby stanęły tyłem do strumienia. Lufy miały zwrócone do tyłu, aby można było szybko „się wycofać”. Taką metodę zajmowania pozycji zawsze stosowaliśmy, znajdując się na ziemi niczyjej.

Nocą my, czołgiści, byliśmy bezradni, bo w mroku nie widać celów i nie można porządnie prowadzić ognia. Dlatego piechurzy byli w uprzywilejowanej sytuacji, a jeśli mieli odrobinę charakteru, mogli zawsze w miarę sprawnie trzymać nocne posterunki.

Następnie poszliśmy do opuszczonego rosyjskiego domu. Chłopi uciekli z zagród jeszcze wieczorem, nie spodziewając się niczego dobrego.

Korzystając z map, dyskutowałem z obydwojema dowódcami plutonów, co będzie się działo w rejonie zajęтым przez piechotę. Miała ona okopać się do rana, trzy lub cztery kilometry na zachód od nas, czyli za naszymi plecami. Musiała również nawiązać kontakt z sąsiadem na północy i umożliwić nam przejazd przez odtworzoną linię frontu. Dlatego musieliśmy utrzymać się na ziemi niczyjej przez kilka najbliższych godzin.

Siedzieliśmy już ponad godzinę w opuszczonym gospodarstwie, spokojnie gawędząc, gdy nagle przybiegł do nas wartownik. Był podenerwowany i zameldował, że z daleka słyszał rosyjskie głosy, które dobiegały z części wioski na drugim brzegu strumienia. Wydawało nam się to niemożliwe. Spokojnie udaliśmy się w stronę czołgów i oto okazało się, że młody żołnierz miał rację.

Od tej chwili trzeba było zachowywać absolutną ciszę, aby nie zwracać uwagi Rosjan. Szybko poinformowaliśmy o zaistniałej sytuacji dowódców wszystkich czołgów i kazaliśmy budzić ludzi. Nie było to łatwe, bo nie spali od wielu nocy i można było ich dobudzić, tylko mocno potrząsając. Krzyk był samobójstwem, a na szeptym śmiertelnie zmęczeni ludzie nie reagowali. Nie będę opowiadał, jakie słowa wyrywały się im z ust, gdy przerywaliśmy upragniony sen. Odetchnąłem trochę, gdy jakoś zebraliśmy się do kupy.

Gdyby Rosjanie zachowywali się cicho i wiedzieli, że jesteśmy w zabudowaniach, mogliby łatwo wziąć nas do niewoli!

Wróg na drugim brzegu strumienia zaczął się ożywiać. Wkrótce usłyszeliśmy w oddali chrzęst czołgowych łańcuchów. Towarzyszyły temu okrzyki i błyski świateł. Nadszedł czas, by się wycofać poza wioskę, żeby stworzyć sobie lepsze pole ostrzału i spokojnie ocenić sytuację. Nie musieliśmy już długo czekać na to, kiedy starym, drewnianym mostem, ruszą w naszą stronę pierwsi Rosjanie.

Natychmiast otworzyliśmy silny ogień zaporowy równocześnie ze wszystkich pojazdów. Mogłem być tylko zadowolony, gdy zobaczyłem zdumienie na zmartwiałych ze strachu twarzach wrogów. Potem opuściliśmy wioskę i zajęliśmy pozycje jakieś 600 do 800 metrów za nią, aby jeszcze przez kilka godzin umożliwić okopywanie się naszej piechocie. Używając pocisków zapalających, podpaliliśmy parę chałup. W ten sposób oświetliliśmy całą okolicę i odebraliśmy Rosjanom możliwość zaskoczenia. Wszystko było widoczne jak na talerzu.

Poza kilkoma wystrzałami z moździerzy panowała względna cisza. Czasami jeszcze odzywał się samotny rosyjski czołg, ale strzelał szeroko i chaotycznie. Widocznie był to ten, który przyjechał na czele jako przewodnik. Podporucznik Eichhorn wycelował na błysk jego lufy i po trzecim strzale pojazd wroga wyleciał w powietrze. Zwykle szczęście! Gdy zaczęło się rozjaśniać, doleciały do nas odgłosy, jakie wydaje ciężki sprzęt bojowy, ale nie widzieliśmy żadnego Rosjanina.

O świcie wycofaliśmy się tą samą drogą na wysunięte pozycje. Nawiązałem kontakt z dowódcą batalionu piechoty. Pozostawiłem mu dwa nasze pojazdy, a dwa następne przekazałem do sąsiedniego batalionu. Pozostałe pojechały za mną w stronę drogi frontowej. Zajęliśmy pozycje we wsi Malinawa, w której jeszcze dwadzieścia godzin temu byli Rosjanie. Dzień mijał spokojnie, ale wiedzieliśmy, że Iwan przygotowuje się do walki. Była to cisza przed burzą.

Od strony zalesionego terenu, położonego dwa kilometry od nas na północny wschód, zaczęły dochodzić ciągłe odgłosy ciężkiej artylerii. Czekaliśmy na rozpoczęcie rosyjskiego ataku. Byliśmy jednak w błędzie. Widzieliśmy tylko pojedyncze postacie ludzi, którzy obserwowali przez lornetki teren rozpościerający się poza skrajem lasu. Kiedy któryś z nich stawał się zbyt śmiały, posyłaliśmy mu kilka ołowianych pocałunków i cwaniaczek zaraz znikał wśród drzew.

Najdziksze plotki nadeszły kolejnej nocy. Podobno przełamywała się w tym kierunku rosyjska kawaleria wspierana czołgami. Ale Rosjanie nawet nie zainteresowali się naszym odcinkiem frontu. Pechowo, bo to pomogło im później, gdy front w Dyneburgu trzeba było przesunąć i ewakuować całą drogę frontową.

Sytuacja wyglądała następująco: Dywizja rozlokowała całą broń przeciwpancerną (działa szturmowe, Tygrysy, armaty przeciwpancerne i przeciwlotnicze) wzdłuż drogi, prowadzącej z punktu uzupełnień i zaopatrzenia w kierunku Połocka. Wszystko to było rozlokowane co pięćdziesiąt, osiemdziesiąt metrów i czekało na rosyjskie czołgi. Ale one

nie nadjeżdżały...

Następny dzień minął w ciszy. Rosjanie gromadzili coraz więcej i więcej czołgów w rejonie koncentracji. Jeden z czołgów IS zrobił mi brzydki numer i odstrzelił zębate koło napędowe. Nie zauważyłem tego, dopóki nie próbowaliśmy się wycofać po gwałtownym wstrząsie i eksplozji. Kerscher szybko wykrył sprytnego myśliwego i trafił w jego pancerz pociskiem kalibru 88 mm. Nie zdołał jednak przebić grubej płyty czołowej, a poza tym pocisk uderzył pod złym kątem i z dużego dystansu. W każdym razie Rosjanie w takich sytuacjach nadal woleli się wycofywać.

23 lipca również nie przyniósł spodziewanego ataku. Niezwykła cisza zapanowała po obu stronach linii frontu. Za to nieoczekiwany szturm przypuścili na nas dwaj goście z wydziału propagandy. Przywiózł ich na nasze pozycje dywizyjny samochód terenowy. Zapytali o drogę do mojego czołgu, a potem dokładnie wypytywali o różne szczegóły. Chcieli mieć orientację w całej sytuacji. Gdy tylko rozległa się pierwsza seria eksplozji granatów moździerzowych, natychmiast mieli wszystkiego dosyć. Zniknęli tak szybko, jak przyjechali. Ledwie mogłem rozpoznać przedstawioną później w prasie swoją relację. Napisano tam, że czołgiści byli odważni i było dużo strzelaniny. Gdyby nie moje nazwisko wspomniane w artykule, nie wiedziałbym, że chodzi o moją wypowiedź.

Niestety, ten rodzaj dziennikarstwa jest znany do dzisiaj. Widocznie reporter rzadko bywa kimś, kto potrafi szybko ocenić sytuację i w krótkiej relacji trzeźwo opisać zdarzenie tak, aby miało jakiś związek z rzeczywistością.

Następnej nocy dotarł do nas raport informujący, że „wysokie dowództwo” zdecydowało się wycofać przed świtem główną linię oporu na pozycje leżące na północ od drogi frontowej Dyneburg - Połock.

Linia obrony, którą poprzednio zdobyliśmy i utrzymywaliśmy z takim trudem, miała być po prostu porzucona. Biegła z północy na południe. Teraz stopniowo miała zmieniać przebieg na linię wschód - zachód. Jak odkryłem dzień później, pozycje obronne kończyły się na północny zachód od Dyneburga. Ustawiono tam armatę kalibru 88 mm, a jej obsługa nie miała żadnego kontaktu z pozycjami na wschodzie ani na zachodzie. To ostatnie stanowisko nie zachwycało załogi. Wiedzieli, że za nimi nie ma już nikogo. Po otrzymaniu od nich raportu natychmiast udałem się na stanowisko dowodzenia dywizji. Mieściło się w rozwidleniu na północ od Dyneburga. Jedna z odnóg biegła drogą frontową do Połocka, a druga do Rossitten. Było to dokładnie w tym samym miejscu, z którego kilka dni wcześniej wyruszyliśmy na wschód.

W dowództwie dywizji spotkałem również mojego dowódcę. Krótko omówiłem sytuację z dowódcą dywizji i natychmiast zaapelowałem, by nie wysadzono w powietrze mostów nad przepustami pod drogą. A trzeba dodać, że wszystkie były już zaminowane. W czasie nocnej podróży zauważyłem przy każdej takiej konstrukcji dyżurujących saperów. Czekali tylko, aby wysadzić wszystko w powietrze. To oznaczało, że moje Tygrysy nie będą mogły się wycofać. Po nerwowej dyskusji nie pozostało mi nic innego, jak tylko wskoczyć w samochód i udać się do naszego wysuniętego punktu zaopatrzenia. Zebrałem tam szybko garść naszych ludzi i rozmieściłem ich przy wszystkich punktach, które miały być wysadzone. Chcieliśmy zapobiec przedwczesnej dewastacji tych przepraw, jakiej mieli dokonać koledzy saperzy.

Byłem całkowicie przeciwny niszczeniu mostów, bo w razie naszej kontrofensywy nie moglibyśmy poruszać się i kontrolować drogi frontowej. Iwan do tej pory mógł przemieszczać się na zachód bez obawy zagrożenia skrzydeł, czego my zawsze musieliśmy się obawiać.

Pomimo wsparcia ze strony oficera operacyjnego, nasze argumenty nie wpłynęły na dowódcę dywizji. Ten wysokiej rangi „Herr” pragnął, abyśmy razem z innymi licznymi rodzajami broni czekali na przewidywany atak Rosjan, spodziewany z północy i wschodu od drogi frontowej Dyneburg - Rossitten.

Nie trzeba być geniuszem, by przewidzieć, że taki atak nigdy nie nastąpi. Dla mnie i dla każdego rozsądnego żołnierza było jasne jak słońce, że Rosjanie po prostu przekroczą drogę, gdy tylko wycofamy nasze czołgi. Mogliśmy nawet tego nie zauważyć, a co dopiero im w tym przeszkodzić. Potem Rosjanie mogli obejść Dyneburg od północy i zająć go od północnego zachodu. Nie było tam ani jednego niemieckiego żołnierza, nie mówiąc o broni przeciwpancernej. Wtedy Iwan mógłby wkroczyć do miasta bez kontaktu z wrogiem i spokojnie zająć wszystkie mosty. Jeszcze raz znaleźlibyśmy się w okrążeniu.

Już świtało, gdy szybko przerwaliśmy czołgi na nową linię obrony, zanim jeszcze zaczęło się niszczenie przepustów i mostów. Te eksplozje wyraźnie pokazały Rosjanom, jeśli tego jeszcze nie zauważyli, że porzuciliśmy stare pozycje. Teraz mogli ruszyć dalej jak na spacerze. Nadal nie zdołałem pogodzić się z takim rodzajem „samobójstwa”. Wczesnym rankiem 24 lipca jeszcze raz udałem się do dowództwa dywizji. Prosiłem, aby pozwolono mi ponownie wycofać moją kompanię, by zablokować drogę frontową Dyneburg - Ryga. Nawet na to nie uzyskałem zgody. Straciłem wówczas cierpliwość. Poprosiłem majora Schwanera,

aby zwolnił przynajmniej moje cztery czołgi i pozwolił udać się na wspomniane wcześniej pozycje. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem dowódca zezwolił na ten manewr. No i nie meldowaliśmy o tym w dywizji. Wiedziałem również, że nasze czołgi mogą być pilnie potrzebne w innym miejscu. Zabrałem ze sobą maszyny dowodzone przez sierżanta Kerschera, starszego sierżanta Góringa i podporucznika Eichhorna. Chciałem, aby poczekali na drodze w pobliżu cmentarza, gdzie kilka dni temu pobieraliśmy paliwo. Dowództwo kompanii stało nadal w tym samym miejscu, więc bez problemów uzupełniliśmy zapasy.

Miałem zamiar zatrzymać czołgi Iwana na drodze do Rygi, przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, a trzeba zaznaczyć, że droga ta była zupełnie niestrzeżona. Gdy nacisk stanie się zbyt duży, chciałem wycofać się do miasta i zbudować przyczółki. To mogłoby osłonić oddziałom drogi odwrotu, nie narażając ich na zbyt wielkie straty. Ostatnim elementem tej akcji był przejazd przez most kolejowy i przejście przez nowo ustanowione linie obrony na zachód od Dźwiny. Niestety, nie udało się zrealizować do końca tego planu. Los znowu nie był dla mnie łaskawy.

Ktoś mógłby spytać ze zdziwieniem, dlaczego z takim uporem kontynuowaliśmy walkę, skoro wydawało się, że wszystko już stracone? Nie trzeba jednak daleko szukać przyczyn takiego zachowania. Każdy z naszych ludzi na wschodzie, od najwyższego dowódcy po zwykłego dowódcę plutonu, był przekonany, że wroga trzeba trzymać jak najdalej od granic Niemiec, aby ocalić jak najwięcej kobiet i dzieci przed Rosjanami. Poza tym, nie mogliśmy dopuścić, aby odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę, która skazałaby wielu naszych towarzyszy broni na okrażenie, a potem okrutną niewolę. Jeśli wydarzenia potoczyłyby się według takiego czarnego scenariusza, to wielu z tych, którzy teraz pragną ścigać „podżegaczy wojennych”, a także wiele kobiet, dzieci oraz naszych towarzyszy nie doczekałoby dzisiejszego dnia. Wierzę, że całe Niemcy, jeśli nie cały „wolny” świat, dochodzą do wniosku, że lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby Rosjanie nie okupowali połowy Niemiec.

Nie walczyliśmy dla wodza lub systemu. Wszystko robiliśmy dla Niemiec i w pewnym sensie dla nas samych. Ktoś musi z perspektywy czasu ocenić i zrozumieć nasze samodzielne decyzje i własne inicjatywy.

Nie chcieliśmy siedzieć w pułapce. Armia musiała wycofać się za Dźwinę, ale trzeba było najpierw utrzymać punkty odwrotu.

## 28 PUKAJĄC DO WRÓT ŚMIERCI!

Rankiem 24 lipca - tego dnia nie zapomnę do końca życia - pobierałem zapasy w punkcie zaopatrzeniowym kompanii. Pojawił się tam również major Schwaner. Jeszcze raz przedyskutowaliśmy zaplanowaną operację. Zgodnie z planem, Tygrysy pod dowództwem podporucznika Eichhorna miały ruszyć przez Dyneburg i czekać na mój czołg na skraju drogi frontowej prowadzącej do Rygi. Chciałem najpierw pojechać na rekonesans i dopiero później spotkać się z moimi ludźmi w uzgodnionym wcześniej miejscu.

Doskonale pamiętam, że kucharz batalionowy przygotował moją ulubioną sałatkę ogórkową, której nie kosztowałem już od dawna. Major Schwaner powiedział żartobliwie:

- Carius, nie objadaj się. To bardzo szkodzi przy ranach brzucha. Tak jak już wcześniej bywało, dowódca zagroził, że mnie ukarze, jeśli coś mi się stanie podczas jazdy rozpoznawczej samochodem lub motocyklem. Dziwne, ale żaden z nas nie przypuszczał, jak prorocze były to słowa! Pechowo ostatni z nadających się jeszcze do jazdy volkswagenów był zepsuty. Dlatego musiałem skorzystać z motocykla z przyczepką, należącego do naszego medyka, który sam kierował pojazdem. Ale to mnie nie martwiło - nie wierzyłem w przesady. Nie byłoby mi lepiej w żadnym innym pojeździe.

Zdarzył się również incydent, który wtedy wydawał mi się komiczny. Wczesnym rankiem przybiegł zdyszany kierowca mojego samochodu terenowego. Zdenerwowany powiedział, że został trafiony z rosyjskiego działka przeciwpancernego. Samochód dostał w silnik, a teraz jego wrak stał na drodze frontowej. Gdyby to było prawdą, oznaczałoby, że Rosjanie są już za naszymi plecami. A to byłaby bardzo nieprzyjemna informacja. Ostrożnie cofnąłem czołg, cały czas czekając w pogotowiu na kolejny wystrzał wrogiej armaty. Nic się jednak nie działo. Pomału dojechaliśmy do uszkodzonego samochodu. Wszedłem z czołgu i obejrzałem go ze wszystkich stron. Jednak nigdzie nie znalazłem śladu przebiecia. Rozwiązaniem zagadki okazała się kałuża oleju. To tłok przebił miskę olejową. W środku nocy huk uderzenia przestraszył młodego chłopaka tak bardzo, że jedyne, co mu przyszło do głowy, to że ktoś do niego strzela. Biedak uciekł błyskawicznie. No, ale to mogło przydarzyć się każdemu, nawet najstarszym weteranom. Najgorsze w całym wydarzeniu było to, że



samochód nie nadawał się do użytku.

Przejechałem przez Dyneburg na motocyklu. Skierowałem się w stronę Rygi. Po jakichś ośmiu kilometrach porzuciliśmy główną drogę i skręciliśmy na północny wschód, przejeżdżając przez kilka małych wiosek. Pokonaliśmy linię kolejową. Przed nami ukazał się gęsto zalesiony teren na północ od Dyneburga, rozciągający się z zachodu na wschód, aż do drogi frontowej na Rossitten. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, panował spokój. Nigdzie nie widziałem Rosjan. Na trasie spotkałem porucznika Wolffa, prowadzącego batalionowy pluton rozpoznawczy. Wracał właśnie z lasu i pokonywał tę samą drogę co my, tylko w przeciwną stronę. Poprosiłem, by poczekał na moje czołgi, które najprawdopodobniej przybyły już na północno-zachodnie obrzeża Dyneburga. Zaprosiłem go na wieczór na kluski z kapustą, jego ulubione danie, które obiecał przygotować nasz personel kuchenny. Jak się później okazało, to zaproszenie prawdopodobnie uratowało mi życie. Gdyby nie samochód terenowy porucznika, nie zdołałbym dotrzeć na czas do szpitala.

Jadąc na wschód, dotarliśmy lasem niemal do granic miasta. Potem skierowaliśmy motocykl na południe i dojechaliśmy do stanowiska armaty przeciwpancernej. Była to nasza pozycja najbardziej wysunięta na lewo. Jednak załoga nie miała kontaktu z nikim po swojej prawej stronie. W pierwszej chwili chłopcy osłaniający teren od północy uznali, że jesteśmy Rosjanami. Jednak, dzięki Bogu, w ostatniej chwili nas rozpoznali. Szybko wyjaśniłem dowódcy działonu, jakie mamy zamiary. Chcieliśmy zająć pozycje na lewo od niego. W razie konieczności wycofania się do Dyneburga mieliśmy go o tym poinformować.

Po południu wróciłem do moich czołgów, stojących przy drodze frontowej. Najpierw ściągnąłem dwa Tygrysy, które stanowiły ubezpieczenie, jakieś dwa kilometry na północ od drogi. Ich dowódcami byli Eichhorn i Göring. Dwa pozostałe czołgi ruszyły za nami i teraz toczyliśmy się trasą, którą jechałem wcześniej na rozpoznanie. Kiedy z drogi głównej zjechaliśmy na północny wschód, musieliśmy przejechać przez kilka małych mostków. Te zbudowane z grubych pni przeprawy miały tak krótkie przęsła, że utrzymywały nawet Tygrysy. Tylko jeden z mostków był zbyt długi i mógłby się załamać. Na szczęście znaleźliśmy bród i wkrótce, bez dalszych kłopotów, dojechaliśmy do torów kolejowych, gdzie stał pociąg. Niektóre wagony były wypełnione rannymi, próbującymi dostać się do Rygi. Jednak trasa była całkowicie zablokowana. Kolejarze przygotowywali się do ewakuacji, przekonani, że zbliżają się Rosjanie. W wyobraźni słyszeli już pierwsze strzały. Gdy

zobaczyli nasze Tygrysy, trochę się uspokoili, szczególnie gdy ich zapewniłem, że mogą spokojnie poczekać do wieczora i do naszego powrotu. Faktycznie, później udało im się odjechać.

Umieściłem jednego człowieka z plutonu rozpoznawczego przy każdym z mostków. Wszystkie były przygotowane do wysadzenia. Już nie było przy nich saperów, ale wycofując się, podczas opuszczania pozycji mogli podpalić lonty. Za wszelką cenę chciałem uniknąć zniszczenia przepraw. A saperzy wykazywali się wielką aktywnością. Poodwracali nawet nasze znaki drogowe, aby zmylić Rosjan! Takie numery udawały się nieraz z Amerykanami na froncie zachodnim, ale nigdy z Rosjanami.

Przejechaliśmy linię kolejową i zbliżyliśmy się do wioski, w której chciałem ustawić czołgi. Jakiś kilometr od północnego skraju wsi rozciągał się las. Zanim zapadła noc, wszystko przygotowaliśmy. Chciałem nocą cofnąć się do drogi frontowej i oddać huczną salwę armatnią, aby Rosjanie pomyśleli, że nadal na niej jesteśmy! Zatrzymałem się przy podjeździe do wioski. Był to niewielki przysiółek, w którym ulica skręcała w centrum na północny zachód pod niemalże prostym kątem i dalej zmieniała się w polną ścieżkę. Jednak coś wydawało mi się tutaj nie w porządku. W nadzwyczajnych sytuacjach w człowieku budzi się szósty zmysł. Obejrzałem przez lornetkę domy i stwierdziłem, że na ulicy nie widać nikogo z mieszkańców. Jednak przez okna gapiły się kobiety. Zatrzymałem biegnącego z wioski w moją stronę chłopaka i spytałem go w strasznym rosyjskim:

- Ruski żołdat siuda?

Ku mojemu zaskoczeniu natychmiast odpowiedział:

- Trzy kilometry stąd.

Skąd tak dokładnie to wiedział? Przecież kilka godzin temu przejeżdżałem tamtędy i nie zauważyłem śladu obecności wroga.

Podporucznik Eichhorn niemalże błagał, żebym wjechał motocyklem pod osłonę panczerzy dwóch czołowych czołgów. Jemu także coś się tutaj nie podobało. Ruszyłem jednak w stronę wioski. Czołgom poleciłem, aby zajęły pozycje przy północnym skraju zabudowań. Zostawiłem czołg Kerschera i mój pod dowództwem plutonowego Kramera. Obydwa miały zabezpieczać odwrót w stronę drogi frontowej na Rygę. Miały też aż do zapadnięcia zmroku czekać na nasz powrót.

Jak okiem sięgnąć panował spokój. Ruszyliśmy motocyklem, polną ścieżką na północny zachód. Chciałem lepiej przyjrzeć się terenom wokół pobliskiego wzniesienia i dokładniej zbadać las. Spojrzałem na wystające zza wzniesienia dachy jednego z gospodarstw. Zabudowania stały po

lewej stronie drogi. Kilka godzin temu mijaliśmy je podczas wyprawy rozpoznawczej.

Wjechaliśmy na szczyt wzniesienia. Tam poleciłem kierowcy, żeby się zatrzymał. Zagłębiłem się w mapę, aby rozeznac szczegóły terenu. Nagle mój kierowca krzyknął:

- Rosjanie koło chałupy! Strzelają!

Spoglądając w lewo, wykrzyknąłem:

- Zawracamy!

Lokey, kierowca, zalał świece silnika Zündappa 700 cm<sup>3</sup>. Wypadki następowały po sobie błyskawicznie. Zeskoczyliśmy z motocykla. Kierowca dotarł do rowu bez szwanku, ale ja miałem rozerwane przez pocisk lewe udo. Próbowałem dotrzeć do wioski, czołgając się. Wkrótce opuściły mnie siły. Kazałem Lokey'owi wezwać Eichhoma na pomoc. Lecz lojalny żołnierz nie chciał mnie opuścić w tej sytuacji. Niestety, tylko doprowadzał mnie do szaleństwa uwagami, że Iwan jest coraz bliżej. Ilekroć unosiliśmy głowy nad skraj rowu, Rosjanie strzelali jak szaleni. Raz po raz wzywałem Eichhoma, tak jakby mógł mnie z tej odległości usłyszeć! W tak krytycznych sytuacjach ludzie robią różne bezsensowne rzeczy.

Pomimo poważnej rany starałem się czołgać najlepiej, jak potrafiłem. Rosjanie nas doganiali. Na pewno nie widzieli naszych czołgów. Nie było ich widać z zabudowań gospodarczych, z których wyszli. Wioskę przesłaniało wzniesienie znajdujące się pomiędzy zabudowaniami.

Podczas skoku do rowu straciłem mapnik. Zniknęła też moja niezastąpiona czapka połowa. To był zły znak. Znalazł ją później Marwitz. Stała się jego talizmanem przez cały czas długiej niewoli w Rosji.

Tymczasem Rosjanie przeszli przez drogę i byli już w rowie, którym uciekaliśmy. Strzelali do nas bez przerwy. Żadna kula nie trafiła Lokey'a, zasłaniałem jego plecy. Ja natomiast otrzymałem jeden postrzał w lewe ramię i cztery w plecy. Te ostatnie rany szczególnie mocno krwawiły. Wkrótce byłem całkowicie wyczerpany i nie mogłem dalej uciekać. Kiedy zastygliśmy w bezruchu, strzały ucichły. Nagle powróciła nadzieja. Całkiem blisko usłyszałem szum silników naszych czołgów - dźwięk zwiastujący ocalenie! Eichhorn i Góring usłyszeli odgłosy strzelaniny, ruszyli więc, by zobaczyć, co się dzieje. Uwierzyłem, że możemy wyjść z tego żywi.

Niespodziewanie znowu śmierć zajrzała mi w oczy! Parę metrów za nami pojawiło się trzech Rosjan. Tego widoku nie zapomnę do końca życia. Krwawiłem, nie miałem siły, słyszałem silniki moich Tygrysów,

które prawdopodobnie przybędą za późno.

Jak osaczone zwierzę, które widzi myśliwego, a nie może już uciekać, półprzytomnie rozejrzałem się dookoła. Rosyjski oficer stał w środku trójki i krzyczał:

- Ruki w wierch - ręce do góry!

Żołnierze stojący po bokach celowali w nas z pistoletów maszynowych.

Szczęściem dla mnie, Rosjanie byli przekonani, że może wpaść mi do głowy głupi pomysł, by próbować do nich strzelać. Na ich miejscu pewnie myślałbym tak samo. Ale nie wiedzieli, w jakim jestem stanie. Nie miałem najmniejszej ochoty strzelać. Nie mogłem wówczas nawet myśleć. Nie zdołałbym też wyciągnąć broni, bo leżałem na prawej ręce i ciałem przykrywałem pistolet.

Tymczasem nasze czołgi zbliżały się szybko. Podczas jazdy, strzelające na oślep karabiny maszynowe nie mogły nikogo trafić, ale sama ich obecność wywołała duży szok u Rosjan. Dwaj szeregowcy zwiali natychmiast, ale oficer podniósł pistolet, aby mnie wykończyć.

Nie miałem ochoty na spotkanie ze śmiercią. Obróciłem się w stronę nadjeżdżających czołgów. I to mnie uratowało!

Rosjanin pociągnął za spust trzy razy. Dwa pociski poleciały obok mnie, trzeci przeszedł bardzo blisko rdzenia kręgowego, ale cudem nie uszkodził mi tętnicy ani ścięgien szyi. Oficer nawet nie odwrócił się, by wykończyć mnie strzałem w głowę. Byłem zdziwiony, że wciąż żyję. Gdybym się nie odwrócił w stronę czołgów, dostałbym w krtań i te zdania nigdy nie zostałyby napisane! Jak w przygodowej powieści, moi towarzysze przybyli naprawdę w ostatniej chwili!

Czołg Eichhoma przetoczył się obok mnie. Göring zatrzymał się. Nie potrafię opisać uczucia ulgi, jaka mnie ogarnęła. Nadal nie dopuszczałem myśli, że coś się ze mną stało w czasie tego zajścia. Starszy kapral sztabowy Marwitz, działonowy Göringa, wyskoczył z wieży i jednym susem znalazł się przy mnie. Zupełnie nie wiedział, gdzie zakładać opatrunki, gdzie opaski uciskowe, krwawiłem mocno. Mój kombinezon był w strzępach. Marwitz zerwał swoje szelki i podwiązał je ponad raną na udzie. Na szczęście szelki były elastyczne i dobrej jakości, bo inaczej straciłbym nogę z niedokrwienia.

Wiele razy pytano mnie, czy czułem ból. Nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że w wyniku napięcia i wyczerpania spowodowanego dużą utratą krwi, nic absolutnie nie czułem. Byłem zmęczony, bałem się utraty świadomości. Gdy otrzymałem postrzał, poczułem tylko podmuch, ale nie ból.

Rozluźniono mi opatrunek na nodze i Marwitz popchnął mnie, w ten sposób pomagając wejść na platformę pancerną za wieżą. Do dzisiaj pozostaje dla mnie tajemnicą, jak się tam wdrapałem. Byłem teraz za wieżą, a ranna noga zwisała bezwładnie. Trzymając się rękami wieży, zawisłem na krawędzi. Nagle, jakby tego nie było dosyć, za naszymi plecami rozpoczęła się strzelanina. Teraz stało się jasne, dlaczego przy wiosce pojawili się Rosjanie. Kilku z nich rabowało pobliskie domy, dlatego nas zaskoczyli. Kiedy zdali sobie sprawę z obecności czołgów, woleli pozostać w ukryciu. Ale już się ocknęli. Krzyknąłem do Göringa, żeby obrócił wieżę do tyłu.

Zrobił to tak szybko, że zaklinował moją zdrową nogę między wieżę i pancernym podwozia. Jeszcze parę centymetrów i miałbym na zawsze uszkodzoną stopę, do tej pory zdrową. Do dzisiaj nie pojmuję, jak to się stało, że cały czas, gdy stałem w eksponowanym miejscu na czołgu, nie trafił mnie żaden pocisk, a jak tylko zszedłem z motocykla, od razu otrzymałem postrzał.

Wywalczyliśmy sobie drogę na tyły. Na obrzeżach wioski natknęliśmy się na porucznika Wolffa. Jakby przewidział sytuację, czekał na nas samochodem terenowym. Jemu na szczęście nic się nie stało.

Ułożyli mnie na tylnym siedzeniu samochodu - najwygodniej, jak umieli. Ponownie wydałem podporucznikowi Eichhomowi rozkaz powrotu na stanowisko przy drodze, tak jak to wcześniej ustaliliśmy. Miał powysadzać w powietrze mosty, których pilnowali nasi ludzie, czekając na nasz powrót. Niestety, Eichhorn nie wykonał rozkazu.

Samochód wreszcie ruszył, a ja poczułem się ocalony. Zupełnie opadłem z sił. Byłem wykrwawiony i tylko coś bełkotałem.

Wolff pochodził z Pirmasens, to tylko dwadzieścia kilometrów od mojego domu. Podtrzymywał mi głowę i dodawał otuchy. Miałem tylko tyle siły, żeby wyszeptać:

- Powiedz moim rodzicom, że nie mogłem temu zapobiec. Chciałbym, aby wszystko już się skończyło.

Wolff też nie wierzył, że przeżyję tę podróż, przynajmniej tak mi później napisał w liście. Ale ja wróciłem do zdrowia, a moi towarzysze, na krótko przed końcem wojny, zginęli w Prusach Wschodnich śmiercią żołnierską.

Odzyskałem świadomość, gdy przenoszono mnie do sanitarki. Czekala mnie długa przeprawa przez Dźwinę. Bardzo żałowałem, że nie zdołałem się pożegnać z Kerscherem i Kramerem. Dla towarzyszy z batalionu moja ewakuacja była sprawą najpilniejszą. Za nic nie chcieli mi okazać,

jak poważny jest mój stan, lecz bardzo się spieszyli. Straciłem dużo krwi i bardzo chciało mi się pić, ale - mimo moich nalegań - nie dostałem nic do picia. Skrupulatny medyk obawiał się, że mam rany brzucha. Dzisiaj wiem, że miał rację, ale wtedy przeklinałem go jak szewc komornika. Zostałem ranny około ósmej wieczorem, a przytomność odzyskałem około pierwszej w nocy, w głównej stacji opatrunkowej. Jeszcze dzisiaj widzę, jak Hermann Wolff biega wokół jak szaleniec, szukając lekarza. Gdy już wreszcie go odnalazł, ten po krótkim badaniu orzekł, że mojej nogi prawdopodobnie nie da się uratować. Była zbyt długo pozbawiona dopływu krwi. Na szczęście, po jakiejś pół godzinie krew zaczęła w niej ponownie krążyć. Żadna z arterii nie była zniszczona, dzięki temu można było nogę uratować. Lekarz dał mi zastrzyk z morfiny. Kiedy się obudziłem, byłem uwięziony w gorsecie. Całe ciało, poza prawą ręką i głową, spowijały opatrunki. Czułem się wyjątkowo paskudnie. Zrobiono mi transfuzję krwi, po której mój stan znacznie się polepszył. Dawcą był ktoś z Pirmasens. Później pisał do mnie do szpitala.

Przenieśli mnie do baraku jak paczkę. Wszystkie łóżka wokoło zajmowali ciężko ranni. Widząc ich, bez przerwy jęczących w agonii, byłem głęboko wdzięczny losowi za to, że czułem się względnie dobrze. Zupełnie nie odczuwałem bólu. Miałem nieprawdopodobne szczęście. Przy tylu ranach postrzałowych nie zostały uszkodzone żadne zakończenia nerwów. Mogłem nawet składnie rozmawiać z pastorem, który zwyczajowo odwiedzał chorych.

Pierwszą wizytę złożył mi major Schwaner. Popatrzyliśmy na siebie przez łyżki. Potem zdałem raport:

- Nawiązałem kontakt z wrogiem.

Patrzył na mnie i zapomniał zbesztać z powodu motocykla, który teraz był kupą złomu. To był ostatni tego typu pojazd w naszej kompanii.

Po majorze pokazał się starszy sierżant Delzeit. Czułem, jak trudno mu było wyznać mi prawdę. Wiedziałem na pewno, że muszę powiedzieć do widzenia i było to jak dotąd najtrudniejsze pożegnanie w moim życiu. Oczywiście, gadałem jakieś bzdury, że wkrótce wrócę do kompanii. Ale Delzeit wierzył w to jeszcze mniej ode mnie.

Na pociechę jako adiutant batalionowy przyniósł nowe wieści. Po naszym sukcesie dowództwo korpusu wystąpiło o przyznanie mi Liści Dębowych. Sądziłem wtedy, że były to tylko obiecanki. O przyznaniu odznaczenia przekonałem się dopiero później, już po powrocie do domu.

W ciągu następnego dnia mój stan znacznie się poprawił. Zauważyłem zmianę, ponieważ zachciało mi się palić. Lekarz nie pozwalał mi na to.

Zaznaczył, że otrzymałem postrzał w płuca, co wykluczało palenie. Jednak ja nie rezygnowałem. Twierdziłem, że tylko paląc, mogę udowodnić, że płuca są w porządku. Mówiłem, że jeśli jest w nich dziura, to będzie przez nią uchodził dym. Lekarz nie był w stanie odeprzeć takiej argumentacji. Moje uporczywe nalegania prawdopodobnie przekonały go, że jest ze mną coraz lepiej.

Narzekałem na swój los. Zostałem postrzelony, gdy moi towarzysze tak bardzo mnie potrzebowali. W dniu, w którym zostałem ranny, miałem rozkazem batalionowym zostać oficjalnie mianowany dowódcą kompanii. Niestety, radość z otrzymania tego stanowiska była krótka.

Po pierwsze, spodziewałem się, że odleczę Storchem, do Niemiec. Ale było wielu rannych, którzy bardziej niż ja potrzebowali pomocy. Musiałem pozostać w punkcie opatrunkowym kolejne dwa dni. Przez ten czas moi koledzy donosili, co dzieje się w naszym pododdziale. Podporucznik Eichhorn wycofał się nocą. Następnego dnia przeprowadził błędny atak frontalny na wioskę, do której w tym czasie przybyły silne oddziały rosyjskie. Nasi ludzie zostali odparci. Eichhorn był znakomitym oficerem, ale brakowało mu doświadczenia. W naszej kompanii był od niedawna. Jako były kasjer dołączył do nas po odbyciu na ochotnika kursie w szkole wojsk pancernych.

Dowiedziałem się, z jak wielkim trudem Eichhorn dotarł do drogi frontowej na Rygę, kontrolowanej już przez Rosjan. Wpadł między dwa szeregi utworzone przez czołgi IS i T-34. Tylko jeden Tygrys przejechał przez tę ścieżkę zdrowia, docierając do mostu na Dźwinie, który był pod ostrzałem wroga. W tym czasie nasza kompania miała więcej zabitych i rannych niż we wszystkich poprzednich operacjach. Czołgiści, którzy zdołali opuścić płonące maszyny, musieli przepłynąć przez Dźwinę. Kompania już nigdy nie podniosła się po tej klęsce. Była to prawdziwa „danina krwi”. Nienstedt i Eichhorn wkrótce zostali ranni, a nowi oficerowie już nie utrzymywali tak bliskich relacji z podwładnymi. Oficer, który zastąpił majora Schwanera, był absolutnym nieporozumieniem. Pozostałe w kompanii czołgi działały samotnie i traciliśmy je jeden po drugim.

Z ciężkim sercem wracałem do ojczyzny. W Rewelu załadowano mnie na statek. Rosjanie przerwali już komunikację kolejową. Po czternastu dniach przybyłem do Niemiec. W Świnoujściu przeniesiono nas do cudownie czystego pociągu szpitalnego. Po raz pierwszy od dłuższego czasu leżałem w czyściutkiej pościeli, niemalże zbyt dobrej dla takiego, zwykłego żołnierza jak ja.

Przyjeżdżając do Lingen nad rzeką Ems, ważyłem tylko nieco ponad czterdzieści kilogramów. Nie wierzyłem wtedy, że pierwszy samodzielny spacer będę mógł odbyć już pod koniec sierpnia.

W szpitalu, ze starej gazety przyniesionej przez jednego z kolegów, po raz pierwszy dowiedziałem się, że 27 lipca 1944 roku przyznano mi Liście Dębowe. Byłem 535 żołnierzem Wehrmachtu, który otrzymał to zaszczytne wyróżnienie.



## 29 SZYBKI POWRÓT DO ZDROWIA W SZPITALU!

Dostawałem mnóstwo życzeń i listów z frontu i z domu. Ale najbardziej cieszyły mnie listy z mojej kompanii, a wśród nich te, które przysyłał nasz starszy sierżant. Informował mnie w nich na bieżąco, co dzieje się w pododdziale. Rieger, który nie wiedział i nigdzie nie mógł się dowiedzieć, co się ze mną dzieje, napisał nawet powściągliwy list do mojej matki. Chciał sprawdzić, czy żywy dotarłem do kraju. Potem jeszcze krótko korespondowaliśmy. Nawet dzisiaj czuję się wzruszony, gdy moja mama wyciąga i czyta ocalałą korespondencję z tamtych czasów.

W pierwszych linijkach listu, który wysłałem ze szpitala do kompanii, pytałem, czy Kerscher, Kramer, Göring i Lönneker zostali nagrodzeni. Wystąpiłem o odznaczenia dla nich, będąc jeszcze w głównym punkcie opatrunkowym. Piątego sierpnia otrzymałem w odpowiedzi kilka słów od Riegera: „Nasi koledzy jeszcze nie zostali przedstawieni do odznaczeń”. Żaden oficer w kompanii nie dopilnował tej sprawy!

Ponownie napisałem do batalionu i 17 listopada otrzymałem następującą odpowiedź: „Powinieneś przestać się martwić. Sierżant Kerscher i plutonowy Kramer otrzymali Krzyże Rycerskie, a starszy sierżant Göring - Niemiecki Złoty Krzyż. Jestem bardzo dumny, że są w batalionie pierwszymi sierżantami, którzy otrzymali tak wysokie odznaczenia”.

Paradoksalnie powrót do zdrowia następował zbyt szybko. Doktor stwierdził, że w trakcie czternastodniowego rejsu kości uda tak się zrosły, że niemożliwe już jest dopasowanie ich długości. Pomimo tego wsadzono mi nogę w łupki rozciągające Thomasa. To była niezła afera! Wszystkie wysiłki na nic się zdały, noga pozostała krótsza, ale i tak byłem zadowolony, że szybko powracam do zdrowia.

Któregoś ranka otrzymałem list z OKH (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych), z departamentu P5, zwanego departamentem orderów, z prośbą o informację, czy mogę już chodzić. Wzywano mnie do Kwatery Głównej Adolfa Hitlera. Miałem tam otrzymać Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego.

Napisałem list, pytając, dlaczego nie mogą mi po prostu przysłać tego odznaczenia? Odpowiedź nadeszła szybko: „Ponieważ Führer zarezerwował sobie prawo do osobistego wręczenia tego odznaczenia. Przekazanie przez dowództwo rezerw 6. Armii jest niemożliwe. Jak tylko

będziesz w stanie zameldować się u Führera, odpowiednio wcześniej zgłoś się do OKH/PA/P 5, aby przygotowano konieczne dokumenty".

Do tych lakonicznych paru zdań dołączono odręczny dopisek:

„Najlepsze życzenia jak najszybszego powrotu do zdrowia! Major Johannmeyer ”.

W ten sposób dowiedziałem się, że ten wspaniały człowiek żyje. A w Newelu już straciliśmy na to nadzieję.

W połowie sierpnia podjąłem pierwszą próbę chodzenia. Przedtem zdjęto mi ciężarki z nogi. Musiałem nauczyć się poruszać o kulach. Skończyło się to jednak nieprzyjemnym zdarzeniem.

Odwiedzanie pewnych lokali było oczywiście zabronione. Ale każdy z nas, po miesiącach przykucia do łóżka, chciał się do nich wyrwać. Naturalnie, chciałem tam pójść bez kul. Natychmiast upadłem i to na uszkodzoną nogę. W pierwszej chwili myślałem, że kość udowa, która bolała jak diabli, została ponownie złamana. Ale miałem trochę szczęścia. Jednak lekarz znowu wpakował mnie do łóżka. Następnego dnia chodzenie już szło mi lepiej. Dzięki intensywnemu treningowi, po dwóch tygodniach mogłem się poruszać o dwóch laskach. Po upływie następnych dwóch tygodni potrzebna mi była już tylko jedna. Wtedy wysłałem raport, że już jestem gotowy do „tańca”. Gorąco pragnąłem się dowiedzieć, kiedy trafię do kwatery Führera. Chciałem zobaczyć na własne oczy, jaki panuje tam nastrój. Od pewnego czasu ogarniały mnie wątpliwości. Nie byłem już pewien, czy aby na pewno zwyciężymy? Zastanawiałem się, jakie mogą być skutki tej wojny.

Pod koniec października byłem gotów. Rozkazano mi wyruszyć do Salzburga, gdzie miałem otrzymać kolejne instrukcje od komendanta miejscowego garnizonu.

Podróż pociągiem nie była zabawna, a trasa Lingen - Salzburg raczej niezbyt krótka. Nasz pociąg nawet nie dotarł do stacji końcowej. Zatrzymał się na przedmieściach Salzburga. Założyłem galowy mundur i byłem „gotów do inspekcji”. Nagle rozległy się syreny alarmu przeciwlotniczego. Wszyscy pobiegli do schronu przeciwodłamkowego, poza dwoma żołnierzami i mną. Patrzyliśmy na lecące nad nami formacje bombowców.

Leciały w porządnym szyku prosto na Monachium i wcale nie zwracały uwagi na ostrzał artylerii przeciwlotniczej, której było sporo w tej okolicy. Jej ogień nie dawał nawet efektu psychologicznego.

Bombowce wkrótce wracały tym samym kursem. Tylko jeden maruder leciał trochę niżej. Okazało się, że został trafiony. Chcieliśmy zobaczyć jego

upadek, ale niespodziewanie wypadły z niego bomby i eksplodowały 100 metrów od nas. Ewidentnie zachował je dla Salzburga. Chwilę później leżeliśmy z nosami wciśniętymi w brudny żwir. Podnieśliśmy głowy mocno przestraszeni.

Bombowiec doznał najgorszego. Został trafiony ponownie i uderzył gdzieś w góry. Ale mój mundur galowy wyglądał, jakbym wracał w nim z pola walki!

Moje przypuszczenia potwierdziły się w komendanturze miasta. Kwatery Adolfa Hitlera już nie było w tym rejonie. Postanowiono, że dekoracji dokona Himmler, bo jego sztab znajdował się na przedmieściach Salzburga. W tym czasie był nie tylko przywódcą SS. Sprawował również funkcje: szefa policji, ministra spraw wewnętrznych, dowódcy armii rezerwowej i oddziałów rezerwowych samej armii.

Wszystkie biura mieściły się w specjalnym pociągu, który stał przed długim tunelem.

W czasie alarmu lotniczego skład przetaczano do środka tunelu. Przy obu krańcach pociągu ustawiono po dwa posterunki wartownicze. Ale nawet nie spytano mnie o papiery, gdy stawiałem nogi na stopniach wagonu.

Major, oficer łącznikowy z armii, który towarzyszył mi od pierwszej chwili, wskazał przedział w wagonie dla gości. Powiedział, że nie mam się gdzie spieszyć, bo spotkanie z Himmlerem nie odbędzie się wcześniej niż za dwa dni.

Powiedział również, że dzień wcześniej wyjechał stąd porucznik Bölter, obecnie dowódca 1. kompanii w 502. batalionie ciężkich czołgów. On akurat otrzymał Liście Dębowe trzy miesiące po mnie i również przybył tu, by je odebrać. Byłem bardzo zmartwiony, że go nie spotkałem i żałuję tego do dzisiaj.

Stałem się gościem sztabu. Wszyscy oficerowie bardzo cieszyli się z takich wizyt jak moja, bo była to okazja do ataku na butelki wódki, zarezerwowane dla gości honorowych. Himmler był bardzo wstrzemięźliwy. Nigdy nie pił alkoholu. Każdy, od generała do porucznika, musiał w czasie posiłku sam obierać z łupin gotowane ziemniaki.

Major oprowadził mnie po poszczególnych sekcjach pociągu. Byłem zdziwiony, że tak wielu oficerów mieszka w wagonach. Oczywiście, najbardziej interesowała mnie odpowiedź na jedno pytanie: „Jak dalej potoczy się wojna i co o niej tutaj sądzą?”.

W kinach pokazywano nowe rodzaje broni: samoloty odrzutowe i zdalnie sterowane rakiety. Było wielu chętnych do obsługi tych rakiet, ale

co z tego, skoro było ich tak mało. Widziałem te raporty ochotników na własne oczy! Można by nimi zestrzelić jednocześnie przynajmniej kilka bombowców.

Innymi wynalazkami były: zdalnie sterowane bomby przeciwlotnicze, nowy typ gazu bojowego (Tabun) oraz łodzie podwodne niewykrywalne dla sonarów. Pojawiły się też noktowizory do czołgów i samoloty dalekiego zasięgu, które mogłyby dotrzeć do Ameryki.

Modelowo pokazywano rozbicie atomu. Wtedy ten proces wykraczał poza moją wiedzę. Nie rozumiałem go, aż do czasów moich powojennych studiów, ale wiedziałem, że wymaga użycia „ciężkiej wody”.

Nasza usytuowana w Norwegii fabryka tej dziwnej substancji została wysadzona w powietrze, w wyniku aktu dywersji. Ofiarą padły też dwa wagony wypełnione tym specyfikiem, przewożone na promie płynącym do Niemiec. Jak później twierdzono, ten wybuch cofnął nasze badania przynajmniej o dwa lata. Dlatego uważano, że wschodni i zachodni front musiał być utrzymywany z dala od granic Niemiec przynajmniej o rok dłużej. Oczywiście, rozmawiano też o szczegółach zamachu z 20 lipca 1944 roku.

Dla mnie „bojownikiem ruchu oporu” w prawdziwym tego słowa znaczeniu był tylko graf von Stauffenberg. Początkowo pełen entuzjazmu oficer liniowy, po odniesieniu licznych ran został przeniesiony do sztabu Hitlera i stopniowo poznawał prawdziwą sytuację wojenną. Zdecydował się na działanie zgodne ze swymi przekonaniem. Warto przypomnieć, że był wartościowym oficerem frontowymi i jak wszyscy ludzie podejmujący działania, poniósł ich konsekwencje.

Był jednym z najzdolniejszych oficerów Sztabu Generalnego, stracił całą prawą rękę, część lewej i miał uszkodzone jedno oko. Fakt, że graf Stauffenberg aż do ostatniej chwili nie dołączył do żadnej grupy ruchu oporu, jest najlepszym dowodem słabości i braku zdecydowania wśród opozycjonistów. Zamach na Hitlera planowali już od 1938 roku, ale nie mogli znaleźć wykonawcy. Przez te wszystkie lata nie znalazł się nikt, kto wyciągnąłby pistolet i oddał decydujący strzał.

Prawie wszyscy z nas, żołnierzy frontowych, wierzyli, że poświęcają życie za coś wartościowego i że powinniśmy wygrać wojnę. Choć nie było to takie pewne.

Przywódcy grup ruchu oporu też wierzyli, że działają w dobrej sprawie. Nie tylko byli przekonani, że ich poświęcenie przyniesie korzyść ojczyźnie, ale również twierdzili, że jedynie jak najszybsza likwidacja Hitlera może uratować Niemcy.

To jest zgodne z oświadczeniami ocalałych i oceną biografów.

Od każdego żołnierza na całym świecie wymaga się, aby na froncie poświęcał życie dla swojego kraju. Musi to robić, nie pytając, czy jego poświęcenie jest sensowne. Nie pytając, czy służy dobrej sprawie, czy może tylko obietnicy sukcesu?

Opozycjoniści byli pewni, że jeśli uderzą w odpowiedniej chwili, to ich poświęcenie i działania ocali Niemcy. Wierzyli w sens swojej misji. Jednak przez lata nie podjęli zdecydowanego i skutecznego działania. To jest dla nas, frontowych żołnierzy, niezrozumiałe. Po co atakować, jeśli jest to działanie nieskuteczne.

Co by się stało, gdyby Hitler rzeczywiście zginął 20 lipca 1944 roku? Jakie nadzieje mogły pokładać Niemcy w tych ludziach, którzy po tylu latach nie potrafili zorganizować zamachu; zamachu, który po prostu musiał się udać. Konspiratorzy niczego nie kontrolowali.

W każdym razie tym trzecim, śmiejącym się najgłośniej - byli alianci, bo niczego nie musieli gwarantować zamachowcom.

Nienawiść zachodniego świata i - nawet bardziej uzasadniona - Rosjan nie dotyczyła tylko samego Hitlera, lecz całej niemieckiej populacji. Wystarczy spojrzeć na układ w Jałcie i negocjacje, które do niego doprowadziły.

Każdy, kto chce rozpocząć rewolucję, musi postawić wszystko na jedną kartę. Ale nawet wtedy może zatonać wśród armii pochlebców i sabotażystów, którzy byli, są i będą istnieć w każdym reżimie. Każdy porządny żołnierz będzie walczył i zupełnie słusznie. Tak ma być. Faktem jest jednak, że malkontenci i zdraźcy sabotażyści wyżej są cenieni niż życie żołnierza na froncie. Szczególnie że skromność, charakteryzująca idealistów, na którą powoływali się ocaleni członkowie zakonspirowanych grup oporu, gdzieś zanikła po 1945 roku.

Pechowo, ludzie, którzy zostali straceni po nieudanym zamachu 20 lipca 1944 roku, nie uzyskali niczego dla swoich zwolenników. Wielu z nich działało bez przekonania. Nie ma mowy, żeby zdobyli więcej szacunku i uznania niż żołnierze, którzy wiernie i cicho ginęli na froncie za ojczyznę. Zabici z grup ruchu oporu ryzykowali i tracili nie mniej, ale i nie więcej niż ci, co padli w bitwach: tylko własne życie.

## 30 ODWIEDZINY U HEINRICHA HIMMLERA

Nadszedł wreszcie czas, aby złożyć raport Heinrichowi Himmlerowi. Major mocno podkreślał, że nie powinienem mówić w afektowany sposób. Himmler lubił, kiedy jego rozmówca otwarcie wyrażał opinie. Spodziewano się, że tak właśnie się zachowam.

Kwatera sztabu znajdowała się w willi, którą zajmował Reichsführer w tym czasie, gdy pociąg stał w Salzburgu. Musiałem oddać w wartowni do kontroli moją aktówkę, ale nikt nie pytał mnie o pistolet. Zanim pozwolono mi przejść, oficer SS jeszcze raz krótko mnie poinstruował:

- Proszę się zwracać do szefa Reichsführer, a nie Herr Reichsführer. Co więcej, proszę wsadzić pod pachę czapkę.

Obowiązywały tu inne zasady niż w Wehrmachcie, gdzie trzeba było się meldować przełożonym z nakrytą głową. Wszystko było jasne, więc mogliśmy zaczynać. Nie miałem złudzeń po tym wszystkim, co słyszałem o Himmlerze. Nie pomagał też fakt, że nigdy nie kochaliśmy się z SS.

- Porucznik Carius, dowódca 2. kompanii z 502. batalionu ciężkich czołgów, melduje się według rozkazu po rekonwalescencji - powiedziałem krótko.

Jednak kosztowało mnie trochę wysiłku, aby porzucić formułkę „z szacunkiem melduję”. Podobnie jak trudno mi było porzucić zwracanie się w trzeciej osobie i przejście na „ty”. Przeszkadzało to szczególnie podczas posiłków. Jeszcze raz siła konwencji święciła triumf. Ale nie straciłem z tego powodu głowy, pytałem o wszystko, co miałem na myśli.

Himmler wstał.

- W imieniu Führera mam przekazać ci Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego, którymi nagrodzono cię 27 lipca 1944 roku. Wódz prosi o wybaczenie, bo zwykł osobiście wręczać takie nagrody, ale obecnie jest bardzo przeciążony obowiązkami. Upoważnił mnie jako Szefa Sztabu Armii Rezerwowej do wręczenia ci odznaczenia oraz przekazania najlepszych życzeń jak najszybszego powrotu do zdrowia. Możesz być szczególnie dumny, ponieważ jesteś najmłodszym posiadaczem tego odznaczenia w całej armii!

Himmler zbliżył się do mnie, podał rękę i wręczył pudełko z orderem. Potem oznajmił przyjacielskim tonem:

- Teraz pójdziemy na obiad. Goście już prawdopodobnie czekają. Prywatnie porozmawiamy po posiłku.

Po krótkim żołnierskim podziękowaniu, włożyłem pudełeczko do kieszeni na piersi i wyszliśmy do przedpokoju. Himmler powiedział:

- Mój drogi Cariusie, tak łatwo nie będzie. Przede wszystkim mam zamiar przedstawić cię jako „świeżo udekorowanego”. Lepiej lub gorzej musisz mieć na szyi nowe odznaczenie.

Usunął spinacz biurowy, który przytrzymał wstążkę mojego Krzyża Rycerskiego i dołączył do niego Liście Dębowe. Następnie klepnął mnie lekko w pierś i powiedział:

- To chyba twój własny pomysł? Polecę go moim ludziom. Niektórzy też są posiadaczami takich krawacików.

Mówił o elastycznej opasce, która służyła do przytrzymywania okularów motocyklowych. Można było ją nosić na szyi bez względu na rozmiar. Ten sposób noszenia odznaczeń był szczególnie wygodny w przypadku zakładania ich wstążki pod kołnierzyk koszuli.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na mnie człowiek zwany „psem gończym”, było przyjemnym zaskoczeniem. Przestałem się obawiać czekającej mnie pogawędki.

Weszliśmy do jadalni, w której już znajdowało się piętnaście do dwudziestu osób. Wszyscy powstali z miejsc. Zostałem przedstawiony tej grupie i zająłem krzesło po prawej stronie Himmlera. Szybko zorientowałem się, że większość zgromadzonych była generałami, poza paroma osobami w cywilnych ubraniach. Rozmowa przy stole była niezmiernie zajmująca. Dwóch generałów SS wróciło z Jugosławii i mówili o dodatkowych działaniach, które miały zostać podjęte w tym kraju. Należy wspomnieć, że zwalczały się tam dwie partyzantki. Podtrzymywały one odwieczne animozje między Serbami i Chorwatami, które nasze dowództwo wykorzystywało od dłuższego czasu. Dlatego zaopatrywaliśmy w broń Chorwatów. (Serbowie otrzymywali ją od Brytyjczyków i Rosjan.) Teraz chcieliśmy rekrutować ich do naszej armii i wykorzystać w walce. Kilku cywilów było związanych z przemysłem zbrojeniowym. Zgodnie z ich twierdzeniem główne problemy powinny być rozwiązane, pod warunkiem stworzenia odpowiedniej ochrony przeciwlotniczej. Ale to było oczywiste dla każdego laika, który widział i był przerażony stopniem dewastacji naszych miast. Byłbym bardziej zadowolony, gdybym mógł z nimi dłużej porozmawiać, bo było to jedyne miejsce, w którym można jeszcze dyskutować o szansach na zwycięskie zakończenie wojny.

Jedzenie podano odpowiednio proste, nawet biorąc pod uwagę trudne czasy. Po zupie podano kotlety z warzywami i ziemniakami. Trzeba dodać,

że część gości otrzymała ziemniaki bez mundurków! Na deser podano marynowane gruszki. W każdym razie nie był to luksusowy posiłek. Gdy skończyliśmy, nie chciałem żadnej dokładki.

Himmler wskazał na ordynansów - wszyscy mieli stopień scharführera SS (młodszy sierżant) - i osobiście dołożył mi jeszcze jedzenia na talerz. Był w dobrym nastroju. Powiedział:

- Jedz Cariusie, jeszcze nie wyglądasz tak dobrze, aby odmówić. Przeciwnie, musisz nabrać wagi. Z drugiej strony jesteś chyba silny, tak szybkie opuszczenie szpitala jest zdumiewające.

Słyszac śmiech zgromadzonych, wskazał na trochę otyłego generała:

- Carius, musisz osiągnąć przynajmniej połowę jego wagi!

Himmler miał na sobie prosty, szary mundur. Nie nosił żadnych baretek ani orderów. Wydawało mi się zabawne, że ten człowiek był uważany za tak niebezpiecznego osobnika. Doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie, jeśli ktokolwiek ma zapewnić porządek na linii frontu i w kraju podczas wojny, to nie może być popularny, ponieważ zmuszony jest do bezwzględności.

Podano kawę. Przyniesiono ją do gabinetu Himmlera, gdzie kontynuowano oficjalną dyskusję. Warto zwrócić uwagę, że nie było alkoholu ani papierosów. Jako gościowi honorowemu pozwolono mi swobodnie wypić filiżankę gorącej kawy i spokojnie wypalić papierosa. Potem nadszedł ważny moment. Zaczęłem długą rozmowę z Heinrichem Himmlerem. Spróbuję najdokładniej, jak to możliwe, przekazać treść naszej dyskusji.

Jego miejsce pracy było zdecydowanie skromne, Pokój miał całkiem sporą powierzchnię, ale poza dużym stołem nic nie utkwilo mi w pamięci. Stał z tyłu, po prawej stronie od drzwi, w samym rogu. W drugim rogu umieszczono kilka wygodnych foteli.

Usiedliśmy swobodnie przy małym, okrągłym stoliku. Często wspominałem o tej rozmowie, gdy tylko ktoś twierdził, że nigdy nie można było się zbliżyć do „ważnych ludzi” III Rzeszy. Przez pół godziny siedziałem sam z Himmlerem przy stoliku, mając pistolet w kaburze.

Teraz zaczęła się nasza prywatna rozmowa. Nadal doskonale ją pamiętam. Po kilku przyjacielskich słowach wprowadzenia, Himmler zapytał:

- Poruczniku Carius, czy wierzysz, że pancierz wkrótce stanie się przestarzały i wyprze go zaawansowana broń ręczna?

- Reichsführerze, nie podzielam tej opinii. Wiesz przecież, że Rosjanie już od dawna używają grup niszczycieli czołgów. I w zasadzie nie mogą



osiągnąć niczego, jeśli tylko jeden nasz czołg osłania drugi. Jeżeli do tego dodamy obecność piechoty, to trudno im osiągnąć jakikolwiek sukces. Prawdopodobieństwo trafienia z działka przeciwpancernego czy innej broni z dużego dystansu jest bardzo małe. Jeśli załogi czołgów są w pogotowiu, to żołnierze wroga mogą wystrzelić z takiej broni najwyżej jeden raz. Natomiast nasze oddziały niszcycieli mają prostą robotę z Brytyjczykami czy Rosjanami, którzy jeżdżą z zamkniętymi włazami czołgów. W ten sposób nasz batalion stracił tylko jeden czołg. Stało się to nad Newą, zresztą z powodu głupiego użycia Tygrysa, i to był nasz własny błąd. Poza tym, jako ochronę przeciwpiechotną mamy w wieży sześć min bliskiego zasięgu. Jeśli zajdzie potrzeba, możemy je odpalić z wnętrza pojazdu. Ale jeszcze ani razu nie musiałem ich użyć.

Himmler słuchał uważnie, a potem nagle zmienił temat.

- Co po powrocie do kraju sądzisz o postawie ludności? Miałeś szczególnie dobrą okazję, aby przebywając tutaj, zebrać wrażenia.

Nie czułem się zupełnie onieśmielony tym bezpośrednim pytaniem. Powiedziałem otwarcie, co o tym sądzę.

- Reichsführerze, sądzę, że nasi ludzie zostali wytrąceni z równowagi przez terrorystyczne naloty. Wszyscy czekają na broń, która zmiecie wroga z powietrza.

Przez chwilę zawahałem się, po czym kontynuowałem bez zdenerwowania: - Wielu ludzi, w tym ja, jest zdegrustowanych napuszonymi wypowiedziami pewnych członków partii, którzy zawsze się zachowują, jakbyśmy wojnę już wygrali i zwycięstwo było nasze.

Teraz Himmler spojrzał na mnie z wielką uwagą.

- Według mnie - ciągnąłem bez wahania - nasi rodacy już pokazali, że są na tyle silni, by poznać prawdę. Wiedzą ponadto, że muszą kontynuować ciężką pracę, by odmienić losy wojny. Czy nie można by zaaranżować czasami spotkań z doświadczonymi i odznaczonymi generałami, którzy by sporo ludziom wyjaśnili? Przecież tacy generałowie cieszą się większym szacunkiem niż funkcjonariusze partyjni, którzy absolutnie nic nie wiedzą, co się dzieje na froncie. Dlatego gadają tylko puste słowa, docierające do nich z góry.

Pomyślałem sobie, że Himmler może wybuchnąć, gdy w tak obraźliwy sposób opisałem zachowanie niektórych partyjniaków. Nic z tych rzeczy.

Reichsführer SS odpowiedział zupełnie spokojnie.

- Mam świadomość cierpień naszego narodu. Wiem również, że warunkiem koniecznym do podtrzymania ducha w narodzie jest nowa obrona przeciwlotnicza. W stosunkowo krótkim czasie będziemy w stanie

ochronić się przed Amerykanami latającymi w „szyku defiladowym”. Niedługo do akcji wejdą myśliwce odrzutowe. Nowe rakiety przeciwlotnicze, wystrzeliwane przez ludzi i sterowane radiem, już przeszły testy. Niedawno siedziałem przy tym stoliku z człowiekiem za to odpowiedzialnym. Masz rację Cariusie. Bez wszechstronnej osłony przeciwlotniczej dłużej nie wytrzymamy, ale wkrótce to wszystko się zmieni.

W tym momencie Himmler chwilę się zawahał.

- Niezbędne do tego jest, aby jeszcze przez rok utrzymać wszystkie linie frontów. Tego właśnie potrzebujemy, żeby zakończyć budowę broni, która całkowicie zaskoczy naszych wrogów!

Słyszając te słowa, przypomniałem sobie stare przemówienia: „Mam wiadomość; musicie mocno wierzyć!”. Ale pomimo tego, nagle pojawiła się nowa nadzieja. Himmler kontynuował:

- Wracając do twojego krytycyzmu wobec liderów partii. Muszę przyznać, że masz rację, Cariusie. Sam wiesz, że najlepsi ludzie są na froncie. Nie mogę już dłużej być przeciwny, aby wstępowali na ochotnika. A kiedy wygramy wojnę, bo musimy ją wygrać, to wkrótce zwalczymy nadużycia, które obecnie mają miejsce. Usuniemy od razu ludzi, którzy udowodnili, że się do niczego nie nadają!

Potem znowu nagle zmienił temat.

- Nie chciałbyś się przenieść do SS? Szukamy młodych i sprawdzonych ludzi? W kilka tygodni byłbyś hauptsturmführerem (kapitanem)!

Ale myśl, by porzucić moich czołgistów, była mi bardzo odległa, dlatego szybko odpowiedziałem:

- Nie, Reichsführerze, moje konserwatywne poglądy nie pozwalają mi „porzucić sztandaru”. Chcę wrócić do mojej starej kompanii. Nie chcę wywoływać zamieszania. Myślę, że rywalizacja między Wehrmachtem i Waffen SS do tej pory przynosiła tylko negatywne skutki. My, na froncie, bez zastrzeżeń doceniamy wielkie osiągnięcia Waffen SS. Ale również nie zapominamy, że do oddziałów SS docierają najlepsi ludzie i sprzęt; tak jest, te oddziały bez przerwy są traktowane preferencyjnie. A to już wielokrotnie powodowało napięcia między naszymi oddziałami.

Nawet ta uwaga nie poruszyła Himmlera.

- Biorąc pod uwagę twoje troski o rywalizację między Wehrmachtem i SS, mogę ci dzisiaj powiedzieć, że poczyniono już wysiłki, by łączyć obydwie formacje. Trzeba jednak dodać, że te wysiłki były często niweczone przez opór generalicji z Wehrmachtem.

Ta uwaga Himmlera mnie ucieszyła, bo jasno pokazała, że nasi

generałowie mają więcej charakteru, niż można było się spodziewać. Wprowadzenie po 20 lipca „niemieckiego pozdrowienia”, czyli nazistowskiego salutu, bardzo mnie zezłościło.

Miałem nadzieję, że nasi generałowie zachowają się rozsądnie. W sumie SS mogło się do nas przyłączyć, bo my byliśmy pierwsi, ale wiele spraw wskazywało, że to oni połączą Wehrmacht. Przecież Himmler już był szefem sztabu całej armii rezerwowej, w której znajdowała się spora część Wehrmachtu. To dlatego Himmler mógł mi wręczyć Liście Dębowe. Potem przeszliśmy do spraw osobistych.

- Masz jakieś prywatne życzenie, które mógłbym spełnić? Może specjalna przepustka albo coś podobnego?

Natychmiast poprosiłem o zaświadczenie, że po powrocie do jednostki mogę od razu „wrócić do służby”. Ponadto poprosiłem, aby wysłali mnie do mojego oddziału, jak tylko dotrę do batalionu zapasowego.

Himmler uśmiechnął się z dezaprobatą.

- Nic takiego się nie zdarzy, Cariusie. Nie mogę ci pozwolić wrócić na front przez najbliższe dwa miesiące. Nie możesz się wykończyć, nim wygramy wojnę. Musisz dochodzić do siebie w batalionie rezerwowym jeszcze przez kilka tygodni. Jest jeszcze sporo czasu do wiosny, zdążysz wrócić do swojego oddziału. Wy, frontowcy, zawsze chcecie otrzymywać wspaniale wyszkolone rezerwy, ale nie lubicie szkolić ludzi, którzy mają wam pomóc.

Po krótkich targach, w końcu udało mi się coś uzyskać na piśmie. Miałem potwierdzenie, że mogę powrócić do czynnej służby 1 stycznia i jeśli zechcę, mogę znowu natychmiast znaleźć się w starej kompanii. Później wykorzystałem to pismo całkiem efektywnie.

Nasza rozmowa dobiegała końca. Himmler spytał mnie, czy poznałem Salzburg i okolice. Kiedy odpowiedziałem, że nie, oddał uprzejmie do mojej dyspozycji samochód z kierowcą. Na pożegnanie wyciągnął rękę i powiedział:

- Jeśli będziesz miał kiedykolwiek jakieś kłopoty, proszę, nie wahaj się napisać do mnie. Możesz zawsze zwrócić się do mnie o pomoc.

Wreszcie zostałem zwolniony, pewien jego względów.

Opisałem wizytę u Himmlera najdokładniej, jak potrafiłem, bo byłem nią naprawdę zaskoczony. Po rozmowie w jego kwaterze głównej ponownie uwierzyłem w szczęśliwe zakończenie wojny. Stało się to już po tym, kiedy uważałem, że klęska jest niemal pewna.

Nie ma znaczenia, kto ma jakie spojrzenie na III Rzeszę. Prawda wymaga, aby opisać tych ludzi takimi, jakimi byli. Otrzymałem samochód

i odbyłem krótką przejażdżkę po cudownej okolicy, a kierowca był moim przewodnikiem. Zawiózł mnie do Berchtesgaden, do „Domu Herbacianego”, zwanego też popularnie „Orlim Gniazdem”.

Poza tym pokazał mi góry Obersalzbergu. Mogłem cieszyć się również, że odwiedzę ojca, który pracował przy jugosłowiańskiej granicy. Niestety, nie udało mi się ustalić miejsca jego stacjonowania i nie poznałem go aż do końca wojny, choć mógłbym łatwo do niego dotrzeć w ciągu trzech dni. A to dałoby mi wiele radości.

W czasie dni po dekoracji, które spędziłem w specjalnym pociągu, nadchodziły codziennie raporty z frontu. Gorąco nad nimi dyskutowano. Dowódca IV Korpusu Pancernego SS, generał Gille, dzwonił dosyć często. Jego korpus otrzymał uzupełnienia i znajdował się w północnym rejonie frontu wschodniego, zaraz za linią obrony. A ten rejon bardzo mnie interesował.

Już wiedzieliśmy, że Rosjanie zgromadzili tam ogromne siły do przeprowadzenia ofensywy. To później poskutkowało zdobyciem Berlina, podczas gdy zachodni alianci grzecznie czekali, by oddać ten honor Rosjanom.

Hitler jednak zrobił zbyt mało, żeby zasłużyć na miano „największego wodza”. W każdym razie od tej chwili jego decyzje były wyjątkowo niefortunne. Dla przykładu, wyciągnął całą dywizję pancerną z Frontu Północnego, by przeprowadzić ofensywę na południu. Zgodnie z jego planem to natarcie miało zmusić Rosjan do wycofania części sił na południe, a nam umożliwić odzyskanie utraconych terenów i zyskanie na czasie. Jednak Rosjanie nie wyświadczyli mu tej przysługi. Już dawno przestali stosować takie manewry. Pechowo dla nas, wiedzieli, w jakiej kondycji znajduje się nasza armia. W każdym razie dywizje zostały przerzucone na południe z rozkazem podjęcia natychmiastowego ataku.

W rezultacie dla Rosjan nastąpiły łatwe czasy. Po pierwsze, ich piechota mogła atakować bez czołgów, a po drugie, nasz atak na południu został odparty i nacierające dywizje w większości zmiecione z powierzchni ziemi.

Odwrotnie niż nakazy operacyjne, generał Gille pozostawał zaraz za linią frontu. Dlatego jego korpus nie zdołał rozwinąć pozycji bojowych i zapobiec rosyjskiemu przełamaniu. Jego oddziały zostały szybko pokonane w początkowej fazie natarcia wroga i zmuszone do gwałtownego odwrotu. Z tego powodu nie mogły mieć wpływu na sytuację. Gdyby prośby Gillego i innych dowódców zostały spełnione (wycofanie bardziej na tyły rezerw), to ci dobrze wyposażeni żołnierze

mieliby więcej czasu na przygotowanie obrony i na pewno zatrzymaliby Rosjan. Później już ich natarcia nie można było zatrzymać. Dlatego w styczniu czołwki rosyjskich batalionów czołgów pokazały się u bram Kostrzyna.

W tym czasie poznawałem okolice Salzburga i czekałem na powrót do szpitala. Po trzech dniach dwaj oficerowie SS, którzy wyjeżdżali do Berlina, zaproponowali mi wspólną podróż samochodem. Ucieszyłem się, że mogę sobie oszczędzić długiej jazdy pociągiem.

Dobrze się stało, bo miałem sporo czasu, by zajrzeć do Biura Personalnego Armii w Berlinie. I tak musiałem to zrobić. W czasie jazdy z Salzburga przez Monachium do Berlina, nauczyłem się doceniać radio samochodowe, na które wcześniej zupełnie nie zwracałem uwagi. Silniki nisko lecących samolotów powodowały zakłócenia. Gdy taki samolot się „zameldował”, kryliśmy się pod wiaduktami na autostradzie i czekaliśmy, dopóki przeciwnik nie zniknie.

## **ZDRADA NA LINII PRODUKCYJNEJ**

Porzuciliśmy autostradę z Monachium do Berlina na zjeździe do Halle i pojechaliśmy do wytwórni oleju syntetycznego w Leuna. Oficerowie SS mieli spotkanie z najważniejszymi inżynierami w fabryce. Jak dobrze pamiętam, narada dotyczyła przeniesienia poszczególnych elementów produkcji pod ziemię, co natrafiało na problemy techniczne.

Wizyta w Leuna była dla mnie bardzo interesująca. Jak powszechnie wiadomo i co było całkowicie zrozumiałe, zakłady produkujące paliwo zawsze stanowiły cel nieprzyjacielskich ataków bombowych. Jednak nie można wybaczyć, że w trakcie terrorystycznych nalotów bomby dowolnie i bezsensownie zrzucano w środek skupisk ludności. W czasie narady z dyrekcją zakładów dowiedziałem się, że naloty następowały w czasie końcowej fazy produkcji. Jeśli fabryka przerywała produkcję, to wróg wyczekiwał na odpowiednią chwilę. Czekał, aż wymęczeni ludzie, pracując dzień i noc, przywrócą produkcję, i wtedy ponownie atakował. Atak następował dosłownie następnego dnia po wznowieniu produkcji. Wróg nie był w stanie dokładnie wyliczyć, kiedy ten moment nastąpi, więc było jasne, że ktoś z miejscowych musiał być zdrajcą. Pomimo zapobiegawczych środków ostrożności i inwigilacji nie wykryto źródła przecieku informacji.

Nad całym zakładem były rozmieszczone balony zaporowe, ale Amerykanie latali na tyle wysoko, że nie stanowiły one przeszkody.

Obrona przeciwlotnicza też przynosiła niewielkie efekty. Wysoki pułap lotów samolotów wroga miał i swoje dobre strony, ponieważ znacznie zmniejszał szanse trafienia w cel. Niestety, Amerykanie byli świetnie poinformowani o skutkach nalotów. Tak długo więc przeprowadzali ataki z powietrza, aż osiągnęli zamierzony skutek.

Produkcję ponownie podjęto w dniu naszego przybycia. Dlatego też dyrektor doradzał, abyśmy opuścili zakład przed zapadnięciem zmroku. Zostaliśmy jednak dłużej. Do autostrady dotarliśmy, gdy już zbliżały się formacje alianckich samolotów. Chcieliśmy sprawdzić, czy to, co usłyszeliśmy, jest prawdą. Zatrzymaliśmy się pod najbliższą estakadą, biegnącą nad autostradą, zastanawiając się, czy rzeczywiście Amerykanie mogli wiedzieć o tym dniu. To był przerażający widok. Niestety, nasi pracownicy mieli rację. Bombowce zrzuciły cały ładunek prosto na fabrykę. Mieliśmy wrażenie, że nie będą już musieli powtarzać swojej misji. Naprawdę wykonali porządnie tę robotę. Nasi robotnicy, pracownicy jak pszczoły, znowu zaczną odbudowywać zakład, bez względu na wszystko. Ale dobra wola i pracowitość to za mało. Między nimi, tak jak w wielu innych miejscach, był zdrajca. Wróg ponownie mógł zniweczyć ich całą pracę w przeciągu kilku minut.

## 31 ZAPOWIEDŹ KATASTROFY

Podróż do Berlina przebiegła bez dalszych incydentów. Zatrzymałem się w mieszkaniu jednego z oficerów SS, z którym odbyłem podróż. Następnego dnia najpierw udałem się do Biura Personalnego Armii, skąd chciałem wydobyć rozkaz wyjazdu do mojej starej kompanii. Choć zostawiłem za drzwiami starą laseczkę, tak samo jak przed wizytą u Himmlera, nie udało mi się uzyskać upragnionego przeniesienia na front, do starej jednostki. Chciałem koniecznie ominąć batalion rezerwowy, ale oficerowie w biurze byli nieugięci. Odprawili mnie grzecznie, ale stanowczo.

Wsiadłem w pociąg, który z powrotem zabrał mnie do szpitala w Westfalii. Nie mieścił się już w Lingen, więc musiałem sam zaaranżować przeniesienie do szpitala, w którym mój wuj był naczelnym chirurgiem. Od razu poczułem rodzinną atmosferę. Powiedziano mi, bym przed przyjazdem do szpitala wysłał telegram. Nie znali mnie dobrze, jeżeli mieli nadzieję, że tak zrobię. Siostra szpitalna w roli kucharki upiekła trójwarstwowy tort na powitanie i świętowaliśmy moje przybycie w serdecznej atmosferze. W czasie pobytu w szpitalach dobrze zapoznałem się z jedzeniem dostarczonym przez pielęgniarki. Muszę przyznać, że wszyscy ranni byli zadowoleni z racji żywnościowych. Na przykład, nawet w Boże Narodzenie 1944 roku każdy pacjent otrzymał pół pieczonego kurczaka. Zważcie na moje słowa! Każdy ranny, a nie tylko oficerowie, jak zwykli twierdzić złośliwcy. Cudowne siostry szpitalne czyniły nadludzkie wysiłki. A trzeba przypomnieć, że szpital był przepełniony. Mój wuj operował praktycznie na okrągło.

Funkcjonariusze partyjni nalegali, abym uczestniczył w oficjalnej feście na moją cześć, która miała się odbyć w miejscowym kinie. Chcieli nawet zaprosić publiczność, ale powiedziałem im po prostu, że nie interesują mnie takie imprezy. Szczególnie teraz, gdy każdy ma swoje problemy związane z wojną, nikt nie powinien liczyć na moją obecność. Dlatego „ceremonia dla bohatera” odbyła się w prywatnym saloniku w gospodzie. Tylko koledzy, żołnierze ze szpitala i przyjaciele wujka przyszli na spotkanie. Pojawił się też miejscowy kreisleiter NSDAP ze świtą, ale szybko wyniósł się w dyskretny sposób, gdy tylko skończyłem mowę dziękczynną. Nie mogę nie wspomnieć, że w przemówieniu zawarłem ocenę sytuacji na froncie z mojego punktu widzenia.

W tym czasie wróg coraz bardziej zbliżał się do zachodnich granic Rzeszy. W grudniu przez Westfalię przejeżdżało mnóstwo wypełnionych po brzegi samochodów, które najpewniej wycofywano z frontu. Gdy ludzie składali meldunki, byli tak wzburzeni, że można by pomyśleć, iż Amerykanie znajdują się ledwie kilka kilometrów od nas. Mieliśmy na ten temat własne zdanie.

Dokąd nas to wszystko miało zaprowadzić? Jeśli z tymi maruderami z frontu zachodniego było już tak źle, alianci rzeczywiście mogą wkrótce dotrzeć do Renu. Już zaczęła się ewakuacja w zachodnich regionach kraju. Skorzystałem z okazji i zaraz po świętach Bożego Narodzenia jeszcze raz odwiedziłem mamę, aby pomóc jej wywieźć z domu trochę rzeczy.

Wracając, ponownie odwiedziłem Berlin, chcąc sprawdzić, czy istnieje jakaś szansa dostania się do Prus Wschodnich, bo tam w tym czasie wylądowała moja stara kompania. Wcześniej napisałem do moich towarzyszy broni, że czuję się na tyle silny, aby powrócić na linię frontu, ale utrudnia mi to konieczność przejścia przez batalion rezerwowy. Już 2 grudnia otrzymałem taką odpowiedź: „Panie poruczniku, z powodu ran, które pan odniósł, może pan być szczęśliwy, że w ogóle żyje i nie musi pan się wystawiać się na kolejne próby. Kiedy możemy liczyć, że pana zobaczymy? Nie musimy dodawać, że byłby to dla nas najmiłszy prezent na Boże Narodzenie”. Ja myślałem podobnie. Bardzo brakowało mi starych kolegów.

Zdenerwowałem się, gdy w Biurze Personalnym Armii powiedziano mi, że nie ma okazji, by dostać się do Prus Wschodnich. Stamtąd raczej wycofywano oddziały, dlatego nie miało sensu tam mnie wysłać. Spodziewano się, że raczej zamelduję się w Paderborn.

W oddziałach wycofywanych z frontu brakowało oficerów z wojennym doświadczeniem i tam mogłem się przydać.

Byłem bardzo rozczarowany i szybko odwiedziłem brata, którego ściągnięto na kurs kandydacki na oficerów, który odbywał się w Krampnitz. Kiedy przyjechałem, w powietrzu wyczuwało się podenerwowanie. Wszyscy przygotowywali się do zajęcia pozycji obronnych wokół Berlina. Miałem szczęście, gdybym przyjechał następnego dnia, już nie zastałbym brata. Trzeba dodać, że kilka dni wcześniej Rosjanie pojawili się w rejonie Kostrzyna. Kapitan Fromme szybko zgromadził wszystkie czołgi ćwiczebne i stworzył z nich batalion. Gdybym przyjechał dzień wcześniej, to mógłbym objąć natychmiast dowodzenie kompanią, bo bardzo brakowało doświadczonych oficerów. Fromme był twardym żołnierzem, znałem go od dawna. W czasie pokoju



został zdegradowany, bo pod wpływem alkoholu zaatakował swojego dowódcę. Jak mówiono, „z powodu różnicy zdań”. Ten przebojowy człowiek w czasie wojny ponownie został oficerem i to startując z samego dna. W 1941 roku już otrzymał Krzyż Rycerski. W Kostrzynie pokazał Rosjanom, że droga do Berlina nie stoi jeszcze przed nimi otworem. Rozniósł ich pancerną czołwkę i zapobiegł próbie sforsowania Odry z zaskoczenia.

W szpitalu spakowałem walizkę i wyruszyłem do Paderborn.

Dowódca batalionu zapasowego w Paderborn chciał mi od razu wcisnąć dowodzenie kompanią szkoleniową. Powiedziałem mu, że nie jestem przekonany, czy poradzę sobie z trzystuosobowym pododdziałem. Chciałem być przeniesiony do pododdziału bojowego, który właśnie tworzono. Wtedy stał się nieuprzejmy. Pamiętałem o liście, który wręczył mi Himmler. Gdy mu go pokazałem, zmienił zdanie. Jednak musiałem czekać bezczynnie, aż znajdzie się dla mnie coś odpowiedniego.

Kapitan Leonhard i 3. kompania z 502. batalionu wycofana z Rosji znajdowała się teraz w Sennelager. Otrzymała nowe Tygrysy Królewskie i przygotowywała się do walki. Widziałem zespół remontowy z nieocenionym starszym sierżantem Delzeitem, który dowodził nim z niesłabnącym wigorem. Natknąłem się również na starych towarzyszy z pola walki. Starszy sierżant Zwetti był dowódcą czołgu, a podporucznik Ruwiedel stał na czele plutonu. Jakie to byłoby szczęście, gdyby przeniesiono mnie do starej bandy, bo nadal istniała nadzieja, że przewiozą nas z powrotem do batalionu na front wschodni. Jednak dowódca batalionu rezerwowego zrujnował te plany. Na tym skończyły się nasze kontakty.

A jeszcze na dodatek wszystko zupełnie zwariowało. Każdy w batalionie rezerwowym żył zgodnie z budzącym wątpliwości hasłem: „Ciesz się wojną! Pokój będzie straszny!”.

Ten rozkład i bezsensowne zamieszanie zgodne z zasadą „Après nous le déluge!” były mi głęboko obce. Nie byłem jedynym, który tak myślał, ale nasz krąg był stosunkowo niewielki. W każdym razie, stało się dla mnie jasne, że nie pozostanę dłużej w Paderborn. Katastrofa rzucała już coraz groźniejszy cień.

## 32 ZAGŁĘBIE RUHRY W OKRĄŻENIU

Kapitan Scherr był dowódcą 512. batalionu Jagdtigerów (niszczyciel czołgów na podwoziu Tygrysa). Byłem mu bardzo wdzięczny, że zaakceptował mnie jako dowódcę kompanii. Sprawilem zawód moich urażonym kolegom ze starej kompanii. Chociaż wylegiwali się, nic nie robiąc, to ich przeniesienia na linię frontu zabronił dowódca batalionu rezerwowego. Żałuję, że nie mogłem zabrać ze sobą tych dobrze mi znanych, wypróbowanych i szczerych żołnierzy. Po wielkich trudach udało mi się wyrwać chociaż Lustiga, mojego kierowcę.

Sytuacja z wyposażeniem była bardzo skomplikowana. Same Jagdtigery pochodziły z Zakładów Hindenburga w St.-Valentin, w okolicach Linzu. Armaty z Wrocławia. Rosjanie znajdowali się już wokół tego miasta, tak że udało się uzbroić tylko trzydzieści pojazdów. Dlatego w każdej kompanii znalazło się tylko dziesięć wozów bojowych. Amunicję ściągaliśmy z Magdeburga. Poszczególne jej partie jechały z radiostacjami, dzięki czemu byliśmy informowani o wszystkich przestojach na drodze. Tak ważni byliśmy dla najwyższego dowództwa! Pojazdy docierały koleją do Paderborn, a kompanie zgromadzone były w Sennelager. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy traktowani jak tajna broń, która nadal może ocalić Niemcy.

Zapasy części złożone zostały w Döllersheim, w pobliżu Wiednia. Bez przerwy musiałem pokonywać 1000 kilometrów dzielące Paderborn od Wiednia. Nie było to zabawne, zwłaszcza w nocy i pod groźbą ciągłych nalotów alianckich. Chociaż jeździliśmy z zaciemnionymi światłami, mieliśmy sporo kłopotów z ludnością cywilną, która czuła się zagrożona, widząc błyski reflektorów. Ale jak miałem pokonać dystans, gdybym zatrzymywał się podczas każdego nalotu i czekał na odwołanie alarmu?

W Kassel miałem sporo szczęścia. Znajdowaliśmy się w środku miasta, gdy nagle odezwały się syreny alarmowe. Wszyscy uciekali do schronów przeciwlotniczych. Mój szef kompanii, który na nieszczęście zupełnie nie był podobny do sierżanta sztabowego Riegera, chciał za wszelką cenę wydostać się z pojazdu i zniknąć w schronie. Nie pozwoliłem na to i nacisnąłem mocniej pedał gazu, aby jak najszybciej dotrzeć na skraj miasta. Ledwie przejechaliśmy przez skrzyżowanie kolejowe, gdy bomby „naszych wyzwolicieli” zaczęły wybuchać. Na szczęście nalot dywanowy zaczął się trochę dalej po naszej prawej stronie. Cała część miasta, gdzie

chciał się schronić mój sierżant, legła w gruzach! Jeszcze raz odezwał się we mnie szósty zmysł i z wielką ulgą uznałem, że słusznie nie zwracałem uwagi na sierżanta.

Kiedy kalibrowaliśmy armaty w Sennelager, doznaliśmy pierwszej porażki. Pomimo swoich osiemdziesięciu dwóch ton, nasz Jagdtiger nie zachowywał się tak, jak chcieliśmy. Tylko pancierz miał w porządku, reszta - a szczególnie manewrowość - pozostawiała wiele do życzenia. W dodatku było to tylko działo szturmowe. Nie było w nim pancерnej, obrotowej wieży. Każdy większy ruch lufy wymagał przestawienia całego pojazdu, dlatego układ przenoszenia napędu i mechanizmy różnicowe odmawiały posłuszeństwa. Jak można było skonstruować takie monstrum i to w końcowej fazie wojny! Co za czasy! Zamek zabezpieczający lufę w czasie podróży też mogli wymyślić lepszy! Trzeba go było demontować z zewnątrz i to w obecności wroga!

Blokowanie lufy w pozycji marszowej było koniecznością, bo w trakcie jazdy za mocno wyrabiały się wsporniki podtrzymujące, przez co dokładne celowanie było niemożliwe. Na dodatek czołgiści nie czuli się pewnie w działach szturmowych. Chcieliśmy mieć możliwość obrotu lufy w zakresie 360 stopni. Inaczej nie czuliśmy się pewnie ani bezpiecznie, a raczej tak, jakby ktoś nam chuchał w kark.

W czasie przystrzeliwania starszy kapral Sepp Moser ustawił w okolicy cele ćwiczebne. Pochodził z Pasawy. Miał potężną posturę i złote serce. Służył w drużynie remontowej, wycofanej z Rosji razem z obecnie reorganizowaną w Paderborn 3. kompanią. Kiedykolwiek Sepp się za coś zabierał, wszystko mu wychodziło.

Moser był kierowcą głównego ciągnika. W cywilu kierował ciężarówką rozwożącą piwo. Jego żona prowadziła mu korespondencję, twierdząc lakonicznie, że mąż by raczej połamał ołówki, niż coś napisał. Słyszałem o tym od znajomego, który spotkał w Pasawie zadowolonego Seppa. Z dumą wspomniał, że co tydzień otrzymuje trzydzieści litrów darmowego piwa. Zaskoczony tym oświadczeniem nasz znajomy spytał, co można zrobić z taką ilością złotego napoju. Otrzymał niemal klasyczną odpowiedź:

- No, ale resztę piwa muszę dokupić sobie sam.

Sepp Moser dał z siebie wszystko podczas pracy przy poprawianiu kalibracji luf.

Pudłowaliśmy do wszystkich celów tak, że wkrótce mieliśmy tego dosyć. W końcu zbrojmistrz coś tam poprawił i potem poszło lepiej. Odkryliśmy też, że lufa ogromnej długości ośmiu metrów była zbyt wąska przy końcu, zbyt wiotka, tak że nawet po krótkim przejeździe nie

mogliśmy skorygować jej położenia, zgodnie z przyrządami optycznymi. To obiecywało niezłą zabawę - nic nie chciało działać, a my jeszcze nawet nie spotkaliśmy wroga!

Moja kompania miała być załadowana jako pierwsza. Wieczorem dałem żołnierzom na ostatnią noc przepustki i rano byłem jednocześnie zdziwiony i zadowolony, że żaden z nich się nie spóźnił. Naszym celem była stacja kolejowa w Siegburgu. Nie rozumiałem tylko panicznego pośpiechu. Wiedzieliśmy już, że Amerykanie przekroczyli Ren w Remagen. Przeszli po prostu przez most, który wpadł w ich ręce nietknięty.

Pomimo totalnego chaosu, jaki już wszędzie zaczynał panować, mieliśmy wszystko skompletowane i gotowe. Już to, samo w sobie, było zadziwiającym osiągnięciem.

Dostarczono trzy składy kolejowe. Załadunek przebiegał zgodnie z planem. Nieprzyjacielskie lotnictwo z niewiadomych przyczyn oszczędziło stację kolejową w Sennelager, chociaż była zbiorowiskiem dział szturmowych. Uznałem za stosowne objechać samochodem przyszły teren operacyjny, nim jeszcze przybędzie cała kompania. Z powodu ustawicznych ataków nisko latających samolotów wroga, transport mógł odbywać się tylko nocą. Jeździłem terenowym samochodem wzdłuż trasy kolejowej w tę i z powrotem, pilnując, aby żaden z pociągów nie miał zbyt dużych przestojów.

Trasę przejazdu cały czas nawiedzały nieprzyjacielskie myśliwce bombardujące. Było to dla nas dużym utrapieniem. Nie mieliśmy prawie obrony przeciwlotniczej. Do tego dochodziła dziwna postawa wojska.

„Rób cokolwiek, tylko nie strzelaj, bo piloci odkryją twoją pozycję!“. Swoboda, z jaką wrogie myśliwce krążyły przez cały dzień w powietrzu, doprowadzała mnie do furii. Alianci mieli przygniatającą przewagę w powietrzu.

Nasze składy kolejowe w ciągu dnia stały w tunelach lub pod osłoną stromych skarp, gdzie jednak nie były całkowicie bezpieczne. Kuchnia połowa jeszcze się nie pojawiła, więc musiałem być majstrem do wszystkiego: kierowcą, kurierem, oficerem transportowym, dowódcą kompanii - zależnie od sytuacji. Od czasu do czasu udawało się zdobyć trochę ciepłego jedzenia dla moich ludzi. Paliwo i przydziały żywnościowe były łatwo dostępne we wszystkich składach. Miały wpaść w ręce Amerykanów, więc je bezsensownie niszczone.

Kiedy w końcu wiedziałem na pewno, że pierwszy transport przybędzie rano do Siegburga, ruszyłem do przodu. Tam odkryłem, że

Amerykanie już ostrzeliwują rampy kolejowe na stacji. To znacznie ożywiło sytuację.

W samym Siegburgu, po długich poszukiwaniach odnalazłem poprzedniego dowódcę 502. batalionu, majora Schmidta. Ten zaprowadził mnie do Sztabu Łączności Grupy Pancerniej Zachód. Tam wywołałem swoją obecnością ogromne zaskoczenie. Aż usiadłem z wrażenia, gdy major Schmidt oświadczył, że nie wie zupełnie, co powinniśmy robić i gdzie ma nas rozmieścić. Potem zaczęły się dziać rzeczy jeszcze bardziej zwariowane. Na przykład, pojawił się łącznik na motocyklu i zakomunikował dumnie, że jeden z transportów jest w trakcie rozładunku w Duisburgu! Przecież ten skład powinien dotrzeć do Siegburga, a nie Duisburga! Coś zaczynało śmierdzieć! Kazałem gońcowi wycisnąć wszystko z jego maszyny i dotarliśmy do Duisburga, nim pusty pociąg zdążył odjechać. Ale gdzie znaleźć specjalne ciągniki do ponownego załadowania naszych maszyn na wagony? Jednak gońcowi na motocyklu udało się je ściągnąć i następnej nocy skład kolejowy dotarł w okolice Siegburga.

Równocześnie major Schmidt obdzwonił wszystkie dostępne oddziały i sztaby. Ale nawet dowódca Armii B, feldmarszałek Model nic nie wiedział o planach wykorzystania naszego oddziału w jego rejonie operacyjnym. Rozkazano mi zameldować się u niego po przybyciu wszystkich wozów kompanii.

W czasie oczekiwania próbowałem się trochę zdrzemnąć. Kto wie, kiedy znowu znajdę następną chwilę spokoju? Gdy tylko położyłem się na drewnianej prycy, ukazał się dyżurny i zameldował przybycie porucznika Helda. Tyle było ze spania! Held był dowódcą plutonu, kiedy jeszcze byłem rekrutem. Nie widziałem go od 1941 roku. Bardzo się ucieszyłem ze spotkania kogoś ze starej gwardii. Przegadaliśmy całą noc.

Nie mogliśmy rozładować pociągu w Siegburgu. Ostrzał był zbyt silny. Z tego powodu zatrzymaliśmy pierwszy pociąg w tunelu i rozładowaliśmy go dopiero po zapadnięciu zmroku, a działa szturmowe przejechały na drogę w środku nocy. Żaden pojazd kołowy nie nadawał się do jazdy, wszystkie miały przestrzelone opony. Kilka dni nam zajęło, nim ściągnęliśmy ciężarówki z częściami zapasowymi.

Nie było szans na interwencję w Remagen. Amerykanie już przeszli przez autostradę. Jankesi pewnie byli wdzięczni Hitlerowi za zbudowanie tak wygodnych autostrad. Gdybyśmy takie znaleźli w czasie natarcia w Rosji! Szybko dotarlibyśmy do Moskwy, a nie tonęli w błocie.

W tej sytuacji dołączono nas do oddziałów generała Bayerleina.

Pierwszy pluton zajął pozycję w kępach drzew, zaraz za linią frontu. Sam rzadko siedziałem w pojazdach bojowych. Poszczególne działa szturmowe zostały rozlokowane na odcinku działania całego korpusu. Bez przerwy jeździłem od plutonu do plutonu, od jednego Jagdtigera do drugiego, od pułku do pułku, by kierować walkami. Odległości nie były wielkie, bo pierścień oblężenia wokół Zagłębia Ruhry zacieśniał się coraz bardziej.

Jedno ze zdarzeń pokazało, jak bardzo upadł wśród oficerów duch walki. Mój oficer dyżurny pełnił straż w Jagdtigerze, który stał we wspomnianym wcześniej zagajniku. Miał też w nim moją załogę. Nagle z wozu wybiegł kierowca Lustig. Gdy był w połowie drogi, ogarnęły mnie złe przeczucia. Facet z pośpiechu niemal stracił oddech i najpierw musiał go odzyskać, nim zameldował, co zaszło. Jego pierwsza uwaga wyjaśniła wszystko.

- Właśnie omal nie walnąłem dowódcy czołgu! Gdybyśmy nadal byli w Rosji, już by pewnie nie żył!

Potem wyjaśnił szczegółowo, co się stało. Jego pojazd stał dobrze zamaskowany na linii lasu, obok innego Jagdtigera. Przed ich frontem w odległości mniej więcej pół kilometra jechała kolumna nieprzyjacielskich czołgów. Lustig sądził, że to wystarczy dowódcy czołgów, by dać rozkaz otwarcia ognia. No bo do czego były potrzebne nam działa szturmowe? Ale oficer odmówił wydania takiego rozkazu. Dziwny oficer wyjaśnił decyzję tym, że gdyby rozpoczął ostrzał, zdradziłby swoją pozycję i przez to ściągnął na siebie atak samolotów szturmowych przeciwnika!

Aby skrócić tę przydługą opowieść, dodam, że nie padł ani jeden strzał, chociaż dystans był wręcz wymarzony dla naszych armat, a wróg nie miał żadnej szansy, aby zagrozić naszym wozom bojowym.

Jakby tego jeszcze było mało, wkrótce ten dziwny oficer rozkazał wycofać nasze maszyny. Teraz na pewno zdradził ich pozycje. Miał szczęście, że w powietrzu nie było samolotów wroga. Wycofał się, nie meldując o tym wcale dowódcy sąsiedniego Jagdtigera, ale ten ruszył za nim i oba wozy uciekały, jakby ścigał je diabeł. Oczywiście, w okolicy nie było żadnego wroga!

Z powodu beztroskiej jazdy niedoświadczona załoga drugiego działa szturmowego doprowadziła do unieruchomienia pojazdu. „Nieustraszony” porucznik zupełnie nie przejął się losem towarzysza. Przeciwnie, z takim uporem kontynuował odwrót, że aż zatarł silnik własnej maszyny. Dobrze, że starszy sierżant z drugiego działa szturmowego wysadził pojazd w powietrze.

Lustig dotarł do nas piechotą i zażądał, abym dalej przekazał jego meldunek. Ale w tej fazie wojny nie miało to już znaczenia. Każdy za siebie decydował, czy chce dotrzeć do końca przyzwoicie, czy jak gnida. Żołnierze z różnego rodzaju oddziałów leżeli setkami w lasach i czekali na koniec wojny. Morale zupełnie upadło.

\* \* \*

W Siegen poszedłem do sztabu batalionu, aby zameldować dowódcy o sytuacji. Gdy wszedłem, zewsząd zacząłem zbierać gratulacje. Plotka głosiła, że moi chłopcy rozwalili czterdzieści czołgów wroga. Otrzeźwiłem ich, kiedy dowiedzieli się, że nie zniszczyliśmy żadnego Jankesa, a na dodatek sami straciliśmy dwa pojazdy. Gdybym miał ze sobą ze dwie lub trzy załogi z dowódcami z czasów walk w Rosji, to ta plotka mogła łatwo stać się prawdą. Wszyscy moi dawni towarzysze broni bardzo by się ucieszyli, że mogą postrzelać do Amerykanów, którzy jeździli jak na paradzie. Pięciu Rosjan mimo wszystko było bardziej groźnych niż trzydziestu Amerykanów. To zauważyliśmy od razu, gdy tylko weszliśmy do walki na zachodzie.

W tym czasie okazało się, że zostaliśmy całkowicie okrążeni. Pierścień wokół Ruhry zamknął się.

Feldmarszałek Model chciał się przebić wszystkimi siłami w Marburgu i uciec z okrążenia, kiedy był jeszcze na to czas. A to wcale nie powinno być trudne. Jednak naczelne dowództwo miało inną opinię i kazało utrzymywać się w okrążeniu tak długo, jak to możliwe!

Trasa naszego odwrotu wiodła wzdłuż koryta rzeki Sieg, przez Eitorf - Betzdorf - Kirchheim. Pierwszym celem było Siegen, gdzie chcieliśmy się trochę dłużej utrzymać. W trakcie tego przejazdu kilka dział szturmowych zostało unieruchomionych. Pomimo wysiłków, niedoświadczeni kierowcy nie poradzili sobie w górzystym terenie. Ludzie wykazywali dużo dobrej woli, ale nie mieli ani doświadczenia w prowadzeniu ciężkich pojazdów, ani odpowiedniego wyszkolenia.

### 33 CHAOS SIĘ POWIĘKSZA

Wszędzie panował bałagan. Drogi były zupełnie zakorkowane, więc pojazdy stawały się łatwym łupem nieprzyjacielskich samolotów, które całkowicie panowały na niebie. W rozrzucanych ulotkach nasi wodzowie prosili ludność cywilną, aby opuściła swoje domostwa i wycofywała się razem z wojskiem. Miałem wrażenie, że armia zamierzała użyć Tabunu, gazu bojowego, który szybko obezwładniał system nerwowy. Jednak naczelne dowództwo najprawdopodobniej zdystansowało się od tego pomysłu, ponieważ zagrażał on ludności cywilnej, a zastosowanie tej nowej broni nie zmieniłoby już chyba biegu wojny. Większość ludności pozostała w domu i czekała na przybycie Amerykanów. Oczywiście, tylko niewielka jej część wierzyła w głupie bajeczki o „wyzwolicielach”, którzy udowodnili, kim są poprzez bombardowania naszych ruin. Ale wszyscy pragnęli końca wojny i końca strachu przed zagrożeniami. Poza tym, nie byli to Rosjanie, których tak obawiano się na Zachodzie. To przed Rosjanami mieszkańcy wschodnich terenów w panicznym strachu uciekali zimą po śniegu i lodzie.

Gdy jechaliśmy do Siegen, cały czas wisiały nad nami bombowce i myśliwce wroga. Chociaż ukrywaliśmy nasze działa szturmowe w stodołach i maskowaliśmy je sianem, dwa z nich zostały uszkodzone przez myśliwce i trzeba było je wysadzić w powietrze. Jakże zazdrościłem kolegom, którzy nie doświadczyli tej beznadziejnej walki w ostatnich tygodniach na froncie zachodnim!

W Siegen znalazłem na stanowiska bojowe znakomity płaskowyż. Roztaczało się stamtąd pole ostrzału, które dzięki przecinkom leśnym ciągnęło się aż do drogi prowadzącej do doliny rzeki Sieg. W tym miejscu czekaliśmy na Amerykanów, ale nie trafiliśmy żadnego z nich. Pozostałem w swoim wozie bojowym, chcąc uniknąć kolejnych porażek. Działo się tak, ponieważ Amerykanie mieli wśród nas swoich sprzymierzeńców. Cywile, którzy usadowili się w ziemiankach na przeciwnym stoku, zatrzymywali pojazdy alianckie, zanim znalazły się w naszym polu widzenia.

Do dzisiaj jestem ciekaw, czy taka sytuacja byłaby możliwa w innym narodzie.

Potem wycofałem wszystkie pojazdy w kierunku Weidenau i utworzyłem tam osłonę pancerną. Stanowisko dowodzenia umieściłem



w schronie przeciwlotniczym pobliskiej fabryki. Tam odkryłem, że część ludności cywilnej współpracuje z nami, a druga część otwarcie z wrogiem. Rozumiałem, że ludność była apatyczna i zmęczona wojną, ale żeby zdradzić własnych rodaków na rzecz wroga, to nie mieściło mi się w głowie.

Początkowo pozwalaliśmy naszym cywilom uciekać do Amerykanów, jeśli tylko chcieli coś od nich otrzymać. Zupełnie nie kontrolowaliśmy tych, co wracali. Wkrótce jednak zauważyłem, że wrogowie ostrzeliwali pozycje naszych dział nawet wtedy, gdy nie były widoczne.

Od tego momentu uszczelniliśmy linię frontu i nikt już nie mógł jej przekraczać.

Praktycznie wszystkie nasze samochody zostały uszkodzone. Dlatego zdecydowaliśmy się zdobyć je na przeciwniku. Ale niech nikt nie myśli, że był to jakiś heroiczny wyczyn. Jankesi spali w nocy jak porządni „żołnierze frontowi”. Kto ośmieliłby się zakłócać im spokój? Co więcej, wystawiali nocne warty tylko wtedy, gdy była dobra pogoda. Wojna toczyła się wieczorami, my wycofywaliśmy się, a oni zajmowali nasze pozycje. Jeśli przez przypadek odezwał się gdzieś niemiecki karabin maszynowy, wzywali wsparcie lotnicze, ale dopiero następnego dnia rano.

Okolo północy wyruszyłem z czterema ludźmi i wkrótce wróciłem z dwoma jeepami. Nie potrzebowaliśmy żadnych kluczyków do stacyjek, co było bardzo wygodne. Wystarczał tylko zwykły kawałek drutu, by uruchomić silnik. Dopiero dużo później, kiedy już dotarliśmy do naszych linii obronnych, Amerykanie rozpętali strzelaninę, chyba tylko po to, by uspokoić własne nerwy. Gdyby noc była odpowiednio długa, to pewnie dojechalibyśmy do Paryża.

Następnego dnia zaplanowaliśmy mały atak, zaraz na wschód od Weidenau. Jego celem było zajęcie wysoczyzny, z której wróg miał zbyt dobre pole obserwacji naszych pozycji. Nie przydzielono nam żadnej piechoty, chociaż wielu żołnierzy wylegiwało się beczynn timer. Ale co mogliśmy osiągnąć z tym tłumem zdemoralizowanych klęską piechurów? Wroga propaganda święciła sukcesy. Poza tym było coś jeszcze.

Te oddziały stacjonowały na tyle długo na zachodzie, że ich strach przed dostaniem się do niewoli był znacznie mniejszy niż żołnierzy na froncie wschodnim. Każdy myślał, że najważniejszą sprawą jest „trzymać się z daleka”. Później, gdy byliśmy naciskani coraz mocniej w naszej „kieszeni”, natykaliśmy się na hordy byłych żołnierzy niemieckich, którzy zgodnie z posiadanymi papierami zostali zwolnieni z Wehrmachtu.

Całkiem sprytny komendant miasta wpadł na pomysł, że była to sztuczka Amerykanów.

Potem chwyłali oni wszystkich mężczyzn - od młodych chłopców z gimnazjum po starszych. Uznali chyba, że za plecami każdego Niemca kryje się kryminalista. W rzeczywistości ich nienawiść do nas była jeszcze bardziej zajadła, niż ukazywała to nasza propaganda. Nawet obecne koszmary wojenne nie są w stanie przebić tego faktu.

Do naszej małej operacji zgromadziliśmy cztery działa szturmowe. Mimo tego mieliśmy znikome szanse na sukces. Ale miałem zamiar pokazać Amerykanom, że wojna trwa nadal. Jej świadectwo stanowiły otaczające nas ruiny, z których byli tak dumni. Przyzwyczailiśmy się do wroga takiego jak Rosjanie, a teraz spotkało nas coś zadziwiającego. W ciągu całej wojny nie widziałem przeciwnika, który by zmykał na łeb na szyję, chociaż nic specjalnego się nie stało. Ale poza tym, co mogliśmy więcej osiągnąć? Przejechaliśmy kilkaset metrów i dotarliśmy do naszego celu. W końcu dostrzegłem nieprzyjacielski czołg, który uciekał w panice pod osłonę najbliższych budynków. Od razu chciałem wypróbować nową armatę kalibru 128 mm. Wykorzystałem szansę i wystrzeliłem pocisk z opóźnionym zapalnikiem. Rezultat pokazał jego niszczycielską moc. Po drugim wystrzale amerykański czołg stanął w płomieniach. Ale jaką korzyść mogła przynieść nawet najlepsza broń w tej fazie wojny? Teraz Jankesi ożyli, bo ktoś naprawdę do nich strzelał! Wkrótce znaleźliśmy się w centrum eksplozji pocisków wystrzeliwanych przez ich działa. Również bombowce chciały nas „ukarać”. Na szczęście obyło się bez ofiar. Gdy zapadł zmierzch, wycofaliśmy się na stare pozycje. Piechota nie przybyła, by nas zastąpić. Jedno z naszych dział zostało unieruchomione, bo wpadło w lej po bombie.

Następnego dnia przyszedł rozkaz: wycofać się trochę na północ i zająć lepsze pozycje, aby kontrolować drogę. Około północy Kompania dział szturmowych wyruszyła. Jechałem za nią w samochodzie terenowym. Właśnie wyprzedzałem kolumnę pojazdów, gdy powietrze rozdarł huk potężnej eksplozji. Wszystkie maszyny stanęły, a jedno z dział szturmowych zajęło się ogniem. Załogi pozostałych rozbiegły się po okolicy, myśląc, że zaatakowali nas Amerykanie. Jednak od razu ogarnęły mnie wątpliwości. Amerykanie, w nocy, przeciwko czołgom?! Na piechotę? Nie, to było zupełnie nieprawdopodobne!

Wszyscy się ukryli, trzymając broń w pogotowiu. Pojawiły się sylwetki i rozpoznaliśmy niemieckie hełmy, niektóre jeszcze z pierwszej wojny światowej. Te poczciwe dusze zbliżały się do nas ostrożnie, aż do

momentu, gdy przerwałem działanie zaklęcia i zawołałem do nich coś po niemiecku. Zorientowałem się, że przede mną stoją nasze ostatnie rezerwy - Volkssturm!

Ci ludzie nigdy nie widzieli dział szturmowych, więc byli przekonani, że mają przed sobą „złych chłopców”. Jednemu z nich puściły nerwy i wywalił do nas ze swego pancerna. Obie strony przyjęły ten fakt spokojnie.

W końcu feldmarszałek Model uradował mnie rozkazem przeniesienia Jagdtigerów w okolice Unny. Do tej pory skarżyłem się na nieodpowiednie pole ostrzału. Miałem nadzieję, że między Unną i Werl znajdę trochę więcej równin.

Byliśmy w trakcie załadunku w Gummersbach, gdy doszły do nas wieści, że Amerykanie przełamali linię frontu w Weidenau. Było nam bardzo trudno wyjechać. Wrogie myśliwce wisiały nad torami kolejowymi, jakby płacono im za nadgodziny, a kolejarze nie chcieli brać odpowiedzialności za ryzyko podróży. Dlatego jeden z naszych ludzi zdecydował się sam poprowadzić lokomotywę. Używając małej lokomotywy manewrowej, ruszył przodem, by sprawdzić, czy tory kolejowe nadają się do przejazdu. Ich stan mógł się zmienić w ciągu godziny.

Rosjanie nigdy nie zostawiali nam tak dużo czasu! Wystarczy spojrzeć, jak długo Amerykanie likwidowali kocioł, w którym rzadko kto mówił o stawianiu oporu. Dobrze wyekwipowane wojska niemieckie poradziłyby sobie z podobnym problemem w ciągu tygodnia.

Ruszyłem szybko z plutonem rozpoznawczym, by poznać możliwości przyszłego pola walki. Niestety, nie znaleźliśmy zbyt dużo przestrzeni do skutecznego ostrzału, na co po cichu liczyłem. Nacierający ze wschodu przeciwnik dotarł w tym czasie do Werl.

## 34 DZIWNY KOMENDANT MIASTA

Przydzielono mnie do komendanta miasta Unna. Nawet oddział dowodzenia miał mu się podporządkować. W rzeczywistości ludzie z tego oddziału prawie wcale nie zwracali uwagi na tego człowieka, który zachowywał się jak wielki wódz.

W każdym razie musiałem się u niego zameldować. Jego stanowisko dowodzenia znajdowało się w zastrzeżonej strefie wojskowej na zachód od drogi krajowej 233 i na południe od autostrady Zagłębia Ruhry. W końcu udało mi się znaleźć wejście do bunkra. Trzydzieści stopni w głąb piwnicy, która kiedyś była pewnie schronem przeciwlotniczym. Przed schronem stał spocony ze strachu wartownik, który śmiertelnie poważnie traktował swoje obowiązki. Na początku nie chciał mi udzielić żadnej informacji. W końcu potwierdził tylko, że tutaj znajduje się komendantura miasta. Gdy zszedłem na dół, kolejny wartownik przeprowadził mnie ciemnym korytarzem do pokoju, w którym urzędował „szef”. Kiedy drzwi się otworzyły, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Wokół wielkiego, okrągłego stołu siedziało wielu oficerów SS, ubranych we wspaniałe, eleganckie i czyste mundury galowe. Przed każdym z nich stała szklaneczka z likierem. Krótko mówiąc, niezwykle stanowisko dowodzenia!

Zameldowałem się i podałem stan pododdziału. Zachowując się jak prawdziwy mistrz ceremonii, komendant zapoznał mnie z sytuacją miasta. Pokazał mapy z przypuszczalnymi pozycjami obronnymi, poinformował, ilu ludzi ma pod komendą i jak wspaniale ufortyfikowana i trudna do zdobycia jest Unna. Oczywiście, moje siedem Jagdtigerów zostało natychmiast zaznaczonych na mapie. Naprawdę, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Z pozycji, które nam wyznaczono, nie mogłem ani strzelać, ani zobaczyć czegoś dalej niż na odległość pięćdziesięciu metrów, bo ulokowano nas za nasypem kolejowym. Na moje grzeczne uwagi na ten temat „ważny człowiek” odpowiedział jowialnie:

- Mój drogi przyjacielu. Myślę, że wkrótce znajdziesz drogę naokoło. Obecnie największe zagrożenie atakiem pochodu ze wschodu i północnego wschodu. Ale już wkrótce zobaczymy Amerykanów!

- Jawohl - odpowiedziałem z szacunkiem i ruszyłem na górę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy otworzyłem drzwi, podbiegł do

nich zdenerwowany młody wartownik. Zdał następujący raport:

- Ostrzał artyleryjski w sektorze mapy XY!

Stojąc na zewnątrz, zapytałem go o obowiązki. Zgodnie z tym, co powiedział, miał natychmiast meldować o każdym wybuchu artyleryjskiego pocisku wroga. „Wódz” nigdy nie wychodził na górę, nawet do umywalni. Wszystko było przeprowadzane bardzo wygodnie - przez telefon. Jakaż to różnica w porównaniu z oddziałami SS, które widziałem na Wschodzie. Teraz przynajmniej wiedziałem, że moglibyśmy przeciągać tam wojnę, bo mieliśmy w nich wsparcie. Musiałem tu tylko pilnować, żeby ten dziwny „ptaszek” nie odfrunął, nie powiadamiając mnie o tym.

Ustawiłem dwa działa szturmowe tak, by mogły kontrolować autostradę Ruhry, a pozostałe skierowałem na północne obrzeża Unny, aby obróciły lufy w stronę Kamen. Stanowisko dowodzenia utworzyłem w salonie sporego domu, stojącego niedaleko drugiej grupy dział.

W budynku, który zająłem, nadal mieszkała starsza dama. Kobieta otaczała nas troskliwą opieką. Niestety, co chwila musiałem wychodzić z domu, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wpadniemy w jakąś pułapkę.

Następnego dnia nieprzyjacielskie czołgi zaczęły strzelać w stronę miasta, na razie na szczęście z dużego dystansu. Pojechałem z mojej kwatery na posterunek wojskowy, by dowiedzieć się czegoś o nastrojach w „dowództwie fortecy Unna”. Sfrustrowany „Napoleon” natychmiast wezwał mnie do siebie.

- Niesłychana bezczelność ze strony tych Jankesów! Ośmielili się ostrzeliwać miasto. Mój obserwator z wieży przeciwlotniczej doniósł mi, że ustawili swoje czołgi na równinie w idealnych szeregach.

Zaproponował mi, abym też wszedł na tę wieżę i „zajrzał wrogowi w karty”. Jemu w wykonaniu tej czynności przeszkadzała złamana noga, dlatego podpierał się cały czas laską.

Rzeczywiście, teraz Amerykanie bardzo mnie interesowali, więc wspiałem się na górę. Natychmiast zauważyłem ze dwadzieścia czołgów ustawionych w porządnym szeregu, jakieś dwa kilometry od nas. Od razu pomyślałem, że warto by pokazać tym chłopcom, że my też jeszcze mamy kilka pocisków. Amerykanie co jakiś czas posyłali salwę w stronę miasta. Jeśli już stanęli nad tą „wielką sadzawką” i musieli być poddani tak wielkiemu stresowi, to powinni po powrocie do domu móc wspominać, że chociaż raz ktoś do nich wystrzelił. Tak gościnni są Niemcy!

Chciałem jednak, aby w takiej operacji wziął udział mój „Napoleon”. Złamana noga nie powinna mu przeszkadzać w czołgu. Wróciłem na

stanowisko dowodzenia i przesłałem mu zaproszenie. Oczywiście, nie mógł odmówić. Mając dwa Jagdtigery, które wycofałem z okolic autostrady, pojechaliśmy na niewielkie wzniesienie, na wschód od strefy zastrzeżonej dla kwatery „wodza”. Stąd mieliśmy wspaniałe pole obserwacji ruchów wroga. Niestety, stwierdziłem też, że gdy otworzymy ogień, nie będzie on zbyt celny, bo przeciwnik znajdował się za daleko. Dystans wynosił prawie trzy kilometry.

Równocześnie jankeskie czołgi zaczęły kryć się w niewielkiej kępie drzew. Oczywiście, Amerykanie za chwilę wezwą wsparcie przeciwko „przeważającym” siłom przeciwnika. Nie trzeba było długo czekać i na nasze wzniesienie zaczął spadać grad pocisków dużego kalibru. W tej sytuacji nie miałem już nic więcej do załatwienia, ale jako wielkoduszny gospodarz chciałem, aby komendant miasta przynajmniej zobaczył z bliska kilka eksplozji pocisków. Prawdopodobieństwo bezpośredniego trafienia było niewielkie, ponieważ Amerykanie strzelali z dział dalekiego zasięgu. Efekt psychologiczny, jaki wywołały te eksplozje, był większy, niż się spodziewałem. Nasz „wódz” uciekał do swojego bunkra tak szybko, że nawet zapomniał nieodłącznej do tej pory laseczki.

Zatrzymałem dwa pojazdy, by potem ulokować je na cmentarzu, znajdującym się na południe od stanowiska dowodzenia. Miały tam osłaniać nas od wschodu. Załogi dokładnie zamaskowały swoje maszyny. Poganiałem je, bo w powietrzu rozległ się warkot silnika „kulawej kaczki” z lotniczego zwiadu artyleryjskiego wroga. W trakcie prawdziwej wojny taka maszyna, przypominająca naszego Fieselera Storcha, natychmiast byłaby zestrzelona, ale w sytuacji, gdy nie mieliśmy lotnictwa ani obrony przeciwlotniczej, takie gruchoty mogły latać bez ryzyka i precyzyjnie kierować ostrzałem. Jednak gdy tylko nasze pododdziały zaczynały strzelać w niebo z broni maszynowej, samolot rozpoznawczy natychmiast zniknął.

Widziałem dwa lub trzy samoloty zestrzelone w trakcie oblężenia Zagłębia Ruhry, jednak był to raczej szczęśliwy przypadek. W rzeczywistości latanie w ostatnich tygodniach wojny nad naszym terytorium było dla Amerykanów całkowicie bezpieczne.

Kulawa kaczka nas zauważyła i chwilę później 150 metrów przed nami eksplodował pocisk ciężkiego kalibru.

- Wskakujcie do maszyn jak najszybciej - poganiałem młodych ludzi. Jednak mnie nie słuchali. Byli niedoświadczeni i nie wierzyli, że grozi im niebezpieczeństwo. Następny pocisk rozerwał się już tylko osiemdziesiąt metrów od nas. Potem nastąpiła salwa całej baterii haubic. Ciężki pocisk

wylądował w środku naszej grupki. Stałem kilka metrów od miejsca jego uderzenia i jakimś cudem trafił mnie tylko mały odłamek metalu. W tym momencie wszyscy, którzy mogli uciekać, schowali się za pancernymi działami szturmowymi. Na ziemi pozostało trzech straszliwie krzyczących żołnierzy. Odłamek pocisku rozerwał plecy mojego ładowniczego i lekko uszkodził mu kręgosłup. Szybko zapakowałem rannych do samochodu i zawiozłem do szpitala w Iserlohn, gdzie dobrze znałem lekarzy. Pomimo ich wysiłków jeden z trzech rannych zmarł wkrótce po przyjeździe. To wszystko nie wydarzyłoby się, gdyby żołnierze byli odpowiednio wyszkoleni.

Gdy wróciłem do „kwatery głównej” i schodziłem po schodach, usłyszałem bliskie serie z broni maszynowej. Razem z sierżantem natychmiast zbadaliśmy sprawę. Zaraz za granicą strefy zastrzeżonej zauważyliśmy żołnierza z nieznanego nam oddziału. Byłem zdziwiony, widząc tutaj jeszcze kogoś z niemieckiej armii. Należał do rozproszonego oddziału, który przebijał się do nas z własnej inicjatywy. Wpadł na nieprzyjacielski patrol i rozpoczęła się strzelanina, którą słyszeliśmy. Na dodatek powiedział, że nikt z jego ludzi nie widział czegoś, co przypominałoby linię obrony.

Wydało mi się to dziwne w świetle oceny sytuacji, jaką przedstawił mój „dowódca”.

Wróciłem do bunkra. Nie musiałem się martwić, że Amerykanom wpadnie do głowy, by nacierać nocą.

Znalazłem zgromadzenie w tradycyjnym składzie i w znakomitym nastroju. Zapytałem o ostatnie raporty z linii frontu. Dowódca pełen dumy zdał krótką relację.

- Nasza forteca trzyma się jak żelazny pierścień. Do tej pory tylko nasze północne oddziały na drodze do Kamen miały kontakt z wrogiem.

Odpowiedziałem trochę mniej butnie, ale bardzo jednoznacznie:

- Jeśli natychmiast nie postawisz w stan pogotowia swojej kompanii odwodowej, to zostaniesz schwytany, nim Amerykanie zdążą cię o tym powiadomić przez telefon!

Jego odpowiedź była niemal klasyczna.

- Nie denerwuj się, mój młody przyjacielu. Tu są ludzie, z którymi Amerykanie muszą się liczyć.

Facet myślał, że mnie uspokoił. Przekazałem mu słowa najszczerzego pożegnania i natychmiast pojechałem do mojego pododdziału. Chciałem wycofać dwa działa szturmowe ze skrzyżowania dróg w Kamen i

rozkazać tym stojącym przy autostradzie Ruhry, żeby natychmiast wyruszyły do Unny, aby nie zdobyli ich Amerykanie. Jechałem na północ drogą krajową 233. Jakies pięćdziesiąt metrów od skrzyżowania z autostradą Ruhry aż mnie zawróciło, tak mocno nacisnąłem hamulce. Przed nami jechały ze wschodu na zachód samochody. Mogliśmy tylko wykorzystać panujące ciemności i podkraść się bliżej na piechotę.

Nasze podejrzenia wkrótce się potwierdziły. Amerykańskie pojazdy kołowe i gąsienicowe z gumowymi nakładkami cicho toczyły się obok Unny w stronę Dortmundu. Ci ludzie nie mieli zupełnie pojęcia, że wokół są nadal niemieccy żołnierze. Nie było żywej duszy, która przeszkodziłaby im w całym przejeździe. Tak solidny był pierścień wokół Unny.

Moje Jagdtigery jeszcze nie strzelały. Ich załogi prawdopodobnie obawiały się zdradzić swoje pozycje. Szybko wróciłem do bunkra i wyprowadziłem „wodza” na zewnątrz, aby pokazać mu ten dziwny spektakl.

Właśnie docieraliśmy do skrzyżowania, gdy odezwały się moje działa szturmowe. Ruch na drodze zamarł natychmiast, tylko kilka jeepów jeździło bezładnie w tył i w przód. Do miasta wracałem sam, bo mój dowódca postanowił przebyć tę samą drogę pieszo. Bardzo bał się ze mną wracać, bo prowadziłem jeden z amerykańskich jeepów, które zdobyliśmy w Siegen. Miał on namalowaną amerykańską gwiazdę. Chociaż mój sierżant pocieszał go uwagą, że Amerykanie bardziej byliby urażeni, gdybyśmy nosili ich mundury, niż używali ich samochodów, nie dał się przekonać, aby wrócić razem z nami. Ten jeep dobrze mi kilka razy posłużył, gdy chciałem zająć stanowisko dowodzenia wskazane przez korpus. Niejednokrotnie nie mogłem ustalić obecności Amerykanów i trzeba było dopiero znaleźć ich położenie.

W godzinach porannych, po bezładnej strzelaninie pojazdy Jankesów wycofały się na wschodni skraj miasta. Strach Amerykanów jeszcze raz opóźnił upadek „twierdzy Unna”.

Ale odwaga „dowódcy” i jego garnizonu miała z tym niewiele wspólnego.

Dzisiaj zastanawiam się, dlaczego wtedy nie oddałem się po prostu do niewoli. Wszystko ewidentnie było stracone, żołnierze rzadko już stawiali opór. Ale nie chcieliśmy, nie mogliśmy uwierzyć, że całe nasze poświęcenie okazało się bezcelowe.

Gdyby nasi przeciwnicy wykazali więcej odwagi, dużo łatwiej byśmy kapitulowali. Przynajmniej wtedy mielibyśmy więcej nadziei na dobre traktowanie. Żaden prawdziwy żołnierz nie chciał w głębi serca



kapitulować przed tymi „leserami”, gdy w tym samym czasie na froncie wschodnim nasi towarzysze broni desperacko stawiali opór Rosjanom.

Ze sztabu korpusu szybko odjechałem do Unny, by dotrzeć tam jeszcze przed nastaniem dnia. Tuż przed autostradą Ruhry zamigotały czerwone światełka. Czy to mogli być Jankesi? Nadal darzyliśmy ich zbyt wielkim uznaniem. W końcu okazało się, że to esesman machał latarką.

- Nie możecie już wjechać do miasta. Wszystkie bariery przeciwczołgowe zostały zamknięte. Unna będzie broniona do ostatniego człowieka - powiedział.

- Ale beze mnie! - krzyknąłem i przejechałem obok zaskoczonego młodego człowieka.

Wkrótce dojechaliśmy do pierwszej przeszkody przeciwczołgowej. Mój samochód mógł ją swobodnie objechać z lewej lub z prawej strony. Dotarłem do posterunku wojskowego bez kontaktu z wrogiem. Jakiś maruder powiedział mi, że „komendant” już uciekł. Wcześniej jednak wysłał jeszcze przez radio komunikat do kwatery Führera: „Unna okrażona. Będzie się bronić do ostatniego żołnierza! Niech żyje Führer!”.

Zgodnie z ostatnimi rozkazami garnizon Unny powinien zebrać się w Iserlohn.

Zebrałem swoje wozy bojowe i poprowadziłem je na południe do następnej wioski. Wkrótce zauważyliśmy, że wojna nadal trwa. Utrapieniem stały się amerykańskie czołgi. Szybko ustawiliśmy Jagdtigery na wschodnim skraju wioski. Podjechałem samochodem w stronę niewielkiego wzniesienia, które było znakomitym punktem obserwacyjnym. Wróg już dotarł do drogi krajowej 233. Pod drzewami, tuż obok nas stało pięć czołgów wroga. Odległość wynosiła raptem 600 metrów. Szybko wyprowadziłem jedno z moich dział szturmowych, aby dało to wrogowi do myślenia.

Dowódca Jagdtigera, szef kompanii bez wojennego doświadczenia, chciał sam przeprowadzić całą akcję. Idąc po bezpiecznej stronie czołgu, poprowadziłem go pieszo na wzniesienie. Wskazałem mu wroga i podałem odległość, więc nic nie powinno pójść źle. Wszystko wyglądało jak na ćwiczeniach. Podoficer wszedł do pojazdu, a ja pozostałem jako obserwator.

Pechowy dowódca popełnił fatalny błąd. Nie nastawił mechanizmem korbowym lufy, co powinien zrobić, nim wjechał na wzniesienie. Oczywiście, Amerykanie usłyszeli dźwięk silnika i odpowiednio zareagowali. Dwa ich czołgi zaczęły zmykać, natomiast reszta otworzyła ogień. Maszyna sierżanta otrzymała trafienie czołowe, nim jeszcze padł z

niej strzał. Zamiast strzelać, dowódca jak lunatyk zaczął jeździć w kółko, a mógł po prostu się wycofać. Kiedy Amerykanie ujrzeli przed sobą bok Tygrysa, jego los był przesądzony. Natychmiast stanął w płomieniach trafiony przez kolejny pocisk. Nikt z sześciuosobowej załogi się nie uratował. Prawdopodobnie jeden człowiek przeszkadzał drugiemu. Ten przykład pokazuje, że najlepsza broń i entuzjazm są bezużyteczne, gdy nie przeprowadzono porządnie podstawowego szkolenia.

## 35 ZBLIŻAJĄC SIĘ DO KOŃCA

Z naszych pozycji mogłem obserwować, jak Volkssturm porzucał linie obronne i strumieniem kierował się z powrotem do miasta. Dla tych ludzi wojna już się skończyła. Amerykanie spokojnie podążali długą kolumną pojazdów po autostradzie Ruhry w stronę Dortmundu. Mogłem obserwować przez lunetę, jak kobiety i dziewczęta machają do naszych wyzwolicieli. Nagle wszędzie pojawiły się białe flagi. Miasto, do tej pory ciche jak grób, nagle ożyło. Linijka z hymnu „Deutschland, Deutschland, über alles...” nagle zmieniła mi się w głowie na: „Niemiecka wierność, niemieckie kobiety...”.

Co mają robić żołnierze, gdy cała ludność podnosi białe flagi? A my „nie chcieliśmy złamać złożonej przysięgi, bo tym samym stawaliśmy się zgniłymi łajdakami”.

Musiałem zastosować pewną sztuczkę, aby uzyskać więcej paliwa. Aby pokazać niemiecką sumienność, dyżurny podoficer w składzie zaopatrzeniowym zaczął wspominać o przepisach. Natychmiast na niego ryknąłem:

- Dawaj swoją książeczkę żołdu! W ten sposób będę mógł zameldować feldmarszałkowi Modelowi, kto jest odpowiedzialny za to, że moje pozostałe czołgi nie mogą się poruszać!

Natychmiast otrzymałem wielką ilość paliwa. Miałem go tyle, że nie byłem w stanie go wyjeździć, nim cała „kieszeń” Ruhry poszła z dymem. Pomimo obecności amerykańskiego lotnictwa zdołaliśmy wycofać się bez strat własnych. W ten sposób kontynuowaliśmy „natarcie do tyłu”.

Obszar, znajdujący się w pierścieniu naszej obrony, kurczył się coraz bardziej. Nawet łączność zaczęła dobrze funkcjonować. Przedtem, przez parę tygodni, ledwie istniał jakiś kontakt między sztabem Modela a poszczególnymi dywizjami.

Umieściłem moje ostatnie stanowisko dowodzenia w domu, zaraz obok linii kolejowej. Spaliśmy na podłodze. Ledwie przysnąłem, gdy powietrzem targnął przerażający huk. Oczywiście, w pierwszej chwili uznałem, że działają bombowce wroga, ale okazało się, że to niemieckie działo kolejowe wysłało ponad naszymi głowami ostatnie pozdrowienie. Musieliśmy się ulotnić, nim nadlecą myśliwce bombardujące. Działo kolejowe znikło w tunelu.

W trakcie ostatniego kontaktu z wrogiem doświadczyłem po raz

pierwszy poddania wioski, rozejmu i wszystkiego, co się z nim wiązało. Znałem to do tej pory tylko z pogłosek. Dla tych, którzy doświadczyli wyłącznie walk na froncie wschodnim, coś takiego wydawało się niemożliwe.

Oślanialiśmy większą wioskę. Miałem rozkaz, aby za wszelką cenę utrzymać ją jak najdłużej. Po jej poddaniu cały pierścień obrony Zagłębia Ruhry mógłby się rozpaść.

Amerykanie nie okazywali, że spodziewają się z naszej strony jakiegokolwiek oporu. Nadjeżdżali spokojnie kolumną czołgów. Gdy zniszczyliśmy kilka z nich, reszta natychmiast zniknęła. Wówczas wybiegł z wioski główny lekarz szpitala. Zaczął mi robić gwałtowne wymówki, że rozpoczęliśmy strzelaninę. Szpitale były wypełnione po brzegi. Nawet w prywatnych domach leżeli ranni. Cała wioska, jak twierdził lekarz, przypominała jeden wielki szpital połowy. Stało się dla mnie jasne, że musimy się wycofać bez walki, chociaż wiedziałem również, że pierścień obronny może pęknąć po opuszczeniu tych pozycji.

Mimo to postanowiłem zająć się Amerykanami. Kiedy ruszyłem z sierżantem w ich stronę, czułem nieznośny ucisk w żołądku. Pozostało mi to z czasów Rosji. Co tam znaczył Czerwony Krzyż? Tutaj jednak broń milczała. Obie strony troszczyły się o rannych.

Sprawy z moim sierżantem nie poszły tak dobrze. Bał się bardzo i ciągle o tym mówił. Ale potem było już w porządku. Amerykanie wyszli ze swych czołgów, dlatego prawdopodobnie przestaliśmy się bać. Przyjął mnie dowódca oddziału, z którym był żydowski tłumacz.

- Jesteście z SS? - oczywiście tak brzmiało pierwsze pytanie.

Byłem w stanie uspokoić tego dobrego człowieka. Najprawdopodobniej sądził, że pod mundurem każdego członka Waffen SS kryje się krwiożercza bestia. Zapewniłem go, że my, czołgiści, nosiliśmy trupie czaszki na mundurach na długo przed oddziałami SS.

Potem przedstawiłem swoje postulaty. Amerykański porucznik podjechał do naszej grupy jako rozjemca. Nic nie mówił w czasie jazdy. Gdy zapytałem go, czy należy do takiego a takiego oddziału pancernego, bo miał naszyty na rękawie numer, odpowiedział sucho, że on nie pyta mnie o numer mojego pułku. Jego odpowiedź była chyba całkiem rozsądna. Byłem tylko zaskoczony, że Amerykanie nosili w warunkach bojowych naszywki z numerami jednostek. W przeciwieństwie do nich, my je zdejmowaliśmy.

Wszystko przedyskutowano w sztabie korpusu i ewakuacja została zaaprobowana. Po co kontynuować bezsensowny stan zagrożenia

ranych? Warto zaznaczyć, że Amerykanin nie przyjął papierosa od naszego generała, a co dopiero czegoś do picia! Czyżby się nas obawiał?

Omówiono dokładnie, jak Amerykanie przejmą miasto po naszym odwróceniu. Został szczegółowo ustalony czas rozpoczęcia rozejmu. Czułem się jak na boisku piłkarskim w przerwie meczu!

Odwiozłem porucznika i pożegnałem się z dowódcą amerykańskiej czołwki pancernej. Chciał mi zaoferować kubek kawy i był bardzo zdziwiony, kiedy odmówiłem. Wtedy zapytał mnie, po co w ogóle kontynuujemy walkę. Odpowiedziałem mu, że jako żołnierz i oficer chyba nie potrzebuję mu tego wyjaśniać. Poradził, żebym chronił moich ludzi do chwili, gdy będziemy potrzebni do wykonania wspólnych zadań. Ten sygnał dał mi znowu trochę nadziei. Mógł dotyczyć przede wszystkim wspólnej kampanii przeciwko Rosji. Może wśród aliantów zachodnich rozsądek zwyciężył nad nienawiścią. Prawdopodobnie znajdziemy się między wrogimi do tej pory oddziałami bojowymi. Niestety, politycy mieli ostatnie słowo.

Ledwie wyjechaliśmy z wioski, gdy Rosjanie, którzy do tej pory siedzieli w obozie, zaczęli wszystko plądrować, napadając na ludność cywilną. Zachowywali się jak zwierzęta, Musiałem zawrócić i poprosić Amerykanów o przywrócenie porządku. Posprzątali szybko. Nie marzyłem, żeby to było możliwe. Rosjanie z powrotem znaleźli się za drutami kolczastymi. Bezwzględne postępowanie pozwalało mocniej uwierzyć, że siły Zachodu ruszą na Wschód po naszej kapitulacji.

Kolejne dwa dni przeleciały w wiosce, w której przebywałem w szpitalu. Tu wszystko wyglądało inaczej. Miejsce to zamieniło się w obóz wojskowy. Przybywał tu każdy, kto nie chciał stać się więźniem. Nikt nie myślał o jakiegokolwiek obronie. Stacjonowaliśmy w kępie drzew, gdzie pododdział konserwacji sprzętu zajmował się naszym ostatnim Jagdtigerem. Nadeszły wieści, że Amerykanie wkroczyli do wioski.

Rozerwaliśmy ładunkiem wybuchowym lufę naszego działa szturmowego. Zebrałem po raz ostatni kompanię. Nie umiem wyrazić słowami, jak czułem się na tym ostatnim zebraniu i co wyrażały twarze żołnierzy, kiedy mówiliśmy sobie do widzenia.

Kilku z nich chciało się dalej przebijać, ale i tak wszyscy spotkaliśmy się w obozie.

Feldmarszałek Model uniknął pójścia do niewoli, popełniając samobójstwo gdzieś w lasach w koło Duisburga. To bardzo smutny los dla tak wspaniałego dowódcy! Nawet on nie był w stanie zapobiec klęsce. Ucieszyłem się, że ten wzorowy żołnierz dzięki samobójstwu uniknął

przekazania w ręce Rosjan. A na pewno zostałyby im wydany, gdyby stał się jeńcem. Nie chciał przeżyć upadku swojej ojczyzny.

## 36 POGANIE SA CZĘSTO LEPSZYMI CHRZEŚCIJANAMI

Do samego końca śledziliśmy informacje z frontu wschodniego. Wykorzystywaliśmy pobyt w szpitalu, w naszej „złotej klatce”, by słuchać wiadomości, jakie nadawała ostatnia niemiecka stacja radiowa. Cieszyliśmy się, że nasi towarzysze na wschodzie toczyli zażarte walki, aby zatrzymać Iwanów jak najdłużej. Niestety, ich poświęcenie było daremne. Amerykanie zatrzymali się na Elbie. Nadzieje na wspólną walkę z Rosjanami gwałtownie zmalowały. Jak łatwo można by przeprowadzić takie natarcie i jak chętnie nasze oddziały pomaszerowałyby na wschód! Jankesi musieliby tylko zatroszczyć się o zaopatrzenie! Ostatnia okazja do przeprowadzenia mało ryzykownej wojny prewencyjnej została odrzucona, kiedy zaślepieni nienawiścią alianci zjednoczyli się z diabłem przeciwko Niemcom. Osiągnęli tylko jeden wspólny cel: nasz kraj niemal przestał istnieć. W każdym razie sami Amerykanie nie wygraliby wojny; to już było oczywiste jeszcze przed ich interwencją. Mogliby utracić pokój.

Wielki admirał Dönitz ogłosił przez radio komunikat o śmierci Hitlera. Oficerowie i lekarze zgromadzili się w kasynie oficerskim. Jeszcze raz założyliśmy mundury, wiedząc, że robimy to po raz ostatni.

Kilka dni później na rozkaz Amerykanów pierwsi pacjenci udali się do obozu jenieckiego. Razem z lekko rannym podpułkownikiem jako ochotnik ruszyłem w grupie sześciu oficerów. Pierwszy raz mieliśmy okazję zapoznać się z amerykańskimi żołnierzami, których znaliśmy lepiej lub gorzej z plotek. Jeżeli wysoki poziom techniczny nie idzie w parze z dobrym wychowaniem, wtedy zachowanie wygląda tak, jak tego doświadczyli nasi koledzy od oficerów i żołnierzy wroga. Tylko ludzie, którzy nie uczestniczyli w żadnych walkach, mogli zachowywać się w taki sposób. Oceniali nas według tego, co podawała paskudna propaganda.

Nie tylko od przegranych, ale i od wygranych trzeba wymagać wielkoduszności. Ale nasi przeciwnicy o tym zapomnieli. Miałem wrażenie, że okupanci chcą udowodnić za wszelką cenę, że nie są lepsi od nas, lecz raczej gorsi!

Spędzili nas tysiącami na płycie boiska. Ledwie można było wyciągnąć się na ziemi. Nie dawano racji żywnościowych, chociaż nasze oddziały przybyły z ciężarówkami pełnymi zapasów. Samochody te przewrócono i spalono! Co gorsza, nie dano nam nawet kropli wody. Dopiero groźba buntu i ucieczki spowodowała, że kilku naszych żołnierzy mogło udać

się po niewielki zbiornik z wodą. Kiedy upragniony płyn wreszcie dotarł, jakiś major próbował bezskutecznie wprowadzić porządek, aby każdy dostał swoją porcję. Dla starych żołnierzy to nie był problem, ale Jankesi zamknęli z nami sporo cywilów, którzy natychmiast wzniecili rebelię i rzucili się jak bydło w stronę zbiornika. Pozwolili po prostu wodzie wyciekać i nikt nie dostał ani kropli!

Kilka dni później przywieziono żołnierzy, którym ostatnio przeprowadzono amputacje. Szpital miał zostać zlikwidowany. Nie dostarczono żadnych opatrunków. Cięliśmy koce, aby pomóc naszym towarzyszom najlepiej, jak mogliśmy. Umierali naprawdę okropną śmiercią, a my - patrząc na to - nie mogliśmy im pomóc!

W nocy nasze życie było w niebezpieczeństwie, nawet gdy tylko chodziliśmy w kółko. Amerykanie od razu otwierali ogień, jeśli ktoś chciał dotrzeć do łazienki. Sam widziałem, jak trzech ludzi straciło życie, nim zbliżyli się do linii demarkacyjnej. Tacy byli ci „wyzwoliciele”, którzy chcieli uczyć nas humanitaryzmu. Tak zwane przesłuchania były czymś jeszcze innym.

Po naszych ludziach spodziewano się, że będą składali oświadczenia na tematy, o których zupełnie nie mieli pojęcia. Umieszczano ich na dnie dołów w ziemi i trzymano tam tak długo, aż przyznali się do swych „zbrodni”. Inni musieli klęczeć na ostrym żelastwie, aż pęknie ich opór! To, co wtedy działo się w Remagen, Kreuznach, Landau, czy w obozie dla esesmanów w czasie haniebnego procesu w Malmedy, dało kilku strażnikom obozowym niezłą możliwość dorobienia się fortuny.

Los był dla mnie łaskawy. Z powodu mizernego wyglądu zostałem szybko zwolniony. Pożyczyłem cywilne ubranie, podałem jako swoje zajęcie „praktykant rolniczy” oraz adres mojego wuja, lekarza. Dzięki temu pojawiłem się u niego w szpitalu jako wolny człowiek. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że mogliśmy się zobaczyć, a lekarze zazdrościli mi, bo oni nadal pozostawali więźniami.

A dla mnie wojna naprawdę się skończyła. Zaczynało się nowe życie.



## 37 NA ZAKOŃCZENIE

Upłynęło już wiele lat. Wczorajsi wrogowie stali się naszymi sojusznikami. Nienawiść, jaką przejawiali zachodni alianci w stosunku do niemieckich żołnierzy i jaka trwała wiele lat po zakończeniu wojny, zmieniła się w zrozumienie faktu, że nasi ludzie po prostu przez cztery i pół roku wykonywali swój obowiązek - porządnie, odważnie i lojalnie. W naszym kraju nadal się tego nie dostrzega, ale to już inna opowieść. To pozostanie na zawsze skazą na honorze naszego narodu.

Stary duch braterstwa broni nigdy nie zaginie pomimo poniżenia, jakiemu byliśmy poddani i całej niesprawiedliwości, jaką znosiliśmy. Wspólne cierpienia jednoczą ludzi, a wspólne doświadczenia zobowiązują. Kogo mogłoby dziwić, że my - czołgiści, staraliśmy się utrzymać kontakt po wyjściu z niewoli?

Miałem to szczęście, że byłem jednym z pierwszych, którzy wrócili do domu. Bardzo szczęśliwy, bo cała rodzina przetrwała wojnę. To był niezapomniany dzień! Mój ojciec powrócił poprzedniego wieczora. Zastał w domu matkę i mojego brata. A następnego wieczora znowu byliśmy całością. Chociaż przed długi czas nic o sobie nie wiedzieliśmy, zebraliśmy się w ciągu dwudziestu czterech godzin. Los był dla nas łaskawy!

Pierwszym człowiekiem ze starego pododdziału, z którym nawiązałem kontakt, był Delzeit. Potem odnaleźli się: Köstler, Rieger, Stadler i wielu innych. Dzisiaj utrzymujemy kontakty z ponad pięćdziesięcioma ludźmi z naszego pododdziału czołgów. Pierwsze spotkanie świętowaliśmy w małej grupce w Holzkirchen, niedaleko Monachium. Przyjechali też nasi towarzysze z Austrii. W 1955 roku spotkaliśmy się w Seewalchen nad Attersee. Przyjechały również nasze żony. Zdecydowaliśmy spotykać się co roku w Pentecost. Do chwili, gdy wszyscy członkowie 2. kompanii 502. batalionu ciężkich czołgów zbiorą się ponownie - nie spoczniemy w naszych staraniach.

Tę książkę dedykuję żołnierzom naszej kompanii, a szczególnie poległym towarzyszom, którzy zawsze są z nami na naszych spotkaniach.

## POSŁOWIE DO WYDANIA ANGIELSKIEGO

Jedni piszą historię wojny, aby utrzymać o niej żywą pamięć. Inni czytają te wspomnienia, aby się dowiedzieć, co się wówczas wydarzyło. Przede wszystkim ma się nadzieję - i taka jest intencja tych tekstów - że młode pokolenie wyciągnie z tej lektury wnioski dotyczące przywództwa, szkolenia i uzbrojenia.

II wojna światowa skończyła się ponad czterdzieści pięć lat temu. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, czy jej obraz zmienił się fundamentalnie? Czy można czegoś jeszcze się z tamtych wydarzeń nauczyć? Czy broń chemiczna, biologiczna i nuklearna stworzyły zupełnie nowe warunki i unieważniły poprzednie zasady?

Rozwój uzbrojenia w czasie ostatniej wojny przyczynił się do zniszczenia wielu istnień ludzkich i infrastruktury cywilizacyjnej. Nowe bronie masowego rażenia sprawiły, że powstały inne priorytety w prowadzeniu wojny. Ich rozwój niesie ze sobą ryzyko, że przeciwnik będzie się bronił tym samym. Żadne współczesne państwo nie pragnie popełnić samobójstwa, więc równowaga strachu będzie - przy odrobinie szczęścia - funkcjonować. Każda myśląca osoba z pewnością jest ciekawa, dlaczego kraje przemysłowe kontynuują rozwój tych broni, skoro ich dezaktywacja, a także mniej lub bardziej bezpieczne magazynowanie stanowią wielki problem i tak będzie przez kolejne dekady?

Trzy dobrze znane przykłady są tego dowodem:

Broń nuklearna: Hiroszima i Nagasaki. Pokolenia już cierpią z powodu dziedzicznych spowodowanych, spowodowanych przez tę broń.

Broń biologiczna: Wyspa przy wybrzeżu Anglii, gdzie odporny patogen wąglika był testowany na owcach. Teren ten do tej pory jest niedostępny dla ludzi. Nie da się żyć na tej wyspie. (A ta broń miała być podobno zrzucona na Hamburg!)

Broń chemiczna: Zniszczeń, jakie spowodowało zastosowanie w Wietnamie dioksyn, co miało doprowadzić tylko do defoliacji lasów, nie przewidziała żadna z walczących stron. Potwierdza to również fakt, że prawo nie objęło opieką dotkniętych ich zastosowaniem amerykańskich weteranów.

Liczba ludzi, którzy ucierpieli w wyniku użycia broni atomowej i chemicznej, a także testowania tych broni, jest okryta ścisłą tajemnicą przez wszystkie potęgi atomowe.

Doktor Jacob Segal, profesor biologii ogólnej na Uniwersytecie

Humboldta w Berlinie nadal głosi teorię, że AIDS jest ludzkim wytworem, który miał być użyty jako broń biologiczna. Miał on być stworzony przez rekombinację genów wirusa Visna i ludzkiego HTL VI. Nawet jeśli to tylko teoria, pozostaje faktem, że takie możliwości są rozważane przez najwybitniejszych biologów. To powinno nas zmusić do chwili zastanowienia. Naukowcy ponoszą całkowitą odpowiedzialność. Mam nadzieję, iż w końcu powiedzą „stop” temu szaleństwu, że ich sumienie będzie silniejsze niż ambicje i chęć zysku.

Według mnie najwyżsi wojskowi na Wschodzie i Zachodzie dostrzegają, że dowodzenie na polu walki kończy się, gdy zastosowana zostanie broń biologiczna, chemiczna lub jądrowa. Jedyne pytanie dotyczy wyłącznie przetrwania i sposobu ocalenia tego, co pozostanie. Dowodzenie operacyjne w czasie wojny nuklearnej jest niemożliwe. Mam nadzieję, że politycy wojskowi potrafią to przyznać. Najniższy poziom dowodzenia jest najbardziej niewdzięczny w momencie zastosowania środków masowego rażenia. Sporo czynników działa przez wiele dni po ich użyciu. Żołnierze są gotowi do walki, ale mają minimalną szansę przetrwania, nawet jeśli natychmiast udziela im się pomocy. Czy dowódca kompanii powinien wykorzystywać swoich żołnierzy, jeśli wie, że są zgubieni? Trudno sobie wyobrazić, jakiemu stresowi może być poddany żołnierz i jego dowódca w takiej sytuacji!

Wojnę można oczywiście kontynuować, ale tylko w pewnej odległości od skażeń, które pozostają po zastosowaniu broni masowego rażenia. Im więcej się tej broni stosuje, tym mniej miejsca zostaje na dowodzenie oddziałami: im rzadziej się je stosuje, tym bardziej wojna ma charakter konwencjonalny, i w zasadzie taka wojna nie będzie charakterem specjalnie odbiegać od tej, która miała miejsce w Europie w latach 1939-1945.

Jakość, skuteczność współczesnych armii konwencjonalnych, wyposażenie, organizacja i rozmieszczenie oddziałów na polu walki podlegają dynamicznemu rozwojowi. „Kombinowane armie łączące różne rodzaje broni” wykonują swoje zadania dużo szybciej, ich broń staje coraz bardziej zabójcza i technicznie zaawansowana. Tylko człowiek pozostaje ten sam, a nawet staje się jeszcze bardziej delikatny. Dlatego sądzę (odsuwając na bok albo nie biorąc nawet pod uwagę efektów działania broni niekonwencjonalnej), że podstawy dowodzenia, jak również ruchu i rozmieszczenia oddziałów i ich uzbrojenia, niewiele zmieniły się w stosunku do tego, co nasi przodkowie nazywali manewrowością.

Wreszcie, nadmierne wykorzystywanie komputerów w wyposażeniu bojowym i dowodzeniu jest często dodatkowym obciążeniem dla żołnierzy na froncie. Bez względu na rangę żołnierz, który zapomni, że ma rozum, nie będzie go używał, aż do chwili, gdy zawiodą komputery. W żadnej sytuacji dowodzenie nie może podlegać komputerom!

Oceniając z tego punktu widzenia, lekcje wyciągnięte z II wojny światowej zachowują swoją wartość. Warto na chwilę przyjrzeć się im, wziąć do serca i rozwijać.

# KOMENTARZE DO DOKUMENTÓW

## DOKUMENT 1

Raport po akcji wyszczególnia problemy, na jakie natknięto się przy tworzeniu pierwszego batalionu Tygrysów. Napisany jest z punktu widzenia dowódcy, a detale pierwszych operacji 502. batalionu ciężkich czołgów zostały również wymienione w świetle proponowanych zmian w organizacji i wykorzystaniu jednostki. Sprawozdanie to powstało, nim Otto Carius dołączył do tego pododdziału.

## DOKUMENT 2

Raport po akcji został napisany przez zespół pododdziału remontowego 520. batalionu. Podaje listę problemów, jakie napotkano w Tygrysach z pierwszej serii produkcyjnej.

## DOKUMENT 3

Operację na „Żydowskim Nosie” opisał dowódca batalionu, major Schwaner. (Proszę porównać z rozdziałem „Krzyż Rycerski w szpitalu”.)

## DOKUMENT 4

Operacja w Dyneburgu i wokół Dyneburga, za udział w której Otto Carius otrzymał Liście Dębowe do Krzyża Rycerskiego, została dokładnie opisana w batalionowym raporcie sporządzonym po akcji przez majora Schwanera.

## DOKUMENT 5

Raport plutonu inżynierskiego sztabu L Korpusu Armijnego omawia działania, jakie trzeba podjąć w celu wzmocnienia sieci dróg, aby mogły z nich korzystać Tygrysy. W raporcie wykorzystano materiały dostarczone przez dowodzącego czasowo batalionem kapitana Schmidta i podporucznika Cariususa.

## DOKUMENT 6

Raport po akcji napisany przez podporucznika Cariususa, opisuje operacje w Lembicie i wokół Lembitu w marcu 1944 roku. Treść raportu pokrywa się z początkiem rozdziału „Iwan atakuje”.

# DOKUMENT 1

KOPIA

Kapitan Lange  
2. kompania  
502. batalion ciężkich czołgów

W terenie  
29 stycznia 1943

## RAPORT PO AKCJI

### I. Powstanie

Kompania została sformowana i weszła w skład batalionu w maju 1942 roku. Pierwsze Tygrysy przydzielono 25 września 1942 roku. Do 1. kompanii 502. batalionu miały być przeniesione 13 października 1942 roku. We wspomnianym okresie kierowcy byli egzaminowani przez oficera technicznego batalionu Heringa. Rozpoczęto też szkolenie czołgowe. Przez większość tego czasu Tygrysy znajdowały się w warsztacie. Dopóki nie zakończono wyposażania pojazdów, szkolenie ograniczało się do sal lekcyjnych, gdzie wykorzystywano zarekwirowane karty szkoleniowe. Przeprowadzano też szkolenie teoretyczne i praktyczne w terenie.

W dniach 21 i 22 grudnia 1942 roku przyjmowano po jednym Tygrysie, a 25 grudnia dostarczono dwa kolejne ciężkie czołgi, 26 grudnia następne trzy i 28 grudnia jeszcze dwa. Szkolenie w tych dniach ograniczono do kilku godzin, bo resztę czasu pochłaniało wyposażanie, modyfikacje i wydawanie elementów wyposażenia do nowych pojazdów. W dodatku wszystkie prace niezakończone przez pododdział obsługi naprawczej, musiały być teraz wykonane przez same załogi. Drużyny pododdziału, kierowcy kompanijnych Panzer VI, jak również dobrzy specjaliści, szefowie warsztatów naprawczych i nadzór batalionowego plutonu obsługi, zostali dołączeni do 503. batalionu pancernego w okresie od początku grudnia do 21 grudnia. Wszystkie Tygrysy zostały skoncentrowane w Fallingbostel, nawet te dwa, które miano według rozkazów pozostawić na platformach kolejowych (Ssym). Wszystkie trzy transporty kolejowe odprawiono jednak w terminie wymienionym w rozkazie. Pierwszy transport odjechał 27 grudnia o godzinie 20.00, drugi 28 grudnia o godzinie 05.00, zaś trzeci skład opuścił stację 29 grudnia o godzinie 11.00.

Problemy zaczęły narastać, ponieważ aż do wieczora 23 grudnia nie

dostarczono dalekopisem rozkazu, iż kompania ma być przydzielona do Grupy Armii Don. Po raz pierwszy wtedy dotarła wiadomość, że kompania ma być oddzielona od macierzystego batalionu. W tym czasie jednak wszystkie jednostki uzupełniające zostały przez dowództwa kompanii zebrane w batalion nad rzeką Wołchow. Do zapewnienia zaopatrzenia kompanii niezbędne były ciężarówki (szybko przydzielone przez dowództwo armii), dostarczone 26 grudnia. Kierowcy przybyli z batalionów uzupełnień rankiem 27 grudnia. Dla przykładu, wszystkie dostarczane później Panzer VI przybywały bez wyciorów armatnich (dla armat podstawowy wzór 36). Dopiero interwencja specjalnych kurierów, wysłanych do Kruppa i Wegmanna, rozwiązała ten problem.

Nie pozostawiono chwili czasu na szkolenie organizacyjne. Wydaje się zasadne, aby wszystkie załogi Tygrysów miały przynajmniej trzy tygodnie na szkolenie, od chwili otrzymania ostatniego czołgu. Co więcej, konieczne byłoby wypożyczenie na pewien czas doświadczonych oficerów i doradców, którzy pomogliby szkolić żołnierzy i podzieliliby się z nimi doświadczeniami w trakcie pierwszych operacji. Robiąc to zbyt szybko, trudno spodziewać się sukcesów w walkach. Łatwo można doprowadzić do uszkodzeń pojazdów, w rezultacie nieodpowiedniego wyszkolenia załóg. Warto zalecić, aby w wybranych pułkach bataliony, które już posiadają solidne doświadczenie i mają odpowiednią wiedzę taktyczną i techniczną, były wyposażane w Tygrysy.

## **II. WYKORZYSTANIE**

5 i 6 stycznia 1943 roku trzy pociągi zostały rozładowane na stacji Proletarskaja. Następnie 7 stycznia kompanię dołączono do 17. Dywizji Pancерnej i skierowano do Szungar (rejon Kuberle). W ciągu dziesięciu i pół godziny przebyto bez wypadków odległość 107 kilometrów. Co dwadzieścia kilometrów robiono postoje na przegląd techniczny.

### ***8 stycznia 1943 roku***

#### **Zadanie:**

Kompania została dołączona do 39. batalionu pancernego. Razem z kompanią czołgów „Sander” atakowała sześć wiosek, znajdujących się przed nimi, na lewym skrzydle dywizji (punkt ciężkości - Osierskoje i Niżna Sieriebiakowka). Likwidowano każdego przeciwnika, który się

pokazał. Po podpaleniu pierwszej wioski (dwanaście kilometrów od Iłowaskoje) dotarła przez radio wiadomość: „Natychmiast zawrócić przez rejon Kuberle, aby odeprzeć atak wspomaganych czołgami, dwóch rosyjskich pułków, nadchodzący z Osierskoje”.

W czasie tych działań zniszczono 2 czołgi, 8 armat przeciwpancernych i około 1000 rosyjskich żołnierzy, w większości przetaczając się po nich. Dodatkowo zniszczono dużą liczbę karabinów przeciwpancernych (rusznic) i lekkiej broni piechoty. W wyniku tej operacji atak na linie naszej piechoty został zatrzymany.

Pokonana odległość w ciągu dnia	—	65 kilometrów.
Straty	—	1 Panzer VI z powodu awarii układu napędowego 2 Panzer III zniszczone ogniem nieprzyjaciela
Ofiary	—	1 zabity 5 zaginionych w akcji 3 rannych
Pogoda	—	rano gwałtowna burza śnieżna z kawałkami lodu, później dobra widoczność.

## ***9 stycznia 1943 roku***

### **Zadanie:**

Razem z kompanią czołgów „Sander” oczyścić południowo-zachodnią część Iłowaskoje.

Atak rozpoczął się o świcie i zakończył zniszczeniem 5 czołgowych karabinów maszynowych 7,62 mm wroga, dwóch lekkich haubic potowych i słabego batalionu wroga. Po wykonaniu zadania oddział zebrał się w północnej części Iłowaskoje.

Godzina 09.00 - nowe zadanie: Związać walką i zniszczyć piętnaście czołgów wroga, które zbliżają się do Bratskoje.

Ponieważ kompania Tygrysów nie mogła przejechać po moście przez rzekę Kuberle w Bratskoje, atak musiał być przeprowadzony w formie kleszczy. Kompania o własnych siłach przekroczyła nabrzeże Kuberle na wschód od Iłowaskoje i ruszyła na północ. Silna linia obrony przeciwpancernej wroga, znajdująca się 1000 metrów przed nami, została zniszczona jednym atakiem (częściowo przy użyciu zasłony dymnej).

W czasie operacji zniszczono osiem armat przeciwpancernych.

Następnie kompania zwróciła się w stronę Bratskoje, aby połączyć się



z kompanią czołgów „Sander”. W tym czasie rosyjskie czołgi zawróciły w kierunku na Sal. Po połączeniu się z kompanią „Sander”, nakazano atak na Osierskoje. Część wsi objęły płomienie po zniszczeniu czterech flankujących armat przeciwpancernych. Potem kompania wycofała się w kolumnie konwojowej, osłaniając uszkodzone czołgi.

Pokonana odległość w ciągu dnia — 48 kilometrów

Straty — 1 Panzer VI, uderzenie w kopułkę dowódcy (pocisk kał. 76,2 mm) - wieżyczka uniesiona, zniszczone szwy spawu, sworznie popękane. Czasowe uszkodzenie mechanizmu unoszenia kłapy wjazdu, spowodowane uderzeniem pocisku  
1 Panzer VI - z powodu różnych usterek Panzer VI - z powodu pożaru silnika, który został ugaszony przez automatyczne gaśnice  
1 Panzer III - z powodu odstrzelenia prawego zębatego koła napędowego

Ofiary — 1 zabity (kierowca podporucznik Taubert został zabity podczas uderzenia pocisku przeciwpancernego w tylną płytę, gdy sprawdzał silnik po pożarze)

Pogoda — niebo pokryte chmurami, dobra widoczność.

### **10 stycznia 1943 roku**

#### **Zadanie:**

Razem z kompanią czołgów „Sander” zaatakować wroga na północny zachód od Budionnoje.

W czasie operacji zniszczono:

11 czołgów (3 - T-34, 1 - KW-1 i 7 - T-60)

2 działa przeciwpancerne

1 rosyjski batalion

Strat własnych w ludziach i pojazdach - nie ma.

Na rozkaz dowództwa korpusu, wszystkie gotowe do walki czołgi miały być przeniesione natychmiast do 16. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej. Wyruszyły trzy Panzer VI i sześć Panzer III. Czołgi Panzer VI pozostały z 16. Dywizją aż do 15 stycznia, a Panzer III nawet do 24 stycznia. Brały

udział w licznych walkach, ale przede wszystkim musiały osłaniać duże odległości. 14 stycznia trzy Panzer VI otrzymały zadanie osłaniania odwrotu na zachód 16. Dywizji w stronę Komarowa na odcinku trzech kilometrów (na północ od Nowosadowskoje), a następnie miały powrócić do kompanii stacjonującej w Proletarskaja. Panzer III pozostały nadal ze wspomnianą dywizją. Wszystkie ciężkie czołgi w trakcie powrotu odniosły poważne uszkodzenia mechaniczne i przez trzydzieści godzin musiały stać w stepie, nim można było je ściągnąć do bazy (brak ciągników gąsienicowych).

10 stycznia pozostała część kompanii i uszkodzone w Szungar czołgi otrzymały rozkaz wycofania się do wsi Proletarskaja. Odwrót nastroił wiele trudności, bo części zapasowe nie dotarły na czas, gdyż Rosjanie zajęli część trasy zaopatrzeniowej. Pomimo tego udało się wszystkie pojazdy doprowadzić do stanu używalności i większość czołgów dzięki prowizorycznym naprawom wycofała się z tylną strażą.

16 i 17 stycznia zdolne do wykonywania zadań jednostki miały za zadanie osłaniać Stalińskij Pud, a 17 stycznia odeprzeć atak rosyjskiej piechoty. O zmroku zarządzone wycofanie 2. kompanii z 502. batalionu. Przemarsz do Rostowa prowadzono etapami aż do 22 stycznia. Cztery Tygrysy i trzy Panzer III załadowano w Salsku, resztę zaholowano do Rostowa, głównie za pomocą dwóch Tygrysów, gdyż cztery ciągniki holownicze potrzebne były do załadunku i częściowo uległy uszkodzeniom. Powrót i kolejne holowanie były utrudniane przez skarpy, głębokie jary i wielkie zwały lodu.

### **III. OCENA**

Poprzez wydanie ścisłych rozkazów bezwarunkowo należy zagwarantować na wszystkich poziomach dowodzenia, aby Tygrysy nigdy nie działały w sile poniżej kompanii. Nie wolno też oddzielać czołgów Panzer VI i III. Ciężkie czołgi muszą być i pozostaną taranem uderzeniowym nadchodzących ataków oraz buforami osłonowymi głównych punktów oporu. Żołnierze z pododdziałów polowych najczęściej uważają, że Tygrysy mogą wszystko. Nie rozumieją, że nowa broń ma ograniczenia i słabości, które mogą być usunięte tylko dzięki nowym doświadczeniom i dalszemu rozwojowi. Z tego powodu istnieje niebezpieczeństwo, że oddziały Tygrysów będą wyznaczane do zadań, jakie bez większych problemów może wykonać normalnie wyposażona kompania czołgów. W rezultacie ciągłego przemieszczania, stopniowego

niszczenia się podwozi i silników, braku dostatecznej ilości czasu na naprawy, skutki samej walki spowodują, że oddział ciężkich czołgów może zawieść w potrzebie. Pododdział remontowy musi tak długo, jak to jest możliwe, pracować w jednym miejscu (pożądane miejsce to stacja kolejowa). Kiedy zmienia on miejsce postoju, trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie się przenosi. Obecnie oddział Tygrysów musi być stale utrzymywaną rezerwą dowództwa jednostki. Muszą one znajdować się w pogotowiu za głównym punktem obrony w danym rejonie, aby - gdy inne środki zawiodą - wymusić wykonanie zadania.

### **Przejazdy po drogach:**

Zimowa ostroga przeciwślizgowa nie gwarantuje odpowiedniej ochrony przeciwko bocznym poślizgom, które zdarzają się w wielu pokrytych lodem wąwozach i na nasypach. Prędkość przejazdowa spełnia wszelkie wymagania.

### **Efekt ostrzału przeciwnika:**

Dotąd nie było okazji, by sprawdzić głębokość przebiccia i zakres zniszczeń, jakie pozostawia armata przeciwpancerna 76,2 mm wśród Tygrysów kompanii. W jednym przypadku wieżyczka dowódcy została uniesiona prawdopodobnie przez uderzenie z przodu, w górną krawędź, czego rezultatem było pęknięcie szwu spawu; dodatkowo wewnątrz zostały wyrwane sworznie.

Rosyjski karabin przeciwpancerny wz. 42 uzyskuje przebiccie do 17 mm, mierzone w pancerzu czołowym, przed stanowiskiem kierowcy. Ten typ rusznicy przeciwpancernej spotyka się dosyć często i łatwo go rozpoznać po wyraźnym błysku wystrzału z lufy. W jednym przypadku miało miejsce ukośne trafienie w szczelinę obserwacyjną w wieżycze dowódcy. Pocisk wyłamał narożnik, odbił się rykoszetem, powodując uszkodzenie osłony obserwacyjnej Kinona. Rezultat bezpośredniego uderzenia - prawdopodobne przebiccie. Pociski z karabinów przeciwpancernych uderzają przeważnie w okolicy szczelin obserwacyjnych. Jedno z uderzeń w osłonę lufy armaty kalibru 88 mm (prawdopodobnie z armaty przeciwpancernej kalibru 45 mm) spowodowało wgłębienie w tejże osłonie i bardzo małą szczyrbę we wkładce lufy. Ponieważ załoga nie zauważyła uszkodzeń, kontynuowała bez przerwy ostrzał.

### **Walka ogniowa:**

Najlepsza odległość do prowadzenia ostrzału nie przekracza 1500

metrów; precyzyjne uderzenie z dobrze wycelowanej broni. Do tej pory skuteczność i zdolność pocisku armaty 88 mm przy strzelaniu do wszystkich celów jest bardziej niż satysfakcjonująca.

Proporcje ilościowe podstawowej amunicji muszą wynosić 1:1, przeciwpancernej do burzącej. W tych proporcjach stanowiących minimum musi być ta amunicja dostarczana, aby móc później ustalić dzienne zapotrzebowanie na poszczególne rodzaje pocisków. Amunicja przeciwpancerna musi być zawsze dostępna, aż do końca bitwy. Łuski niektórych pocisków były zbyt grube, co powodowało zapchanie i zatrzymanie bloku zamka.

Zamek zabezpieczający lufę w trakcie podróży musi dać się łatwo odpiąć ręką. Z powodu wad obecnego zamka gotowość do prowadzenia ognia opóźniona jest przynajmniej o minutę. W warunkach bojowych prowadzenie ognia bez odpięcia zamka jest niemożliwe, bo działo po krótkim czasie ma spore problemy z uniesieniem lufy.

Dowódca może odpowiednio kontrolować ostrzał, czego nie może robić działonowy z powodu chmur dymu wydobywających się przy otwarciu zamka armaty. W każdym razie potrzebna jest wycieraczka do przyrządów optycznych. Obecnie zamontowana przez żołnierzy oddziału prowizoryczna wycieraczka, była testowana i sprawdziła się.

### **Wymagane modyfikacje:**

**Dowódca:** Kopała wjazdu dowódcy musi być niższa. Trzeba dostosować szczeliny obserwacyjne. Kłapa wjazdu - jak już wcześniej zgłaszano - musi mieć możliwość otwierania się na boki. Przewody do mikrofonu i słuchawek są zbyt krótkie. Pomocniczy kołowrót do ręcznego obracania wieży, znajdujący się przy stanowisku dowódcy, musi być na luzie; przydałby się peryskop w wieżyczce dowódcy.

**Działonowy:** Możliwość zajęcia pozycji siedzącej bez wykonywania skrętu biodrami. Miejsce na podnośnik lufy powinno być wyżej i wyposażone w osłonę. Przyrządy optyczne zamarzają w niskich temperaturach, wskaźnik ślizga się i ustalenie odległości do celu staje się niemożliwe. Mechanizm zamkowy wieży trzeba sprzęgać od góry, ponieważ w obecnym położeniu jest rozłączony. Potrzebny jest dodatkowy mechanizm zamkowy, blokujący na godzinie szóstej lufę, gdyż przesuwana jest ona w trakcie holowania.

**Ładowniczy:** Karabin maszynowy znajduje się zbyt blisko głównego działła, z tego powodu są kłopoty z zakładaniem taśmy amunicyjnej. Dużo przerw w pracy karabinu maszynowego, ponieważ nadpalone łączenia

taśmy rwą się lub wyginają. Skrzynki na amunicję kalibru 88 mm są ulokowane niewygodnie, szczególnie te znajdujące się niżej. Kłapa wjazdu awaryjnego powinna otwierać się jak drzwi. Zawiasy powinny być takie jak we wlocie radiooperatora (zamontowane wewnatrz). W obecnym ustawieniu wjazd można otworzyć od wewnatrz, ale nie można zamknąć. Wjazd nie tylko służy do ewakuacji w groźnych sytuacjach, ale również pomaga w nawiązaniu kontaktu z piechotą, wyrzucaniu zbędnych łusek oraz w gaszeniu płonącej w trakcie walki komory silnika (przez wjazd po obroceniu wieży na godzinę trzecią). Używa się go też przy koniecznych pracach związanych z holowaniem pojazdu uszkodzonego na polu walki.

Kierowca: Szczelina obserwacyjna łatwo się klinuje. Zainstalować obrotowe peryskopy boczne (dla kierowcy i radiooperatora). Wjazd dostępu między komorą silnika i bojową powinien być większy, aby ułatwić ruch. Umieścić zaciemniony reflektor drogowy pod osłoną pancerną, ponieważ obecnie bez przerwy ulega on zniszczeniu. Skrzynkę z narzędziami umieścić albo w pojeździe, albo w skrzyni zapasowej, bo inaczej bez przerwy ginie.

Radiooperator: Czołg słabo zabezpieczony przed interferencją fal radiowych. Dla dowódcy czołgu, wliczając w to dowódcę kompanii, radio ze średnim zakresem fal wydaje się odpowiednie do utrzymania stałego i bezpośredniego kontaktu z dywizją. Jego niedostępność bardzo utrudniała kontakt z 17. Dywizją Pancerną.

#### **IV. ORGANIZACJA**

Batalion ciężkich czołgów złożony z dwóch kompanii reprezentuje ogromną siłę ogniową. Wzmocnienie trzecią kompanią Tygrysów, jak było to sprawdzane w niektórych przypadkach, nie spotkało się z akceptacją. Obecnie niepotrzebne i niemożliwe jest gromadzenie takiej liczby ciężkich czołgów w jednym miejscu i czasie. Konieczne jest rozdzielenie batalionu, aby odpowiednio rozwiązać trudności z zaopatrzeniem. Co więcej, istnieje niebezpieczeństwo, że batalion stanie się niewydolny, przez co nie można będzie ocenić wykonania zadania. Wszystko to z powodu złego stanu dróg w Rosji, kłopotów z przejazdami, zatorów drogowych, których już doświadczyliśmy w czasie przejazdu batalionu i jego pojazdów kołowych.

Podany niżej schemat organizacyjny kompanii powinien być dobrze oceniony (tak wyglądała 2. kompania od momentu jej utworzenia):

Sekcja dowodzenia:

2 x Panzer VI (obydwa wyposażone jak czołgi dowodzenia, ten drugi miałby służyć jako pojazd zapasowy, ale nadal nie został dostarczony)

2 plutony, każdy złożony z 4 Panzer VI

2 plutony, każdy złożony z 5 Panzer III (z krótkolufowymi armatami 75 mm).

### **Uzasadnienie:**

Dwa plutony Tygrysów mają razem wielką siłę ognia i mogą być szybko przemieszczane na rozkaz dowódcy kompanii. W razie utraty pojazdu, każdy z plutonów nadal posiada odpowiednią zdolność bojową, a kontrola ognia pewnie spoczywa w rękach dowódcy plutonu.

Obydwa plutony Panzer III mogą być używane do rozpoznania na skrzydłach i przed frontem ciężkich czołgów, oraz do ich ochrony przed niespodziewanym atakiem, zwalczania piechoty i zmasowanych celów. Zaopatrywanie w uzupełnienia, dokładne etaty, tabele zaopatrzeniowe i fundusze muszą być ustalane w porozumieniu z oficerem, który ma doświadczenie zdobyte w walce.

**W podsumowaniu trzeba powiedzieć, że Tygrys może zasadnie spełnić żądania, jakie stawiane są ciężkim czołgom, jeśli wymienione problemy techniczne zostaną wyeliminowane.**

Z dziewięciu Tygrysów kompanii, większość uzyskała gotowość bojową po przejechaniu 800 kilometrów.

## DOKUMENT 2

Pluton remontowy  
502. batalion ciężkich czołgów  
Kontroler Cenker  
Kierownik warsztatów Nuebert

W polu  
29 stycznia 1943

### TECHNICZNY RAPORT PO AKCJI

#### I. Uszkodzenia podwozia

Kryza zewnętrznego koła jezdnego obluzowała się w czasie jazdy. Skutek: strata zewnętrznego koła jezdnego. Silne zużycie zewnętrznej warstwy gumy koła jezdnego i jego krawędzi.

Powód:

a) Kryza zewnętrznego koła jezdnego jest zbyt mała. Śruby mocujące są zbyt słabe i krótkie. Gwint śrub zbyt ostry.

b) Gdy zewnętrzna warstwa gumy koła jezdnego jest uszkodzona, koło jezdne wciska się krawędzią w gaśienicę, krawędź się wygina i koła nie można już więcej używać.

c) Zbyt wąska przerwa między kołami jezdnymi, między zewnętrznym i wewnętrznym najwyżej 10 mm.

d) Wygięcie drugiego od przodu ramienia podnośnika.

e) Obecnie używane blokady do śrub są nieodpowiednie. Trzeba ostrożnie montować kryzy.

#### Przeciwdziałanie:

a) Robić większe kryzy wzmacniające. Wykonać dłuższe śruby z głębszym gwintem: używać tylko śrub, na które nakręcono poprzednio nakrętki.

b) Kiedy konstruuje się zewnętrzną warstwę gumy, trzeba upewnić się, że jej pierwsza warstwa (z siatką drucianą) trzyma się obręczy. Czyniąc tak, można upewnić się, czy koło jezdne toczy się po pierwszej warstwie gumy lub siatce drucianej, nawet wtedy, gdy górna warstwa gumy została oddzielona.

c) Zbyt wąska przestrzeń montażowa między kołami jezdnymi jest niepożądana w czasie zimy, gdyż powoduje poważne zniszczenie gumowych obręczy kół. Jeśli pojazd porusza się w terenie skalistym i

pokrytym lodem, przerwy między kołami zapychają się kamieniami i lodem lub piaskiem w takim stopniu, że ramiona podnośników się wyginają, a drążki skrętne się łamią. Dlatego zaleca się (sugeruje), aby przerwy między kołami były trochę większe.

d) Tak jak dla punktu c.

e) Jako zapinek do śrub używać kawałków arkuszy metalu w kształcie półksiężyca, przeznaczonych dla dwóch śrub; ostatnio dostarczała takie firma Henschel. Jednak oba końce muszą być dłuższe, bo zaciski zapinek są wyższe. Trzeba się upewnić w trakcie instalacji, że pierścienie wspomagające są czyste (nawet zdrapać farbę).

## **II. Szpilki gąsienic wyslizgują się**

### **Przyczyna:**

Przetyczki zabezpieczające szpilki przed wypadaniem są zbyt słabe (zewnątrzne i wewnętrzne).

### **Przeciwdziałanie:**

Głębsze wcięcie i mocniejsze przetyczki po stronie wewnętrznej (bok gąsienicy): zapieć nie spawać, tylko używać śrub do szpilek gąsienic.

## **III. Luzowanie się śrub mocujących (stożkowego kształtu) na zębatym kole napędowym**

### **Przeciwdziałanie:**

Częstsze dokręcanie śrub w warunkach polowych lub zabezpieczenie ich poprzez wywiercenie otworów w głowicach śrub i przeciągnięcie przez nie drucianych zapieć.

Montaż podwozia

Montaż i demontaż urządzeń kół jezdnych.

Następujące klucze do panewek muszą być mocniejsze: 52 mm, 27 mm, 32 mm. Przyrzędy do mocowania i podnoszenia ramion, gdy potrzebna jest wymiana wałków skrętnych.

## **IV. Uszkodzenie systemu chłodzenia Przyczyna:**

Utrata płynu chłodzącego w połączeniach węży giętkich. Słaba jakość węży, połączenia węży i rurek zbyt krótkie.



**Przeciwdziałanie:**

Użyć węży połączeniowych SKF (podobnych do Maybacha). Obecnie w oddziałach połączenia wzmacniane są poprzez owinięcie ich drutem. Dłuższe węże połączeniowe. Lepsze końcówki rurek.

**Poluzowana rurka połączeniowa do odpływu wody z chłodnicy silnika do prawej chłodnicy****Przyczyna:**

Przy otwieraniu i zamykaniu wjazdu tylnej pokrywy jedna z zasuw naciska na rurkę połączeniową i przyciska ją do dołu, z tego powodu rurka ta jest obracana i rozluźniają się uchwyty.

Rezultat: przeciek i utrata płynu chłodniczego.

**Przeciwdziałanie:**

Przesunąć zasuwę klapy. Obecnie w oddziałach odłamują końcówki zasuw.

**V. Uszkodzenie przewodów doprowadzających paliwo**

Przeciekające zbiorniki paliwa; nieszczelne połączenia między dolnym i górnym zbiornikiem.

**Przeciwdziałanie:**

Lepsza instalacja; sprawdzić lutowanie w czasie instalacji, zwrócić szczególną uwagę na nitowanie wzmocnień metalowych.

**Utrata paliwa****Przyczyna:**

Poluzowanie śrub membran w pompie paliwowej. Złe uszczelki we wskaźnikach przeziernikowych. Poluzowanie przewodów dochodzących do pompy paliwowej.

**Przeciwdziałanie:**

Zazwyczaj, mocniejsze zaciśnięcie i przykręcenie śrub i przewodów w trakcie instalacji w fabryce. Po dłuższych przejazdach - sprawdzenie mocowań i ponowne dokręcenie i dociśnięcie. Zabezpieczenie połączeń śrubowych w przewodach paliwowych.

## **Przewód paliwowy do gaźnika**

### **Przyczyna:**

Deformacja materiału.

### **Przeciwdziałanie:**

Maybach już zaczął używać innych tworzyw do produkcji przewodów.

## **VI. Uszkodzenia silnika (pożar gaźnika)**

### **Przyczyna:**

a) Podczas demontażu rury kolektora powietrza uszkodzeniu ulegają uszczelki (obecnie z korka).

b) Gdy uszczelka korkowa jest uszkodzona, tworzy się dziura i podczas przedwczesnego zapłonu przeskakują przez nią płomienie.

c) Nieszczelne płytki. W rezultacie zmiana poziomu paliwa i jego przelewanie.

### **Przeciwdziałanie:**

a) Użycie specjalnych, trudniejszych do uszkodzenia materiałów oraz modyfikacje w wytwórni gaźników.

b) Lepsze uszczelki powinny wyeliminować to wadliwe działanie.

c) Poprzez kompleksowe sprawdzanie gaźników w wytwórni.

## **VII. Pożary silnika**

### **Przyczyny:**

a) Zapalanie się rozpryskiwanego oleju (skutek kiepskich uszczelk zewnętrznych w wale korbowym).

b) Słabe obsadzenie przewodów prowadzących do pompy paliwowej. W rezultacie, wyciek paliwa.

c) Słabe obsadzenie głowic śrub lejka do oleju. W rezultacie wyciekanie oleju.

Te wypływające krople oleju spadają na tłumik. Olej wycieka również z powodu braku uszczelk.

### **Przeciwdziałanie:**

a) Użycie lepszych uszczelk.

b) Zaciśnięcie końcówek przewodów doprowadzających oraz

dokręcenie nakrętek.

c) Dokręcenie głowic śrub za pomocą klucza nie zawsze jest możliwe w trakcie działań bojowych. Z tego powodu zaleca się używanie większych nakrętek motylkowych, zamiast zwykłych sześciobocznych. Gwarantują one lepsze dokręcenie nawet za pomocą ręki. Uszczelka w kołpaku nalewaka powinna być założona w ten sposób, aby nie było możliwości oderwania jej w warunkach polowych.

Byłoby pożądane, aby kierowca w czasie przerw na postój w trakcie działań bojowych miał możliwość sprawdzenia poziomu oleju bez otwierania kłapy tylnego pokładu.

## **VIII. Nieodpowiedni system gaśniczy**

### **Przyczyny:**

Bez opuszczania przedziału bojowego załoga nie ma możliwości gaszenia pożaru w przedziale silnika, gdy tylko ogień wybuchnie.

1. Z niewyjaśnionych przyczyn gaśnice automatyczne nie uruchamiają się samoczynnie, gdy zapala się gaźnik.

2. Po dwóch lub trzech użyciach gaśnica automatyczna jest pusta, a w warunkach bojowych nie ma możliwości jej wymiany lub uzupełnienia.

### **Przeciwdziałanie:**

Sugeruje się zainstalowanie otworu w ścianie ogniowej komory silnika, co daje możliwość ugaszenia pożaru silnika w szybszy sposób, bez opuszczania przedziału bojowego. Niezbędne jest zastosowanie w przedziale bojowym dużej, pięciolitrowej gaśnicy Tetra z dwutlenkiem węgla, co da możliwość każdorazowego gaszenia pożaru.

## **IX. Uszkodzenia układu przekaźnikowego**

Odkształcenie urządzeń przekaźnikowych, szczególnie wydłużenie przewodów (zewnętrznych). Rezultat: niestabilny układ zmiany biegów.

Zużycie hamulca akceleratora (pierwszy hamulec). Poszczególne cylindry zmieniają same z siebie rytm pracy. Wzmocnienia i uchwyty poszczególnych dźwigni inicjujących były tak fatalnie wykonane, że w dużym zakresie szpilki Presona i zatyczki poszczególnych sworzni po prostu powypadały. Ponieważ te części mieszczą się za płytą osłonową napędu, więc ich wymiana jest niemożliwa bez demontażu tej płyty.

Dostarczyć układ przenoszenia z lepszymi uszczelkami albo mocniej je zaciskać w czasie demontażu. Z powodu słabych przewodów olejowych w czasie transmisji traci się ciśnienie.

### **Przeciwdziałanie:**

Zbyt duże zużycie i wytarcie hamulca akceleratora jest spowodowane przez przerzucanie na czwarty lub piąty bieg. Zaleca się zastosowanie solidniejszego materiału do produkcji hamulców.

Przy produkcji urządzeń przekładnikowych trzeba zwrócić szczególną uwagę na wiązki przewodów i ich montaż. W czasie zakładania i kontroli układu przenoszenia dokonywanych przez producenta lub oficera akceptującego z ramienia armii, trzeba upewnić się, czy wszystkie zewnętrzne wprawiane w ruch dźwignie i wałki są odpowiednio zabezpieczone szpilkami Presona i zapinkami. Z powodu tych drobnych mankamentów cały pojazd może zostać unieruchomiony. Aby uregulować poszczególne wałki, konieczne są nieraz godziny pracy żołnierzy, którzy nie mogą liczyć na żadną pomoc. Podobnie producent musi zapewnić, że ani utrata ciśnienia w przewodach olejowych, ani niestabilne przemieszczanie się cylinderków nie będzie więcej możliwe.

W znacznej mierze można uniknąć różnych wad i zakłóceń w niestabilnych przekładnikach, jeśli nie zostaną one uruchomione, dopóki nie osiągnie się odpowiedniej temperatury. A to bardzo często nie jest możliwe. Dlatego trzeba podjąć działania, umożliwiające kierowanie pojazdami nawet wtedy, gdy nie da się osiągnąć wymaganej temperatury.

## **RAPORT PO AKCJI DOTYCZĄCY SPRZĘTU HOLOWNICZEGO DO CZOŁGU PANZER VI**

**I.** Wszystkie operacje holowania Panzer VI wykazały, że przeznaczony do tego sprzęt jest nieodpowiedni i za słaby. Wszystkie belki holownicze wyginały się, a uchwyty się klinowały. Pomimo wzmocnienia sprzętu siły wytwarzane przez Panzer VI w pofałdowanym terenie były tak wielkie, że narzędzia używane do holowania się wyginały.

**II.** Osiemnastotonowy ciągnik holowniczy jest zbyt lekki: trzy lub cztery holowniki nie są w stanie ciągnąć Panzer VI w trudnym terenie, ponieważ czołg spycha je z drogi. Konieczna jest większa siła hamowania. W stromym terenie dwa lub trzy ciągniki muszą ciągnąć czołg, natomiast

dwa kolejne doczepione z tyłu działają jako siła hamująca. Zaleca się, aby w każdym batalionie znajdowały się dwa ciągniki wykonane z nadwozi Tygrysów, specjalnie do holowania uszkodzonych pojazdów.

**III.** Z powodu długości elementów holowanie Tygrysa po drodze kołowej za pomocą czterech lub pięciu ciągników blokuje na niej cały ruch. Jazda w kolumnach po drodze jest bardzo utrudniona. Zbliżanie innych kolumn i ich gwałtowne zatrzymanie jest praktycznie niemożliwe. Holowanie w nocy na dłuższych trasach też nie wchodzi w rachubę, ponieważ trzeba sprawdzać każdy most pod względem nośności: w nocy ledwie udaje się pokonać płytkie rowy i podobne przeszkody.

**IV.** Holowanie Tygrysa na dystansie większym niż 150 kilometrów skutkowało zniszczeniem zaczepów i układów przenoszenia napędu we wszystkich czterech ciągnikach. Z tych jeden miał tak poważnie uszkodzony układ napędowy, że trzeba było przeprowadzić remont kapitalny.

**V.** Łańcuchy śnieżne i okładziny gumowe w kołach holowników są zupełnie nieprzystosowane do holowania Panzer VI w trudnym terenie. Łańcuchy są zbyt słabe i rozrywają się; łańcuchy kierunkowe ześlizgują się, rozrywają i niszczą gumowe okładziny kół. Liny wyciągarek służące do wyciągania czołgów również są zbyt słabe i rozrywają się. W terenie o spadku 10% do holowania jednego Tygrysa potrzeba pięciu holowników. Poza linami holowniczymi zniszczeniu ulegają też śruby prowadnic. Były one projektowane na wytrzymałość na rozciąganie na siedem i jedna trzecia tony. Dlatego pomimo użycia dwóch bloków wyciągarek i sprzężenia ich z dwoma ciągnikami, nie jest możliwe wciągnięcie unieruchomionego czołgu na koniec rampy, a potem na wagon kolejowy. Trzeba koniecznie użyć mocniejszych kabli do holowania Panzer VI i stworzyć lepszy system holowania. Jak wykazuje praktyka, do szybkiego i łatwego odzyskiwania uszkodzonych pojazdów w trudnym terenie najlepiej użyć innego Panzer VI.

**VI.** Aby ściągnąć Panzer VI w plutonie naprawczym musi być przynajmniej sześć ciągników, w tym jeden z sześciotonowym dźwigiem. Ponieważ 502. batalion został podzielony na dwie części (każda z plutonem remontowym), nasz 2. pluton remontowy posiada tylko trzy ciągniki (z których jeden ma uszkodzony układ napędowy).  
Rezultat: ogromne problemy w odzyskiwaniu Panzer VI. Wydaje się

absolutnie konieczne, aby samodzielna kompania Tygrysów była wyposażona w sześć ciągników do holowania.

**VII.** W warunkach polowych już podjęto próby udoskonalenia sprzętu do holowania. Poza tym konieczne jest tworzenie lepszego sprzętu do holowania w samych Niemczech; musi to rozwijać się w tym kierunku, aby ekwipunek trafiał od wytwórcy bezpośrednio na front razem z każdym czołgiem. Sugestia: osprzęt do holowania montować w takim układzie, aby jego poszczególne elementy znalazły się na prawo i lewo od tłumików wydechu. To daje możliwość holowania Panzer VI przez inny Panzer VI, wykorzystywany jako holownik - bez uszkodzania i stosowania specjalnych środków (na przykład uszkodzenia w trakcie walki, pożaru itp.) W takich sytuacjach używanie kabli holowniczych jest trudne i niebezpieczne.

1. Wyciąganie kabli holowniczych i zaczepianie ich do jarzma jest bardzo wyczerpującą pracą.

2. Jarzma dostarczane przez producenta okazały się całkowicie nieodpowiednie.

**Przyczyny:**

a) Materiał jest zbyt kruchy i pęka.

b) Jarzma odkształcają się, a sworznie wyginają się.

**Rezultaty:**

Więcej pracy przy odginaniu sworzni i klamer, które wyginają się w oczkach jarzm zamontowanych na pancierzach czołgów.

**VIII.** Umieszczenie skrzynek narzędziowych do naprawy gąsienic na zewnątrz, po lewej stronie pojazdu, nie zdaje egzaminu. Skrzynka powinna zostać przeniesiona do środka pojazdu, bo inaczej gubi się, jak to miało miejsce w prawie wszystkich czołgach.

## DOKUMENT 3

Lokalizacja tajna  
Podporucznik Carius  
2. kompania  
502. batalion ciężkich czołgów

24 marca 1944 roku

### RAPORT PO AKCJI Z OKRESU OD 17 DO 24 MARCA 1944 ROKU

#### *17 marca 1944 roku*

O godzinie 09.00 dnia 17 marca 1944 roku rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie Rosjan do dużego ataku na całym odcinku obrony 61. Dywizji Piechoty. Punkt ciężkości natarcia początkowo nieustalony. Moje dwa Tygrysy znajdowały się mniej więcej 1000 metrów na zachód od Chundinurk, jako rezerwa 162. Pułku Grenadierów. Około godziny 09.30 w czasie nawały artyleryjskiej minęło mnie dziesięciu ludzi, kierując się z Chundinurk na zachód. Za nimi pojawiła się armatka przeciwlotnicza 37 mm, dwunastotonowy ciągnik i kolejnych dwudziestu lub trzydziestu ludzi bez broni. Spytałem jednego z nich, czy wyszli z ruin. Gdy usłyszałem, że obie grupy ruin i zabudowania wioski zostały spalone i zniszczone, wkroczyłem do akcji. Nie otrzymałem żadnych rozkazów z góry, ponieważ wszystkie linie telefoniczne zostały zniszczone w trakcie trwania ognia zaporowego. Natychmiast szybko ruszyłem do przodu, a drugi czołg jechał trochę na lewo od mojego. Od razu zauważyłem, że przeciwnik w sile batalionu był już na równinie znajdującej się na północ od nasypu kolejowego w Lembitu, a jeden jego czołg poruszał się na południowy wschód od Kinderheimu. Na północ od nasypu kolejowego pięć dodatkowych T-34 szybko nacierało w stronę naszej drogi frontowej. Pod ręką nie było żadnej broni zdolnej je zatrzymać, ponieważ nasze działa szturmowe również odjechały na północ. Tylko karabin maszynowy na prawym skrzydle, należący do dywizji Feldhermhalle, pozostał na miejscu i późnym popołudniem wznowił ostrzał.

T-34 znajdujący się w pobliżu na nasz widok natychmiast zawrócił. Minął mnie, kierując się w stronę Lembitu i został zniszczony z bezpośredniej odległości. Pięć pozostałych T-34, zmierzających w stronę drogi frontowej, zostało zniszczonych w przeciągu pięciu minut. Na

nasypie kolejowym zniszczyliśmy pięć armat przeciwpancernych. Większość rosyjskiej piechoty została wyeliminowana w trakcie kontrataku i odzyskaliśmy główną część starej linii obrony w ruinach. Wioska i ruiny zostały uwolnione od wroga i pomimo jego kontrataków utrzymane do zmierzchu, trzeba było je tylko obsadzić piechotą. Około godziny 10.30 porucznik von Schiller poinformował, że nie ma więcej piechoty. Ta informacja okazała się nieprawdziwa, co stwierdziłem osobiście w pułku, gdy dotarłem o godzinie 17.00 do sztabu w Kinderheimie, gdzie przydzielono mi zebranych kilku ludzi, którzy obsadzili stare umocnione punkty obrony. O godzinie 13.40, zaraz po półgodzinnym przygotowaniu ogniowym, Rosjanie w sile batalionu, przy wsparciu pancernym wznowili natarcie w rejonie Lembitu. Główną linię obrony utrzymywały moje czołgi (o godzinie 11.00 dotarł trzeci Tygrys) i atak został odparty przy dużych stratach wroga. Zniszczyliśmy pięć T-34 i jeden KW-1. Nasza artyleria nas nie wspierała, ponieważ nie było w pobliżu obserwatorów ogniowych. O godzinie 15.15 przeciwnik zebrał się w sile pułku na południe od nasypu kolejowego w Lembitu. Ponieważ kończyła się nam amunicja i spodziewaliśmy się dodatkowego ataku, zażądałem (przez porucznika von Schillera) ognia zaporowego artylerii armijnej na wskazane cele, znajdujące się w okolicy Lembitu. Ostrzał nastąpił po dwudziestu minutach. Pociski spadły dokładnie na obszar koncentracji sił wroga, który został całkowicie zniszczony. Rosjanie nie podejmowali ataków aż do godziny 16.15. O tej godzinie dysponowali batalionem piechoty. Chcieli zająć nasze umocnienia za wszelką cenę. O godzinie 17.00 atak został odparty przy wielkich stratach wroga. Rosjanie niczego nie osiągnęli. Dodatkowo zniszczyliśmy w okolicy Lembitu trzy T-34. Po bezowocnych atakach Rosjan pozostawiłem dwa Tygrysy na miejscu i osobiście udałem się do stanowiska dowodzenia pułku. O godzinie 16.00 wyższe dowództwo zażądało (za pośrednictwem porucznika von Schillera), aby ponownie zająć ruiny. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę z sytuacji i zapytałem, czy major Haase słyszał o bałaganie panującym rano. Wtedy dopiero porucznik zebrał trochę ludzi. Ponieważ zabrało mu to sporo czasu, gdy zapadał zmrok, musiałem wycofać się około 200 metrów od ruin. Musiałem tak zrobić, aby zabezpieczyć czołgi przed grupami niszczycieli czołgów i stworzyć sobie odpowiednie pole ostrzału. Jeden z Tygrysów pozostał w zabudowaniach wsi. Utrzymaliśmy je w naszych rękach aż do godziny 21.00, gdy przybyło dziesięciu piechurów. Szybko zajęli odzyskane pozycje. Dodatkowo dwudziestu pięciu ludzi sformowało linię obrony w pobliżu drogi Pirtsu -



Auwere. W ciągu nocy Rosjanie nie podejmowali prób ataku. Zajęli jednak bez oporu obie ruiny. O godzinie 21.30 udałem się do bazy po uzupełnienia. O godzinie 24.00 dwa dodatkowe Tygrysy powróciły do Kinderheimu jako rezerwa. Nie było potrzeby, by dłużej je zatrzymywać.

Zniszczono: 14 – T-34, 1 – KW-1 i 5 – armat przeciwpancernych  
76,2 mm.

### ***18 marca 1944 roku***

Ruszając z Pirtsu o godzinie 05.00, rozpocząłem kontratak przeciwko ruinom, przy wsparciu szesnastu piechurów. Po niszczycielskim ostrzale przeprowadzonym przez trzy czołgi, ruszyłem w stronę zachodnich ruin: znajdowało się w nich ośmiu ludzi. Atak na wschodnie ruiny był dużo trudniejszy, ponieważ okupowało je czterdziestu ludzi, a poza tym znajdowały się blisko nasypu kolejowego. Rosjanie bronili się zażarcie i nieustępliwie. W ciągu nocy ustawili w ruinach pięć armat przeciwpancernych 76,2 mm. Zostały one natychmiast zniszczone, oprócz nich wróg stracił także działko przeciwlotnicze 47 mm i dwie krótkolufowe haubice piechoty 76,2 mm. Zniszczyliśmy też dwa T-34, które próbowały kontratakować z ruin Lembitu. O godzinie 05.45 rozpoczął się ostrzał ciężkich moździerzy i artylerii dużego kalibru. Czterech piechurów odniosło rany i nie dało się zajmować dłużej ruin, nie mówiąc o ich obronie. Musiałem przerwać atak, aby uniknąć większych strat, w tym czołgów. Rannych zabraliśmy do bazy na zapleczu. Wschodnie ruiny pozostały w rękach Rosjan przez kolejne dni. Mieli oni trzydziestu do czterdziestu zabitych.

Godzina 14.45: Przygotowawczy ogień zaporowy z broni dużego kalibru skierowany na ruiny, zabudowania wsi i równinę na północ od nich. Godzina 15.00: Kontratak Rosjan w sile kompanii (ze wsparciem czołgów) przeciwko ruinom i zabudowaniom wsi. Atak został odparty, dwa T-34 i jeden T-60 wyeliminowane.

Zniszczono: 14 – T-34, 1 – T-60, 5 - armat przeciwpancernych  
76,2 mm, 2 x krótkolufowe haubice 76,2 mm, 1 –  
działko przeciwlotnicze 47 mm.

### ***19 marca 1944 roku***

Godzina 12.00: Przygotowanie artyleryjskie, atak na drogę północ - południe w punkcie 38,9. Zniszczono sześć T-34, jeden KW-1, jeden T-60 i armatę przeciwpancerną 76,2 mm. Godzina 16.00: Kontratak na południe od punktu 33,9. Godzina 17.00: Zniszczenie jednego T-34. Godzina 18.00: Jeden T-34 zniszczony. Godzina 19.00: Odtworzona główna stara linia obrony.

Zniszczono: 8 – T-34, 1 – KW-1, 1 – T-60, 1 armatę 76,2 mm.

### ***20 marca 1944 roku***

Godzina 05.15: Rosyjski atak w sile kompanii w okolicach Lembitu. Godzina 06.20: Odparcie ataku, zniszczono jeden T-34. Godzina 11.45: Atak w sile kompanii na Lembitu. Godzina 12.30: Odparcie ataku, zniszczono jeden T-34 oraz jedną armatę przeciwpancerną 47 mm.

Zniszczono: 2 – T-34 i 1 armatę przeciwpancerną 47 mm.

### ***21 marca 1944 roku***

Godzina 03.00: Środek ruin zajęty przez Rosjan. Godzina 04.45: Kontratak w kierunku środka ruin przy wsparciu dziesięciu piechurów. Godzina 06.20: Ruiny zdecydowanie w naszych rękach. Zniszczono dwie armaty przeciwpancerne 76,2 mm.

Godzina 08.30: Ponowna ewakuacja ruin. Czterech ludzi zabitych, sześciu uciekło. Godzina 12.05: Jeden z Tygrysów przywiózł radiostację, która wcześniej była uszkodzona. Nie można było tego zrobić na piechotę. Dwa T-34 zniszczone w punkcie 33,9.

Godzina 16.30: Kontratak w kierunku ruin. Godzina 17.00: Sytuacja odtworzona. Jeden z czołgów utknął. Uszkodzenia z powodu bezpośredniego trafienia granatem moździerzowym w czasie holowania, jeden człowiek ranny.

Poza tym sama operacja wyciągania czołgu przebiegła sprawnie.

Zniszczono: 2 – T-34 i 2 armaty przeciwpancerne 76,2 mm.

### ***22 marca 1944 roku***

Godzina 10.00: Atak na punkt 33,9. Zniszczono dwa T-34, a atak odparto.

Zniszczono: 2 – T-34.

/Podpisano/  
Carius, podporucznik  
2. kompania  
502. batalion ciężkich czołgów

# DOKUMENT 4

## TAJNE

Stanowisko dowodzenia Korpusu  
Sztab L Korpusu Armijnego  
Ia./K.Pi.F. - Stopi.  
No. 93/ 43g. Kdo.

14 lipca 1943 roku

Dotyczy: Dowództwo 18. Armii Ia No. 9945/43 geh. z 12 czerwca 1943 roku

Przedmiot: Wykorzystanie czołgów Panzer VI (Tygrys)

DO: Dowództwo 18. Armii

Nowy objazd rozpoznawczy dróg dojazdowych do rejonu działań A-E na odcinku korpusu został przeprowadzony przez dowódcę 502. batalionu ciężkich czołgów, kapitana Schmidta i dowódcę plutonu, podporucznika Cariusa. Stwierdzono, co następuje:

### **Rejon operacji A**

Wyładunkowa stacja kolejowa: Taizy

Trasa dojazdowa: Taizy - Krasnoje Sieło - Dreiecksdorf - nadrzeczna droga

Most nad korytem Kikienki między linią kolejową Oranienbaum i drogą nadrzeczna można ominąć, zbliżając się do linii kolejowej, aż do linii wysokiego napięcia, biegnącej do domku dróżnika, potem 750 metrów na północ, następnie na wschód, aż do drogi z Dreiecksdorf łączącej się z drogą nadbrzeżną.

### **Prace konieczne do wykonania:**

Wzmocnienie mostu kolejowego nad kanałem, znajdującego się na wschód od domku dróżnika. Stworzenie rampy wyładunkowej z nasypu kolejowego na polną drogę w rejonie domku dróżnika. Przeprowadzenie tych prac nie powinno napotkać na poważne przeszkody i może być wykonane doraźnymi środkami.

Most przez kanał Kikienki, na drodze z Dreiecksdorf do drogi nadbrzeżnej nie musi być początkowo wzmacniany.

Kontynuowanie jazdy przez Krasnoje Sieło - Dreiecksdorf drogą

nadbrzeżną i dojazd do Urycka jest możliwe przez kołchoz Proletarskaja, dojazd do linii kolejowej Oranienbaum i stąd wzdłuż nasypu tej linii, aż do przedmieść Urycka.

### **Prace konieczne do wykonania:**

Wzmocnienie obydwu mostów drogowych nad korytami strumieni na północ od rozwidlenia dróg (w zachodniej gałęzi rozwidlenia i na środku rozwidlenia). Te prace mogą być wykonane doraźnymi środkami.

### **Rejon operacji B**

Trasa dojazdowa: Droga frontowa Taizy - Krasnoje Sieło - Dreiecksdorf - Konstantynowka - Puszkin.

Tam, gdzie jest przecięcie trasy z drogą frontową Dreiecksdorf - Puszkin, można dalej poruszać się w stronę Puszkina, jeśli tylko most nad potokiem Duderhof, 600 metrów na wschód od skrzyżowania, będzie miał zwiększoną nośność do siedemdziesięciu ton. Konieczna przebudowa.

Przeprawa przez Kanał Ligowski możliwa warunkowo. Budowa wzmocnionego brodu - pożądana.

### **Rejon operacji C**

Trasa dojazdowa: Taizy - Duderhof Wschód - Gorełowo - fińskie Koirowo

Mostek nad rowem odpływowym, znajdujący się na północ od wzmocnionego mostu w Duderhof Wschód, musi być wzmocniony. Pozostała część trasy z Gorełowa do fińskiego Koirowa jest możliwa do przebycia tylko wtedy, gdy grunt jest zamrznięty.

### **Rejon operacji D**

Trasa dojazdowa: Taizy - Duderhof Wschód - Gorełowo - Nikołajewka - Mal Kabosi - Reszkołowo

Mosty o większej rozpiętości nad kanałem w Talikoli, Ssolosi, Uskulja i na zachód od Nikołajewki, które znajdują się na połączeniu wschód - zachód z Mal Kabosi do Gorełowa muszą być wzmocnione.

Trasa dojazdowa: Gaczyna - Kokkołowo - Mal Kabosi - Reszkołowo

Rów przeciwczołgowy, znajdujący się na trasie Kowrowo - Pallelja, musi być zasypany.

### **Rejon operacji E**

Trasa dojazdowa: Gaczyna - Pallelja - Sobolewo - Sofija - Puszkin

Most znajdujący się nad korytem potoku na południe od Kirbusi musi

mieć zwiększoną nośność do siedemdziesięciu ton.

Trasa dojazdowa: Gatczyna - Romanowo - Pierścień Wewnętrzny - Antropiszyna - Słuck - Puszkin

Pożądane jest wzmocnienie mostu znajdującego się nad rowem odwadniającym, biegnącym 750 metrów na południowy zachód od Izhory, ale można to zrobić na samym końcu.

Nie da się przebyć przez bród potoku Ligowka w Romanowie. Trzeba sprawdzić, czy most wytrzyma ciężar siedemdziesięciu ton i ewentualnie go wzmocnić.

Dalszy ruch w terenie, zaczynając od północnych przedmieść Antropiszyny, jest problematyczny. Niezakłócony ruch może być zapewniony tylko po wzmocnieniu mostu na potoku Stawianka, tuż przed połączeniem z drogą Pokrowskaja - Słuck, następnego na północnych przedmieściach Piaselewa i mostu przed szpitalem leżącym na północ od Słucka.

Wszystkie wzmocnione mosty i objazdy muszą być oznaczone symbolem taktycznym, używanym przez 502. batalion ciężkich czołgów (słoń).

Za dowództwo korpusu  
Szef Sztabu

## **DOKUMENT 5**

502. batalion ciężkich czołgów  
Schwaner, Hans-Joachim  
Major i dowódca batalionu

Na Wschodzie  
19 sierpnia 1944 roku

**RAPORT PO AKCJI Z WYKORZYSTANIA SZTABU, 2. I 3. KOMPANII Z 502. BATALIONU CIĘŻKICH CZOŁGÓW W REJONIE DZIAŁANIA 18. ARMII W OKRESIE OD 24 DO 30 CZERWCA 1944 ROKU**

### **Przydział do związków taktycznych**

Sztab, 2. i 3. kompanię z 502. batalionu ciężkich czołgów dołączono do XXXVIII Korpusu Armijnego, zaś 1. kompania znalazła się 23 czerwca 1944 roku w rejonie działania L Korpusu Armijnego (16. Armia).

### **Sytuacja w XXXVIII Korpusie Armijnym**

W nocy z 22 na 23 czerwca, po wielkim przygotowaniu artyleryjskim (silny ogień zaporowy prowadzony przez sześćdziesiąt do osiemdziesięciu baterii), przeciwnik przedarł się przez główną linię obrony z wielkimi siłami piechoty i czołgów. Przerwana została obrona w rejonie 121. Dywizji Piechoty (północny wschód od Ostrowa) na odcinku długości około dwóch kilometrów. Rosjanie zajęli wzniesienia w Sujewie (Żydowski Nos) - Szapkowie - Bajewie - Wańkowie. Wieczorem 23 czerwca, używając czołgów i piechoty zmotoryzowanej, ruszyli w kierunku drogi Psków - Ostrów, wzdłuż linii wzgórz Sujewo - Judino.

### **Stan pogotowia i zadanie 502. batalionu ciężkich czołgów**

Około godziny 20.00 w dniu 23 czerwca 3. kompanię z 502. batalionu (kwaterującą w Rubiniati w okolicach Ostrowa) postawiono w stan pogotowia. W tym czasie sztab 2. kompanii został zaalarmowany i otrzymał z XXXVIII Korpusu Armijnego rozkaz, aby dołączył do 121. Dywizji Piechoty. Jej czołgi miały w rejonie Pyljai przeprowadzić kontratakowi, przeprowadzonemu w celu odzyskania głównych pozycji

bojowych. Po trzydziestokilometrowym przejeździe i przy minimalnych uszkodzeniach mechanicznych, kompania zebrała się w ciągu nocy w nakazanym rejonie. Następujące czołgi były gotowe do walki: Sztab - jeden czołg dowodzenia, 2. kompania - dziesięć z jedenastu Tygrysów, 3. kompania - jedenaście z czternastu Tygrysów.

***Naradę bojową w sztabie 121. Dywizji Piechoty (dowódca - pułkownik Löhr) zakończono następującymi zadaniami dla poszczególnych kompanii:***

Wychodząc z taktycznych rejonów koncentracji (3. kompania w Pyljai, a 2. kompania cztery kilometry na północ od niej, zaraz na zachód od wioski Siesztkino), 26 czerwca rozpoczęto o wyznaczonej godzinie kontratak w celu odzyskania wysoczyzn w Sujewie. Był on prowadzony wzdłuż ścieżki ciągnącej się z kołchozu Kirowo do Szapkowa i miał doprowadzić do połączenia się z wprowadzonym ostatnio do walki 1. batalionem z 94. Pułku Grenadierów. Atak rozpoczął się po przygotowaniu artyleryjskim, który wspierała artyleria dywizyjna. 2. kompania otrzymała rozkaz bliskiego współdziałania z 1. batalionem z 94. Pułku Grenadierów. Sztab i 3. kompania pozostały w dyspozycji dywizji i nie miały brać udziału w natarciu, dopóki nie otrzymają takiego rozkazu.

Jednocześnie ze wspomnianym wyżej atakiem, miało rozpocząć się na skrzydle natarcie, prowadzone przez 121. batalion saperów. Atak miał być przeprowadzony przy wsparciu dział szturmowych i samobieżnych i kierować się wzdłuż grzbietu wzniesień Judino - Sujewo, z zadaniem dotarcia do Sujewa i Woszczynina.

24 czerwca: Rozpoczęcie ataku o godzinie 07.30. 2. kompania ' dotarła do rejonu koncentracji na zachód od Siesztkina i nawiązała ' kontakt z 1. batalionem z 94. Pułku Grenadierów. O godzinie 07.20 przednia linia piechoty ruszyła, by wykorzystać ogień naszej artylerii, lecz zaległa w lesie na wschód od kołchozu Kirowo, z powodu silnego ostrzału nieprzyjaciela. Kompania Tygrysów, która w tym czasie poczyniła spore postępy, zmuszona była do niezamierzonego zatrzymania się po jakichś 500 metrach. Rosjanie natychmiast ją rozpoznali i skoncentrowali na niej ostrzał ciężkiej broni. Natarcie wznowiono o godzinie 10.30. Piechota i czołgi, krok po kroku, w ciężkich walkach z piechotą wroga wydzierały teren. Wróg uporczywie się bronił, posiadając wiele średnich i ciężkich armat przeciwpancernych, a nawet okresowo wykorzystywał ciężką artylerię różnych kalibrów.



Atak na prawym skrzydle, prowadzony przez 121. batalion saperów postępował znacznie łatwiej. Po rozpoznaniu całej sytuacji (opierając się na sugestiach dowódcy dywizji), cała 3. kompania początkowo otrzymała zadanie wsparcia 2. kompanii w ataku na Sujewo, potem jednak została skierowana do pomocy 121. batalionowi saperów. To miało wzmocnić atak na dłuższy czas, aby odciążyć ciężko walczący 94. Pułk Grenadierów oraz 2. kompanię czołgów. Ten atak prowadzony wzdłuż grzbietu wzniesień Judino - Sujewo szybko osiągnął cele. O godzinie 11.00 - 3. kompania była już na południowo-zachodnim skraju Woszczynina. Rosyjska piechota oceniana w przybliżeniu na trzy pułki, znajdujące się w rejonie przełamania, wspierana przez mieszaną brygadę pancerną, była sparaliżowana kleszczowym uderzeniem dwóch grup szturmowych, wzmocnionych Tygrysami. Rosjanie wycofali się z terenu, który był celem natarcia (Żydowski Nos). Około godziny 12.00 bez strat własnych 2. i 3. kompania czołgów zajęły wyżynę wokół Sujewa. W ten sposób znalazły się w środku głównych pozycji rosyjskich, stworzonych na bazie naszych własnych, wcześniej zbudowanych bunkrów, które połączono transejami. Teren ten był w zasadzie nieprzejezdny dla czołgów. Broniąc się zawzięcie i zręcznie, rosyjska piechota mogła być wyparta tylko częściowo z tych pozycji. Wiele bunkrów, gniazd karabinów maszynowych i moździerzy trzeba było wysadzać w powietrze. Kilka dobrze zamaskowanych w ruinach Sujewa rosyjskich czołgów zostało zniszczonych. Piechota, która wspierała nasze czołgi, poniosła sporo strat z powodu ognia artylerii i oporu wroga. Nasi ludzie byli całkowicie wyczerpani z powodu letniego upału i trudnego terenu - bagiennego podłoża i licznych lejów po wybuchach. Piechurzy nie mogli nawiązać kontaktu z czołgami aż do popołudnia i to tylko minimalnymi siłami.

W tej sytuacji obydwie kompanie wydzieliły po jednym plutonie Tygrysów, aby podwiozły piechotę, która powinna zdobyte pozycje oczyścić z wroga. W rezultacie odcięty batalion piechoty rosyjskiej został kompletnie zniszczony przez 2. kompanię czołgów. Do wieczora obie kompanie swoimi Tygrysami odparły trzy kontrataki wroga. Zniszczono siedem rosyjskich czołgów oraz piechotę w sile batalionu. Nie bacząc na to, że spora część umocnień na wzniesieniach wokół Sujewa znajdowała się nadal w rękach rosyjskiej piechoty, Rosjanie skierowali na nie ostrzał ciężkiej artylerii, chcąc zniszczyć nasze Tygrysy. W rezultacie dwa z nich zostały unieruchomione lub uszkodzone. Jeden Tygrys otrzymał tak silne trafienie przed naszymi pozycjami, że załoga musiała opuścić pojazd. Wieczorem drugi czołg zapalił się, gdy załoga próbowała własnymi siłami

doprowadzić go na tyły. Pożar spowodowany był zniszczeniami przewodów paliwowych. Jednak załoga zdołała ugasić pożar.

Ponieważ piechota nie zdołała przed godziną 21.00 oczyścić i zająć pozycji wroga, obie kompanie Tygrysów wycofały się około godziny 22.00. Sama siła ogniowa Tygrysów nie mogła doprowadzić do pożądanых sukcesów. Wycofały się one na pozycje dowództwa batalionu, by przygotować się do odparcia nowych kontrataków. W nocy cała 3.kompania wycofała się do Pyljai w celu pobrania uzupełnień i spędzenia nocy. Poza 2. kompanią pozostał jeden pluton, które wspierał naszą piechotę na wysuniętych pozycjach w Szapkwie: reszta oddziału wycofała się do Pyljai.

Sukcesy: 20 czołgów (T-34 i KW-1) zniszczono  
15 armat przeciwpancernych zniszczono  
Ponadto wyeliminowano przynajmniej dwa bataliony piechoty.

Straty własne: 2 Panzer VI. Jeden przed przednią linią obrony wroga, drugi w środku naszych pozycji obronnych.

Nie ma zabitych ani rannych w akcji.

### ***25 czerwca 1944 roku: Sytuacja***

Przeciwnik nadal zajmuje większość Żydowskiego Nosa. W trakcie 25 czerwca i w nocy z 25 na 26 czerwca wzmocnił swoje pododdziały piechotą, czołgami i armatami przeciwpancernymi.

Pozycje zdobyte 24 czerwca w wyniku kontrataku 94. Pułku Grenadierów i 121. batalionu saperów (wspartych przez Tygrysy), 25 czerwca zostały utrzymane. Obroniono je pomimo licznych kontrataków piechoty wroga. Zamierzano przeprowadzić wieczorem kontratak, aby odtworzyć własne stare pozycje obronne, szczególnie poprzez błyskawiczne natarcie na Żydowski Nos i na rejon na północ od niego i aby opanować wzniesienia wokół Bajewa i Iwankowa.

To natarcie było przewidziane na 26 czerwca, ponieważ konieczne siły (batalion piechoty, artyleria i wyrzutnie rakiet) jeszcze nie przybyły.

W tym dniu 2. i 3. kompania pozostawały w swoim rejonie

ześrodkowania w Pyljai. W Szapkwie - jeden pluton z 2. kompanii pozostał na stanowisku dowodzenia 1. batalionu z 94. Pułku Grenadierów. Odparł słaby atak nieprzyjaciela.

### ***26 czerwca 1944 roku: Zadania***

Naszym celem na ten dzień było zredukowanie rosyjskiego przełamania w rejonie Żydowskiego Nosa i odtworzenie starych pozycji obronnych w Sujewie.

Planowano przeprowadzenie ataku za pomocą dwóch grup bojowych, podobnie jak 24 czerwca. 121. batalion saperów z sześcioma Tygrysmi pod dowództwem kapitana von Schillera, miał zaatakować dokładnie wzdłuż grzbietu z Woszczynina do Sujewa. Sześć kolejnych Tygrysów pod dowództwem podporucznika Cariusa i 94. Pułk Grenadierów miał zaatakować z lewej strony. Początek ataku został wyznaczony na godzinę 09.00 rano, ale ostatecznie zaczął się 06.00 nad ranem.

### ***Przebieg natarcia:***

Po silnym przygotowaniu artyleryjskim (koncentracja wszystkich dostępnych baterii), które objęło teren przewidywanego przełamania i wzgórze Sujewa, obie grupy bojowe zgromadziły się o godzinie 06.15. Przebicie się przez pozycje wroga nastąpiło bez specjalnych trudności. Wykorzystując bliskie współdziałanie czołgów i piechoty, zdobywano okop za okopem. Atak rozwijał się planowo aż do wzgórz Sujewa i Woszczynina. Przy wschodnim skraju wzgórz grupa pancerna von Schillera zniszczyła armatę przeciwpancerną 122 mm. Atak kontynuowano, ale Tygrysy natknęły się na bardzo trudny dla siebie teren. Pozycje wroga były ostrzeliwane przez artylerię z dwóch stron. W okopach zebrało się mnóstwo błota i brudu na skutek dużych opadów deszczu, które miały miejsce w poprzednich dniach. Czołgi mogły poruszać się tylko bardzo powoli i musiały być kierowane przez radiostacje kolegów. Tak jak 24 czerwca na nasze czołgi został skierowany ciężki ostrzał dział wszelkiego kalibru. W tym momencie stało się jasne, że kluczowe wzniesienia w Bajewie (początkowo zamierzano je zaatakować równocześnie z naszym natarciem) nie są jeszcze przez nas opanowane. Zamiast tego powstało silne gniazdo nieprzyjacielskiego oporu, skąd prowadzono przeciwko nam intensywny ogień oskrzydający. Ze

stanowisk obserwacyjnych mogliśmy obejrzeć cały rejon, na którym działały obie grupy bojowe. Próba zablokowania groźnego północnego skrzydła za pomocą ognia artyleryjskiego była tylko częściowo skuteczna i przyniosła niewielkie efekty. Skoncentrowany ogień artyleryjski - ostrzał wrogich armat przeciwpancernych i dział szturmowych 152 mm, wszystko to spowodowało straty w obu grupach Tygrysów. Tam gdzie znajdował się kapitan von Schiller, zostały uszkodzone i unieruchomione dwa czołgi. To samo dotyczy porucznika Cariusa, którego dwa czołgi również zostały wyeliminowane z walki. Pomimo tego natarcie na Żydowski Nos było kontynuowane. Piechota z prawoskrzydłowej grupy bojowej, 121. batalionu saperów, dotarła do wyznaczonego celu. Saperzy blisko współdziałali z czołgami, posuwali się powoli przez okopy gęsto obsadzone przez wroga, kilka razy idąc do szturmów i używając czasami miotaczy płomieni. Wioska Woszczynino i system okopów na odległym stoku (który opadał na wschód), zostały odebrane wrogowi. Zajęcie i oczyszczenie wysoczyzny Sujewa powiodło się tylko częściowo i to w wykonaniu lewoskrzydłowej grupy bojowej. Zajęto środkową część wioski, podczas gdy nierozstrzygnięte walki toczono w jej północnej części, nad którą dominowały wzniesienia Bajewa. W trakcie natarcia piechoty na nasze stare pozycje obronne, Tygrysy musiały uderzyć na wzniesienia Sujewa. Znajdowały się pod ciągłym ostrzałem ze wschodu, prowadzonym przez armaty przeciwpancerne i działa szturmowe wroga. Po zniszczeniu dwóch rosyjskich dział szturmowych, odległych o 1500 metrów, jeden z Tygrysów Cariusa otrzymał bezpośrednie trafienie artyleryjskie, a potem zaliczył trafienie z działa szturmowego. Dwa czołgi z grupy von Schillera dostały się pod podobny ostrzał i zostały uszkodzone. Aby uniknąć dalszych strat, pozostałe czołgi otrzymały rozkaz wycofania się za grzbiet, na przeciwległy stok wzniesienia, gdzie miały przygotować się do obrony przeciwko czołgom wroga lub przeprowadzić kontratak w wypadku natarcia przeciwnika. Pozycje na wschodnim stoku Żydowskiego Nosa można było utrzymać tylko przy wsparciu artylerii i piechoty. Piechota, ponosząc ciężkie straty, zdołała opanować stare pozycje obronne przed godziną 13.00. Musiała się przygotować na spodziewany kontratak wroga. Północna część wzniesienia Sujewa nadal pozostawała w rosyjskich rękach. Po południu przybyła z Pyljai grupa gotowych do walki czołgów pod dowództwem kapitana Leonhardta, aby wesprzeć grupę kapitana von Schillera i broniących się saperów. Przy ciągłym wsparciu z powietrza, ciężkiej artylerii i moździerzy - wróg ruszył do ataku, któremu towarzyszyło

siedem czołgów (KW-1 i Shermanów). Około godziny 15.00 czterystu piechurów wroga nadciągnęło ze wschodu. Czołgi kapitana Leonhardta zniszczyły dwa KW-1. Piechocie wroga udało się wyprzeć saperów z niższych stoków Sujewa. Zacięte walki o Żydowski Nos trwały do wieczora. Dopiero po zapadnięciu zmroku zrobiło się na tyle cicho, że można było wycofać czołgi z pozycji, które wcześniej zdobyły. Przejechały do pobliskiego stanowiska dowodzenia batalionu jako rezerwa bojowa i ochrona przeciwpancerna przed czołgami wroga. Łącznie ze stratami z 24 czerwca dziewięć Tygrysów zostało uszkodzonych przez ogień artylerii i broń przeciwpancerną za nowo zdobytą linią obrony. Wszystkie zdolne do walki czołgi wykorzystano do odholowania uszkodzonych Tygrysów. Do rana 7 czerwca pięć z nich udało się skutecznie wyprowadzić z pola walki.

Sukcesy: 2 działa szturmowe 152 mm - zniszczone,  
2 KW-1 - zniszczone,  
4 armaty przeciwpancerne i wiele dział samobieżnych  
- zniszczonych.

Dużą ilość lekkiej broni piechoty, moździerzy i karabinów maszynowych zniszczono w trakcie ostrzału lub zmiażdżono gąsienicami.

Około 500 piechurów wroga zabitych.

Straty własne: 7 Tygrysów unieruchomionych z powodu ostrzału wroga, z tego 5 odzyskano w ciągu nocy.

Straty osobowe: 1 oficer (porucznik Naumann),  
1 podoficer,  
1 poborowy zaginiony w akcji,  
4 ciężko rannych,  
2 lekko rannych.

### ***27 czerwca 1944 roku***

Sytuacja w Sujewie (Żydowski Nos) pozostawała bez zmian. Wczesnym rankiem na północ od niego przeprowadzono atak piechoty na wzniesienia Iwankowa (Utkino - Gorodec), wspierany przez działa szturmowe i ogień artylerii dywizyjnej. Z okolic Szapkowa cztery czołgi z plutonu podporucznika Cariusa wspierały to natarcie bezpośrednim ogniem. Stamtąd całkowicie dominowali nad wzniesieniami Utkino -

Gorodec oraz Bajewo. Pluton Cariusa pozostawał przez całą noc przy dowództwie 1. batalionu z 94. Pułku Grenadierów. Atak piechoty i dział szturmowych nie przyniósł sukcesów i został odwołany po dwóch godzinach z powodu dużych strat wśród piechoty i dział szturmowych. W ciągu dnia pluton podporucznika Cariusa pozostawał przy dowództwie batalionu jako pododdział dyżurny. Cztery Tygrysy kapitana von Schillera znalazły się przy stanowisku dowodzenia 121. batalionu saperów, a później 435. Pułku Grenadierów, aby zwalczać kontrataki wroga i próby przebicia w wykonaniu jednostek pancernych. W ciągu dnia sytuacja pozostawała bez zmiany, chociaż okresowo wróg prowadził ostrzał artyleryjski i podejmował na niewielką skalę rajdy w stronę Żydowskiego Nosa. Z dziewięciu Tygrysów unieruchomionych przez wroga, sześć udało się ewakuować z pola walki. Potem zostały odholowane do naprawy w warsztatach plutonu remontowego. Trzy trafione Tygrysy pozostały przed naszą linią obrony. Mogły do nich dotrzeć tylko nocne patrole przy wsparciu piechoty i czołgów.

Około godziny 22.00 ustalono, że w najbardziej oddalonym od nas Tygrysie znalazł się rosyjski obserwator artyleryjski, a ponadto na podstawie hałasu, jaki czyniły silniki rosyjskich pojazdów (ciągników gąsienicowych), można było wnioskować, że Rosjanie będą starali się odholować uszkodzone Tygrysy, więc na polecenie dowódcy dywizji zostały one całkowicie zniszczone.

### ***28-30 czerwca 1944 roku***

Sytuacja pozostawała bez zmian. Poza pododdziałem alarmowym, składającym się z trzech Tygrysów (dowodzonym przez podporucznika Eichhorna) i pozostającym w pobliżu dowództwa batalionu, w odległości jednego kilometra od kołchozu Kirowo, reszta czołgów powędrowała na tyły. W Tieleginie, przy stanowisku dowodzenia 121. Dywizji Piechoty, znalazła się 2. kompania, zaś 3. kompania zajęła pozycje w Pyljai. Pojazdy były naprawiane przez drużyny remontowe, a część z nich została odesłana do kompanii remontowej (czas naprawy dłuższy niż trzy dni).

Wieczorem 28 czerwca pododdział alarmowy podporucznika Eichhorna zniszczył oddalone o 1800 metrów dwa KW-1, zaś amerykański Sherman został trafiony z odległości 2000 metrów. Nieco później zniszczono kilka jednostek artylerii średniego kalibru, które przeciwnik rozmieścił na wzniesieniach Utkino - Goredec oraz Bajewo. Próby odzyskania kolejnych Tygrysów, podejmowane nocą przez

podporucznika Eichhorna zakończyły się niepowodzeniem. Starał się dotrzeć do dwóch pojazdów, które znajdowały się na ziemi niczyjej i nie były całkowicie zniszczone. Nie można było się jednak do nich zbliżyć bez wsparcia piechoty, ponieważ Rosjanie za każdym razem wszczynali ostrzał z ciężkiej broni. Podporucznik Eichhorn i jego czołgi pozostały na starych pozycjach aż do 4 lipca, podejmując kolejne próby odzyskania uszkodzonych pojazdów. Ponieważ nie przybyły wzmocnienia piechoty, przeciwnik nadal trzymał mocno swoje pozycje.

Kiedy rozpoznano, że Rosjanie też próbują ściągnąć uszkodzone Tygrysy, 3 lipca zapadła decyzja, aby zniszczyć je ogniem własnych dział.

1 lipca zapadła decyzja, że sztab, 2 i 3. kompania (bez pododdziału podporucznika Eichhorna) zostaną wycofane na północny zachód od Ostrowa, w rejon Szabany i Wanino. 2 lipca cały batalion otrzymał rozkaz, aby koleją przejechać do Dyneburga. Miał odtąd podlegać II Korpusowi Armijnemu z 16. Armii.

Do akcji nie weszła 1. kompania z 502. batalionu ciężkich czołgów. Wieczorem 23 czerwca z rozkazu Grupy Armii Północ stała się rezerwą 16. Armii w rejonie działania L Korpusu Armijnego. Prowadziła tylko rozpoznanie walką przeciwko rosyjskiemu przełamaniu w rejonie obrony 181. Dywizji Piechoty. 1 lipca nakazano jej przenieść się do Idricy, na odcinku podległym X Korpusowi Armijnemu. Kompania brała udział w dwudniowych walkach w pasie obrony 281. Dywizji Zabezpieczenia.

Sukcesy: 3 wrogie czołgi (2 KW-1 i 1 Sherman) zniszczone  
Kilkanaście jednostek artylerii średniego kalibru zniszczonych.  
Zabici liczni piechurzy wroga.

Straty własne: 2 Panzer VI zniszczone ogniem własnych dział,  
ponieważ nie można było ich ściągnąć z ziemi niczyjej.

Straty w ludziach: Brak.

## **PODSUMOWANIE I NAUKI WYCIĄGNIĘTE Z WALK NA PÓŁNOCNY ZACHÓD OD OSTROWA W REJONIE XXXVIII KORPUSU ARMIJNEGO**

Przy bliskiej współpracy z pułkiem piechoty i batalionem saperów, jak również przy wsparciu ciężkiej artylerii, sztab batalionu i dwie kompanie jako część 121. Dywizji Piechoty przeprowadziły skuteczny kontratak,

zatrzymując przenikanie wroga na północny wschód od Ostrowa. Odzyskano stare pozycje obronne na wzniesieniu Sujewo (Żydowski Nos) oraz Woszczynino. Obie strony prowadziły walki z dużym zaangażowaniem piechoty, broni pancernej i artylerii. W tej chwili trzeba to rozpatrywać jako bitwę o przetrwanie. Była to walka o utrzymanie dominujących, ufortyfikowanych i zabudowanych części wzniesień.

Atak był możliwy tylko dzięki wsparciu Tygrysów i bez nich nie można byłoby odnieść sukcesów. Został on jednak okupiony stratą kilku czołgów, w wyniku bezpośredniego ognia artylerii i dział szturmowych. W trakcie ataków w dniach 24 i 26 czerwca w bardzo nieprzyjemny sposób okazało się, że Rosjanie zdolni są kontrolować i oskrzydlać cały teren z północy. Nie byłoby tego problemu, gdyby przeprowadzono jednoczesny atak dalej na północy i zlikwidowano pozycję oskrzydlającą wroga. Piechota i artyleria próbowały tego dokonać, jednak bez wyraźnych wyników. Współpraca z lekką piechotą przez dwa dni walk układała się pomyślnie. Jednak w pierwszym dniu natarcia nie uzyskano pożądanych sukcesów, gdyż nacierająca piechota z 94. Pułku Grenadierów zebrała się dopiero tuż przed atakiem. Musiała pokonać ponad piętnaście kilometrów po podmokłym terenie i miała tylko kilka chwil na odpoczynek i naradę. Trzeba wspomnieć, że nasza piechota walczyła przez dwa dni bohatersko i bardzo energicznie. Drugiego dnia walki stały się dla czołgów dużo trudniejsze. Rosyjska obrona przeciwpancerna została wzmocniona dodatkowymi armatami przeciwpancernymi, działami szturmowymi i czołgami strzelającymi z dobrze zamaskowanych pozycji. Tego dnia ich artyleria zajmowała nawet lepsze stanowiska obserwacyjne niż w pierwszym dniu ataku. Z punktu widzenia dowództwa, walki w dniu 26 czerwca były dużo trudniejsze z powodu zakłócania przez Rosjan ultrakrótkich częstotliwości. Na innych częstotliwościach mówili po niemiecku i podawali mylące rozkazy. Bezustannie czyniliśmy wysiłki, by znaleźć niezakłócaną częstotliwość i kontynuować naszą pracę. A to znaczyło, że wydanie nowego rozkazu przez batalionową radiostację zabierało nieraz nawet godzinę. Inne metody dostarczania rozkazów lub ich osobistego wydawania były niemożliwe z powodu silnego ostrzału wroga. Oceniając sytuację od strony wyposażenia, pojazdy kompanii powinny posiadać radiostacje z zakresem fal średnich i wysyłać rozkazy, gdy te częstotliwości nie są zakłócanie w żaden sposób.

W rejonie ataku teren stwarzał ogromne trudności. Obok licznych ścieżek i pasów bagiennego podłoża, grunt między Pskowem i Ostrowem był głęboko zryty lejami po wybuchach pocisków wystrzeliwanych przez



obie strony. Razem ze starym systemem transzei i bunkrów tworzyło to zaporę nie do przebycia dla czołgów. Przejazd Tygrysów z rejonu koncentracji na tyłach do linii frontu był możliwy tylko dzięki temu, że wszystkie drogi i mosty zostały rozpoznane i sprawdzone przez zwiad batalionowy, zanim jeszcze jednostka weszła w rejon działania XXXVIII Korpusu Armijnego. Wzmocnienie mostów i naprawę dróg poprzez wykładanie ich balami drewnianymi przeprowadzili saperzy z dywizji i korpusu na podstawie informacji podanych przez rozpoznanie batalionu. Taktycznie i technicznie batalion miał najlepsze relacje nie tylko z XXXVIII Korpusem Armijnym, ale również ze 121. Dywizją Piechoty. Wszystkie uwagi i prośby były brane pod uwagę. Batalion/kompanie czołgów były cały czas dołączone do dywizji i tylko wspierały te oddziały, którym były podporządkowane. Dzięki temu była możliwa bliska współpraca z dowódcą dywizji, pułkownikiem Löhrem lub oficerem operacyjnym dywizji. Dowódca dywizji i generał dowodzący korpusem cały czas chwalili zespołowe działanie i wyszkolenie batalionu.

Za przeprowadzenie tego natarcia 121. Dywizja Piechoty oraz jej dowódca, pułkownik Lóhr, zostali wymienieni w raporcie Wehrmachtu. Ze „względów bezpieczeństwa” batalion w tym raporcie nie został wspomniany.

### SUKCESY W OKRESIE OD 24 DO 30 CZERWCA 1944 ROKU

Dzień	Bitwa	Działa szturmowe ppanc.	Czołgi	Armaty ppanc.	Artyleria	Zabici piechurzy wroga
24 czerwca	Atak na Sujewo	–	20	15	–	600
26 czerwca	Atak na Sujewo	2	2	4	–	500
28-30 czerwca	Obrona Szapkowa	–	3	–	1	–
	Razem	2	25	19	1	1100

## GOTOWOŚĆ BOJOWA W OKRESIE 23-30 CZERWCA I NAPRAWY POJAZDÓW

Dzień	Ogółem w działaniach bojowych	Gotowość bojowa	Liczba naprawionych
23 czerwca	31	24	–
24 czerwca	31	16	–
25 czerwca	31	11	1
26 czerwca	30	10	–
27 czerwca	30	11	2
28 czerwca	32	12	–
29 czerwca	32	13	1
30 czerwca	32	15	2

Czołgi znajdujące się w warsztatach remontowych nie były brane pod uwagę

## STRATY OSOBOWE W OKRESIE OD 24 DO 30 CZERWCA 1944 ROKU

	Oficerowie	Podoficerowie	Szeregowcy	Razem
Zabici	–	–	–	–
Zaginieni w czasie akcji	1	1	1	3
Ciężko ranni	–	1	12	13
Lekko ranni	–	5	10	15
<b>RAZEM</b>	<b>1</b>	<b>7</b>	<b>23</b>	<b>31</b>

Straty w sprzęcie:

3 Panzer VI całkowicie stracone z bronią i wyposażeniem  
6 Panzer VI uszkodzonych ogniem nieprzyjaciela  
(wyprowadzone z pola walki i naprawione w warsztatach)  
2 transportery półgąsienicowe (odzyskane i naprawione).

Zużycie amunicji w okresie od 24 do 30 czerwca 1944 roku:

Pociski przeciwpancerne kal. 88 mm wzór 39	–	1 079 sztuk
Pociski burzące kal. 88	–	1 132 sztuk
Amunicja do karabinów maszynowych	–	64 000 sztuk

## DOKUMENT 6

502. batalion ciężkich czołgów  
Schwaner, Hans-Joachim  
Major i dowódca batalionu

Na Wschodzie  
20 sierpnia 1944

### **RAPORT PO AKCJI Z WYKORZYSTANIA 502. BATALIONU CIĘŻKICH CZOŁGÓW W REJONIE DZIAŁANIA 16. ARMII W OKRESIE OD 4 LIPCA DO 17 SIERPNI 1944 ROKU**

**Rejon operacyjny Dyneburg. Okres od 4 do 27 lipca 1944 roku**

***3 lipca 1944 roku***

#### **Podległość:**

Batalion (bez 1. kompanii) został dołączony do II Korpusu Armijnego od momentu przybycia sztabu, 2. i 3. kompanii ciężkich czołgów.

Sytuacja II Korpusu Armijnego (prawe skrzydło 16. Armii i Grupy Armii Północ):

Przeciwnik przy użyciu silnych formacji piechoty i czołgów przedarł się 22 czerwca przez główną linię obrony na styku Grupy Armii Północ i Armii Środek, w Połocku, w rejonie I Korpusu Armijnego (i na południe od niego). Wróg nacierał na zachód na obu brzegach Dźwiny na południowe skrzydło I Korpusu Armijnego. Wyciągnięty z 16. Armii II Korpus Armijny otrzymał zadanie ustanowienia nowej linii obrony, łącząc się z prawym skrzydłem I Korpusu Armijnego na wschód i południowy wschód od Dyneburga. Miały ją stworzyć nowo przybyłe dywizje (większość z rejonu 18. Armii, dodatkowo ciężka broń, 502. batalion ciężkich czołgów, kilka brygad, batalionów dział szturmowych, jak również wydzielone bataliony artylerii przeciwlotniczej i ciężkiej artylerii. Ich zadanie miało polegać na otoczeniu Dyneburga pierścieniem obrony na południowym brzegu Dźwiny.

Przez pierwsze dni lipca dywizje piechoty zajęły linie zabezpieczające, które biegły nieregularnie od Druja przez Braslav, Dryświaty, Dokatas do Daugailiai przy drodze Dyneburg - Kowno. Jedna po drugiej dywizje

przybywały pociągami do Dyneburga lub do Turmont - o trzydzieści kilometrów na południe od Dyneburga. Uznano, że wróg będzie próbował otoczyć południowe skrzydło 16. Armii z zamiarem zdobycia Dyneburga, ważnego węzła drogowego i kolejowego. Początkowo zamierzano zamknąć lukę we froncie poprzez połączenie z lewym skrzydłem Grupy Armii Środek (IX Korpus Armijny) i stworzyć solidny front obrony za pomocą sił dołączonych do II Korpusu Armijnego. Lewe skrzydło Grupy Armii Środek cały czas wycofywało się pod naporem dużych sił przeciwnika.

W dniach 2 i 3 lipca załadowano na wagony kolejowe jadące do Dyneburga następujące pododdziały: drużynę remontową, pluton naprawczy kompanii, sztab i 2. kompanię, zaś w dniach 3 i 4 lipca w kierunku Ostrowa i Briganowa wysłano 3. kompanię 502. batalionu. Pierwsze pododdziały przybyły wieczorem 4 lipca, zaś reszta docierała jeszcze do 6 lipca. Początkowo wszystkie zebrały się w lasach na północ od Dyneburga. Po wzmocnieniu deskami mostu kolejowego w Dyneburgu, tak aby mógł unieść Tygrysy, pododdziały skoncentrowane zostały w rejonie Peski i Laucesy, osiem kilometrów na południe od Dyneburga, na południowym brzegu Dźwiny.

Kompania naprawcza i tabory pozostały na północnym brzegu rzeki Dźwiny w okolicach Waldorf (Mesciema) i Stropi. Wszystkie dwadzieścia dwa czołgi należące do sztabu, 2 i 3. kompanii były gotowe do walki.

### ***Od 4 do 8 lipca 1944 roku***

Po zameldowaniu się i krótkim omówieniu z dowódcą i adiutantem II Korpusu Armijnego, przeprowadzano ciągle rozpoznanie tras i przepraw mostowych znajdujących się na wschód, południowy wschód i południe od Dyneburga. Początkowo robiło to pięć pododdziałów rekonesansowych, dowodzonych przez oficerów. Zgodnie z rozkazem wydanym przez dowództwo 16. Armii do współpracy z batalionem skierowano 680. batalion inżynieryjny. Zgodnie z wytycznymi pochodzącymi z naszego batalionu, został skierowany do budowy i wzmocnienia mostów, które w tym rejonie miały zwykle nośność nie przekraczającą 10 ton (czasami 20). Od czasu do czasu w pracach tych pomagali żołnierze z 3. batalionu inżynieryjnego oraz saperzy z 215. i 225. Dywizji Piechoty. Początkowo budowano trasy przejazdowe z Dyneburga do głównych pozycji obronnych. W tym czasie jedynie most kolejowy w Dyneburgu nadawał się do przejazdu Tygrysów. Innej, równie mocnej

konstrukcji nie było nie tylko w odległości 100 kilometrów na wschód od miasta, ale również w tej samej odległości na północny zachód od niego. Przebycie rzeki przez bród nie było możliwe. Z tego powodu planowano zbudowanie na południowy zachód od miasta przeprawy promowej przez Dźwinę o nośności sześćdziesięciu ton. Zadanie to miał wykonać pluton inżynierski batalionu, wspomagany przez pododdziały podległe komendantowi Dyneburga. Trochę później 16. Armia zainstalowała siedemdziesięciotonowy prom (czołgowy sprzęt przeprawowy) w Livenhof, osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Dyneburga. W trakcie działań rozpoznawczych, do których używano volkswagenów i motocykli, a na terenach nieopanowanych przez nasze siły - półgąsienicowych transporterów opancerzonych, dowódca plutonu porucznik Wolff stał się pierwszym oficerem, który nawiązał kontakt z IX Korpusem Armijnym z Grupy Armii Środek. Używając trzech półgąsienicowych transporterów opancerzonych, pluton zwiadowców, dowodzony przez podporucznika Ruwiedela, przeprowadził rozpoznanie przedniej linii obrony wroga na południu i południowym wschodzie. Pododdział ten rozpoznał również trasy dojazdu, które mogą wykorzystać Tygrysy. W czasie tych działań 8 lipca natknięto się na słabe pododdziały piechoty wroga, zajmujące wysunięte pozycje przed główną linią obrony. Dostarczano stale do Sztabu II Korpusu Armijnego meldunki dotyczące sieci drogowej i tras dojazdowych oraz prowadzono rozpoznanie sił wroga. Ponieważ żadne działania rozpoznawcze ani rekonesans lotniczy nie były prowadzone przez wywiad na szczeblu operacyjnym, obraz sił wroga był wyjątkowo marny i w części zupełnie niejasny.

## ***9 lipca 1944 roku***

### **Sytuacja II Korpusu Armijnego:**

Nacierający na zachód przeciwnik początkowo uderzył na pozycje obronne wokół Dyneburga, wzdłuż południowego brzegu Dźwiny (na odcinku 132. Dywizji Piechoty). Pozycje wyjściowe jego wojsk znajdowały się w Dżinie (sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Dyneburga) i stamtąd zaatakowana została Bruja. Bardziej na południe Rosjanie również nacierali znacznymi siłami. Używając broni pancernej i piechoty motoryzowanej, zaatakowali jednostki rozpoznawcze 215. i 205. Dywizji Piechoty w rejonie Widzy (dwadzieścia kilometrów od Dryświatów) i

Pilkoniai (piętnaście kilometrów na południowy wschód od Salakas). Pododdziały rozpoznawcze wysłały czujki daleko na południe od pozycji dywizji. W II Korpusie Armijnym sytuację wroga oceniano w następujący sposób: przeciwnik zamierzał otoczyć główną linię obrony, która rozciągnęła się na zachód dzięki nowo przybyłym dywizjom; chciał dotrzeć do drogi Dyneburg - Utena - Kowno, a potem skręcić w kierunku Dyneburga z południa albo południowego zachodu.

O godzinie 10.00 dotarł rozkaz, aby wyruszyć w drogę do Deguziai w rejonie działań 205. Dywizji Piechoty. Miały to uczynić wszystkie pododdziały - sztab, 2. i 3. kompania. Zakładaną trasę przejazdu o długości pięćdziesięciu kilometrów, wiodącą z Dyneburga przez Sarasai do Deguziai, trzeba było pokonywać w oślepiającym i gorącym letnim słońcu. Prośby o przesunięcie terminu wyjazdu na chłodniejsze godziny wieczorne zostały odrzucone z powodu krytycznej sytuacji 205. Dywizji Piechoty, której gwałtownie był potrzebny batalion. Przed godziną 19.00 pierwsze pododdziały 2. i 3. kompanii przybyły na nakazany odcinek, jednak sporo czołgów uległo po drodze awariom (uszkodzenia silników i podwozi). Było to rezultatem wysokiej temperatury i zbyt długiej trasy przejazdu jak na ciężkie czołgi. Z dwudziestu dwóch Tygrysów, które wyruszyły w drogę, tylko pięć z 2. kompanii i trzy z 3. kompanii nadawały się do działań bojowych. Stanowisko dowodzenia batalionu zostało umieszczone przy sztabie 205. Dywizji Piechoty w Salakas. Po ustaleniu tras i rozpoznaniu bojowym, przeprowadzonym przez własny pluton rozpoznawczy na prawym skrzydle 205. Dywizji, cały batalion udał się do przydzielonego mu rejonu walk, leżącego na zachód i południowy zachód od Salakas.

O godzinie 20.00, w obecności generała dowodzącego II Korpusem Armijnym, na stanowisku dowodzenia 205. Dywizji odbyła się odprawa na temat operacji. Batalionowi powierzono następujące zadania:

Po przygotowaniu mostu znajdującego się trzy kilometry na południowy zachód od Deguziai, batalion miał znaleźć się w Daugailiai, piętnaście kilometrów dalej. Przeciwnik, wspierany działami szturmowymi i artylerią przeciwlotniczą, zaatakował pułk. Grupa ta stworzyła silny punkt oporu w Pilkoniai.

Rosjanie otoczyli tę miejscowość oraz kontynuowali dalsze natarcie w kierunku północno-zachodnim, wykorzystując czołgi, piechotę na czołgach, broń przeciwpancerną oraz pojedyncze działa artyleryjskie. Ta rosyjska czołówka w sile pułku zmierzała przez Tauragnai w kierunku drogi Dyneburg - Kowno. Zadaniem batalionu było przemieszczenie się

na południowy zachód od Daugailiai, usunięcie przeciwnika z Garniai (dwa kilometry na południe od Daugailiai) i nawiązanie kontaktu z grupą bojową w Pilkoniai, na północ od Taranjai. Razem z grupą bojową miał uderzyć na wschód i przechwycić przesmyk leżący pomiędzy jeziorami Tauragnai i Utenas.

Most drogowy, znajdujący się trzy kilometry od Deguziai (stalowa konstrukcja kratownicowa o długości czterdziestu sześciu metrów), miał nośność tylko dwadzieścia cztery tony. W ciągu nocy został wzmocniony przez kompanię z 225. batalionu inżynieryjnego, który zainstalował trzy dodatkowe dźwigary, zwiększające udźwig konstrukcji do sześćdziesięciu ton.

Do naprawy czołgów uszkodzonych w czasie przejazdu użyto kompanijnych grup remontowych i plutonów naprawczych (skierowanych do Sarasai). Nocą kilka naprawionych Tygrysów dołączyło w pełnej gotowości bojowej do batalionu. Około północy 3. kompania miała znowu dziewięć Tygrysów gotowych do walki.

Sukcesy: Brak

Uszkodzenia: 8 Tygrysów miało mechaniczne usterki.

### ***10 lipca 1944 roku***

Aby wykonać powierzone zadanie, 3. kompania (kapitan Leonhardt) wyruszyła o godzinie 01.00 w sile dziewięciu Tygrysów w rejon koncentracji w Deguziai. Przekroczyła o godzinie 04.00 wzmocniony most drogowy i o godzinie 06.00 osiągnęła Daugailiai.

Pięć Tygrysów 2. kompanii pozostało w Deguziai i strzegło mostu drogowego, a reszta kompanii naprawiała uszkodzone poprzedniego dnia czołgi. Używając półgąsienicowych transporterów opancerzonych i plutonu rozpoznania, 2. kompania wykonała zadanie związane ze zbadaniem sił nieprzyjaciela i rozpoznaniem tras przejazdowych, biegnących z Deguziai w kierunku zachodnim i północno-zachodnim, w kierunku rejonu Dusetos i Antaliepte. Po nawiązaniu kontaktu z 1. batalionem z 377. Pułku Piechoty (który w ramach 225. Dywizji Piechoty miał za zadanie zabezpieczać w Daugailiai drogę z Dyneburga do Kowna, 3. kompania zaatakowała zgodnie z rozkazem Garniai i zajęła leżące o dwa kilometry na południowy zachód od tej miejscowości wzgórze 216. Kiedy kompania opuściła Garniai, dostała się pod silny ogień ciężkiej



artylerii, broni przeciwpancernej i moździerzy. Zniszczono dużą liczbę armat przeciwpancernych i moździerzy. W trakcie dalszego natarcia przez wyznaczony teren, porośnięty niewielkimi zagajnikami, kompania po raz kolejny wdała się w walki z pododdziałami artylerii przeciwpancernej i liczną piechotą wroga, która bezustannie stawiała silny opór w walce bezpośredniej, używając różnych środków. Czołgi były eliminowane z walki po trafieniach w wieże (w wieżyczki dowódców lub w lufy armat), przez armatki przeciwpancerne strzelające ze skrzydeł. Kontynuowanie natarcia w tych warunkach mogło przynieść jedynie ciężkie straty i nie doprowadziłoby do zrealizowania głównego celu (przełamania się do okrążonej grupy bojowej). Oczyszczenie zagajników (co było zadaniem batalionu piechoty, który nie wsparł natarcia) bez piechoty było niewykonalne. Dlatego wczesnym popołudniem kompania otrzymała rozkaz przerwania walki w Garniai i szerokim skretem na wschód nawiązania kontaktu z 395. Pułkiem Piechoty, walczącym w Gateliai, leżącym dwanaście kilometrów na południowy zachód od Salakas. Potem razem ze wspomnianym pułkiem miała bez zwłoki ruszyć z północnego wschodu na Pilkoniai.

Krótko przed godziną 13.00 batalion otrzymał rozkaz dla 2. kompanii znajdującej się w Deguziai, aby ruszyła ona wzdłuż drogi Dyneburg - Kowno przez Daugailiai aż do Uteny. Miała ona wesprzeć atak pułku piechoty z 225. Dywizji Piechoty. Ten rozkaz wyszedł z Grupy Armii Północ i dotyczył wspomnianej dywizji oraz początkowo całego 502. batalionu ciężkich czołgów. Jednak nie doszło do jego wykonania, bo o godzinie 14.00 przyszedł kolejny rozkaz. 225. Dywizja Piechoty, która miała od rana atakować Utenę, musiała przerwać natarcie. Dywizja otrzymała rozkaz z Grupy Armii Środek (do której była dołączona już od trzech dni, ale nie miała z nią kontaktu), aby bez wiązania się walką dotrzeć jak najszybciej do Wilkomierza. W tym samym czasie 2. kompania, która była gotowa ze swoimi siedmioma Tygrysami do ataku, została zatrzymana, po czym otrzymała rozkaz, by powrócić na stare pozycje w Deguziai, aby zabezpieczać i wzmocnić nowo utworzone pozycje obronne 205. Dywizji Piechoty.

O godzinie 18.30, po pobraniu amunicji, 3. kompania ruszyła razem z 335. Pułkiem Grenadierów na południowy zachód z Gateliai przez Brinkliskes. Ich zadaniem było przebicie się do Stugliai i nawiązanie kontaktu ze znajdującą się w Pilkoniai grupą bojową, z którą nie było łączności od godziny 10.00. Kompanię Tygrysów wspierały tylko słabe siły piechoty (osiemdziesięciu ludzi z oddziału alarmowego) i dwa działa

szturmowe. Początkowo atak rozwijał się pomyślnie. Zniszczono kilka ciężkich i średnich armat przeciwpancernych, które przeciwnik ustawił na pozycjach na południe od Brinkliskes. Natarcie utknęło dopiero na wzgórzu 188, gdzie przeciwnik stawiał twarde opór, dzięki użyciu piechoty uzbrojonej w ciężki sprzęt i pododdziałów artylerii przeciwpancernej.

Do zapadnięcia zmroku większość armat przeciwpancernych została zniszczona, a kilka dział wycofało się z zajmowanych przez nie pozycji. Piechota wroga kontratakująca spoza lasu została związana ogniem. Przeciwnik stracił około dwustu ludzi. Gdy zapadł zmierzch, atak zatrzymał się na zdobytych pozycjach, bo tylko dwa - spośród siedmiu zaczynających natarcie - Tygrysy były nadal zdolne do walki. Pięć pozostałych pojazdów miało uszkodzenia silników, odmawiało posłuszeństwa z powodu upałów lub zaszкодził im długi przejazd poprzedniego dnia. Piechota, która została skierowana do wsparcia czołgów (była słabo dowodzona i z wahaniem przystępowała do natarcia), z wielkim trudem została ściągnięta na pozycje na wzgórzu 188 (aby zapewnić w nocy bezpieczeństwo).

W nocy grupa bojowa otoczona w Pilkoniai zameldowała, że wycofała się stamtąd w ciągu dnia i zmierza w stronę głównej linii obrony 205. Dywizji Piechoty, i przez noc powinna tam dotrzeć. Z tego powodu dalsze kontynuowanie natarcia było bezcelowe.

Aby odciążyć 3. kompanię i umożliwić jej odzyskanie pięciu Tygrysów, które pozostały unieruchomione na polu walki, 2. kompania pod dowództwem podporucznika Eichhorna została przeniesiona z Gateliai do Deguziai. Spośród tych czołgów tylko dwa dotarły wkrótce po północy do wyznaczonego celu. Pozostałe miały w trakcie przejazdu awarie.

Sukcesy:	16 armat przeciwpancernych zniszczono 15 moździerzy zniszczono 2 lub 3 kompanie piechoty zniszczono.
Straty własne:	8 Tygrysów z mechanicznymi uszkodzeniami 2 Tygrysy wyeliminowane z powodu trafień w wieże.
Straty osobowe:	2 oficerów lekko rannych.

**11 lipca 1944 roku**

Razem z siedemdziesięcioma pięcioma piechurami podporucznik Eichhorn i jego czołgi zluzowały 3. kompanię i około 02.00 nocy zajęły pozycje na wzgórzu 188.

11 lipca dowództwo 205. Dywizji Piechoty wydało rozkaz 335. Pułkowi Grenadierów wycofania się w ciągu dnia na linię Salakas - Avignosta. Rozkaz taki wydano, ponieważ na całym odcinku 205. Dywizji Piechoty Rosjanie atakowali od poprzedniego dnia dużymi siłami piechoty i pojedynczymi czołgami przy silnym wsparciu artylerii. Wróg usiłował okrążyć prawe skrzydło dywizji. Jej piechota nie była w stanie utrzymać głównych pozycji obronnych w wyznaczonym terenie, pofałdowanym i miejscami gęsto zalesionym.

Z tego względu kapitan Leonhardt otrzymał rozkaz wyprowadzenia uszkodzonych czołgów i powrotu z Gateliai do Deguziai. Dostarczono mu na rozwidlenie dróg, znajdujące się trzy kilometry na północ od Gateliai (Uceniskis), cztery ciągniki oraz wydano rozkaz, aby osłaniała go piechota. Podporucznik Eichhorn otrzymał zadanie osłaniania odwrotu 335. Pułku Grenadierów. Przed godziną 05.00 natarł na rejon koncentracji Rosjan i zniszczył im cztery armaty przeciwpancerne. Dwa kilometry od swojej pozycji zaobserwował czternaście wrogich czołgów i dział szturmowych, które przebiegały się na północ. Rosjanie zręcznie wykorzystywali ukształtowanie terenu, aby od zachodu obejść prawe skrzydło pułku grenadierów. Nie można było z nimi nawiązać walki z powodu licznych zagajników leśnych, zagłębień terenu, jak również jeziora Syles, które leżało między nimi. O godzinie 05.00 osłonę ogniową pod dowództwem podporucznika Eichhorna, któremu przydzielono również piechotę, wycofano aż do Gateliai, przez co przeciwnik mógł ruszyć za nimi z niewielkim patrolem rozpoznawczym. O godzinie 06.30 ponownie zmienił pozycję, tym razem na rozwidlenie dróg, położone trzy kilometry na północ od Gateliai, skąd mógł osłaniać aż do godziny 14.00 odwrot pułku grenadierów i dołączonych do niego oddziałów (artylerii, dział szturmowych i moździerzy).

Cała operacja przebiegła zgodnie z wytyczonym planem. W tym samym czasie bardzo wzrósł ruch wrogich jednostek na drodze Lukobiunai - Paberze. Można było to stwierdzić po olbrzymich chmurach kurzu, jakie wzbijały czołgi i ciężarówki, które zmierzały na północ. Eichhorn około godziny 13.30 na rozwidleniu dróg pomiędzy dwoma jeziorami (Uceniskis), wdał się w walkę z dwoma kompaniami piechoty wroga, wspieranymi przez pododdziały przeciwczołgowe, czołgi i moździerze. Jeden z Tygrysów otrzymał mocne uderzenie pociskiem

przeciwpancernym w wieżę i musiał być ewakuowany do Salakas. Sam Eichhorn wycofał czołgi o godzinie 14.00 wzdłuż drogi do Salakas, wysadzając za sobą w powietrze trzy mosty. Około godziny 15.00 przekroczył główną pozycję obrony, która została stworzona wzdłuż linii Avignosta - Salakas, między Ligajai i Luodis. W ten sposób wykonał zadanie osłaniania odwrotu. Powrócił do kompanii z jednym tylko w pełni zdolnym do walki Tygrysem i jednym częściowo nadającym się do walki.

Odholowanie uszkodzonych Tygrysów z 2. i 3. kompanii napotkało na duże problemy z powodu skrajnie trudnych warunków drogowych, częściowo nieprzejezdnego, bagiennego podłoża i słabych mostów. Wysiłki w tej kwestii czyniono aż do popołudnia 11 lipca. Wszystkie Tygrysy zostały uratowane. Część z nich odzyskała sprawność bojową na miejscu, dzięki wydajnej pracy plutonów naprawczych obu kompanii. Wszystkie czołgi zostały zebrane pod dowództwem kapitana Leonhardta w rejonie wokół Deguziai.

11 lipca o godzinie 02.30 batalion otrzymał rozkaz natychmiastowego wysłania przez Dyneburg jednej kompanii do stanowiska dowodzenia 215. Dywizji Piechoty. Znajdowało się ono w Tarzeka (piętnaście kilometrów na południe od Dyneburga). Rosjanie nadchodzący od wschodu przez Ryczany i Karasino, przebili się późnym popołudniem 10 lipca w sile trzydziestu czołgów i piechoty przez pozycje obronne pomiędzy jeziorami Dryświaty i Ryczą. W nocy zmiażdżyli czołgami większość pododdziałów 435. Pułku Grenadierów, uderzając szczególnie mocno w dołączony do tego oddziału batalion litewskiej żandarmerii. Przetoczyli się potem przez kilkanaście stanowisk dział przeciwpancernych i przeciwlotniczych. Silne oddziały piechoty nacierały na północ wzdłuż jeziora Ryczą.

O godzinie 03.00 kapitan von Schiller z siedmioma zdolnymi do walki czołgami został wysłany drogą z Deguziai do Dyneburga. Stąd kontynuował dalej przejazd do Tarzeka przez Peski. Jego pododdział musiał pokonać trasę ponad sześćdziesięciu pięciu kilometrów. Skrócenie trasy z Deguziai lub Salakas dokładnie na wschód od pozycji 205. Dywizji Piechoty było niemożliwe, gdyż znaczna część mostów leżących na tej trasie nie została jeszcze przygotowana do przejazdu Tygrysów. W trakcie dyslokacji do Peski pięć Tygrysów uległo mechanicznym awariom, tak że na miejsce przybyły tylko dwa zdolne do walki pojazdy. Potem przybyły jeszcze dwa inne Tygrysy, które świeżo opuściły warsztaty naprawcze. Dlatego kapitan von Schiller i jego cztery czołgi otrzymały rozkaz wsparcia kontrataku 215. Dywizji Piechoty. Działając razem z 2.

batalionem z 435. Pułku Grenadierów, mieli odzyskać wioskę Karasino i odtworzyć poprzednią linię obrony.

Po przygotowaniu artyleryjskim, o godzinie 15.15 rozpoczął się atak, który przebiegał od Tarzeka przez Marcinkowicze, wzdłuż drogi do Karasina. W Marcinkowiczach zniszczono słabe siły piechoty, zaś Karasino zostało zdobyte śmiałym szturmem przeciwko dużej liczbie czołgów, dział szturmowych i przeciwpancernych wroga. Dziesięć czołgów (T-34, T-60 i dział szturmowych 76,2 mm) oraz dwie ciężkie armaty przeciwpancerne zostały zniszczone. Nasza piechota powoli zdobywała teren, walcząc z silną piechotą wroga, który stworzył pozycje obronne zamaskowane roślinnością i skryte wśród drzew. Późnym popołudniem nawiązała kontakt z Tygrysami. Wspólnie stworzono w Karasinie linię przeszkód i obrony, która wytrzymała liczne kontrataki piechoty rosyjskiej wspomaganej przez artylerię. Przeciwnik poniósł wielkie straty i krwawe ofiary w ludziach. W czasie walk z czołgami i armatami przeciwpancernymi wroga jeden Tygrys został uszkodzony pociskiem wystrzelonym z armaty 85 mm i pozostał na polu walki z rozerwaną gąsienicą. Dwa inne wozy bojowe miały uszkodzenia silników. Ponieważ piąty Tygrys przybył w trakcie walk, więc kontynuowano walki obronne na kierunkach wschodnim i północnym. Zdobyty teren został utrzymany. Te czołgi pozostały na stanowiskach osłonowych, zabezpieczając w nocy główną linię obrony. Unieruchomiony czołg został odholowany w nocy z 12 na 13 lipca.

Sukcesy:	10 czołgów zniszczonych (T-34, T-60 i działo szturmowe 76,2 mm) 6 armat przeciwpancernych zniszczonych.
Straty:	2 Panzer VI trafione pociskami przeciwpancernymi w wieżyczki 6 Panzer VI unieruchomionych z powodu usterek technicznych.
Straty osobowe:	2 lekko rannych.

### **12 lipca 1944 roku: Sytuacja 225. Dywizji Piechoty i wykorzystanie 3. kompanii (kapitan Leonhardt)**

Aż do 10 lipca 225. Dywizja Piechoty, która należała do Grupy Armii

Środek, była włączona do II Korpusu Armijnego. Zrobiono to w obliczu znacznego zagrożenia prawego skrzydła Grupy Armii Północ, które przeciwnik chciał otoczyć za pomocą czołgów i piechoty. Granicząc z 205. Dywizją Piechoty, rozwinęła główną linię obrony na zachód od rejonu jezior, trzy kilometry na zachód od Deguziai, wzdłuż strumienia Sventoji. Rankiem 12 lipca przeciwnik przerwał tę nową linię na zachód od Antaliepte. Zaobserwowano pojedyncze czołgi wroga zmierzające w kierunku Dusetos.

Do tej pory 3. kompania nadal wykonywała zadania osłonowe w Deguziai. Obecnie została przydzielona do 225. Dywizji Piechoty, z rozkazem przejazdu do Antaliepte i przeprowadzenia razem z 377. Pułkiem Grenadierów kontrataku z tej miejscowości w kierunku południowo-zachodnim, w stronę Drasinai. Kompania przybyła do Antaliepte w składzie czterech Tygrysów i od razu wzięła udział w odparciu natarcia pancernego, rozwijającego się wzdłuż drogi Drasinai - Antaliepte. Zniszczono dwa T-34, pozostałe zniknęły wśród drzew. Do osłony tego rejonu wykorzystano działa szturmowe. Teraz 3. kompania próbowała przeprowadzić atak oskrzydający przez Padustis do Zabiciuniaiai. Przeciwnik uwierzył, że natarcie skierowane będzie na północ. Kompania zajęła Zabiciuniaiai bez żadnego oporu. Czołgów wroga, które dokonały przełamania, nie odnaleziono. O zmroku kompania wycofała się do Antaliepte, a następnie do Vensavai na południowym brzegu jeziora o tej samej nazwie, sześć kilometrów na północ od Deguziai. Tam czołgi przeszły cykl napraw.

Sukcesy: T-34 zniszczone

Straty: żadne.

### **Sytuacja 215. Dywizji Piechoty:**

11 lipca poprzednia główna linia obrony pomiędzy jeziorami Dryświaty i Ryczą została odtworzona tylko w południowej części, aż do Karasina. Stamtąd skręcała na północ przez Krakino, jezioro i Marcinkowicze. W północnej części przesmyku rozmieszczono jednostki estońskiej i litewskiej żandarmerii. Ich zadaniem było blokowanie terenu aż do jeziora Ryczą. Pododdziały te miały niewielką wartość bojową w trakcie ataków Rosjan i nawet na wieść o ich obecności wpadały w panikę. Bałowie porzucali stanowiska, jak tylko na ich pozycje spadł niewielki

ostrzał artyleryjski. Tak właśnie stało się trzy razy w czasie tylko jednego dnia - 12 lipca. Cztery czołgi pod dowództwem podporucznika Cariusa, zgromadzone w kępie drzew na południowy wschód od Marcinkowicz w celu przeprowadzenia kontrataku, za każdym razem przechwytywały wycofujących się Litwinów i Estończyków, a potem ściągały ich z powrotem na opuszczone pozycje, by przeprowadzić niewielkie kontrataki.

12 lipca do Dyneburga przybyła pociągiem z X Korpusu Armijnego (Idrica) 1. kompania z 502. batalionu. Miała do dyspozycji dziesięć sprawnych Tygrysów. O godzinie 19.00, dowódca II Korpusu Armijnego, generał porucznik Hasse, rozkazał podzielić kompanię na dwie części. Jeden pododdział, składający się z pięciu Tygrysów, miał ruszyć do Vensavai, aby wesprzeć 3. kompanię, znajdującą się przy 225. Dywizji Piechoty (pięćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Dyneburga). Drugi pododdział, też składający się z pięciu Tygrysów, miał dołączyć do nowej grupy bojowej i dotrzeć do 81. Dywizji Piechoty, która znajdowała się na terenie państwowego gospodarstwa rolnego Vazsaliena (dwadzieścia kilometrów na wschód od Dyneburga). Dywizja ta została ostatnio rozmieszczona między 225. i 132. Dywizją Piechoty, ponieważ ataki wroga ze wschodu stawały się coraz silniejsze, a 132. dywizja nie osiągnęła jeszcze gotowości bojowej.

### ***13 lipca 1944 roku:***

Batalion, teraz po przybyciu 1. kompanii już jako kompletna jednostka, dołączony do II Korpusu Armijnego, został wykorzystany w trzech grupach bojowych, w trzech zagrożonych rejonach obrony korpusu: 3. kompania (wzmocniona połową 1. kompanii) razem z 225. Dywizją Piechoty; 2. kompania z 215. Dywizją Piechoty; połowa 1. kompanii z 81. Dywizją Piechoty.

Do 13 lipca 1944 roku 3. kompania (225. Dywizja Piechoty) nie uczestniczyła w działaniach bojowych, pozostawała natomiast w gotowości w rejonie koncentracji w Vensavai i wysłała dwa Tygrysy do Antaliepte do osłony. Kompania prowadziła rozpoznanie dróg i mostów w rejonie działania 225. Dywizji Piechoty oraz zainicjowała rozpoznanie siły wroga w przewidywaniu nadchodzących zadań, wysyłając półgąsienicowe transportery opancerzone w kierunku Abeli i punktów pa zachodzie.

Do kompanii została przydzielona kompania saperów z 680. batalionu inżynieryjnego, aby wzmacniać istniejące mosty, którymi muszą przejeżdżać Tygrysy.

2. kompania (215. Dywizja Piechoty) pod dowództwem podporucznika Cariusa kontynuowała działania razem z 380. Pułkiem Grenadierów między Dryświatami i jeziorem Ryczą. W nocy z 12 na 13 lipca Rosjanie przeniknęli wzdłuż jeziora Ryczą przez pozycje estońskich i litewskich ochotników i o godzinie 06.00 zaatakowali posiadłość w Marcinkowiczach. Litwini wycofali się na północny zachód i częściowo na południe. Dzięki obecności Tygrysów stworzono nową linię obrony zaraz na południe od linii Marcinkowicze - jezioro Karasino, a litewska piechota (jeżeli jeszcze istniała), przebijała się do Marcinkowicz. W ciągu dnia rosyjski atak zaległ w ograniczonym i bardzo nierównym terenie, powstrzymywany przez posiłki oraz litewską i estońską żandarmerię, która przybyła w rejon Marcinkowicze - Skabaty. Wieczorem Tygrysy podporucznika Cariusa zebrały się przy stanowisku dowodzenia 380. Pułku Grenadierów.

Reszta 1. kompanii (81. Dywizja Piechoty), składająca się z pięciu Tygrysów, pod dowództwem podporucznika Baumanna, została skoncentrowana przy stanowisku dowodzenia dywizji w majątku Vazsaliena. Miano zamiar wykorzystać ją na wschodzie i południowym wschodzie. Na razie wykonywano zadania rozpoznawcze tras drogowych i mostów, bez angażowania się tego dnia w walki.

Sukcesy: Związanie walką piechoty wroga przez 215. Dywizję Piechoty za pomocą ciężkiej broni.

### **14 lipca 1944 roku: Sytuacja w rejonie 225. Dywizji Piechoty oraz wykorzystanie 3. kompanii (wzmocnionej połową kompanii)**

Rosjanie atakowali bez przerwy, wykorzystując zagajniki i obniżenia terenu. Próbowali odepchnąć główną linię oporu, która nie była jeszcze całkowicie uformowana. Gdy tylko odkryli słaby punkt obrony, natychmiast próbowali wpychać tam nawet pojedyncze czołgi, aby wykorzystać swój sukces i kontynuować natarcie na północny wschód.

Przed godziną 03.00 nad ranem 14 lipca miał miejsce silny atak piechoty na Antaliepte, wspierany przez kilka baterii artyleryjskich. Dzięki wsparciu dwóch Tygrysów, wykorzystywanych do tej pory jako



osłona w Antaliepte (pod dowództwem podporucznika Plassmanna), atak został odparty przez żołnierzy 377. Dywizji Piechoty. Piechota wroga poniosła ciężkie straty w ludziach oraz zniszczono jej jedną armatę przeciwpancerną. W ciągu dnia wrogowi udało się przedrzeć trzy kilometry na południowy wschód od Antaliepte, w Stossjunai i na wzgórzu 175. Przeciwnik przeprowił się przez strumień Sventoji i zdobył na jego drugim brzegu przyczółek.

Tego popołudnia 3. kompania (wzmocniona pięcioma Tygrysami z 1. kompanii) otrzymała zadanie przeprowadzenia kontrataku wespół z 2. batalionem z 377. Pułku Grenadierów. Wszystkie czołgi zgromadzono w grupę bojową pod dowództwem podporucznika Böltera. O godzinie 18.00, po krótkiej naradzie operacyjnej na stanowisku dowodzenia w Gaideliai postanowiono, że kontratak rozpocznie się o 19.15, po krótkim przygotowaniu artyleryjskim, uzgodnionym z piechotą. Jego celem było odebranie wioski Stossjunai, nacierając przez wzgórze 175.

Kiedy grupa bojowa dotarła do wymienionego wzniesienia, ostrzelała je artyleria. Dzięki częstej zmianie pozycji czołgi zdołały utrzymać się na wzgórzu i wspierały ogniem nacierającą piechotę. Tygrysy zostały ostrzelane przez czołgi i armaty przeciwpancerne wroga, usytuowane na wzniesieniu leżącym na południowym brzegu potoku Sventoji. Zidentyfikowano sześć czołgów wroga na przeciwległym stoku wzniesienia, w odległości 2500 metrów. Dostały się one pod połączony ogień naszych armat. Jednak nie udało się ich wyeliminować. W walki były też zaangażowane: piechota, działa przeciwpancerne i artyleria wroga. W ich trakcie zniszczono sześć armat przeciwpancernych i organy Stalina. Potem wycofano nasze czołgi na sąsiednie obniżenia terenu i zebrano w odległości 2200 metrów, przy stanowisku dowodzenia batalionu, gdzie ich załogi oczekiwały na kolejne zadania.

### **Sytuacja w 215. Dywizji Piechoty i wykorzystanie 2. kompanii (podporucznik Carius):**

Główna linia obrony przebiegająca między jeziorami Dryświaty i Ryczą nie mogła być uformowana i utrzymana przez dłuższy czas z powodu braku wymaganych sił piechoty. W rezultacie na popołudnie 14 lipca zaplanowano kontratak, który miał zlikwidować wyłom na północ od Karasina i umożliwić skrócenie linii obrony.

Aby tego dokonać, rozważano konieczność zajęcia wioski Dolnorycze (kilometr na północ od Karasina) oraz wzgórza 175, znajdującego się przy

południowym krańcu jeziora Ryczą.

Z czterech początkowo gotowych do walki Tygrysów - dwa miały uszkodzenia mechaniczne, więc udział w walkach mogły wziąć tylko dwa pozostałe. Po zajęciu dobrych pozycji, dwa uszkodzone czołgi mogły wspierać atak ogniem swoich dział. Do całego zadania użyto trzech grup bojowych:

Pierwsza: z dwoma Tygrysami i trzydziestoma ludźmi

Druga: z dwoma działami szturmowymi i trzydziestoma ludźmi

Trzecia: z dwoma działami szturmowymi i trzydziestoma ludźmi.

O godzinie 18.30, wykorzystując skoncentrowany ogień artylerii, pierwsza grupa bojowa przetoczyła się przez linie obrony na północ od Karasina i zaatakowała Dolnorycze. Po krótkiej, ale intensywnej wymianie ognia, ogniska oporu i armaty przeciwpancerne wroga - znajdujące się na wyżynie, w wiosce i wśród drzew - zostały wyeliminowane. W trakcie tych walk okazało, że dwa uszkodzone Tygrysy prowadziły z Karasina skuteczny ogień osłonowy. Zrecznie wykorzystując warunki terenowe (był mocno zarośnięty i pełen nieprzejezdnych bagien), dwa sprawne czołgi dotarły do wzgórza 173,3, gdzie nawiązały walkę z wycofującą się piechotą wroga. Około godziny 21.00 cel został zdobyty i stworzono najkrótszą linię łączności do jeziora Ryczą. Wróg poniósł wiele strat w ludziach. Udało mu się tylko częściowo wyjść z okrążenia. Nowo zdobyty teren zajęła piechota.

Tygrysy zgromadziły się na pierwotnych pozycjach, przy stanowisku dowodzenia pułku w Nurwiance. W czasie odwrotu w ciemnościach jeden z czołgów utknął w bagnie. Ostatni zdolny do ruchu Tygrys ruszył z pomocą. Holował również dwa działa szturmowe, które ugrzęzły w czasie walki i nie mogły dotrzeć do celu z powodu bardzo ciężkich warunków terenowych.

Sukcesy: 8 zniszczonych armat przeciwpancernych 76,2 mm

1 organy Stalina zniszczone

Zaangażowano w walki znaczne siły wrogiej piechoty,

zaprzęgów konnych i baterii artylerii

Znaczna liczba wrogów zginęła.

Bunkry i stanowiska bojowe wyłączono z akcji.

W rejonie działania 132. Dywizji Piechoty nie odnotowano aktywności bojowej (grupa bojowa Baumann). Po południu 14 lipca pięć czołgów podporucznika Baumanna otrzymało rozkaz zgromadzenia się w pobliżu

majątku Salonaja.

### **15 lipca 1944 roku**

Nie zanotowano godnych uwagi działań bojowych.

Sytuacja w rejonie II Korpusu Armijnego pozwala powziąć przypuszczenie, iż wróg odwołał wszystkie ataki na Dyneburg z południa i południowego zachodu, i prawdopodobnie z większością ciężkiej broni i czołgów wycofał się w kierunku wschodnim, aby wznowić atak w innym miejscu.

### **16 lipca 1944 roku Sytuacja 215. Dywizji Piechoty i wykorzystanie 2. kompanii (podporucznik Carius)**

We wczesnych godzinach rannych 16 lipca wróg przerwał linię obrony w Marnga (osiem kilometrów na południe od Turmontu), na prawym skrzydle 215. Dywizji Piechoty i podążał na północ. Grupa bojowa pod dowództwem podporucznika Cariusa początkowo otrzymała polecenie wyjścia ze strefy działań bojowych 380. Pułku Piechoty (stanowisko dowodzenia w Nurwiance) i udania się do Turmontu. Grupa miała wyruszyć z rejonu ześrodkowania w Grygance i działając razem z jednym batalionem ze 189. Pułku Piechoty, przeprowadzić o godzinie 13.00 atak w kierunku południowo-zachodnim. Przejechać przez Marngę i zająć wyżynę na wschód od Szablowszczyzny. Potem miała kontynuować natarcie na zachód, w kierunku Awiszinki. Dalej na zachód druga grupa bojowa (ze świeżymi uzupełnieniami złożonym z batalionu dział pancernych i piechoty) miała zaatakować Szablowszczynę z Karliszki.

O godzinie 12.25, nim jeszcze 2. kompania rozpoczęła natarcie, Rosjanie zaatakowali z rejonu Marnga w kierunku północnym i zachodnim na całym odcinku 189. Pułku Grenadierów. Rosjanie zdobyli wzniesienie leżące na północ od Marngi. Podporucznik Carius z własnej inicjatywy przeprowadził kontratak i zatrzymał przerwanie wroga. Natarcie naszych żołnierzy rozpoczęło się o godzinie 14.00. Teren nie nadawał się do działań czołgów, ponieważ było w nim mnóstwo bagiennych niecek, rozciągających się między niewielkimi wzniesieniami. W tych warunkach atak pancerny był bardzo utrudniony. Czołgi przez cały czas musiały szukać objazdów. Po południu podporucznik Carius dotarł do wzgórza leżącego o 300 metrów na północny wschód od jego

pierwotnego celu (Szablowszczyzna) i związał walką średnie i ciężkie armaty przeciwpancerne oraz liczną piechotę. Zniszczył stanowiska wroga w czasie intensywnej wymiany ognia, ale nie zdołał zająć nowego terenu z powodu przeszkód terenowych. Nasza piechota nie podążała za atakiem. I taka sytuacja trwała do godziny 17.30, gdy nasi piechurzy ponownie otrzymali rozkaz podążania za natarciem pancernym. Wkrótce potem Rosjanie ponownie zaatakowali ze wsparciem artylerii. Nasza piechota ponownie okazała się bezradna. Podporucznik Carius utrzymywał pozycje do godziny 21.00, a potem wycofał się na wzniesienie położone na północ od Marngi. W nocy jego czołgi znalazły się przy stanowisku dowodzenia batalionu, gotowe do działania w razie nowego rosyjskiego kontrataku.

Sukcesy: 14 armat przeciwpancernych 47 mm zniszczono  
2 armaty przeciwpancerne 76,2 mm zniszczono  
Zabito znaczną liczbę piechurów wroga.

### **Sytuacja w 132. Dywizji Piechoty i wykorzystanie 1. kompanii (grupa bojowa Baumanna):**

Przez kilka poprzednich dni sytuacja w rejonie 132. i 81. Dywizji Piechoty, znajdujących się na wschód od Dyneburga, wyglądała następująco: Poprzednia linia obrony między jeziorami Ryczą, Snudi i Duna (zaraz na wschód od Troja) została przerwana przez rosyjską piechotę i czołgi, które natarły wzdłuż jeziora Snudi. Rosjanom udało się przeniknąć dużymi siłami piechoty w zalesiony teren, znajdujący się na południowy wschód od Silene. Początkowo zabezpieczyliśmy skraj lasu słabymi siłami piechoty i ciężką bronią. Potem zaczęliśmy przeczesywać lasy z zachodu, aby nawiązać kontakt z oddziałami, które pozostały na poprzedniej linii obrony, na południe od lasu. 16 lipca 132. Dywizja Piechoty, której zachodnie skrzydło graniczyło z terenem leśnym, zamierzała przeprowadzić atak wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Snudi. Uczestniczyć w nim miały Tygrysy Baumanna, dlatego z rozkazu II Korpusu Armijnego wysłano je do dywizji, trasą przez Lielborne i majątek Boloselci. Miały one nacierać razem z 436. Pułkiem Grenadierów i działami szturmowymi wzdłuż drogi Babaszki - Borony. Początek ataku wyznaczono na godzinę 16.00.

Baumann ze swoimi Tygrysami zaczął go punktualnie, łatwo

pokonując wysunięte stanowiska przeciwnika, i wtedy niespodziewanie dostał się pod bardzo silny ostrzał ciężkich armat przeciwpancernych ustawionych we wsi Dubinowo (1,5 kilometra na południe od Babaszek). Trzy pojazdy zostały silnie uszkodzone bezpośrednimi trafieniami, co wyeliminowało je z dalszych walk. Nasza piechota nie atakowała. Działa szturmowe, które miały zaatakować od zachodu poprzez obejście Dubinowa, również dostały się pod silny ostrzał armat przeciwpancernych, a ich natarcie utknęło już na samym początku. Po zapadnięciu zmroku Baumann powrócił ze swymi czołgami na pozycje wyjściowe.

Sukcesy:	6 ciężkich i 4 średnie armaty przeciwpancerne zniszczono. Zabito znaczną liczbę piechurów wroga.
Straty:	3 Tygrysy uszkodzone pociskami armat przeciwpancernych.
Straty osobowe:	Żadne.

16 lipca 3. kompania nie brała udziału w walkach.

### ***1 lipca 1944 roku***

Brak aktywności bojowej 2. i 3. kompanii. Pod dowództwem podporucznika Böltera potowa 1. kompanii (wcześniej dołączona do 3. kompanii kapitana Leonhardta) została w nocy z 16 na 17 lipca wycofana z rejonu działań bojowych 225. Dywizji Piechoty i wysłana trasą przez Dyneburg i majątek Vascalina (osiemdziesiąt kilometrów) do 81. Dywizji Piechoty. Przeciwnik, wykorzystując piechotę, wyruszył z zalesionego terenu, znajdującego się na południowy zachód od Silene i uderzył w kierunku północno-zachodnim na siły osłaniające wschodni brzeg jeziora Silene. 17 lipca o godzinie 20.30 Bölter z czterema czołgami zajął pozycje, aby osłonić północno-zachodni skraj Silene. Nie nawiązał kontaktu bojowego.

### ***18 lipca 1944 roku***

Brak aktywności bojowej 2. i 3. kompanii.

## **Sytuacja 81. i 132. Dywizji Piechoty oraz wykorzystanie 1. kompanii:**

W nocy z 17 na 18 lipca Rosjanie odwołali swój atak na południowy wschód od Silene i wycofali się na południe. 18 lipca przeprowadzono lokalne natarcie, wykorzystując całą zmotoryzowaną broń i ciężarówki do przewozu piechoty, aby odebrać wrogowi poprzednio zajmowane pozycje obronne, leżące pomiędzy jeziorami Ryczą i Snudi. W 81. Dywizji Piechoty sformowano grupę bojową pod dowództwem pułkownika Meyera (dowódcy 189. Pułku Grenadierów). Składała się ona z czterech Tygrysów, pięciu dział szturmowych, dziesięciu dział szturmowych z desantem piechoty, armat 20 mm i przeciwlotniczych 88 mm, litewskiego batalionu grenadierów oraz towarzyszących obserwatorów artyleryjskich. Grupa bojowa o godzinie 14.00 wyruszyła na południe od Silene i dotarła do miejscowości Plauskiety (osiem kilometrów na południowy wschód od Silene), nie napotykając oporu nieprzyjaciela. Gdy ruszyli dalej, czołgi i działa szturmowe natknęły się na głęboko urzutowane stanowiska broni przeciwpancernej wroga. Niektóre armaty przeciwpancerne były świetnie zamaskowane wśród drzew rosnących daleko od drogi. Około 17.30 Tygrysy zniszczyły kilka armat przeciwpancernych i dotarły do wioski Urbany, dwa kilometry na południowy wschód od Plauskietów. Piechota nie wspierała tego ataku, wręcz przeciwnie, natychmiast zaległa na ziemi, gdy tylko przeciwnik stawiał opór. Południowy skraj lasu był mocno obsadzony przez rosyjską piechotę. Przeciwnik kontratakował z zachodu i przerywał co jakiś czas linię natarcia w Plauskietach oraz kierował się na północ.

Z powodu poważnego zagrożenia przez wroga skrzydła natarcia z zachodu oraz wzrastającego nacisku przeciwnika (łącznie ze wsparciem artyleryjskim), na rozkaz dowódcy grupy bojowej, pułkownika Meyera, około godziny 20.00 wycofano z Urbanów pododdziały pancerne. Miały cofnąć się do Silene po uzupełnienia. Piechota wycofała się z rejonu na południowym brzegu jeziora Ulacz w stronę Domini (cztery kilometry na południowy wschód od Silene) i tam zajęła pozycje obronne.

O godzinie 07.30 rozpoczął się pościg 132. Dywizji Piechoty za wycofującym się na południe przeciwnikiem.

Trzy nadal sprawne Tygrysy porucznika Baumanna zostały skierowane do współdziałania z 436. Pułkiem Grenadierów i dwoma działami szturmowymi. Pułk ruszył drogą z Babaszek i osiągnął Borony, leżącą o pięć kilometrów na południe, nie napotykając znacznego oporu wroga. Tak było aż do miejscowości Dzieruki i lasów na jej południowym

skraju, gdzie przeciwnik stawiał znaczny opór. Ogień artylerii przeciwpancernej zatrzymał atak Tygrysów.

Natarcie zatrzymało się w okolicy Dzieruk. Po zapadnięciu zmroku Tygrysy wycofały się do bazy zaopatrzeniowej w Plusach.

Sukcesy:	7 armat przeciwpancernych zniszczono Zniszczono piechotę wroga uzbrojoną w rusznice przeciwpancerne.
Straty:	Pocisk artyleryjski uszkodził układ jezdny 1 Tygrysa.
Straty osobowe:	1 ranny. 1 ładowniczy zatrał się oparami benzyny.

### ***19-21 lipca 1944 roku***

Wróg wstrzymał wszelkie ataki na odcinku II Korpusu Armijnego i teraz wycofywał swe siły na południe i zachód. W tym czasie

1. kompania została wycofana z rejonu działania 81. Dywizji Piechoty i po osiemdziesięciokilometrowym przejeździe znalazła się w Sarasai (trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Dyneburga) jako rezerwa korpusu. Tam kompania miała okazję do naprawienia swoich czołgów.

19 lipca 3. kompania razem z 225. Dywizją Piechoty została włączona w skład XXXXIII Korpusu Armijnego. (Zobacz raport na temat rejonu działań bojowych XXXXIII Korpusu Armijnego.)

W okolicy Turmontu pozostała natomiast 2. kompania jako rezerwa operacyjna korpusu dla 215. Dywizji Piechoty. Czołgi, które przybyły do warsztatów naprawczych, zostały ześrodkowane przez podporucznika Eichhorna w Peski (osiem kilometrów na południe od Dyneburga). Aż do wieczora 21 lipca sytuacja II Korpusu Armijnego pozostała niezmienną.

### ***22 lipca 1944 roku***

Krótko przed godziną 01.00 Szef Sztabu II Korpusu Armijnego zaalarmował przez radio sztab batalionu i podał następujący opis sytuacji.

Wieczorem, 21 lipca silne rosyjskie ugrupowanie pancerne przełamało

pozycje 290. Dywizji Piechoty (wykorzystywanej na prawym skrzydle I Korpusu Armijnego) na północnym brzegu Dźwiny i dotarło w okolice Kraslawy. O godzinie 19.00 Rosjanie byli już w majątku Kazanowa (sześć kilometrów od Kraslawy) i dotarli do majątku Kombuli. Potem ruszyli w stronę Izvalty (dwadzieścia osiem kilometrów na wschód od Dyneburga). Wycofująca się 290. Dywizja Piechoty otrzymała zadanie utworzenia nowej linii obrony w Izvalcie. Włączono ją do II Korpusu Armijnego. Zadanie dla 502. batalionu: przejść na północny brzeg Dźwiny ze wszystkimi zdolnymi do walki Tygrysami i korzystając z drogi Dyneburg - Izvalta, jak najszybciej dotrzeć do stanowiska dowodzenia 290. Dywizji, znajdującego się w Chmelnickoj. Powstrzymać dalsze przenikanie broni pancерnej wroga w kierunku Dyneburga. W czasie przejazdu możliwy kontakt z wrogiem.

Przez radio postawiono w stan pogotowia 1. i 2. kompanię. Pododdziały bojowe zostały wysłane dalej do Dyneburga, razem z jednostkami zaopatrzeniowymi. Dowódcy kompanii otrzymali rozkazy, by przybyli na czele swych kompanii na stanowisko dowodzenia batalionu w Gorki (dwa i pół kilometra na południowy zachód od linii kolejowej w Dyneburgu), żeby odebrać dalsze polecenia.

Po odprawie z dowódcami kompanii, stanowisko dowodzenia batalionu zostało przeniesione na północno-wschodnie przedmieścia Dyneburga (niemiecki cmentarz wojskowy), gdzie spodziewano się przybycia całego batalionu. Przybywający z Peski podporucznik Eichhorn razem z czterema Tygrysami został o godzinie 05.00 odesłany na drogę do Izvalty, aby przeprowadzić rozpoznanie i nawiązać kontakt z 290. Dywizją Piechoty. Około godziny 06.00 ruszyło za i nim sześć czołgów z 1. kompanii podporucznika Böltera. Podporucznik Carius zameldował, że jego 2. kompania nie przybędzie na punkt zbiórki batalionu wcześniej niż o godzinie 08.00. Otrzymał rozkaz podążania za 1. kompanią. Po nawiązaniu kontaktu radiowego ze i wszystkimi pododdziałami, dowódca batalionu ruszył wraz z drużyną łączności trasą plutonu rozpoznawczego i nawiązał około godziny 09.00 kontakt z 290. Dywizją Piechoty. Podporucznik Eichhorn nie natknął się na wroga w trakcie przejazdu do Chmelnickoj.

### **Sytuacja 290. Dywizji Piechoty:**

We wczesnych godzinach rannych wróg zaatakował nowo utworzoną



linię oporu Dźwina - Izvalta - Lielie - Truli (trzy kilometry na północ od Izvalty) i przebił się na zachód w sile dwudziestu czołgów na odcinku Lielie - Truli. Spodziewano się, że Rosjanie ruszą w kierunku Viski (dwadzieścia pięć kilometrów na północny wschód od Dyneburga).

Dokładną lokalizację i trasę natarcia trudno jest wskazać. Aby związać walką i osłonić trasy zaopatrzeniowe na linii Dyneburg - Izvalta, dowództwo dywizji rozlokowało resztki batalionu dział szturmowych w rejonie Lielie - Truli. Wykorzystano też dwie kompanie ciężkich armat przeciwpancernych (wzór 43) z 666. batalionu strzelców pancernych, które zajęły stanowiska w rejonie Izvalty i na północ od Lipinisków (dziesięć kilometrów na zachód od Izvalty). Nie było żadnych raportów z rozpoznania. Jedyne raport dotarł z taborów dywizji i mówił o tym, że o godzinie 09.00 w rejonie Borsuk (dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Dyneburga) widziane były wrogie czołgi, jak zmierzały w kierunku drogi wojennej Dyneburg - Rossitten. Batalion otrzymał od sztabu dywizji całkowitą swobodę operacyjną, więc 1. kompanię, która przybyła o godzinie 10.00, skierował do ataku w kierunku Leikuny i Lielie - Truli, aby przeciąć drogę natarcia czołgów rosyjskich. Podporucznik Eichhorn otrzymał zadanie wycofania się z dwoma Tygrysami i przeprowadzenia rozpoznania na północ od stacji kolejowej w Naujene (piętnaście kilometrów przed Dyneburgiem). Miał ustalić pozycje rosyjskich czołgów, które poprzednio widziano w Borsukach. Podporucznik Carius z 2. kompanią otrzymał rozkaz przez radio i łącznika, by wycofał się do drogi Dyneburg - Rossitten i ruszył nią na północ, w kierunku Viski, aby utrzymać otwartą tę ważną drogę frontową. Kiedy zlokalizowano już czołgi wroga, pododdział podporucznika zawrócił na wschód i podjął walkę.

Wkrótce przed godziną 11.00 podporucznik Bölter zaatakował Leikuny i natknął się na opór jakieś 500 metrów na południe od wioski. Aby chronić swoje południowe skrzydło, przeciwnik rozmieścił w Leikunach stanowiska około ośmiu czołgów i pewną liczbę armat przeciwpancernych. Sześć T-43, kilka ciężarówek z podczepionymi do nich armatami przeciwpancernymi i kilka armat, które już były na stanowiskach, zniszczono. Natarcie na Leikuny kontynuowano i wówczas dwa Tygrysy zostały wyeliminowane z walki ogniem wroga. Pozostałe zdolne do walki Tygrysy zdobyły Leikuny i aż do późnego wieczora zapewniły osłonę ogniową i zamknęły rosyjską trasę zaopatrzeniową. Pododdział podporucznika Eichhoma, który nacierał na północ od stacji kolejowej w Naujene, dotarł do Teltini i strumienia na północ od tej

miejsowości. Jednak żaden z mostów na tym odcinku nie był w stanie unieść Tygrysów. Można było się spodziewać, że nieprzyjacielskie czołgi zawrócą z Borsuków, więc dowódca postanowił pozostać w Teltini do wieczora i osłonić całkowicie bezbronne i odsłonięte skrzydło oraz trasę zaopatrzeniową 290. Dywizji Piechoty. Zgodnie z rozkazem, 2. kompania poruszała się za 1. kompanią po drodze Dyneburg - Izvalta, po czym otrzymała nowy rozkaz na stacji kolejowej w Naujene. Pododdział miał skierować się prosto na zachód i przez Krivani dotrzeć do drogi frontowej na Rossitten i dalej ruszyć do Viski. Krótko przed godziną 13.00 natknął się niespodziewanie w Malinavie (cztery kilometry na północ od Krivani) na dwadzieścia ciężkich i bardzo ciężkich czołgów wroga, czyli IS i T-43.

Podporucznik Carius rozkazał zaatakować wroga z marszu, ruszając na czele kompanii, razem z czołgami dowodzonymi przez sierżanta Kerschera oraz podporucznika Nienstedta. Bez strat własnych, tylko z trzema Tygrysami, zniszczył z bardzo bliskiej odległości siedemnaście czołgów wroga.

Załoga Cariusa sama uszkodziła dziesięć z nich. Tylko trzy nieprzyjacielskie pojazdy zdołały uciec na wschód.

Kompania oczyściła z wroga wioskę Malinava oraz nawiązała kontakt z kompanią dział szturmowych nadjeżdżających z północy. Dzięki tej akcji droga frontowa Dyneburg - Rossitten, którą od godziny 10.00 aż do tej pory blokowali Rosjanie, znów stała się przejezdna, a natarcie wroga zatrzymane.

Dzięki interwencji batalionu, a w szczególności 2. kompanii, dowodzonej przez podporucznika Cariusa, 290. Dywizja Piechoty mogła wykorzystać okazję i niezatrzymywana wycofała się wieczorem na zachód, by stworzyć nową linię obrony na wschód od drogi frontowej Dyneburg - Viski. W tym celu do dywizji dostarczono kilka batalionów piechoty przewożonych na ciężarówkach. Miały one za zadanie obsadzić linię obrony na południe od Viski. Nasz batalion otrzymał kolejne zadanie zapewnienia osłony w rejonie Borsuki - Malinava - Bandaryszki, aż do momentu stworzenia nowej linii obrony. W Borsukach pozostała 2. kompania, zaś 1. kompania ruszyła naprzód drogą do Malinavy, aby zapewnić osłonę z północy i północnego-wschodu. Wszystkie czołgi, które po naprawie opuściły warsztaty, zostały przeniesione pod komendą kapitana von Schillera z Dyneburga do Krivani. Miały one stanowić rezerwę operacyjną w razie ataków ze wschodu i północnego wschodu.

Tabory i kompania remontowa batalionu, który poprzednio znajdował się w rejonie na północ od Dyneburga, nocą 23 lipca zostały przesunięte

na południowy brzeg Dźwiny. Ruszyły w kierunku Eglaine i tam się zatrzymały. Na północnym brzegu Dźwiny pozostały tylko pododdziały zaopatrzenia niezbędne dla oddziałów bojowych.

Sukcesy: 23 czołgi wroga (IS i T-43) uszkodzone  
6 armat przeciwpancernych zniszczonych  
Zniszczona pewna liczba ciężarówek wroga.

Straty własne: 2 Tygrysy niezdolne do walki z powodu trafień pociskami wystrzelonymi z dział i armat przeciwpancernych wroga.

Straty osobowe: Żadne.

### ***23 lipca 1944 roku***

W ciągu nocy z 22 na 23 lipca 1944 roku 2. kompania razem ze słabymi siłami piechoty utrzymywała wieś Borsuki, odpierając ataki wrogiej piechoty i czołgów. W czasie tych nocnych walk wyeliminowano dwa czołgi nieprzyjaciela. Siły osłonowe nie były w stanie zapobiec przenikaniu pojedynczych czołgów wroga w zalesiony teren znajdujący się na wschód od Malinawy, gdzie gromadziły się, by ponowić atak w kierunku zachodnim. Wkrótce przed świtem (04.30) Tygrysy zostały wycofane poza nowe linie obrony. 23 lipca wróg przy wsparciu ciężkiej artylerii zaatakował kilka razy z lasów na wschód od Malinawy w kierunku północnym, ku rozwidleniu drogi frontowej, znajdującemu się pięć kilometrów na południowy zachód od Viski. Tam został pokonany przez naszą piechotę i działa szturmowe. Ponieważ oddziały piechoty z 290. Dywizji Piechoty nie były na tyle liczne, by zająć i utrzymać główną linię obrony biegnącą między zakolem Dźwiny w Vilusi (dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Dyneburga) i miejscowością Viski, przeciwnik nasilił ataki na południe od tej ostatniej miejscowości. W tej sytuacji rejon etapowy w lasach na wschód od Malinawy dawał nadzieję na utworzenie bazy wypadowej do ponownego ataku na Dyneburg. Z tego względu trzeba było po południu zbudować nową linię obrony, biegnącą północnym skrajem Malinawy. Próby nawiązania kontaktu na północy i uwolnienia okrążonej artylerii przeciwlotniczej spełzły na niczym, ponieważ bardzo dużo rosyjskich czołgów (IS) posuwało się naprzód w kierunku drogi frontowej w Bandaryszkach, umiejętnie wykorzystując

nierówności terenu. Dwa Tygrysy zostały bardzo poważnie uszkodzone i unieruchomione. Z rozkazu dowództwa 290. Dywizji Piechoty siły osłonowe zostały wieczorem wycofane z Malinawy do Likananki w rejonie Silacirsi, a 2. kompania zebrała się w Krivani.

Po południu 23 lipca przeciwnik, wykorzystując czterdzieści czołgów i znaczne siły piechoty, przełamał pozycje obronne 83. Dywizji Piechoty, która została wprowadzona do walki na południe i południowy wschód od Sarasai, między linie obronne 205. i 215. Dywizji Piechoty. Z tego powodu sztab II Korpusu Armijnego rozkazał, aby jedna z kompanii jeszcze tego popołudnia wycofała się z odcinka na północ od Dyneburga i przeniosła się do Sarasai.

O godzinie 19.00 pięć Tygrysów pod dowództwem podporucznika Böltera wyruszyło w drogę.

Sukcesy: 2 czołgi T-43 zniszczone  
3 ciężkie armaty przeciwpancerne zniszczone  
Duża liczba piechoty przeciwnika zabita.

## **24 lipca 1944 roku: Sytuacja 290. Dywizji Piechoty oraz wykorzystanie 2. kompanii**

Na północ od Malinawy przeciwnik posuwał się naprzód na zachód, z dużymi siłami piechoty i pojedynczymi czołgami wzdłuż drogi frontowej Dyneburg - Rossitten. Próbował przejść przez strumień Likananka po moście kolejowym (dwanaście kilometrów na północny wschód od Dyneburga) i zaatakować Dyneburg od północy. Ten zamiar nie powiódł się, więc Rosjanie zaatakowali na zachód, wzdłuż strumienia Likananka. Aby zabezpieczyć ten rejon, dowództwo dywizji wysłało dwie kompanie przeciwczołgowe (z PAK 43) i słaby pododdział piechoty. Wkrótce przed godziną 10.00, 2. kompania otrzymała zadanie dotarcia do wiosek Tiltu-Słoboda i Rimsas (dwanaście kilometrów na północny zachód od Dyneburga), przez północny skraj Dyneburga. Tam, wykorzystując cztery Tygrysy, miała stworzyć blokadę przeciwko atakom oskrzydającym Dyneburg. To zadanie powierzono podporucznikowi Cariusowi, a pozostałe sześć Tygrysów z 2. kompanii pozostało w Krivani pod dowództwem podporucznika Nienstedta. Miały one za zadanie razem z 503. Pułkiem Grenadierów osłaniać od północnego wschodu drogę Dyneburg - Rossitten.

O godzinie 17. 00 podporucznik Nienstedt otrzymał meldunek, że trzy czołgi wroga ulokowały się beczelnie zaraz na zachód od drogi frontowej przy strumieniu Likananka. Aby się nimi zająć ruszył w kierunku Silacirsi. W tym momencie przeciwnik wyłonił się z kępy drzew rosnącej jakieś półtora kilometra na wschód od Silacirsi (w przybliżeniu dwadzieścia czołgów i dużo piechoty), z zamiarem zdobycia drogi i przebicia się do Dyneburga. Początkowo udało mu się zepchnąć naszą piechotę, zajmując wysunięte pozycje osłonowe. Podporucznik Nienstedt z dwoma Tygrysami starł się z czołgami wroga, które dokonały przełamania pozycji. Udało mu się zniszczyć siedemnaście z dwudziestu nacierających wozów bojowych, w tym dwa działa szturmowe. Podporucznik zdołał wyeliminować dziesięć czołgów, a następnie przeprowadził kontratak razem z 44. batalionem inżynieryjnym. Do wieczora odzyskano stare pozycje bojowe.

Przed zmrokiem czołgi podporucznika Nienstedta zostały wycofane do Krivani.

Grupa Cariusa złożyła w sztabie batalionu zwięzły meldunek z działań osłonowych w Rimsas i Tiltu-Słoboda. Następnie otrzymała zadanie zlecone przez II Korpus Armijny (krótco przed godziną 17.00), polegające na przeprowadzeniu rozpoznania w kierunku północno-wschodnim, aż do Dubleników (przez Klocki). Wiązało się to przypuszczalnie z zadaniem chwilowej ochrony linii kolejowej prowadzącej z Dyneburga na północ, ponieważ w tym rejonie nadal jeszcze jeździły pociągi.

W trakcie przejazdu czołgów, podporucznik Carius, jadąc na motocyklu z boczną przyczepką, prowadził rozpoznanie trasy i niespodziewanie na północnym skraju wioski Kokoniszki natknął się na piechotę wroga i partyzantów. Został kilkakrotnie postrzelony z pistoletu maszynowego i pistoletu. Załogi dwóch nadjeżdżających Tygrysów podjęły ranego Cariusa i jego kierowcę, a następne szybkim atakiem zlikwidowały piechotę wroga. W zapadającym zmroku cztery Tygrysy, którymi dowodził już wtedy podporucznik Eichhorn, zostały wycofane do strumienia Likananka w rejonie Tiltu-Słoboda. W nocy dojechała na ciężarówkach kompania piechoty, za którą podążał cały batalion, który miał za zadanie zabezpieczenie tego odcinka.

Sukcesy: 17 czołgów wroga wyeliminowano  
Dużo ciężkiego sprzętu i dużą liczbę żołnierzy  
wroga wyeliminowano.

Straty  
osobowe: Ciężko ranny podporucznik Carius, kawaler Krzyża  
Rycerskiego  
1 lekko ranny.

### **25 lipca 1944 roku: Sytuacja 290. Dywizji Piechoty i wykorzystanie 2. kompanii**

Przeciwnik wykorzystał lukę w linii frontu, która powstała między I i II Korpusem Armijnym (290. Dywizja Piechoty), w rejonie Malinava i Viski, gdzie wprowadził nowe jednostki czołgów i piechoty. Z rozkazu dowództwa 16. Armii zamierzano przeprowadzić atak na północy - przez 290. Dywizję, a na południu - przez pododdziały I Korpusu Armijnego. Miał on przebiegać od Viski wzdłuż drogi frontowej Dyneburg - Rossitten. Dzięki temu natarciu chciano zamknąć lukę w liniach obrony.

Wspólnie z działami szturmowymi i pięcioma Tygrysami pod dowództwem podporucznika Nienstedta, 503. Pułk Grenadierów zaatakował Malinawę i osiągnął swój cel o godzinie 15.30. Początkowo Tygrysy mogły tylko wspierać atak ogniem prowadzonym z południowego brzegu Likananki w Silacirsi, ponieważ most w tej miejscowości został zniszczony dwa dni wcześniej. Po rozpoznaniu znajdującego się bardziej na zachód brodu, przez który z trudem mogły przejechać Tygrysy, pododdział Nienstedta przyłączył się do natarcia pułku grenadierów na południowym skraju wioski. Dalszy atak czołgów był niemożliwy, ponieważ pod jednym z Tygrysów załamał się słaby mostek. Po ciężkich walkach i dużej liczbie ofiar spowodowanych ostrzałem piechoty i moździerzy przeciwnika, grenadierzy wreszcie zdołali osiągnąć północny skraj wioski Malinava. Po południu 25 lipca trwały nierozstrzygnięte walki. Rosjanie przeprowadzili kilka kontrataków, które udało się w znacznym stopniu odeprzeć. W trakcie tych starć Nienstedt zniszczył dwa czołgi i trzy ciężkie armaty przeciwpancerne.

### **Sytuacja w rejonie działania podporucznika Eichhorna w dniu 25 lipca:**

Nocą rosyjska piechota ruszyła przez linię kolejową aż do Dźwiny i

zajęła wioskę Ausgliani, leżącą na północ od strumienia Likananka.

Zostały tam skierowane pododdziały osłonowe batalionu, ale nie zdołały wyprzeć wroga z wioski. O godzinie 14.00 usłyszano odgłosy nadjeżdżających od północy czołgów. To nasunęło przypuszczenie, że przeciwnik chce zająć majątek Likana nad Dźwiną i wykorzystać drogę frontową Dyneburg - Królewiec do dalszego natarcia (możliwe, że chciał przekroczyć rzekę i ruszyć na zachód).

Z tego powodu podporucznik Eichhorn natychmiast wyruszył z Tiltu-Słoboda i przebił się przez piechotę nieprzyjaciela w Ausgliani. Zaraz na wschód od majątku Likana natknął się na jednostkę czołgów wroga, liczącą szesnaście ciężkich pojazdów (IS) oraz T-43. W ciągu dziesięciu minut wszystkie szesnaście czołgów zostało zniszczonych bez strat własnych. Czołgi porucznika Eichhorna od razu powróciły na pozycje wyjściowe w Tiltu-Słoboda. W ciągu popołudnia poprowadził jeszcze jedno natarcie na półwysep znajdujący się jakiś kilometr od Ausgliani. Zniszczył tam dwie ciężkie armaty przeciwpancerne przeciwnika. Czołgi ostrzeliwały zachodni brzeg Dźwiny i samochody wroga przejeżdżające po nadrzecznej drodze.

Sukcesy: 18 czołgów wroga (IS i T-43) zniszczono  
5 armat przeciwpancernych  
Związano walką piechotę wroga.

Straty osobowe: 1 ranny oficer (podporucznik Nienstedt, pozostał w kompanii).

## ***26 lipca 1944 roku***

Rosjanie wielokrotnie atakowali Malinawę i usiłowali zmusić nasze siły osłonowe do wycofania się za strumień Likananka. Przez cały dzień Tygrysy podporucznika Nienstedta chroniły zachodni brzeg strumienia w Silacirsi i Krivani.

Przez wzmocniony bród znajdujący się na zachód od zniszczonego mostu mogły teraz przejechać Tygrysy, które do tej pory osłaniały Silacirsi i o godzinie 18.00 ruszyły 1,2 kilometra na północ, w stronę południowego krańca wioski Malinawa. Wkrótce Rosjanie w sile kompanii piechoty, wspierani przez kilka czołgów, zaatakowali północną część wioski Malinawa. Atak został odparty i zniszczono działko szturmowe 122 mm. Krótco po godzinie 20.00 Tygrysy z Krivani ruszyły w rejon koncentracji

piechoty wroga, którego rozpoznano w lesie na północ od wioski. Jednak atak z tamtego rejonu nigdy nie nastąpił.

### **Wykorzystanie pododdziału Eichhorna:**

Wkrótce po północy 501. Pułk Grenadierów, który znajdował się na zachodnim brzegu Dźwiny jako odwód, zastał przewieziony łodziami szturmowymi na wschodni brzeg. Z rozkazu sztabu Grupy Armii Północ miał on zaatakować w kierunku stacji kolejowej w Likanie, zmusić rosyjską piechotę do wycofania się z nad wschodniego brzegu rzeki i odrzucić ją potem daleko na wschód, aż za linię kolejową. Początkowo atak miał być prowadzony bez wsparcia artylerii czy ciężkiej broni. Nagle, przed świtem, dowództwo II Korpusu Armijnego skierowało czołgi podporucznika Eichhorna jako wsparcie ataku 501. Pułku Grenadierów. O godzinie 06.00 podporucznik Eichhorn z czterema Tygrysami wyruszył z Tiltu-Słoboda. Jeszcze raz trzeba było się przedrzeć przez pozycje wroga w Ausgliani. W tym czasie zostały one wzmocnione przez czołgi i armaty przeciwpancerne. W trakcie natarcia wyeliminowano cztery czołgi nieprzyjaciela i zniszczono sporą liczbę armat przeciwczołgowych. Jeden z Tygrysów otrzymał potężne uderzenie pociskiem przeciwpancernym i spłonął (całkowita strata). Załoga opuściła pojazd bez żadnych ran. Krótko przed godziną 08.00 podporucznik Eichhorn wywalczył sobie drogę do pozycji 501. Pułku Grenadierów i nawiązał z nim kontakt na skrzyżowaniu dróg w Waikulani (trzy kilometry na północ od Ausgliani). O godzinie 08.30 czołgi razem z pułkiem ruszyły w kierunku stacji kolejowej w Likanie. Wywalczyły sobie drogę pomimo ciężkiego ognia przeciwpancernego i czołgowego przeciwnika. W tym czasie drugi Tygrys otrzymał bardzo groźne trafienie pociskiem przeciwpancernym wroga i spłonął (całkowita utrata).

Trzech ludzi z załogi zginęło, jeden żołnierz został ciężko ranny.

Do godziny 11.00 natarcie powoli dotarło do Liciji (kilometr od stacji kolejowej w Likanie). Tam jednak piechota została zatrzymana silnym ogniem nieprzyjaciela, kierowanym z nasypu kolejowego. Tygrysy też nie mogły posunąć się dużo dalej, ponieważ ostrzał czołgów i armat przeciwpancernych wroga stawał się coraz bardziej intensywny. Zniszczono osiem kolejnych czołgów wroga, wyrzutnię rakiet i kilka armat przeciwpancernych. Zniszczono też kolumnę ciężarówek, która przewoziła rosyjską piechotę. Ponieważ atak nie rokował dalszych sukcesów, a pułkowi grenadierów groziło okrążenie od południa i od



północy przez duże siły piechoty i czołgów wroga, został on o godzinie 11.30 wycofany za Dźwinę na rozkaz II Korpusu Armijnego (pozostawiono tylko niewielki przyczółek w Broskach i Dimanti).

Podporucznik Eichhorn otrzymał kolejny rozkaz, by jego czołgi wywalczyły drogę odwrotu na stare pozycje wyjściowe w Tiltu-Słoboda i tam pobrały uzupełnienia. W tym czasie w Ausgliani przeciwnik wzmocnił się jeszcze bardziej i rozmieścił dużą liczbę armat przeciwpancernych. Bez wszczynania walki z tymi siłami podporucznik Eichhorn ruszył szybko dwoma Tygrysami przez Ausgliani. W trakcie tej akcji przejechał przez kilka armat przeciwpancernych nieprzyjaciela, ale otrzymał też niezliczoną liczbę uderzeń pociskami wroga. W dwa szarżujące Tygrysy strzelało około czterdziestu armat. O godzinie 12.50 Eichhorn wraz z czołgami dotarł na pozycje wyjściowe. Żaden z dwóch Tygrysów nie nadawał się do walki.

Zaczynając od godziny 23.00, siły znajdujące się na przyczółku 290. Dywizji Piechoty, na północ od Dyneburga, wycofywano na południowy brzeg Dźwiny. Ten manewr był częścią wielkiego odwrotu II Korpusu Armijnego. O godzinie 21.30 oba Tygrysy z 2. kompanii, wykorzystywane na północnym brzegu Dźwiny, zostały wycofane przez most kolejowy w Dyneburgu na drugi brzeg rzeki i dotarły do stanowiska dowodzenia batalionu w miejscowości Gorki (2,5 kilometra na południowy zachód od mostu kolejowego).

23 lipca w tym samym czasie 1. kompanię skierowano z Dyneburga do Sarasai, gdzie miała zatrzymać spodziewany atak pancerny wroga i aż do 25 lipca nie brała udziału w walkach. 25 i 26 lipca brała udział w niewielkich kontratakach w rejonie działania 83. Dywizji Piechoty i odparła kilka ataków piechoty wroga. Nie angażowała się w walki pancerne na południe i południowy wschód od Sarasai, ponieważ otrzymała meldunek, że przeciwnik odwołał w tym rejonie natarcie czołgów.

Sukcesy:	12 nieprzyjacielskich czołgów (T-43) zniszczono 1 działko szturmowe 122 mm 1 wyrzutnię rakiet 10 armat przeciwpancernych 34 ciężarówki z piechotą zniszczono. Związano walką piechotę wroga.
Straty:	2 Tygrysy nieodwracalnie stracone.
Straty osobowe:	3 zabitych, 1 poważnie ranny.

## *27 lipca 1944 roku*

Nowa linia obrony II Korpusu Armijnego biegła wzdłuż strumienia Lauce, niemal równolegle do drogi frontowej Sarasai - Dyneburg, a potem skręcała na północny zachód wzdłuż Dźwiny do Dyneburga. Przeciwnik postępował z wahaniem za wycofującymi się jednostkami. Tego dnia nie odnotowano walk na dużą skalę. 1. kompania zajmowała pozycje na prawym skrzydle korpusu (87. Dywizja Piechoty) w Sarasai i przygotowywała się do przeprowadzenia kontrataku. Sztab i 2. kompania stały w pogotowiu w Gorki, za 81. Dywizją Piechoty.

Dalsze wycofywanie się planowano nocą z 27 na 28 i z 28 na 29 lipca. Zamierzano nawiązać kontakt z prawym skrzydłem I Korpusu Armijnego, który wycofywał się na północny zachód, na północny brzeg Dźwiny, aby móc rozciągnąć pozycje bojowe w kierunku zachodnim (do odcinka XXXXIII Korpusu Armijnego) i odciąć drogę przeciwnikowi, który atakował i silnie napierał na północ, w kierunku Rygi. Po południu batalion otrzymał rozkaz, aby wycofał się daleko, aż do linii obrony, którą miał osiągnąć nocą z 28 na 29 lipca. O godzinie 22.00 sztab z 2. kompanią wyruszył do zagajnika znajdującego się za strumieniem Illiuxt, cztery kilometry na północny zachód od Eglaine; 1. kompania wycofała się do majątku Rautensee (dziesięć kilometrów na południe od Eglaine). Ich zadaniem było przygotowanie się do dalszych walk razem z II Korpusem Armijnym.

Przemieszczanie się jednostek przebiegało zgodnie z planem. Stojący dotąd w Eglaine 2. pluton z kompanii remontowej został przeniesiony czterdzieści pięć kilometrów na północny zachód, w okolice wioski Akniste. Krótco przed północą batalion otrzymał rozkaz z dowództwa 16. Armii, aby sztab oraz 1. i 2. kompania przemieściły się na odcinek XXXXIII Korpusu Armijnego (długość przejazdu czterdzieści pięć kilometrów).

## **PODSUMOWANIE I SPOSTRZEŻENIA DOTYCZĄCE WYKORZYSTANIA BATALIONU W REJONIE OPERACYJNUM WOKÓŁ DYNEBURGA NA ODCINKU II KORPUSU ARMIJNEGO**

Batalion w składzie: sztab i dwie kompanie (2. i 3. kompania) działał w rejonie Dyneburga na odcinku II Korpusu Armijnego. Od 13 do 20 lipca posiadał trzy kompanie. Po tej dacie 3. kompania została przeniesiona do XXXXIII Korpusu Armijnego. Po ustabilizowaniu nowej linii obrony, aby zabezpieczyć południowe otwarte skrzydło Grupy Armii Północ

(początkowym zadaniem batalionu było zatrzymanie ataków wroga), batalion został podzielony na dwie grupy bojowe i skierowany do następujących zadań na całym odcinku działań korpusu:

1. Obrona i uszczelnienie obrony przed pancernymi atakami wroga.
2. Kontrataki z udziałem piechoty, wspierane przez jednostki dział szturmowych, w celu odbicia utraconych wiosek i terenów.
3. Prowadzenie okresowych działań osłonowych na głównej linii obrony.
4. Organizacja obrony przed spodziewanymi atakami wroga.
5. Działanie jako siły osłonowe w trakcie krótkich odwrotów.
6. Prowadzenie lokalnych walk rozpoznawczych.

Wszystkie zadania wykonano i zostały nagrodzone pochwałami ze strony korpusu i dywizji, tak dla całego batalionu, jak i poszczególnych kompanii. Działania Tygrysów w pojedynczych grupach (rozciągające się na całym odcinku działania korpusu i związane z przenoszeniem z jednej dywizji do drugiej) przynosiły w większości sukcesy w walkach o utrzymanie głównej linii obrony korpusu, aż do chwili wycofania w dniu 26 lipca. Gdziekolwiek pojawiły się Tygrysy, Rosjanie odwoływali ataki lub powtarzali je w odpowiednim terenie tylko z użyciem piechoty (lasy i tereny w okolicach jezior). Używanie do walk Tygrysów, podobnie jak dział szturmowych, ciężkiej artylerii przeciwlotniczej i samej artylerii, wymagało szybkiego przemieszczania tych sił w ciągu kilku godzin, zgodnie z rozwojem sytuacji. Aby utrzymać główną linię obrony lub odtworzyć ją, całą dostępną ciężką broń przenoszono w rejon przełamania. W trakcie tych ruchów zwracano niewielką uwagę na wymagania mechaniczne, szczególnie te, które dotyczyły batalionu Tygrysów.

Wszystkie działania opierały się na założeniu, że linia obrony musi być utrzymana za wszelką cenę - każdy piechur jest więcej wart niż Tygrys (uwaga głównodowodzącego II Korpusu Armijnego). Batalion, a później szefostwo uzbrojenia 16. Armii bez przerwy wskazywało na techniczne problemy, na konieczność wykorzystywania tego sprzętu bojowego, tam gdzie teren stwarzał mniejsze wymagania. To wszyscy potwierdzali. Rezultatem długodystansowych przejazdów batalionu były ciągle uszkodzenia układu napędowego i zawieszenia, z technicznego punktu widzenia absorbujące czasowo, a zdobywanie części zamiennych było niezmiernie utrudnione. Szczegóły dotyczące tej kwestii zostały opisane w technicznym raporcie po akcji.

Batalion jest zdania, że można by osiągnąć te same sukcesy, gdyby;

1. przeprowadzano więcej rozpoznania terenu na ziemi i z powietrza, aby stworzyć lepszy obraz sił przeciwnika i jego zamiarów,
2. cała broń ciężka (Tygrysy, działa szturmowe, armaty przeciwpancerne 88 mm i przeciwlotnicze tego samego kalibru) była na stałe przypisana do danego rejonu,
3. zostały stworzone odpowiednie rezerwy ciężkiej broni, umieszczone z dala od pola walki i trzymane w centralnych rejonach, aby móc je szybko przemieścić.

Ogólnie rzecz biorąc, relacje ze sztabami dywizji, pułków i batalionów były dobre. Z dołączanymi oddziałami bywało różnie. Niektóre unikały współpracy bez polecenia ze sztabu dywizji, inne chciały podlegać bezpośrednio tylko sztabom pułku i batalionu. To nie zawsze się udawało. Jeśli taka sytuacja miała miejsce, sztab batalionu musiał interweniować i doradzać pułkom oraz batalionom właściwe wykorzystanie naszych czołgów.

Dowodzenie napotykało na liczne trudności z tego względu, że batalion był podzielony na cztery grupy bojowe. Jeśli chodzi o łączność, połączenia w paśmie fal średnich lub ultrakrótkich mogły dotyczyć co najwyżej trzech grup bojowych, i to z wykorzystaniem stacji przekaźnikowych. Poza walkami toczonymi wspólnie z 205. Dywizją Piechoty w dniach 10 i 11 lipca, dowództwo batalionu miało wpływ na taktyczne wykorzystanie poszczególnych grup bojowych tylko wtedy, gdy dowódca jednostki mógł uczestniczyć w odprawach dotyczących konkretnych ataków i walkach podejmowanych przez poszczególne grupy. Dodatkowo, cały batalion przez cały czas musiał być do dyspozycji, zarówno sztabu korpusu, jak i głównodowodzącego.

Tereny na południe od Dyneburga trzeba w 80% uznać za nienadające się do działania czołgów. Liczne jeziora i strumienie (których bieg utrudniał przeprowadzanie ataków), niewielkie nawet bagna i zagajniki, tworzyły przeszkody terenowe i ograniczenia, które nie pozwalały na rozmieszczenie, rozwinięcie i wykorzystanie wielkiego zasięgu ognia Tygrysów. Warunki naturalne w terenie uniemożliwiały wykorzystanie więcej niż kompanii czy plutonu czołgów. Większość zadań, które przypadły Tygrysom, powinny wykonywać działa szturmowe. Trzeba wspomnieć, że większość tych zadań udało się wykonać tylko dzięki wspianiałym pancerzom naszych czołgów.

Mosty i przeprawy w rejonie operacyjnym wokół Dyneburga były w

bardzo złym stanie. Udało się je dostosować do naszych wymogów tylko dzięki dołączeniu 380. batalionu inżynieryjnego, który umożliwił dotarcie wszystkich Tygrysów na linię frontu. W okresie, który analizujemy, batalion musiał wzmacniać około 60 mostów. Poprawiono wiele brodów. Przynajmniej jedna kompania z batalionu musiała być zatrudniona do wzmacniania każdego mostu, który prowadził do kompanii naprawczej i taborów na zapleczu frontu.

## SUKCESY W OKRESIE OD 4 DO 27 LIPCA 1944 ROKU

Dzień	Bitwa	Czołgi	Działa szturmowe	Armaty przeciwpancerne	Artyleria	Zabici w walce piechurzy wroga
10.07	Atak na południe od Dyneburga	–	–	16	–	300
11.07	Atak na Karasino Odwrót do Salakas	10	–	6	–	–
12.07	Kontratak w Antaliepte	2	–	–	–	–
14.07	Kontratak w Stossjunai Atak na północ od Karasina	–	–	6 2	1 –	– 200
16.07	Atak na Marnga Kontratak w Babaszkach	–	–	6 4	– –	100 –
18.07	Atak na południe od Silene i na południe od Babaszek	–	–	7	–	150
22.07	Bitwa czołgowa na północ od Dyneburga	23	–	6	–	–
23.07	Obrona na wschód od Malinawy	2	–	3	–	100
24.07	Defensywa i kontratak w Malinawie	17	–	–	–	50
25.07	Bitwa czołgowa w Likanie Obrona w Malinawie	16 2	– –	2 3	– –	– 50
26.07	Atak w Likanie	12	1	10	1	300
	<b>RAZEM</b>	<b>84</b>	<b>1</b>	<b>71</b>	<b>–</b>	<b>1250</b>

## GOTOWOŚĆ BOJOWA CZOŁGÓW I WYNIKI DZIAŁAŃ SŁUŻB REMONTOWYCH

Dzień	Ogółem w rejonie operacji	Zdolne do walki	Uszkodzone - w naprawie
4.07	33	28	3
5.07	33	28	1
6.07	33	28	3
7.07	33	25	1
8.07	33	25	1
9.07	32	20	1
10.07	32	25	–
11.07	32	13	1
12.07	33	7	–
13.07	45	15	1
14.07	45	15	2
15.07	45	17	4
16.07	45	18	5
17.07	45	20	1
18.07	45	23	5
19.07	45	23	5
20.07	34	17	–
21.07	33	17	2
22.07	33	20	9
23.07	33	13	–
24.07	33	14	1
25.07	33	12	–
26.07	34	10	1
27.07	32	12	1

## STRATY OSOBOWE W OKRESIE OD 4 DO 27 LIPCA 1944 ROKU

Rodzaje strat	Oficerowie	Podoficerowie	Szeregowcy	Razem
Zabici	–	–	3	3
Zaginieni w akcji	–	–	–	–
Ranni (w szpitalu)	1	2	7	10
Ranni (w oddziałach)	5	5	8	18
<b>RAZEM</b>	<b>6</b>	<b>7</b>	<b>18</b>	<b>31</b>

## STRATY W SPRZĘCIE

- 3 Panzer VI całkowita utrata wraz wyposażeniem i bronią
- 10 Panzer VI wyeliminowane z walki ogniem nieprzyjaciela (odzyskane z pola walki i naprawione w kompanii remontowej)
- 1 motocykl z przyczepką boczną całkowicie zniszczony.

## ZUŻYCIE AMUNICJI W OKRESIE OD 4 DO 27 LIPCA 1944 ROKU

- Pociski przeciwpancerne kal. 88 mm wzór 39 – 555 sztuk
- Pociski burzące kal. 88 – 876 sztuk
- Amunicja do karabinów maszynowych – 36 000 sztuk







